

PRZYGODY GOTREKA I FELIXA

WILLIAM KING  
ZABÓJCA  
WAMPIRÓW



WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDAWNICTWA  
WARSZAWA

**William King**

**Zabójca Wampirów**

**Przygody Gotreka i Felixa tom VI**

*Tłumaczył Grzegorz Bonikowski*

*To mroczna, krwawa era. Czasy demonów i czarnoksięstwa. To era bitew i śmierci, a także końca świata. Pośród ognia, płomieni i szaleństwa jest to także czas wielkich bohaterów, śmiałych czynów i wielkiej odwagi.*

*W sercu Starego Świata rozciąga się Imperium, największe i najpotężniejsze z królestw ludzi. Słynie ze swoich inżynierów, czarodziejów, kupców i żołnierzy. To kraina ogromnych gór, szerokich rzek, ciemnych lasów i rozległych miast. Z wyżyn tronu w Altdorfie włada nią Imperator Karl-Franz, wyświęcony potomek założyciela tego państwa – Sigmara i powiernik jego magicznego młota bojowego.*

*Ale te czasy dalekie są od spokoju. Wszereż i wzdłuż Starego Świata, od rycerskich zamków Bretonii do skutego lodem Kisleva na dalekiej północy, zewsząd słyhać doniesienia o zbliżającej się wojnie. W niebotycznych Górach Krańca Świata plemiona orków szykują się do kolejnej napaści. Zbóje i odstępcy nękać dzikie ziemie Księstw Granicznych na południu. Pojawiają się plotki o podobnych szczirom istotach, skavenach, które wynurzają się z rynsztoków i bagien we wszystkich krainach. Na północnych pustkowiach nie ustępuje wieczna groźba Chaosu, demonów i zwierzoluździ wypaczonych przez nikczemne moce Mrocznych Bogów. Gdy pora rozstrzygającej bitwy zbliża się coraz bardziej, Imperium potrzebuje bohaterów, jak nigdy wcześniej.*

## **Księga Pierwsza**

### ***Praag***

*W owym czasie, wśród straszliwej zimy, uważałem się za dobrze obeznanego ze wszelkimi koszmarami i bólem. Podczas oblężenia Praag doświadczyłem straty wielu zaufanych towarzyszy, którzy polegli z rąk sług Chaosu, jednakże wszelkie znoje, jakie stały się dotychczas moim udziałem, bladły wobec tego, co miało nadejść. Bowiem dziwnym zrządzeniem losu lub mocą kpiny Mrocznych Bogów, przeznaczeniem moim i Zabójcy było spotkanie z pradawnym, potwornym złem oraz strata kolejnych spośród tych, którzy byli nam najbliżsi. Strata w sposób nader osobliwy i przerażający. Najciemniejsze dni miały dopiero nadejść.*

Fragment z *Moich Podróży z Gotrekiem*,  
tom IV, spisanych przez Herr Felixa Jaegera  
(Wydawnictwo Altdorf, rok 2505)

## Rozdział 1

Felix Jaeger szedł wśród ruin Praag. Przemierzał wypalone budynki, zgliszcza i gruzy ciągnące się jak okiem sięgnąć. Osmalone pozostałości kilku zawalonych domostw unosiły się nad pokrywającym wszystko śniegiem. Tu i tam ludzie rzucali na wozy sterty ciał, aby wywieźć je i spalić. To była niewdzięczna i zapewne bezowocna praca. Wiele zwłok pozostanie zakrytych aż do nadejścia wiosennej odwilży, gdy stopi się okrywający je śnieg. O ile nie zostaną wcześniej odkopane i zjedzone. Felix dostrzegał oznaki głodu widoczne na twarzach wszystkich otaczających go ludzi.

Owinał się szczelniej w swój wyblakły, czerwony płaszcz z Sudeńlandzkiej wełny i ruszył w stronę gospody „Pod Białym Dzikim” – albo raczej miejsca, w którym znajdowała się przed bitwą. Znudziły go triumfalne bankiety w Cytadeli oraz towarzystwo kislevskiej szlachty. Nasłuchał się tylu przemów wychwalających chwalebne cnoty obrońców miasta i odwagę przybyłej z odsieczą armii, że bolały go uszy. Z coraz większą trudnością przychodziło mu wysłuchiwanie szlachetnie urodzonych, gratulujących bohaterstwa sobie nawzajem. Nadszedł czas, by przekonać się, co zamierzają Zabójcy. Poprzedniego wieczora wcześniej opuścili bankiet i od tego czasu nie dali znaku życia. Felix bez trudu domyślał się, gdzie może znaleźć krasnoludy.

Przechodził przez pozostałości czegoś, co niegdyś było ulicą Jedwabnych Kupców i przyglądał się wypalonym szczątkom wielkich magazynów. Wszędzie chronili się bladzi, wychudli i wygłodzeni ludzie, owinięci w obszarpane opończe, brnący ze spuszczonej głowami przez śnieg w poszukiwaniu schronienia w ruinach starych kramów. Wielu rzucało mu spojrzenia jakby zastanawiali się, czy ma przy sobie dość pieniędzy, by warto było ryzykować rabunek. Niektórzy patrzyli na niego, jakby miał stać się ich następnym posiłkiem, całkiem dosłownie. Felix nie odsuwał dłoni od rękojeści miecza i spoglądał wokół najgroźniej jak potrafił.

W oddali dzwony kościelne ogłaszały rozpoczęcie nabożeństwa. Felix zastanawiał się, czy tylko on dostrzega ironię w ich radosnym dudnieniu. Zważywszy na ciężkie położenie ludzi, zaskakujące było, jak wielu z nich wyglądało na uradowanych. Zapewne większość nie spodziewała się, że dożyją tej chwili. Tym trudniej było uwierzyć w odparcie wielkiej hordy Chaosu Areka Pazura Demona i w klęskę potężnego wodza. Armia Gospodarów i zażarte ataki bombowe przeprowadzone ze statku powietrznego, „Ducha Grungniego”, wybawiły miasto od zagrożenia, jakim była ta wielka horda. Pokonując wszelkie przeciwności losu, bohaterskie miasto Praag zostało ocalone przed najpotężniejszą armią, jaka zaatakowała w ciągu dwóch stuleci.

To było zwycięstwo okupione znacznym kosztem. Ponad połowa Nowygradu, Nowego Miasta, ta rozległa, gęsto zaludniona płatanina wąskich ulic między murem zewnętrznym a starymi murami wewnętrznymi otaczającymi Cytadelę, znikła spalona do gołej ziemi, gdy rozszalała fala wojowników Chaosu przedarła się przez umocnienia. Według pospiesznych i nieformalnych szacunków przeprowadzonych przez urzędników księcia, niemal jedna czwarta mieszkańców zginęła. Spodziewano się podobnej liczby zgonów z głodu, chorób i na skutek przejmującego zimowego chłodu. Wszystko to przy założeniu, że z Północnych Pustkowi nie nadciągną nowe armie maruderów. W wielu miejscach w zewnętrznych murach nadal pozostawały otwarte wyłomy i fortyfikacje nie wytrzymałyby kolejnych ataków.

Felix wyczuwał dochodzący z oddali chorobliwie słodkawy zapach płonących ciał. Gdzieś tam ludzie ogrzewali swe dłonie wokół grzebalnych stosów poległych. Tylko w ten sposób można było szybko pozbyć się tak wielu zwłok. Było ich zbyt wiele, by je pogrzebać, a ziemia zbyt twarda dla

szpadli. Nadal pozostawał niepokój związany z zarazą. Straszliwe choroby uwolnione podczas oblężenia przez wyznawców Nurgła, Pana Chorób, powróciły po zakończeniu bitwy. Niektórzy twierdzili, że była to zemsta Demona Zarazy za wymordowanie jego czcicieli. Czarodziej Max Schreiber uważał za bardziej prawdopodobne, iż zimno, głód i depresja wywołane kislevskiej zimą uczyniły mieszkańców mniej odpornymi na małe demony, które przenosiły chorobę. Felix uśmiechnął się gorzko – Max Schreiber był człowiekiem, który na wszystko miał gotowe teorie, a większość z nich okazywała się przygnębiająco prawdziwa.

Zawodząca kobieta rozpaczliwie usiłowała zatrzymać dwóch wozaków unoszących ciało martwego mężczyzny, jej kochanka, męża, a może brata. Większość ludzi w mieście straciła co najmniej jednego z krewnych. Wyginęły całe rodziny. Felix pomyślał o swoich przyjaciółach, którzy zginęli w bitwie. Dwaj z krasnoludzkich Zabójców, młody Ulli i odrażająco brzydki Bjorni, spłonęli w tych wielkich pogrzebowych ogniskach.

Felix zastanawiał się, dlaczego tak się stało. Co wyciągnęło wyznawców Chaosu z dalekich krain na najdalszej północy i zmusiło ich do ataku na miasto? Dlaczego wybrali na czas ataku ostatnie tygodnie przed nadejściem zimy? To był akt szaleństwa. Nawet, gdyby zajęli Praag, ucierpieliby od zimna i śniegu, tak jak działo się to z mieszkańcami miasta. Co więcej, ponura determinacja Kislevczyków była tak wielka, że raczej spaliliby całe miasto do ziemi, niż pozwolili, by wpadło w ręce ich największych wrogów. Felix domyślał się, że demoniczne oddziały nie miałyby wielkich wątpliwości pożerając trupy, a nawet siebie nawzajem, ale mimo to ich atak był szaleństwem.

Potrząsnął głową. Nie było sensu próbować ich zrozumieć. Trzeba być szaleńcem, by dobrowolnie podążać za demonicznymi bogami Chaosu i to przeświadczenie mu wystarczało. Bezcelowe były wysiłki rozsądnego człowieka, który starał się zrozumieć, co kierowało takimi zatańcami. Oczywiście, Felix słyszał wiele teorii na ten temat. Max Schreiber utrzymywał, że wielka fala mrocznej magicznej energii spływała na południe z Pustkowi Chaosu i to dzięki niej wyznawcy demonów wznosili się na nowe szczyty szaleńczej furii.

– Ukorzcie się! Ukorzcie się! – krzyczał chudy mężczyzna o płonących oczach. Stał na piedestale niegdyś zajmowanym przez posąg cara Aleksandra i przemawiał do tłumu. W kącikach ust krzyczącego zebrała się piana. Jego długie włosy były w nieładzie. Wyglądał, jakby już dawno temu stracił resztki rozumu. – Bogowie karzą was za wasze występki!

Najwyraźniej gorliwcy, którzy wygłaszali kazania na wypalonych placach miasta, mieli własne teorie. Twierdzili, że nadszedł koniec świata, a horda Chaosu była zaledwie przedsmakiem jeszcze gorszych rzeczy, które mają nadejść. Ta teoria traciła odrobinę na wiarygodności, jeśli wziąć pod uwagę, że ci sami ludzie byli przekonani, iż koniec świata nadszedł wraz z hordą Chaosu. Musieli nieznacznie zmienić swoje przesłanie, gdy horda została pokonana. Felix zdusił w sobie chęć uderzenia tego człowieka. Ludzie mieli dość problemów bez nękania przez ogarniętego furją maniaka. Szybkie spojrzenie wokół przekonało Felixa, że to było bezcelowe. Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na gorliwca, pomimo że wściekle tłuki się w obnażoną pierś. Większość ludzi szybko przechodziła dalej, usiłując załatwić swoje sprawy i wrócić do żalosnych schronień, jeśli takie mieli. Ten człowiek mógł równie dobrze wykrzykiwać swój gniew na wiatr.

Kilka stoisk ustawiono w rogach Placu Świętokupców. Mężczyźni noszący znak skrzydlatego lwa książęcego domu wydzielali racje ziarna kolejce głodnego ludu. Miarka została ograniczona do połowy pojemności kubka. Oczywiście, książę musiał teraz wyżywić zebrane siły wojska Gospodarów, blisko pięć tysięcy wojowników wraz z wierzchowcami. Obozowali w pozostałościach miasta i na otaczających je wypalonych farmach. Felix precyzyjnie się szybko wzdłuż

krawędzi placu, usiłując nie dać się porwać skotłowanej masie kaszlących, charkających i pchających się ciał. Trzymał jedną dłoń na rękojeści miecza, a drugą na swojej sakiewce. Nigdy nie było zbyt bezpiecznie w miejscach, gdzie zbierały się tłumy.

Felix słyszał ludzi mówiących, że Królowa Lodu, caryca Kisleva, ma władzę nad zimową pogodą. Felix zadawał sobie pytanie, że jeśli to prawda, to dlaczego władczyni nie złagodzi uścisku zimy zaciśniętego na gardłach swego ludu? Może taka magia przekraczała jej moce? Wyglądało na to, że nawet Lordowie Chaosu nie potrafili nad tym zapanować, a z pewnością mieli powody, by chcieć złagodzić zimę, o ile ta cała inwazja nie była tylko ponurym żartem dla ich zabawy. Felix, przelatując nad Pustkowiami Chaosu, widział takie rzeczy, że mógł uwierzyć także w to.

Gdy opuszczał plac, zaczęły padać wielkie, grube płatki śniegu, które ocierały się o jego zziębnięte policzki i zamarzały na włosach ludzi. Felix miał już dość tego widoku. Wydawało mu się, że przywykł do śniegu. Zima w Imperium była długa i surowa, ale okazała się letnim piknikiem w porównaniu z tym, co działo się tutaj. Nigdy nie widział tak dużych opadów śniegu w tak krótkim czasie i nigdy nie sądził, że śnieg może być aż tak zimny. Słyszał historie o wielkich, białych wilkach zakradających się na obrzeża miasta i porywających dzieci lub chorych. Słyszał także opowieści o jeszcze gorszych rzeczach. Kislewczyzy znali przerażające opowieści chyba o wszystkim, co miało związek z zimą. Nie dziwiło go to i widział już tyle w swoim życiu, by wierzyć, że w tych opowieściach tkwi ziarno prawdy.

Felix próbował odegnać od siebie tak ponure myśli. W końcu był żywy, chociaż spodziewał się śmierci podczas ataku hordy Chaosu. Mógł nawet opuścić miasto ogromnym statkiem powietrznym, „Duchem Grungniego”, wraz z odlatującym Malakaiem Makaissonem. Prawda, że to oznaczałoby powrót do Karak Kadrin, ponurej i surowej siedziby kultu Zabójców, ale z pewnością było to lepsze niż spędzanie zimy w Praag. Tylko głupiec albo szaleniec nie skorzystałby z takiej okazji.

Felix wiedział jednak, że w tej sprawie nie ma wyboru. Przysiągł podążać za Gotrekiem i być świadkiem jego śmierci. Dokądkolwiek uda się Zabójca, Felix musiał pójść za nim.

Z pewnością nawet Gotrek nie zechce pozostać w Kislevie. Felix potrząsnął głową. Zabójca najpewniej uczyni to z czystego uporu. Wydawał się być najszczęśliwszy w najmniej sprzyjających okolicznościach, a Felix nie potrafił wyobrazić sobie zbyt wielu miejsc w większym stopniu zapewniających zdrową dawkę niewygody niż ta, zakopana w śniegu, wypalona skorupa miasta.

Teraz, gdy on i Ulrika Magdova rozstali się nareszcie, nie znajdował powodu, by tu zostać. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie może przebywać kislevska szlachcianka. Najpewniej nadal była wraz z Maxem Schreiberem na bankiecie – ostatnimi dniami ta parka wydawała się nierozłączna.

Ulrika twierdziła, że działo się tak ze względu na dług honorowy, jaki winna była czarodziejowi za ocalenie jej życia podczas zarazy. Felix nie był tego taki pewien. Trudno mu było zdusić w sobie uczucie zazdrości wobec maga, nawet gdy, teoretycznie, sam nie stanowił już pary z Ulriką.

Powtarzał sobie, że najlepiej będzie ruszyć się z miejsca.

Śnieg skrzypiał pod jego butami. Szedł w stronę kociołka na węgiel drzewny, gdzie przekupień sprzedawał szczury nadziane na patyki. Chciał raczej skorzystać z ciepła, niż skosztować sprzedawanych przez tego człowieka czworonogich kurcząt.

Przekupień najwyraźniej czytał w jego myślach i posłał mu ciężkie spojrzenie. Felix wytrzymał wzrok mężczyzny, aż ten opuścił oczy i odwrócił głowę. Felix wiedział, że pomimo jego uczonego wyglądu niewielu ludzi w mieście znalazłoby dość odwagi, by stanąć mu na drodze. Podczas długiego czasu spędzonego w towarzystwie Zabójcy, nauczył się jak w konieczności zastraszać innych, tak że tylko najpewniejsi siebie nie lękali się jego spojrzenia.

Usłyszał odgłos łkania dobiegający ód strony wejścia do Alei Ladacznic, nad którym nadal płonąła

czerwona latarnia, nawet w ponurym świetle dnia. Ostrożniejsza część umysłu kazała mu iść dalej i unikać wszelkich kłopotów. Część ciekawa świata zachęcała go, by zbadał, co się dzieje. Bitwa w umyśle nie trwała dłużej niż kilka sekund i już po chwili maszerował do wylotu alei. Zobaczył starą kobietę zanoszącą się łkaniem. Pochylała się nad czymś, a potem wyprostowała plecy i wydała z siebie przeraźliwy jęk udręki. Nikt inny nie zwracał na nią żadnej uwagi. Tej zimy w Praag nie brakowało ludzkiej niedoli i wszyscy mieli dość powodów, by unikać dzielenia się nią z innymi.

– Co się stało, matko? – spytał Felix.

– Kogo nazywacie „matką”, kapłanku? – odpowiedziała stara kobieta. W jej głosie pojawił się gniew oraz żal. Potrzebowała kogoś, na kim mogła go rozładować, aby ulżyć sobie w cierpieniu. Felix zdał sobie sprawę, że właśnie stał się jej celem.

– Obraziłem was? – spytał nadal uprzejmym tonem, przyglądając się uważniej kobiecie. Zauważył, że nie była wcale stara. Tylko tak wyglądała. Jej twarz pokrył róż ukrywający ślady po ospie. Łzy okropnie rozmazały makijaż. Czarne strumyczki spływały po upudrowanych policzkach. Felix domyślił się, że to była ulicznica, jedna z tych kobiet, które sprzedają się za byle grosz. A potem zobaczył, co leżało u jej stóp i przebiegł go lekki dreszcz. – Czy ona była twoją przyjaciółką?

To były blade zwłoki innej dziewczyny. W pierwszej chwili wydawało mu się, że zmarła z zimna, a potem zauważył jak bardzo nienaturalnie wyglądała jej bladość. Zgiął się w pół i zauważył, że gardło zmarłej było sine. Jakiś instynkt kazał mu przesunąć po nim palcami. Ciało było rozerwane, jakby wgryzło się w nie jakieś zwierzę.

– Wy strażnik? – spytała agresywnie kobieta. Wyciągnęła rękę i schwyciła go za płaszcz zbliżając swoją twarz. – Wy tajna policja?

Felix potrząsnął głową i delikatnie odsunął jej dłoń. W tej podłej dzielnicy niedobrze było zostać posądzonym o przynależność do szpiegów księcia albo agentów-prowokatorów. Tłum zbierał się i linczował takich ludzi. Felix widział już takie rzeczy.

– No to jesteście upiór i nic wam nie muszę gadać.

Kobieta zakasłała i Felix usłyszał flegmę charkoczącą w jej płucach. Cokolwiek to było, miał nadzieję, że nie jest zaraźliwe. Był zziębnięty do szpiku kości, zmęczony i naprawdę nie w nastroju, by stać się ogniskiem gniewu tej chorej wariatki. Stał prosto i powiedział:

– Macie rację. To wasza sprawa i sami się nią zajmijcie!

Odwrócił się, aby odejść i zobaczył, że zebrało się niewielkie skupisko gawiedzi. Ku swojemu zaskoczeniu poczuł pociągnięcie za rękaw i obrócił się. Ulicznica patrzyła na niego i znowu zaczęła płakać.

– Gadałam jej, żeby z nim nie szła – powiedziała zakasławszy sucho. – Gadałam jej, gadałam Marii, ale ona nie słuchała. Powiadałam, że to zły człek, a ostatnio tak wiele mordów, ale ona nie słuchała. Trzeba mi pieniędzy na lekarstwo dla małego, gadała. A teraz, kto się nim zajmie?

Felix nie był pewien, o czym bełkocze ta kobiecina. Miał ochotę odejść stamtąd jak najszybciej. Widział w swoim życiu wiele martwych ciał, ale w tych zwłokach było coś, co wywoływało w nim mdłości. Nie był pewien dlaczego, ale po prostu wiedział, że nie chce mieć z tym nic do czynienia. A jednak...

A jednak nie potrafił po prostu odejść. Znaczenie słów kobiety dotarło do jego otępiełego umysłu, w chwili gdy usłyszał poruszenie za tłumem oraz odgłos maszerujących stóp, ugniatających śnieg na swej drodze. Odwrócił się i zobaczył drużynę halabardników noszących znaki skrzydlatego lwa, którzy przedzierali się przez gęstniejącą ciżbę. Widział surowe twarze weteranów straży miejskiej prowadzonych przez posiwiąłego sierżanta. Ten spojrział na Felixa i zapytał:

– Wy ją znaleźliście?

Felix potrząsnął głową.

– Tylko tędy przechodziłem – odparł.

– Więc przechodźcie dalej – powiedział sierżant. Felix ustąpił na bok. Nie chciał sprzeczać się z gwardzistami księcia. Sierżant nachylił się nad zwłokami i wycedził ciche przekleństwo.

– Cholera – rzucił. – Jeszcze jedna.

– Widzieliście już coś podobnego? – spytał Felix.

Sierżant spojrzał na niego. Wyraz jego twarzy wskazywał wymownie, że nie jest w nastroju, by udzielać odpowiedzi każdemu przechodniowi. Felix nie był pewien, dlaczego zadał to pytanie. To z pewnością nie była jego sprawa. Ale brzmienie głosu mężczyzny poruszyło go, a coś związanego z tym morderstwem dręczyło go w głębi umysłu. Zapewne i tak nie rozwiąże tej tajemnicy. Sam był w swoim czasie strażnikiem, jeszcze w Nuln, choć wydawało mu się, że od tego czasu minęło całe życie. Wiedział jednak, że strażnicy oszczędzą sobie zbyteńnego wysiłku związanego ze sprawą zamordowanej ulicznicy i tylko zaniosą ją na stopy pogrzebowe. Spoglądając na zwłoki kobiety, wreszcie zaczął dostrzegać ją jako osobę.

Zastanawiał się, kim była. Jak wyglądało jej życie? Dlaczego umarła? Kto ją zabił? Jej przyjaciółka powiedziała, że zabita miała dziecko. Czy je kochała? Zapewne, inaczej nie poszłaby z niebezpiecznym nieznajomym w zimową noc, prosto w objęcia śmierci.

Poczuł słaby, znajomy napływ gniewu wywołanego rażąca niesprawiedliwością takiego losu. Gdzieś tam znajdował się potwór na wolności, dziecko najpewniej umrze z głodu, a on niewiele mógł na to poradzić. Sięgnął do pasa i dotknął palcami sakiewki. Była cokolwiek pustawa, ale znalazł w niej złoto. Obrócił się tak, by ciałem zasłonić swoje ręce i wcisnął monetę w dłoń kobiety.

– Weź to, znajdź dziecko i zaopiekuj się nim. To powinno wystarczyć na pewien czas. Zabierz je do sierocińca w świątyni Shallyi. Zatrzymają się o nie, jeśli dasz im datek.

Głupi, głupi, głupi – myślał o sobie. Kobieta zapewne zatrzyma pieniądze dla siebie. Zostanie ograbiona, lub też dziecko już jest martwe. Ale cóż innego mógł uczynić? Był głupcem, wiedział o tym, ale przynajmniej coś zrobił, wykonał jakiś gest wobec wielkiego, nieczułego wszechświata.

– Tak samo, jak ta na Świątynnej dwie noce temu – usłyszał mruknięcie jednego z żołnierzy. Odwrócił się i zdążył zauważyć jak mężczyzna wykonuje znak wilczej głowy chroniący od zła. Wysunięte palce wskazujący i najmniejszy, dwa środkowe przyciśnięte kciukiem do wnętrza dłoni. A zatem strażnik był wyznawcą Ulryka, jak większość Kislevczyków.

– Zapewne kolejny maniak – powiedział sierżant.

– Albo demon – rzucił przesadnie żołnierz. Plotka głosiła, że nadal gdzieś pozostały niektóre z demonów wezwanych, gdy horda Chaosu zaatakowała miasto. Felix wiedział, że to mało prawdopodobne. Nasłuchał się wystarczająco dużo wykładów Maxa na ten temat, by wiedzieć, dlaczego tak być nie może. Po prostu na tym obszarze nie pozostało dosyć magicznej energii, by podtrzymać ich istnienie.

– To nie mógł być demon – powiedział.

– A wy jesteście znawcą w tych sprawach, jak widzę – odparł sierżant. Felix pomyślał o swojej długiej karierze towarzysza Zabójcy i o wszystkich nikczemnych stworach, z jakimi walczył, włącznie z wielkim krwiopijcą z Karag Dum.

– Bardziej niż to się wam wydaje – mruknął.

– Co takiego? – gwałtownie zapytał sierżant. Felix zatrzęsął ustami. Przyznawanie się do wiedzy o demonach było w tym mieście pewnym sposobem, by zapewnić sobie zaproszenie do celi spowiedniczej łowcy czarownic. Jeszcze nie był gotów na łamanie kołem i żelazne trzewiki.

– Nic – odpowiedział. Sierżant patrzył teraz na niego jakby naprawdę szukał zaczepki. Felix nie



dziwił się temu. Widok martwego ciała był bardzo niepokojący, wywoływał zarówno strach jak i gniew, a mężczyzna szukał kogoś, na kim mógłby dać upust tym uczuciom. Nagle z pomocą przyszła ulicznica.

– On ma rację. To nie był demon. To był człek – powiedziała. – Widziałam go.

– Demony potrafią przybierać ludzkie kształty – odezwał się ponury żołnierz. Najwyraźniej nie chciał poddawać swojej teorii bez walki.

– To był człek – powiedziała. – Bogaty. Szlachciura. Gadał z obcą wymową, jak ten tu nieznajomy.

Sierżant zmierzył Felixa jeszcze twardszym, taksującym spojrzeniem. Felix domyślał się, o czym myśli strażnik.

– To nie on – szybko powiedziała dziewczka.

– Pewnaś, Nella? Widziałem, jak ci wcisnął monetę. Dość podejrzane, jak dla mnie.

– To nie on – odrzekła z jeszcze większym naciskiem. Ona także zorientowała się, na jak głębokie wody wpływali. – Był wyższy, chudszy, ciemniejszy. I było w nim coś, że aż mną trzęsło.

– W tym tutaj też jest coś, co mną trzęsie – powiedział sierżant. Jego dowcip wywołał parsknięcia śmiechu u wszystkich żołnierzy, za wyjątkiem ponurego wojaka, który powtórzył:

– Demony wywołują dreszcze na skórze. To na pewno był demon.

– To nie wygląda na robotę człowieka. Spójrzcie na jej gardło. Raczej, jakby zrobił to pies. Nigdy nie widziałem, by ludzie zabijali kogoś w ten sposób.

– Ja widziałem – powiedział sierżant. – Pamiętacie Szalonego Olafa? W swoim czasie przegryzł się przez kilka karczemnych dziewczek.

– Olaf jest w domu wariatów – powiedział żołnierz głoszący teorię o demonie.

– Kto wie? – odparł sierżant. – Dom wariatów spłonął podczas oblężenia. Kto wie, czy spłonęli z nim wszyscy pomyłenci?

– Czy opis podany przez tę dziewczynę pasuje do Szalonego Olafa? – spytał Felix, rad odwrócić od siebie podejrzania.

– Ani trochę. Szalony Olaf był niski, łysy i pracował na Ulicy Barwiarzy. Smród mógł cię położyć z sześciu kroków. Jestem pewien, że Nella by to zauważyła, prawda, Nella? O ile nie wymyślasz tego tylko po to, byśmy zapomnieli o tym tu chłopaczku.

– Nic podobnego do Szalonego Olafa – potrząsnęła głową. – Chociaż woniał jakoś dziwno...

– Dziwno? Jak? – jednocześnie spytali Felix i sierżant.

– Czuć było od niego perfumę, jak od szlachciurów, ale silniej. Jak te korzenie, które kupuje się na Pieprznym Rynku. Jak cyna... cynabor... cina...

– Jak cynamon? – dokończył za nią Felix.

– O, właśnie to.

– A zatem szukamy człeka wysokiego, ciemnego, ubranego jak szlachcic i pachnącego cynamonem – podsumował z sarkazmem sierżant. Było jasne, że teraz Felix marnuje tylko jego czas. Spojrzał na Felixa jakby zastanawiając się, czy mimo to go nie aresztować.

– Gdzie byłeś zeszłej nocy, nieznajomy? – spytał.

Felix z radością odpowiedział.

– W pałacu. Może przy okazji wizyty zechcecie zadać kilka pytań księciu?

Sierżant spojrział na niego z nieco większym, ale tylko odrobinę, szacunkiem. Felix domyślał się, że żołnierz nie jest pewien, czy się z niego kpi. W końcu, czy możliwe było, że ktoś tak obskurnie ubrany jak Felix mógłby jadać z władcą drugiego co do wielkości miasta-państwa Kisleva?

– Może zechcecie pójść ze mną do pałacu i przekonać się, czy jest prawdą, to co mówię? – spytał

Felix. Był pewien, że na miejscu sprawy pójdą po jego myśli. On i Gotrek otrzymali przyjęcie godne bohaterów, razem ze Snorrim Gryzonosem. Doceniono ich heroiczną postawę na zewnętrznych murach i pokonanie Areka Pazura Demona. Prawdę mówiąc, Felix sądził, że został powitany tak godnie tylko ze względu na swoje powiązania z krasnoludami. Ostatecznie, jak dotąd okazali się najlepszymi i jedynymi sprzymierzeńcami Kislevczyków. Ich statek powietrzny uczynił równie wiele dla przerwania oblężenia, co całe zgromadzenie Gospodarów.

– To nie będzie konieczne – odezwał się sierżant po długiej chwili. – Dalej, zabrać to ciało na stosy.

Felix i Nella wymienili spojrzenia i ruszyli – każde w swoją stronę.

Max Schreiber rozglądał się po wielkiej izbie jadalnej zastanawiając się, czy świętowanie kiedykolwiek się skończy. Kislevczycy najwyraźniej lubili upamiętniać swoje zwycięstwa za pomocą wystawnych uczt i niezliczonych toastów. Miał wrażenie, że ledwo poszedł spać, gdy ponownie został obudzony na kolejne wznowienie wielkiego obżarstwa. Jego rozdęty żołądek był bliski pęknięcia. Na szczęście czarodziej postanowił nie pić nic poza wodą, pamiętając kłopotliwy incydent z Ulriką w Karag Dum. Dzięki temu miał okazję do obserwacji Kislevczyków siedzących wokół niego. Minęło wiele czasu od kiedy przebywał w równie szacownym towarzystwie.

U szczytu stołu, na honorowym miejscu zwykle zarezerwowanym dla samego księcia Praag, siedziała Królowa Lodu Katarina, caryca Kisleva, zimna i skończenie piękna kobieta o oczach niczym odłamki błękitnego lodu. Dziś jej włosy miały barwę zimowego zamrozu. Max wiedział, że potrafiła na życzenie zmieniać ich kolor. Emanowała nieprzemijającym, posągowym pięknem, doskonałością rysów twarzy i kształtów, które miały w sobie coś nieludzkiego. Po dwóch dniach jedzenia i picia nie przejawiała żadnych oznak zmęczenia. Spoglądając na nią, Max z łatwością dawał wiarę opowieściom o nieludzkiej krwi, która podobno płynęła w żyłach królewskiego rodu Kisleva.

Cokolwiek zapewniało jej to piękno, otaczało ją także niepokojącą aurą magicznej mocy. Sam będąc czarodziejem o znacznej sile, potrafił rozpoznać wielkich magów, a caryca z pewnością do nich należała. To jednak nie do końca się zgadzało. W jej mocy było także coś dziwnego i nie całkiem ludzkiego. Nie przypominała żadnego z ludzkich czarodziejów, których do tej pory spotkał, a gdy przyglądał się jej swoim magicznym wzrokiem, zauważał otaczające ją zawirowania mocy, również nie wyglądające jak u ludzkich magów. Spowijała ją mroźna, lodowato błękitna aura, która zdawała się rozciągać poza zasięg wzroku. Wzory magicznej energii skręcały się wokół niej jak płatki śniegu podczas zamieci. Wydawało się, że jest połączona bezpośrednio z zimną energią swojego kraju. Max wątpił, by w magii, którą mogła władać było cokolwiek subtelnego, ale wiedział, że byłaby równie skuteczna, jak uderzający taran.

Najwyraźniej zdawała sobie sprawę z ciekawości Maxa i badawczo skierowała na niego zimne spojrzenie. Max słyszał plotki o władczyni, a także o jej legionie kochanków i nie miał wielkiej ochoty sprawdzić, czy były prawdziwe. Szybko odwrócił wzrok. Na ustach carycy zaigrał lekko ironiczny uśmiech, jakby czytała w jego myślach. Max pociągnął za brodę, aby ukryć rumieniec, jaki wystąpił na jego policzki. Nie potrafił przywyknąć do bezpośredniości kislevskich kobiet. Nie przypominały dam z jego ojczyzny – Imperium.

Jego oczy podążyły w poszukiwaniu Ulriki. Siedziała po przeciwnej stronie stołu, obok swojego ojca, wielkiego, starego bojara kresowego, Ivana Petrovicha Straghova. Spoglądając na tych dwoje, Max zastanawiał się, jak to możliwe, że ten masywny człek o posturze niedźwiedzia mógł być ojcem tak wiotkiej i pięknej kobiety. Ivan Straghov był olbrzymem, szerokim w barach i o równie wielkim

brzuchu. Długa broda, przypominająca krasnoludzkie, opadała mu do bioder. Pot lśnił na jego łysym czole. W potężnej pięści ścisnął kufel piwa. W ciężkiej dłoni przypominającej polec szynki naczynie wyglądało na niewiele większe od delikatnego kielicha na wino.

Jego córka była, dla kontrastu, szczupła jak ostrze noża, miała wysokie kości policzkowe i szeroko rozstawione oczy. Jej popielate włosy były po męsku krótko obcięte, a ona sama poruszała się jak tancerka. Ubierała się w koszulę i bryczesy, jak przystało córce jednego z konnych lordów Kisleva. Śmiała się i żartowała ze swoim ojcem, tak jak zwykły żołnierz, a jej dowcipy nagradzały głośne wybuchy śmiechu, od których brzuch starego mężczyzny trząsł się niczym galareta.

Obok Maxa siedział książę, wysoki, ponury człowiek o długich wąsach spływających na zapadłe policzki. Pochylał się, by nalać jeszcze trochę wina dla carycy. W oku księcia nie gasł osobliwy błysk, a Max przypominał sobie plotki mówiące o tym, że Enrik nie był całkiem przy zdrowych zmysłach. Nic dziwnego – władcę nawiedzonym miastem Praag z pewnością mogło doprowadzić do kresu wytrzymałości umysłowej nawet najbardziej rozsądnego człowieka. Od czasu śmierci jego brata z rąk czczących Chaos skrytobójców, wydawał się jeszcze smutniejszy i bardziej ironiczny niż zwykle. Max zastanawiał się, czy książę słyszał o teorii Felixa Jaegera, według której jego brat sam był członkiem kultu Chaosu. Zapewne nigdy się tego nie dowie. Któż mógłby ryzykować zadanie tak osobistego pytania równie wysoko urodzonemu szlachcicowi? Z pewnością nie Max.

Rozejrzył się i popatrzył na innych. To był wysoki stół, przy którym caryca, książę i kilkoro wybranych zasiadało, by dać się bawić ulubieńcom dworu. Przy innych stołach siedzieli przywódcy wielkiego zgromadzenia wojennego Kisleva. Wodzowie dziesiątek, pięćdziesiątek i setek konnych, wszyscy groźni wojownicy. Maxowi przypominali raczej barbarzyńców niż szlachciców, ale zatrzymał te myśli dla siebie. Ci ludzie byli sojusznikami jego ojczyzny, Imperium, a także wysoko urodzonymi na swej własnej ziemi.

Nie warto było zrażać do siebie takich ludzi w żadnych okolicznościach. Max spędził wystarczająco wiele czasu na dworach bogatych i potężnych władców, aby wiedzieć to aż za dobrze. Na końcu głównego stołu zasiadał krasnolud Malakai Makaisson. Wyglądał na umęczonego, jak człowiek oczekujący na własną egzekucję. Był to jedyny Zabójca, który raczył przyjąć książęce zaproszenie na dzisiejszą biesiadę.

Makaisson był niski i, podobnie jak wszystkie krasnoludy, bardzo gruby. Nie licząc wielkiego grzebienia farbowanych włosów wznoszącego się nad wygoloną czaszką, jego głowa sięgała niewiele powyżej brzucha Maxa, ale krasnolud znacznie przewyższał go swoją wagą, a większość tej masy stanowiły mięśnie. Krystaliczne gogle, ściągnięte z oczu, tkwiły pośrodku jego czoła, wyglądając do złudzenia jak oczy jakiegoś olbrzymiego owada. Skórzany hełm pilota zwisał na szyi krasnoluda. Lotnicza, skórzana kurtka zakończona futrzanym kołnierzem okrywała masywny korpus. Grzbiet jego dłoni pokrywały tatuaże przedstawiające splątane smoki.

Krasnolud zauważył przyglądającego mu się Maxa i posłał mu szczerbaty uśmiech, po czym wznosił swój kufel *ale*. Max odpowiedział uśmiechem, ponieważ lubił Makaissona, który był niezwykle przyjacielski i towarzyski, jak na krasnoludzkiego Zabójcę. Był także geniuszem w swojej dziedzinie.

Max był czarodziejem, a nie inżynierem, ale oglądał wystarczająco wiele dzieł Malakaia Makaissona, by przekonać się, że krasnolud opanował do mistrzostwa sztuk, którym na swój sposób dorównywał czarodziejstwu. Widział potężny statek powietrzny, „Ducha Grungniego”, który przerwał oblężenie Praag za pomocą alchemicznego ognia. Widział, jak odpiera atak smoka i rozprasza armię orków. Obserwował, jak zmodyfikowane przez Zabójcę działa ogniowe w ciągu kilku sekund urządzają rzeź tuzinom goblinów. Słyszał opowieści o wielkich okrętach i machinach

obleźniczych stworzonych przez tego krasnoluda i przyznawał, że ten intelekt, wielki na swój pokrętny sposób, dorównuje wszelkim dziełom stworzonym przez Uniwersytety i Kolegia Magii w Imperium. Max podejrzewał, że być może nawet je przewyższał.

– Szkoda, że żaden z twoich towarzyszy nie zawita tu dzisiaj – rzekł z ironią w głosie książę, kierując swe słowa do Malakaia Makaissona. – Wydają się nieczuli na zalety ucztowania z carycą.

Zabójca nie okazał zawstydzenia.

– To ich ynteres, wasza ksiomżemcość – odpowiedział. – Nie mogem odpowiadać za nich. Gotrek Gurnisson i Snorri Gryzonos som najbardziej upartom parom krasnoludów, jakie kiedykolwiek żyli.

– A to mówi wiele – powiedziała cicho Królowa Lodu. Faworyci zgromadzeni wokół stołu zaśmiali się.

– Między krasnoludamy to byłby wielki komplement – powiedział poważnie Malakai Makaisson, jakby nie dostrzegał ironii.

Max pomyślał, że może krasnolud jest zbyt tępy, by to zauważyć, a może wolał dyplomatycznie zignorować przytyk. Uznał drugą możliwość za nieprawdopodobną, ale nigdy nic nie wiadomo. Nikt nie mógł nazwać Malakaia Makaissona głupcem, najwyżej szaleńcem.

– Obecni czy nie – odezwał się Ivan Straghov – dobrze się spisali podczas ostatniej bitwy.

– Oddali wielkie usługi dla Kisleva i zostaną za to nagrodzeni – powiedziała caryca. Malakai Makaisson parsknął w swoje *ale*. Max nie był pewien, czy nie powinien wytłumaczyć Królowej Lodu tej niezręcznej sytuacji. Gotrek i Snorri nie szukali nagród ani honorów; poszukiwali śmierci, aby odpokutować za swoje grzechy. Stwierdził jednak, że zapewne nie jest to dobre miejsce, by dzielić się tą wiedzą. Ostatecznie caryca wydawała się być niezwykle dobrze poinformowaną kobietą. Zapewne o tym wiedziała.

– Będzie nam potrzeba wielu takich wojowników zanim ta wojna dobiegnie końca – ciągnęła Królowa Lodu. Max zadrżał. To prawda, trwała wojna. Bardzo możliwe, że największa w historii. Przed oblężeniem nie miał dość czasu, by w pełni w to uwierzyć, przejmował się tylko nadchodzącą bitwą, której nie sposób było wygrać. Teraz wiedział, że cały Stary Świat pogrążony jest w wielkiej zawierusze wojennej. Zapewniał to potężny napływ wyznawców Chaosu z północy.

Królowa Lodu jeszcze raz skierowała spojrzenie ku Malakaiowi Makaissonowi i szybko stało się jasne, dlaczego został zaproszony na tę biesiadę.

– Czy przemyśleliście naszą propozycję, *Herr* Makaisson?

Malakai pociągnął następny łyk piwa i zmierzył się z jej spojrzeniem.

– Jeżeli coś mogem zrobić, to to zrobieni, panienko. Ale mój statek latajomecy i moje usługi zostały już wezwane. Muszem polecić spowrotem do Karak Kadrin i pomóc Królowi Zabójców zebrać jego oddziały.

– Z pewnością możecie nam poświęcić kilka dni, *Herr* Makaisson, najwyżej tydzień – powiedziała caryca. Ton jej głosu był jedwabisty, ale Max słyszał w nim nutę groźby. Ciekaw był co zrobi, jeśli Malakai Makaisson okaże się dość bezczelny, by jej z miejsca odmówić. Nie wyglądała na kobietę, która przywykła do przyjmowania odmowy. – Wasz statek powietrzny wart jest całej armii zwiadowców. W ciągu kilku dni możecie przepatrzyć więcej terenu niż dziesięć tysięcy moich śmiałych jeźdźców zdołałoby objechać przez miesiąc.

– *Aye*, mocie racjem – odpowiedział Malakai. – Mógłbym to zrobić. I widzem, jak cenne byłoby takie przepatrywanie. Kto tam wi, gdzie teraz uderzom te miłujące Chaos kurwie syny, wybaczcie mój jenzyk.

– A zatem, zrobicie to? – powiedziała Królowa Lodu orzekającym głosem.

Malakai Makaisson głośno syknął przez zęby.

– Zrobiem, co siem da, ale czeba rozważyć insze sprawy. . A jeśli mój kochany statek latajomyce zostanie zeszczelony, albo stromcony z nieba przez magiem, albo zaatakowany przez tamte skrzydlate cholery, które zawsze unoszom siem nad czcicielami demonów? To siem nikomu na nic nie przyda, jeśli tak siem by stało. No i „Duch Grungniego” nie należy do mnie, ja jezdem tylko jego budowniczym. Naprawdę nie mogem ryzykować.

Max był już bliski wtrącenia się. Osobiście nałożył na „Ducha Grungniego” zaklęcia chroniące przed Chaosem i wiedział, jak bardzo są silne. Niewielu magów byłoby w stanie szybko je rozproszyć. Był też pewien, że opancerzony statek powietrzny jest w stanie odeprzeć wszystko, cokolwiek by go zaatakowało. Jeśli zaś chodzi o podejmowanie ryzyka na statku powietrznym, inżynier Zabójca wielokrotnie wyczyniał z nim szalone rzeczy, o czym Max wiedział co nieco. Zmusił się do trzymania języka za zębami, wiedząc że Malakai musi być w pełni świadom tych spraw, a jeśli chciał odmawiać Królowej Lodu, zapewne miał ku temu ważny powód.

Królowa Lodu posłała krasnoludowi kolejne ze swoich niebezpiecznych spojrzeń. Większość ludzi ulękłaby się, ale Malakai tylko pociągnął następny łyk piwa.

– Oczywiście, moglibyśmy wynagrodzić wam wszelkie poniesione ryzyko... – powiedziała łagodnie.

Max niemal spodziewał się, że Malakai Makaisson zaprotestuje mówiąc, że jest Zabójcą, a ryzyko nie ma żadnego znaczenia. Makaisson zaskoczył go.

– Może da siem coś z tym zrobić. Zależy od waszych warunków.

Gdy to zostało powiedziane, Malakai Makaisson i Królowa Lodu rozpoczęli targowanie się. Max nie wiedział, czy taki obrót wydarzeń powinien go dziwić. Ostatecznie Malakai Makaisson był krasnoludem, należał do rasy słynącej ze swojego umiłowania do złota.

A jednak, pomyślał Max, takie bezustanne przedkładanie własnych interesów w rozmowach z przysłymi sojusznikami nie wróżyło dobrze przebiegowi wojny.

Felix Jaeger był zaskoczony. Gospoda „Pod Białym Dzikim” nadal stała na swoim miejscu. No cóż – prawie. Część dachu spłonęła i została pośpiesznie załatana deskami wygrzebanymi z ruin pobliskich domostw. Wejście zakrywała płachta, a dwóch uzbrojonych najemników stało na warcie po obu stronach, obserwując uważnie wszystkich przechodzących ulicą. Felix rozprostował ramiona i ruszył naprzód starając się zachowywać tak, jakby nie czuł na sobie podejrzliwych spojrzeń.

Zdziwił go panujący w środku tłok. Wyglądało na to, że połowa sprzedajnych mieczy z miasta usiłowała wcisnąć się do wewnątrz w ucieczce przed zimmem. Felix spodziewał się, że nawet gdyby nie wielki ogień płonący na palenisku, to miejsce ogrzewałyby same ściśnięte ciała. Usłyszał wołanie dwóch znajomych głosów i podążył w stronę ławy, na której para krasnoludzkich Zabójców siłowała się na ręce.

Gotrek Gurnisson nie wyglądał tak źle, jak wskazywałyby na to okropne obrażenia, jakie odniósł podczas oblężenia. Uzdrowiciele ze świątyni Shallyi wykonali dobrą robotę łątając jego rany. Teraz, w jego zdrowym oku, lśniła iskra szalonej koncentracji. Żyły na czole nabrzmiały, a ogromny grzebień farbowanych na pomarańczowo włosów stał nastroszony. Pot perlił się na wytatuowanej czaszce i spływał po czole prosto do zniszczonego oczodołu okrytego obszerną przepaską. Potężne ścięgna, przypominające liny, napinały się na wielkich ramionach krasnoluda mocującego się z innym, jeszcze masywniejszym krasnoludem.

Snorri Gryzonos wyglądał na głupszego niż zwykle. Krasnolud oblizywał kretyńsko usta, koncentrując się na walce. Wyglądało na to, że zapasy na rękę były jednym z najbardziej rozwijających umysłowo przedsięwzięć, w jakich kiedykolwiek brał udział. Trzy pomalowane

gwoździe wbite w ogoloną czaszkę stanowiły świadectwo jego czystej, brutalnej głupoty. Był niemal tak brzydki jak Bjorni Bjornisson za życia. Jedno ucho zostało oderwane, drugie przypominało wielki kalafior. Nos był złamany tak wiele razy, że wydawał się rozpływać po całej twarzy niczym wosk ze stopionej świecy. Jego ramiona były grubsze niż uda dobrze zbudowanego człowieka. Napinały się i naprężyły z wysiłku, próbując pokonać uścisk Gotreka. Powoli, nieubłaganie, niesamowita siła jednookiego Zabójcy zaczęła przeważać. Snorri zaklął, gdy jego dłoń rąbnęła o blat ławy rozlewając trochę piwa.

– To kolejny z tych szczynowatych człecznych browarów, jakie mi postawisz, Snorri Gryzonosie – stwierdził Gotrek. Jego chropowaty głos zabrzmiał z jeszcze większą pogardą niż zazwyczaj.

– Snorri myśli, że powinniśmy zagrać do dwudziestu siedmiu – powiedział Snorri.

– I tak przegrasz – odpowiedział Gotrek z pewnością siebie.

– Może Snorri by cię zaskoczył, Gotreku Gurnissonie – zarzekął się Snorri.

– Jak dotąd to ci się nie udało.

– Wszystko ma swój pierwszy raz – rzekł Snorri Gryzonos, nieco rozdrażniony, jak wydawało się Felixowi.

– Co poczynalesz, człeczyno? – spytał Gotrek. – Wyglądasz, jak blada śmierć.

Felix szybko opowiedział o martwej dziewczynie i jego ucieczce z rąk strażników. Gotrek słuchał z tym nierozumnym zainteresowaniem, które nie wróżyło nic dobrego. Nawet Snorri łowił każde słowo. Skończywszy opowieść, Felix powiedział:

– Nie wydajecie się tym zbyt zaskoczeni.

– Słyszałem kilka wersji tej historii w ciągu ostatnich dni. Zdaje się, że na wolności szaleje morderca. Taki, którego trzeba będzie uciszyć.

– Uważasz, że to należy do ciebie? – spytał zaniepokojony Felix. Gdy w umyśle Zabójcy pojawiały się takie pomysły, zazwyczaj kończył razem z nim w jakimś ciemnym i paskudnym miejscu. Gotrek wzruszył ramionami.

– Jeśli wpadnę na kurwiego syna, człeczyno, załatwię go z radością, ale jeszcze nie zamierzam ruszać za nim.

– Jeszcze nie? To dobrze.

– Snorri zastanawia się, czy to naprawdę może być demon – powiedział Snorri. – Ten strażnik wydał się Snorriemu całkiem rozsądny.

Gotrek potrząsnął głową.

– Gdyby to był demon, każdy czarodziej w mieście wykrzykiwałby zaklęcia, a każdy kapłan miotał egzorcyzmy ze świątynnych dachów.

– A zatem, co to może być? – spytał Felix.

– Wiem tyle co ty, człeczyno – odrzekł Gotrek i pociągnął *ale*. – Jedno jest pewne. To nic dobrego.

Gospoda „Pod Łukiem i Bardem” mogła być najświetniejszą w Praag, pomyślał Adolphus Krieger rozglądając się wokół, ale to niewiele znaczyło. Widział lepsze gospody w dowolnym małym miasteczku Imperium. Wiedział, że powinien pozostać w dworku Osrika, ale dziwny brak spokoju, który ostatnio go ogarniał, ponownie wyciągnął Kriegera w noc. Gdy dopadał go ten nastrój, nie mógł znieść nawet widoku swojego lojalnego sługi, Roche’a.

Zaciągnął wokół siebie płaszcz i przyjrzał się badawczo zgromadzonym w karczmie. Czuł zapach każdej osoby, słyszał bicie każdego serca, był świadom szumu szkarłatu płynącego w każdej żyłę. Tak wielu ludzi, tak wiele krwi. Czuł się jak smakosz obserwujący tileański bankiet.

Zastanawiał się, od kogo zacząć? Może od tej młodej szlachcianki siedzącej tam, ze swoim kochankiem? Była na swój sposób piękna, ale znajdował w niej coś odpychającego. Z zasady Adolphus nie dbał o kislevskie kobiety, z ich prostymi chłopskimi rysami twarzy i niewysokimi, muskularnymi ciałami. Nie, nie ona.

Karczemna dziewczka posłała mu szeroki uśmiech i zaproponowała, że przyniesie jeszcze trochę wina. Ciekaw był, czy jest to reakcja na wygląd jego przystojnej twarzy, czy też na bogaty strój, jaki miał na sobie. Dziewczyna wyczuwała pieniądze, zarówno w formie napiwków, jak i zapłaty za usługi po godzinach. Adolphus potrząsnął głową i uśmiechnął się do niej uprzejmie. Dopiero co ukradkowo wylał na podłogę połowę zawartości swojego kielicha. Minęło sporo czasu od kiedy Adolphus pił wino. Dziewka oddaliła się zmysłowo kołyszając biodrami. Niegdyś, dawno temu, mogłaby go zainteresować, ale teraz nie przyciągała jego uwagi nawet jako żer.

Adolphus pochylił głowę i zaczął rysować wzory na blacie stołu za pomocą końca palca umoczonego w rozlanym winie. Był w dziwnym nastroju i nie przeżyłby tak długo, gdyby nie nauczył się rozpoznawać zagrożeń, jakie niósł podobny stan. Stawał się ofiarą wszelkiego rodzaju dziwacznych impulsów i zastanawiał się, do czego to może doprowadzić.

Na przykład, zeszłej nocy wysączył do sucha tę dziewczkę, chociaż zamierzał tylko pociągnąć łyk. Nie musiał tego robić. Jej krew była mdła, rozrzedzona i ani trochę nie interesująca. Ona sama była zwykłą krową, ledwo wartą jego czasu. Dlaczego to zrobił? Dlaczego wpił się tak głęboko, że umarła i dlaczego rozerwał jej gardło zębami w żalosnej próbie zatarcia śladów?

Trudno to było zrozumieć. Ogarnęło go delirium, jakiego nie doświadczył od stuleci. Wysał krew dziewczyny niczym szczenię podczas pierwszej nocy po swoim przebudzeniu. Uczynił to samo noc wcześniej i podczas poprzedniej także. Rozpamiętując swoje gorączkowe działania, wydawały mu się one nierzeczywiste. Jakby opanowywało go jakieś szaleństwo i owo szaleństwo stawało się coraz silniejsze.

Adolphus zawsze pogardzał Przebudzonymi, którzy zabijali jak popadnie. To było prostackie, grubiańskie i wielce nieproduktywne. Taka droga prowadziła do łowców czarownic i śmiertelnych czarodziejów oraz kapłanów z ich zabójczymi zaklęciami, przynajmniej dopóki Adolphus nie wypełni pradawnego proroctwa Nosferatusa. Sam Adolphus mógł zmierzyć się z każdym śmiertelnikiem, a nawet z ich dziesiątką, ale było pozostawało liczne i miało potężnych sprzymierzeńców oraz władało magią.

Nie tak, jak za dawnych czasów, o których Przodkowie mówili z takim rozrzewnieniem. Ludzkość znacznie wzrosła w siłę od czasu, gdy byli odzianymi w skóry barbarzyńcami, na których polowało się po lasach.

Oczywiście – to się zmieni. Ludzka cywilizacja już wcześniej osuwała się w anarchię. Adolphus pamiętał Wiek Trzech Cesarzy i wysiłki von Carsteina zmierzające do odnowienia przewagi Przebudzonych. To była śmiała próba, ale skazana na niepowodzenie. Von Carsteinowi zabrakło sił i sprytu nawet, by wygrać własną wojnę. Adolphus widział, że kiedy nadejdzie jego czas, wszystko potoczy się inaczej. Był wybrańcem. Był Księciem Nocy. Oko i Tron będą należeć do niego!

Gdyby tylko ten stary głupiec oddał mu talizman, niepotrzebne byłyby wszelkie nieprzyjemności. Adolphus zdusił w sobie pragnienie, by po prostu pójść do dworku i go zabrać; takie działanie byłoby zbyt hałaśliwe, za mało subtelne i zbyt wcześnie zauważone w pewnych dzielnicach. Hrabina i pozostali z jej żalosnego rodzaju nie powinni przed czasem odkryć jego zamierzeń. Nie, powtarzał sobie, najlepiej będzie poczekać.

Skupił swoją uwagę na szlachciance. Stwierdził, że naprawdę nie była taka zła. Z pewnością, najlepsza wśród zgromadzonej dziś hałasty. Zauważył, że wyczuła jego spojrzenie i zerknęła na

niego kątem oka. Nie myśląc, Adolphus wyteżył swoją wolę. Kobieta zamarła i wpatrzyła się w niego, jakby widząc go po raz pierwszy. Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała uśmiechem. Spojrzał ponownie na stół i uwolnił ją. To na razie wystarczyło. Połączenie zostało nawiązane. Wyłowi ją później, w odpowiednim czasie, może nie tego wieczora, ale jakiejś innej nocy, gdy dopadnie go pragnienie. Dostrzegł, że jej towarzysz, sądząc po ubiorze – młody arystokrata – patrzy na niego, później na nią. Najwyraźniej nie uszła jego uwadze wymiana spojrzeń między nimi i zapewne był zazdrosny. Pochylił się naprzód i wyszeptał coś gniewnie do ucha kobiety. Ta potrząsnęła głową, jakby czemuś zaprzeczała. Gdyby tylko chciał, Adolphus mógłby przysłuchać się ich rozmowie, po prostu skupiając na tym swoją wolę. Podobnie jak u wszystkich Przebudzonych, jego zmysły były fantastycznie czułe. Adolphus pomyślał, że bydlę zawsze jest tak bardzo przewidywalne.

Odepchnął od siebie myśli o śmiertelnikach. Byli nieistotni. Jego niepokój wzbudzał brak kontroli nad samym sobą. Nie mógł sobie na to pozwolić. Nie teraz, gdy wypełnienie wszystkich jego planów było tak blisko. Nie, gdy wszystko, nad czym pracował tak ciężko, znajdowało się prawie w jego zasięgu. Potrzebował całego swojego rozumu. Musiał być w pełni przewidujący i przenikliwy. Musiał trzymać swoje plany w sekrecie, dopóki będzie za późno, by powstrzymała go reszta Przebudzonych, albo ktokolwiek inny. Niestety, pogrążał się w krwawej hulance, zabijając i wypijając kogo popadnie. Zostawiał ślad, po którym dobry łowca mógłby podążyć z łatwością leśnika tropiącego mastodonta. Po prostu nie mógł tego zrozumieć. Coś podobnego nie zdarzyło mu się od czasu, kiedy jego pierwsza pani obdarowała go czerwonym pocałunkiem, długie stulecia temu. Co się z nim działo? I dlaczego teraz?

Słyszał już o takich rzeczach. Przebudzeni byli czasami podatni na dziwne szaleństwo, które przenikało do ich krwi, aby doprowadzić do szalonych mordów. Potem bywali równie często ścigani przez swój własny rodzaj, jak i przez bydlę. Nikt z Przebudzonych nie starał się specjalnie podburzać bydła do granicy szału. Adolphus wiedział, że jeśli nadal będzie się tak zachowywał, pozostanie kwestią czasu, zanim ktoś z rady zacznie go szukać, a na to nie mógł sobie pozwolić, przynajmniej dopóki talizman nie znajdzie się w jego rękach. Gdy to osiągnie, a artefakt zestroi się z nim, będą mogli posyłać kogokolwiek zechcą. Ale do tego czasu zdecydowanie musiał wziąć się w garść, jeśli nie chce skończyć w kołkiem w sercu i czaszką wypchaną wiedźmim korzeniem ku przestrodze dla innych.

Zdawał sobie sprawę, tak jak ze wszystkiego, co działo się w izbie, że młody kochaś wstał i podszedł do grupy swoich bogato odzianych przyjaciół, którzy stali przy barze. Wskazywał w stronę Adolphusa, agresywnie gestykulując.

Nie teraz, ty młody idioto – pomyślał Adolphus. Nie potrzebował tego.

Grupa młodzieńców zaczęła wolno zbliżać się do jego stołu z dłońmi wspartymi na rękojeściach mieczy. Adolphus widział w małych miasteczkach linczowników podchodzących do domów swoich ofiar takim właśnie krokiem. Przyglądał się im mając nieśmiałą nadzieję, że go ominą. Wiedział jednak, że to mało prawdopodobne. Teraz żałował, że nie zabrał ze sobą Roche'a. Jego zwalisty pomagier zawsze doskonale odwracał uwagę w podobnych sytuacjach.

– A więc to wy widujecie się z Analise – odezwał się głos w pobliżu. Akcent zdradzał kupca z majątnej klasy Praag. Ton głosu był zarówno arogancki, jak obłudny i rozdrażniony. Adolphus stwierdził, że ma do czynienia z młodym zazdrośnikiem, który gotów jest popełnić największy błąd swojego krótkiego życia. Nie odpowiedział, ale wpatrywał się uważnie w zawartość swojego kielicha. Na stół opadła dłoń i wywróciła jego puchar.

– Wy, *sir*, do was mówię. Nie ignorujcie mnie.



Adolphus uniósł wzrok i przyjrzał mu się dokładnie. Był to wymuskany młody głupiec, odziany zgodnie z najnowszą modą w długi płaszcz, jasne pantalone i kapelusz o szerokim rondzie, zakończony piórem. Miał szczupłą twarz, białe, ostre zęby i dzikie spojrzenie. Makijaż pokrywał kilka śladów po ospie na jego wcale przystojnej twarzy.

– Bardzo mi to utrudniacie, *sir* – powiedział Adolphus, patrząc w górę. Czuł zapach alkoholu w oddechu młodego mężczyzny. Wpatrzył się w jego oczy i próbował nawiązać kontakt, ale młodzieniec był pogrążony w zbyt głębokim, pijackim i zazdrośnym gniewie, by do niego dotrzeć. Jego strata, pomyślał Adolphus, czując wzbierający w swoim zamartwionym sercu szal. Zerknął na przyjaciół młodego. Wszyscy wydawali mu się wybici spod jednej sztancy: byli młodzi, pijani i absolutnie pewni, że mogą zrobić cokolwiek zechcą z tym tutaj nieznanym i ujdzie im to na sucho. W normalnych okolicznościach zapewne tak by było. To jednak nie były normalne okoliczności.

– Chcę, żebyś teraz wstał i wyszedł oraz nigdy nie chcę tu widzieć twojego paskudnego oblicza.

Adolphus wzruszył ramionami. W normalnych okolicznościach zapewne uczyniłby czego żądały te gbury. Nie chciał żadnych kłopotów, jeśli mógł ich uniknąć, nie teraz. Ale gdzieś w głębi jego umysłu poruszył się niespokojnie zaczajony demon – coś, co sprawiło, że wysączył te kobiety do cna. Czuł wzbierającą w sobie irytację. Coś podszeptowało mu, jak powinien się zachować. Kim były te durnie, by nim pomiatać? Zwykłym byłem, insektami ledwie wartymi jego uwagi. Spojrzał na nich z niechęcią, pozwalając, żeby na jego twarzy wyraziła się cała pogarda. W odpowiedzi dostrzegł gniew rysujący się na ich obliczach.

– A jak zamierzasz mnie do tego zmusić, chłopcze? – spytał Adolphus. – Dlaczego miałbym słuchać dziecka, które potrzebuje pół tuzina swoich kumpli, aby wypowiedzieć proste ostrzeżenie? Czy to jest zwyczajne zachowanie tak zwanych mężczyzn w Praag? – Wewnętrzny demon kazał mu dodać: – Czy to dziwne, że Analise woli prawdziwego mężczyznę od gołowąsa, takiego jak ty?

Szał wykrzywił twarz młodego. Wpadł w potrzask i wiedział o tym. Akcent Adolphusa zdradzał w nim szlachetnie urodzonego, aczkolwiek w jakimś odległym kącie Imperium. Rzucenie się na niego całą grupą uwłaczałoby honorowi. Pozostało mu tylko wyzwanie Adolphusa na zewnątrz, na pojedynek. Adolphus zauważył, że młodzieniec spogląda na niego jakby po raz pierwszy, szacując wagę, rozstaw ramion i przytłaczającą pewnością siebie, z jaką zaczepiony spoglądał na całą gromadę uzbrojonych ludzi. Zapewne nawet w jego pijanym mózgu zachowało się dość rozsądku, by wysnuć nieprzyjemne wnioski w związku z tym, co widział. Adolphus ciekaw był, jak on sobie z tym poradzi. Odpowiedź była łatwa do przewidzenia.

– Zabrać tego śmiecia na zewnątrz i wytłuc mu wszystkie kości – rzucił młody.

– Tchórz, a do tego rogacz – szydził Adolphus. Spojrzał na pozostałych. Ta część jego rozumu, która pozostawała stosunkowo rozsądna, podpowiadała, by spróbował przynajmniej znaleźć drogę wyjścia z sytuacji, w jakiej się znalazł. Wymordowanie sześciu synów miejscowego bogacza z pewnością przyciągnie do niego wiele niepożądanego uwagi. – Czy naprawdę jesteście gotowi walczyć za tego tchórze? – spytał.

Widział, że jego słowa dotarły przynajmniej do dwóch z nich. Nie byli zbyt skorzy do walki w takich okolicznościach, nie bardziej niż on sam. Zdali sobie sprawę z niehonorowości swoich poczynań. Wahali się. Adolphus złowił spojrzenie któregoś i zaczął wytyczać swoją wolę. Młodzieniec zachwiał się i powiedział:

– Myślę, że Kurt powinien wyzwiać tego człowieka, jeśli czuje się tak mocny.

Kurtowi najwyraźniej wcale nie podobał się taki pomysł.

– Wszyscy jesteście tchórzami? Czy wszyscy tak bardzo boicie się jednego, nikczemnego cudzoziemca?

To bezpośrednie odwołanie się do kislevskiego patriotyzmu wywarło równie silny efekt, jak poddanie w wątpliwość ich męskości. Wyczuwał po raz kolejny wahanie się gangu.

– Zabierzcie go na zewnątrz i pokażcie mu, co w Praag robi się z aroganckimi przybyszami, którzy zbyt kłapią jadaczką.

Adolphus rozejrzał się jeszcze raz. Widział wiele współczujących spojrzeń, ale nikt nie ofiarował pomocy. Zapewne ten młodociany gang był tutaj dobrze znany i wywoływał znaczną obawę. Wyglądało na to, że nie można uniknąć walki. Jaka szkoda. Miał tylko nadzieję, że uda mu się powstrzymać swoją żądzę krwi.

Prawdziwy problem był teraz natury taktycznej. Jak ma zabrać się za tę gromadę młodych zbirów, nie wzbudzając podejrzeń, co do swojej prawdziwej natury? Może udałoby mu się jednak po prostu wyjść. Podniósł się z krzesła i stanął przed Kurtem.

– Nie trudźcie się, wychodzę. Zapach strachliwej świni zbyt mdli mnie w żołądku.

Przeklął. Co kazało mu to powiedzieć? Gdyby po prostu pewnym krokiem ruszył ku drzwiom, być może by go puścili. Teraz nie było na to szans. Znał odpowiedź na swoje pytanie. W głębi serca nie chciał pozwolić żyć temu bydlu. Był równie zły, jak oni. Nie bał się ich i wiedział, że każe im zapłacić za wszystko.

Kurt wyciągnął rękę i złapał Adolphusa za ramię.

– O nie, nie wychodzisz. Nie wyślizgasz się z tego tak po prostu, mój przyjacielu.

Adolphus zmierzył go wzrokiem, pozwalając, by w jego oczach objawił się gniew. Kurt cofnął się i przez chwilę Adolphusowi wydawało się, że może pozwoli mu odejść, ale prostak o świńskim obliczu był zbyt pijany i głupi, aby usłuchać własnych instynktów. Usiłował powstrzymać Adolphusa, który z łatwością strząsnął jego rękę.

– Niechaj to spadnie na wasze głowy – powiedział Adolphus wychodząc przez drzwi. Widział młodych głupców, którzy podążyli za nim w noc.

Rozejrzał się. Znajdowali się na szerokiej ulicy. Nie było widać straży. Żadnych świadków. Ci idioci wykonali za niego całą robotę. Gromadzący się za nim zaciskali pięści, dopasowywali kastety do dłoni, wyciągali małe, wyważone pałki. Widocznie byli doświadczonymi zawadiakami karczemnymi. To zresztą w niczym im nie pomoże.

– Teraz dostaniesz to, na co zasługujesz – rzekł Kurt.

– Jeden z nas na pewno – odpowiedział Adolphus i uśmiechnął się, po raz pierwszy obnażając wszystkie swoje zęby. W słabym świetle minęło kilka chwil, zanim do młodych dotarło, co widzą. A potem ich twarze pobladły. Kurt zaczął krzyczeć.

Adolphus uśmiechał się dalej, wiedząc, że zabije ich wszystkich, jak miał zamiar od początku.

## Rozdział 2

Felix spoglądał w dół z kokpitu „Ducha Grungniego”. Poniżej widział pozornie bezkresne pustkowie śniegu i lodu. Daleko na horyzoncie widniała szara strefa, w miejscu gdzie step spotykał się z ołowianymi wodami Morza Szponów. Zimne wiatry potrząsały stalowymi ścianami gondoli i wywoływały trzeszczenie wielkiej torby powietrznej nad nimi. Hałas potężnych silników był ledwie słyszalny przez wycie wiatru. Felix spojrzał na Malakaia Makaissona, który pociągając za dźwignie, stał przy wielkim kole sterowym i przyglądał się wskaźnikom z całą pewnością siebie doświadczanego pilota.

– Czy naprawdę dostaniesz za to 5000 złotych koron, Malakai? – spytał Felix.

Był zaskoczony, gdy Max powiedział mu o tym. Nigdy nie wydawało mu się, by inżynier Zabójca był szczególnie ogarnięty gorączką złota. Z drugiej strony, był krasnoludem, a odrobina tego szaleństwa czaiła się w duszy każdego przedstawiciela tej rasy.

– *Aye*, młody Felixie, tak jest! Prawdem mówione, zrobiłbym to za darmo, ale ta cholerna lodowa paniusia naciskała na mnie, wienc wymyślił żem, że równie dobrze może mnie za to zapłacić.

Felix skinął głową. To brzmiało całkiem przekonująco. Malakai Makaisson był uparty jak każdy krasnolud i nie lubił, by zmuszano go do czegokolwiek. Felix był zaskoczony, że Malakai od razu nie odmówił. Był do tego w pełni zdolny, pomimo wysokiej pozycji carycy. Krasnoludy niewiele sobie robiły z tytułów ludzi i ich szlachty, a Zabójcy okazywali mało szacunku swoim własnym władcom, dlaczego zatem miałyby go okazywać innym rasom?

– Czemu więc zgodziłeś się to zrobić? – dopytywał się Felix.

– No bo ona miała cholernom racjem. Naprawdem musimy wiedzie, co knujom te benkarty Chaosu, a „Duch Grungniego” nadaje siem do tego najlepij.

Felix był też odrobinę zaskoczony, że Malakai okazał się zdolny do takiej dalekowzroczości; normalnie zdawał się opętany przez tylko jedną sprawę, swoje maszyny. W odróżnieniu od innych Zabójców nie spędzał większości czasu na rozpamiętywaniu swojej własnej śmierci lub grzechów. Felix musiał przyznać, że krasnolud nie był głupi i domyślał się, że ktokolwiek zdolny do zaprojektowania takiego statku powietrznego musiał być doskonale świadomy militarnych możliwości, jakie oferował ten pojazd.

Uwagę Felixa przykuło poruszenie zauważone kątem oka. Wyregulował lunetę i pole widzenia wypełnił niezwykły obraz. Felix zadrżał. To była kolejna, ogromna gromada zwierzoludzi. Kierowali się na południe, idąc wzdłuż wybrzeża Morza Szponów. Brnęli naprzód z niezłomną determinacją. Na wietrze łopotały ich potężne sztandary.

Tak wyraźny widok symboli bogów Chaosu przejął Felixa strachem. To były znaki, których od dzieciństwa uczono go bać się i nienawidzić. Jeden ze sztandarów był białym płótnem skapanym we krwi i powiewał na nim symbol skrzyżowanych ludzkich piszczeli, nad którymi górowała rogata czaszka jakiegoś wielkiego potwora.

– To dziesiąta banda na tym obszarze – powiedział Felix.

– Ilu?

– Myślę, że ponad tysiąc. – Felix nie musiał już ich liczyć. Podczas kilku ostatnich dni, wykonując te lotne zwiady, nauczył się szybko oceniać liczebność oddziałów Chaosu. – Skąd oni nadchodzą?

Nagle zauważył coś innego i szybko skupił na tym wzrok. W pierwszej chwili nie mógł uwierzyć własnym oczom, a potem prawda o tym, co zobaczył, wdarła się do jego umysłu. To był wielki okręt

brnący przez morze lodu. Wykonany był w całości z czarnego metalu i nie miał widocznych żagli. Cały dziób został wyrzeźbiony na kształt ogromnej głowy demona. Wzdłuż jego burty płonęły czerwone runy.

– Co, do diabła, porusza to coś? – zapytał. Malakai Makaïsson wyrwał lunetę z jego dłoni.

– Przejmij stery, młody Felixie i zbliż nas do tego tam okremtu. Chcem siem mu bliżej przyjrzeć.

Felix chwycił za ster ze swobodą doświadczonego pilota i skierował dziób ku morzu. Malakai już dawno temu nauczył go pilotować statek i w czasie ich pierwszej wyprawy powrotnej z Pustkowi Chaosu, Felix miał mnóstwo okazji do ćwiczeń praktycznych. Oprócz bystrego wzroku człowieka, był to jeden z powodów, dla których został obserwatorem podczas tego lotu. Prędkość statku powietrznego była tak znaczna, że wkrótce przemykali nad wzburzonymi wodami.

– Do diabła, zgadza siem – rzekł Malakai Makaïsson. – Nie widzem żadnych łopat napendowych i nic nie wskazuje na jakomś śrubem pod tym czymś. Przychodzi mnie na myśl tylko czarna magia, a to ni jezd moja specjalność. Cholera. Nigdy bym siem nie domyślał, że benkarty Chaosu som zdolne do czegoś takiego. Porusza siem tak szybko, jak parowiec na pełnym gazie i jezd wienksze niż cokolwiek, co zem widział na wodzie.

– Bardzo dobrze, Malakai – powiedział Felix. – Ale, co to znaczy?

– To znaczy, że lepiej módl siem do wszystkich swoich człecznych bogów, coby tamci nie mnieli całej floty takich rzeczy, młody Felixie. Bo, jeżeli jom majom, bendom mogli wyrzucić na lond armię w dowolnym mniejscu wzdłuż wybrzeży Starego Świata. Na Grungniego, mogom spłynonć cholernym Reikiem prosto do samego Altdorfu i Nuln.

Felix zadrzał, gdy Malakai przejął stery i oddał mu lunetę.

– Nie sądzę, by Sigmar był skłonny odpowiedzieć na moje modlitwy – powiedział Felix.

– Czemu?

– Spójrz tam – wskazał na flotę czarnych okrętów przebijających się przez miotane sztormem morze.

– Wracajmy do domu – odezwał się Malakai. – Myślem, że zebrali żeśmy dość złych wiści jak na jedyn dzień.

Felix zmuszony był przyznać mu rację.

Felix cieszył się z powrotu do Praag jeszcze bardziej niż radował go widok migoczących światel miasta pod nimi i wielkiej, rozjaśnionej cytadeli. Siedząc w gospodzie „Pod Białym Dzikim”, czekał z niecierpliwością na gorący posiłek, a potem trochę snu. W tych dniach wewnątrz statku powietrznego zawsze wydawało się zimne i bez względu na to, ile dodatkowych warstw ubrania nałożył na siebie, nie mógł się całkiem rozgrzać. Czuł suchość w ustach oraz dziwne mrowienie w palcach dłoni i stóp. Miał nadzieję, że nic mu nie dolega.

Zewsząd dochodził go szmer rozmów słyszał plotki wszystkich najemników i kupców uwięzionych w mieście przez śniegi tej zimy. Gildia prosiła o pozwolenie na ponowne podniesienie cen ziarna, ale ksiązę nie zgadzał się na to. Pragnął, by możliwie wielu z jego obywateli pozostało w miarę dobrze odżywionymi i chciał uniknąć głodu na wielką skalę. Felix nie przypuszczał, by kiedykolwiek polubił księcia, ale szanował tego człowieka i jego politykę. Wydawał się niezwykle zacny jak na arystokratę, ale Felix nigdy nie pozbył się zaszczepionej przez ojca-kupca podejrzliwości w stosunku do klasy rządzącej.

Zdaje się, że zeszłej nocy sześciu młodych szlachciców zginęło podczas bijatyki w dzielnicy kupieckiej. Mówiono, że wyciągnęli na ulicę jakiegoś majątnego cudzoziemca, by dać mu nauczkę i już nie wrócili. Ich ciała znaleziono w śniegu. Podejrzewano, że cudzoziemiec musiał mieć

ochroniarzy albo przyjaciół, którzy czekali na zewnątrz, bowiem nie wydawało się możliwe, by jeden człowiek potrafił pokonać sześciu w walce wręcz lub fechtunku. Felix nie był tego taki pewien. Wielokrotnie widywał Gotreka bijącego jeszcze liczniejszych przeciwników, a bywało, że pchany desperacją sam tego dokonywał.

Felix odesunął od siebie te myśli. To nie była jego sprawa, chociaż rodziny młodych oferowały wielką nagrodę za pomoc w znalezieniu mordercy. Cóż mogło go to obchodzić? Z łatwością wyobrażał sobie młodych ludzi, zepsutych dandysów z rodzaju tych, z którymi musiał niegdyś dawać sobie radę każdego wieczora w karczmie „Pod Ślepą Świnia” w Nuln. Nie współczuł zbytnio nikomu, kto znajdował zabawę w atakowaniu sześcioma na jednego. Zapewne dostali to, na co zasłużyli.

Tego wieczora krążyła jeszcze jedna wieść o morderstwie. Znaleziono kolejne dwie ulicznice, martwe i pozbawione krwi. Teraz zaczęły krążyć opowieści o demonie czyhającym w nocy, a ktoś wymówił nawet przerażające słowo „wampir”. Felix zadrżał. Jego stara niania opowiadała mu przejmujące grozą historie o krwiopijcach. Będąc dzieckiem spędził wiele bezsennych nocy lękając się, co może przedostać się do jego pokoju. Próbował zapanować nad swoim lękiem, ale nie potrafił. Widział zbyt wiele innych dziecięcych lęków, które przybierały rzeczywistą postać na tym strasznym świecie. W najmniejszym stopniu nie byłby zaskoczony, gdyby jedna z tych bezdusznych istot krążyła po mieście. Modlił się tylko, by nigdy na nią nie wpadł. Powiadano, że są to przerażający przeciwnicy.

Zauważył, że jeden z mężczyzn z wielką uwagą przysłuchuje się tym rozmowom. Był to wysoki szlachcic, ubrany w modny, dobrany strój. W dłoni ścisnął pachnący pomander. Jego oblicze wydawało się nieco blade, być może sprawiał to pokrywający je puder. Miał zimne spojrzenie, a na jego twarzy rysował się wyraz wytężonego skupienia.

Mężczyzna zauważył patrzącego na niego Felixa, ich oczy spotkały się i Felixowi wydało się, że coś zamigotało; jakby zostało nawiązane jakieś przelotne połączenie. Nagle ogarnął go przymus odwrócenia wzroku, ale jego własny, wrodzony upór nie pozwolił mu na to. Wytrzymał spojrzenie nieznajomego i przyjrzał mu się dokładnie. Włosy mężczyzny obcięte były w dziwnym, przestarzałym stylu. Prosta grzywka osłaniała czoło, a długie loki spływały po bokach. Było w nim coś, co wywołało u Felixa dreszcze na karku. Otaczała go taka sama aura, jaką wyczuwał u Maxa. Felix domyślał się zatem, że nieznajomy jest magiem – kimś z kim lepiej było nie zadzierać. Tym razem odwrócił się, w samą porę, by zauważyć wchodzących do „Białego Dzika” Ulrikę i Maxa Schreibera. Podeszli do jego ławy zdecydowanym krokiem. Felix był ciekaw, co w nich wstąpiło.

Adolphus uniósł wzrok i przyglądał się czarodziejowi i kobiecie wchodzącym do zatłoczonej izby karczemnej. Na wszystkich bogów ciemności, to była piękność! Ani jej męskie odzienie, ani miecz, jaki nosiła nie umniejszały jej urody. W dziwny sposób wręcz ją podkreślały. Adolphus poczuł przypływ zainteresowania, jakiego nie czuł od długiego czasu. Niestety, mężczyzna, który siedł z nią, był spowity w moc, niczym w płaszcz.

Podczas swojego długiego istnienia Adolphus spotkał niewielu silniejszych czarodziejów. Był wystarczająco uzdolniony w sztukach magicznych, by rozpoznać mistrza. Miał tylko nadzieję, że jego własne zaklęcia osłaniające wystarczą, by uniknąć uwagi przybysza.

Przeklinał się za własną głupotę. Powinien pozostać we dworku i studiować przeklętą księgę Nosferatusa. Te nocne wypadki mogły się dla niego źle skończyć. Po zabiciu tych durniów zeszłej nocy, przyszedł do tego obskurnego miejsca, by nie przyciągać na siebie jeszcze więcej uwagi. A jaka była pierwsza rzecz jaką uczynił, gdy pojawił się we wspólnej izbie? Widząc przyglądającego mu się mężczyznę o jasnych włosach postanowił mocą swojego spojrzenia zmusić go do odwrócenia

oczu, ale śmiertelnik okazał się obdarzony niespodziewanie silną wolą i nie poddał się nakazowi. To samo w sobie było niezwykle. A teraz okazuje się, że ten człowiek jest towarzyszem czarodziejami. To mogło tłumaczyć jego silną wolę, ale niekoniecznie. Cokolwiek to było, nie wróżyło nic dobrego. Miał tylko nadzieję, że śmiertelnik nie skieruje na niego uwagi czarodzieja, to byłaby ostatnia rzecz, jakiej pragnął Adolphus. Przeklął; nie pierwszy raz podczas swojego długiego nieżycia, zdawało mu się, że bogowie drwią sobie z niego. W chwili, gdy wszystkie jego marzenia znalazły się w zasięgu ręki, nic nie szło po jego myśli.

Zeszłej nocy poddał się swojej żądzy krwi i zarznął tych młodych głupców jak bydło, jakim byli. Przynajmniej zachował dość rozsądku, by z nich nie pić. Udało mu się powstrzymać pragnienie, aż do chwili, gdy wysączył do cna te dwie ulicznice. Pomimo wszelkich wysiłków, nie był w stanie zdusić w sobie przymusu; nawet tego nie chciał. Nie odczuwał tak silnego pragnienia od chwili, gdy doznał przebudzenia po raz pierwszy. Co się z nim działo? Jakie szaleństwo go ogarniało? Dlaczego to ciągle łaknienie krwi płonęło w jego żyłach jak gorączka? Nie rozumiał tego.

Może sprawiało to miejsce, w którym się znalazł. Prahg było podobno miastem nawiedzonym. Może dziwne siły tego miasta miały na niego wpływ. Albo sprawiał to wielki księżyc Chaosu płonący na niebie i objawiający się w jego snach. Nie wiedział tego, nie domyślał się. Zdawał sobie tylko sprawę, że działo się to w najgorszym możliwym czasie dla niego i jego planów. Gdyby tylko stary głupiec okazał się bardziej uległy. Adolphus postanowił, że jeśli ten człowiek wkrótce nie ustąpi w negocjacjach, zabije go i skończy z tym.

Gdy te myśli przepływały przez jego głowę, rozpoznawał w nich kolejny symptom ogarniającego go szaleństwa. Wiedział, że musi wytrzymać. Jego cel był już w zasięgu ręki. Teraz nie mógł pozwolić sobie na więcej błędów. Wstał, by powrócić do dworku Osrika, wychodząc tylnymi drzwiami. Lepiej nie zbliżać się do tego czarodzieja bardziej niż to absolutnie konieczne.

\* \* \*

– O co chodzi? – spytał Felix. Max i Ulrika wydawali się zarazem ponurzy i podekscytowani.

– Gdzie jest Gotrek? – zapytał Max.

– Wyszedł popić ze Snorrim Gryzonosem. Bez wątpienia znajdziesz go, jeśli podążysz za śladem poturbowanych ciał na ulicy.

– To nie jest śmieszne, Felixie – powiedziała Ulrika. Od chwili rozłąki odzywała się do niego bardzo zimnym tonem.

– Nie żartowałem – odrzekł Felix. – Wiesz, jacy oni są, gdy dopadną ich te humory. A w ogóle, czego od nich chcecie?

– Zaproponowano nam pracę.

– Nam?

– Nam wszystkim. Tobie też.

Felix ciekaw był, kto byłby na tyle szalony, by oferować pracę Zabójcom. Domyślał się, że musi to być ktoś wystarczająco zdesperowany albo pilnie potrzebujący wspomóc się mnóstwem przemocy.

– Czy należy do niej zabijanie dużych potworów lub pokonywanie szalonych przeciwności? – spytał ironicznie.

– Nie sędę – powiedział Max. – A przynajmniej nie wiem na pewno.

– Więc raczej nie będą zainteresowani.

– Mówi się o wielkiej ilości złota – odezwała się Ulrika.

– To zapewne wiele zmienia.

– A zatem, ruszajmy znaleźć krasnoludy i przedstawić się naszemu potencjalnemu pracodawcy.

– Któż nim jest? – spytał Felix, wstając i poprawiając pas od miecza. Zauważył, że dość złowieszczo wyglądający szlachcic zniknął.

– To mój daleki krewny – odpowiedziała Ulrika.

– Połowa szlachty w tym mieście należy do twoich dalekich krewnych – zauważył Felix.

– Tak to już jest z kislevska szlachtą – odrzekła, nieco rozdrażnionym głosem.

Dworek był duży i na swój sposób dość imponujący, mimo że wydawał się podniszczony i zaniedbany. Felix zatrzymał się, by wyrzucić przez okno na wielki ogród przydomowy, otoczony ogrodzeniem najeżonym kolcami. Pomyślał, że to miejsce musi być warte małą fortunę, a potem odwrócił się do pozostałych. Tak rozległa przestrzeń była bardzo kosztowna w obrębie wysokich murów Praag.

Każdy kąt i zakamarek wewnątrz domu wypełniały bibeloty. Dziwne, egzotyczne egzemplarze broni i maski z dalekich Krain Środkowych ustawiono wzdłuż korytarzy, którymi prowadzili ich podstarzali służący. Porcelanowy posąg małego bóstwa o czterech ramionach, mogący pochodzić z odległego Kataju, strzegł wejścia do wielkiego salonu, w którym na wielkiej kanapie-antyku rozpięta się właściciel.

Hrabia Andriev, daleki kuzyn Ulriki, przypominał Felixowi kreta. Był niskim mężczyzną, bardzo grubym i szerokim w barach. Miał wielki nos i duże wąsy, które opadały poniżej policzków. Niewielkie, okrągłe okulary usadowiły się na jego monumentalnym nosie i osłaniały małe, słabe oczy. Hrabia odziany był w długą jedwabną szatę w katajskim stylu. Nie wyglądał na wojownika, ale Ulrika zapewniała, że w swojej młodości był sławnym szermierzem. Teraz wspierał się na długiej, czarnej lasce spacerowej, ściskając sękatymi, artretycznymi palcami srebrną kulę na jej końcu. Rozejrzał się po pokoju, wpuszczając ich wszystkich do środka. Pociągnięcie za wstążkę dzwonka przywołało wysokiego, chudego lokaja, niemal równie starego, jak jego pan.

– Czy zechcielibyście – ahem – czegoś do picia? Może trochę herbaty?

Snorri Gryzonos i Gotrek spojrzeli po sobie z niedowierzaniem. Najwyraźniej zastanawiali się, co tutaj robią. Zostali wywabieni z karczmy obietnicami szczodrych sum złota. Gdy Felix odnalazł ich, byli zajęci bijatyką z kilkoma kislevskimi konnymi wojownikami. Felix i pozostali stali z boku, zanim dwaj Zabójcy stłukli czterokrotnie liczniejszych przeciwników i w końcu zwrócili uwagę na przyjaciół.

– Piwo – warknął Gotrek.

– Wódka – rzucił Snorri. – We wiadrze.

– Ja poproszę odrobinę herbaty – powiedział Max. Ulrika skinęła. Felix pokręcił przecząco głową. W tej chwili był zaciekawiony prawie wbrew swej woli. Było jasne, że ten stary szlachcic jest wystarczająco bogaty, by posiadać własnych ochroniarzy i niewątpliwie skarby w tym domu warte były mnóstwo pieniędzy. Dlaczego więc ich potrzebował? A co ważniejsze, jak w ogóle dowiedział się o nich?

– Czego od nas chcesz, starcze? – odezwał się Gotrek. Jak zwykle bardzo dyplomatycznie, pomyślał Felix.

Andriev pochylił się naprzód. Chyba trochę niedosłyszał. W tych słabych oczach lekko migotało obłąkane lśnienie.

– Członek kultu Zabójców – mruknął do siebie. – Fascynujące.

– Wiem kim jestem, staruszku. Pytałem, czego chcesz od nas.

Hrabia przeczyścił gardło i zaczął przemawiać słabym, drżącym głosem.

– Wybaczcie mi – powiedział. – To może zabrać nieco czasu.

– Snorri myśli, że to zajmie mniej czasu, jeśli wreszcie zaczniesz – rzucił Snorri Gryzonos. Felix zauważył, że cierpliwość nie była mocną stroną krasnoluda.

– Ahem, cóż, tak. Już zaczynam. – Stary człowiek przerwał i rozejrzał się, jakby upewniając się, że zwrócił uwagę wszystkich. Felix także był lekko zniecierpliwiony zgrzybiałymi manierami Andrieva.

– Jestem, jak zapewne zauważyliście, kolekcjonerem kuriozów, antyków, wszelkiego rodzaju dawnych i interesujących obiektów. To moja pasja od czasu, gdy bytem chłopcem, a mój dziadek dał mi osobliwie pięknie rzeźbioną maskę wojenną z Krain Południowych; zaiste znakomity egzemplarz oznaczony trzema pieczęciami czarnych bogów Tharoum. To by to...

– Może zechcielibyście skupić się na sprawie, w której mamy pomóc – możliwie uprzejmie, zasugerował Felix. Stary człowiek odchylił się w tył, jakby nieco zbity z tropu i położył dłoń na ustach kryjąc zaskoczenie.

– Oczywiście – ahem – wybaczcie, wybaczcie. Jestem stary i mój umysł wędruje ku wspomnieniom. Minęło sporo czasu, zanim miałem towarzystwo i dobrze, że...

– Do rzeczy – doda! Felix, nieco bardziej szorstko.

– Przepraszam. Tak. Jako rzekłem, jestem zbieraczem antyków. W ciągu lat zgromadziłem liczne, niezmiernie ciekawe przedmioty. Niektóre z tych obiektów są podobno... no cóż, mistyczne. Sam nie jestem czarodziejem, zatem nie mogę tego potwierdzić, ale Brat Benedykt, mój rzeczoznawca, zapewnił mnie, iż tak jest w istocie.

– Więc? – rzucił Gotrek. Było oczywiste, że szybko tracił cierpliwość. Bez wątpienia w tej chwili bardzo odczuwał pokusę powrotu do gospody.

– Zapewniano mnie, że niektóre z moich nabytków mogłyby okazać się bardzo cenne dla magów pewnego rodzaju. Po kilku incydentach pośród towarzystwa zbieraczy, jakie miały miejsce wiele lat temu, zapłaciłem niebagatelne sumy magom ze Złotego Bractwa, aby ochronili mój dworek i moją kolekcję wszelkimi stosownymi zaklęciami. Jak sądzę, te zaklęcia mogły dopomóc w zachowaniu mojego domu podczas ostatnich kłopotów z tymi ulubieńcami Chaosu.

Felix zastanawiał się, jak wiele zdrowego rozsądku zachował ten stary człowiek. Oblężenie było dla większości miasta czymś więcej niż „kłopotami”. Z drugiej strony podejrzewał, że jeśli starzec zamknął się w swoim własnym fortecznym dworku, głęboko w mieście, otoczony przez służbę i ochroniarzy, mógłby zignorować najgorsze wydarzenia.

– A więc, masz tu trochę cennego towaru – powiedział Gotrek. – Co z tego?

– Kilka dni temu mój rzeczoznawca, Brat Benedykt, byty kapłan Vereny, który opuścił świątynię po incydencie – jak mnie zapewnił, nie nastąpił on z jego winy, a raczej...

– Jestem pewien, że Brat Benedykt to zacyjny człowiek – powiedział pospiesznie Max. – Czy moglibyście jednak trzymać się rzeczy?

– Tak, tak, ahem, wybaczcie. Kilka dni temu nieznajomy szlachcic z Imperium, który twierdził, że jest zainteresowany nabyciem jednego z moich przedmiotów, skontaktował się z bratem Benedyktem. Benedykt powiedział mu, że moja kolekcja nie jest na sprzedaż, ale oferowana cena była tak wysoka, że uznał, iż powinienem dowiedzieć się o tym. Oczywiście, kocham moje zbiory i nie chciałbym rozstawać się z żadną rzeczą, nawet z tym odłupanym kawałkiem nippońskiej porcelany z wizerunkiem dwóch czapli...

– Proszę – sapnął Felix. – Miejcie litość.

Ulrika spojrzała na niego. Ona jedna wydawała się znosić starego nudziarza. Jej, jako krewnej, było łatwiej i co ważniejsze nie czuła bólu głowy. Felix potarł nos brzegiem płaszcza i zaskoczony zauważył, że ma katar. Miał szczerą nadzieję, że nie zapada na jakąś chorobę.



– Tak, przepraszam. Cóż, pomyślałem, że ciekawie będzie porozmawiać z kolegą kolekcjonerem. Trudno spotkać pokrewną duszę. Moje zainteresowania obejmują raczej specjalistyczną dziedzinę i niewielu ludzi jest nią zainteresowanych...

Felix przypuszczał, że ci ludzie nie są zainteresowani samym kolekcjonerem, ale zachował tę myśl dla siebie. Natomiast głośno kaszłał. W jego płucach poruszyła się flegma, – Tak, tak. W każdym razie, zgodziłem się spotkać z tym człowiekiem. I nie zawaham się wam powiedzieć, że było w nim coś, co mi się nie spodobało. Można by wręcz rzec, że mnie przestraszył.

– To musiało być trudne – zadrwił Gotrek.

– Ahem, wierzcie mi, *sir* – powiedział stary człowiek z rozdrażnieniem – nie daję się łatwo zastraszyć. Będąc młodzieńcem, jeździłem do walki u boku cara Radhi Bokhu i własnymi rękami ubiłem wielkiego ogra z Tronso. Był to wyczyn niemałej sławy i...

– Nikt nie powątpiewa w waszą odwagę, panie – przerwał Max. – Proszę, powiedzcie nam, co tak bardzo przeraziło was w tym mężczyźnie, iż poczuliście potrzebę wynajęcia naszych usług.

– Było w nim coś złowieszczonego. Coś wzbudzającego lęk. – Coś w jego oczach... Gdy spojrzał na mnie, chciałem zrobić co mi każe i musiałem wyteńczyć całą wolę, by mu odmówić. Myślę, że ten człowiek był jakimś magiem. \* I to silnym. Przez chwilę, gdy odmówiłem jego ofercie, myślałem, że zamierza mnie zaatakować w obecności moich własnych strażników i domowego maga. Brat Benedykt także tak pomyślał. Powiedział, że sądzi, iż tylko ochronne zaklęcia rozmieszczone wokół dworku powstrzymały tego człowieka przed przemocą. Rozkazałem moim strażom odprowadzić go do wyjścia. Odszedł, ale powiedział, że powróci i mam siedem dni na rozważenie jego oferty. To wydarzyło się kilka dni temu.

– Gdzie jest Brat Benedykt?

– Nie wiem. Normalnie, odwiedza mnie każdego ranka. Nie pojawił się od dwóch dni. To kolejny powód do niepokoju. To człowiek o regularnych nawykach. Tylko poważna choroba mogła powstrzymać go przed przybyciem, ale to nie powinno być problemem. Posłałem służących do jego domu oraz kantoru i wydaje się, że zniknął.

Felix zerknął na Gotreka i Snorriego Gryzonosa. Byli już spokojniejsi i wyraźnie bardziej zainteresowani. Wzmianka o złym magu musiała przykuć ich uwagę. Tajemnicze zniknięcie Brata Benedykta zaciekało z kolei jego samego.

– Czy jesteście pewni, że po prostu nie opuścił miasta?

– Może Benek urwał się na popijawę? – zasugerował Snorri Gryzonos.

– Oba te przypadki są niemożliwe. Brat Benedykt powiadomiłby mnie o swoim odjeździe. Był moim pracownikiem przez dwadzieścia lat. A jeśli chodzi o pańską sugestię, *Herr Zabójco*, on był abstynentem. Nigdy nie dotykał niczego mocniejszego od wody. Utrzymywał, że cokolwiek innego zakłócało jego zdolność do koncentracji.

To wydało się Felixowi rozsądne. Często słyszał Maxa, który twierdził to samo.

– A zatem, wasz mag zniknął. Coś jeszcze? – spytał Gotrek.

– Ahem, tak myślę. Strażnicy donoszą, że dom jest obserwowany.

– Przez tajemniczego nieznajomego? – zapytał Felix.

– Nie, przez innych – dobrze ubranych mężczyzn i kobietę, usiłujących pozostać nierozpoznanymi, ale najwyraźniej – ahem – nie są w tym dość dobrzy, skoro nie uniknęli wykrycia.

– Czyli nie jest to gang zawodowych złodziei – stwierdził Max. Widząc utkwione w sobie spojrzenia oczu wszystkich zgromadzonych, mag wzruszył ramionami i wytłumaczył: – Zarabiałem na życie rzucając wszelkiego rodzaju zaklęcia ochronne przeciwko takim osobnikom. Nabrałem dzięki temu pewnego obeznania, . jak działają tacy ludzie.

– Jest to jeden z powodów, dla których was nająłem, *sir*. Wasza reputacja was wyprzedza. Ponoć sam książę wypowiadał się o was z podziwem, a obecna tu moja droga krewniczka powiedziała mi, że jesteście najbardziej kompetentnym magiem, jakiego kiedykolwiek spotkała.

– Do czego zatem potrzebujecie nas pozostałych? – zapytał Felix. – Z pewnością macie dość najemnych mieczy.

– To kolejna dziwna rzecz w całej tej sprawie. Zanim jeszcze zniknął Brat Benedykt, kilku z moich strażników nie zgłosiło się na służbę. Większość to dorabiający strażnicy miejscy, którzy nie mieszkają tu, we dworku, ale nawet kilku z rezydentów wyszło i nigdy nie powróciło.

– To trudne czasy – powiedział Felix. – Miasto było obleżone. Wielu ludzi umiera z głodu. Może tamci opuścili miasto. Może uznali, że mogą dostać więcej złota gdzieś indziej.

– *Herr Jaeger*, jestem, bez zbędnego przechwalania się, bardzo majątnym człowiekiem i poczytam sobie za powód do dumy, że moi ludzie są dobrze traktowani. Wątpię, by w obecnych niełatwych okolicznościach, byli lepiej opłacani i żywieni gdziekolwiek indziej w tym mieście. Moje piwnice są bardzo dobrze zaopatrzone. Utrzymuję dom przygotowany na najsrozsze zimy. Będąc starym człowiekiem w Kislevie, wie się jak zadbać o takie rzeczy.

– Dlaczego nie przedstawiliście tej sprawy księciu? – spytała Ulrika.

– I cóż miałem mu rzec? Powiedzieć, że pewien nieznajomy groził mi we własnym domu? Ze moi strażnicy są nielojalni, a mój mag zniknął? Książę ma w tej chwili ważniejsze sprawy na głowie! Dlaczegoż miałby kłopotać się problemami jednego starego człowieka, gdy trwa wojna?

– Czy poczyniliście jakieś badania, aby dowiedzieć się, dlaczego wasi strażnicy nie pojawili się na służbie? – pytał Felix.

– Ponownie posłałem służących. Niektórych ze strażników nie było w ich mieszkaniach. W innych przypadkach służącym wydawało się, że ktoś jest w domu, ale nikt nie odpowiadał.

– To bardzo dziwne – powiedział Felix.

– Cała ta sprawa jest bardzo dziwna, *Herr Jaeger*. Oto dlaczego potrzebuję waszej pomocy i jestem gotów szczerze za to zapłacić.

– Jak szczerze?

– Jeśli rozwiążecie dla mnie tę sprawę, zapłacę każdemu z was sto złotych koron wraz z premią, w zależności od wyniku waszych starań.

– Brzmi dobrze jak dla mnie – odpowiedział Felix. Rzut oka w stronę krasnoludów utwierdził go, że oni także się zgodzili.

To Max zaczął się targować.

– Zwykle, płacą mi za rzucone zaklęcia i postawione bariery, niezależnie od innych opłat.

– Opłacę wasze normalne należności – dodając je do wymienionej wcześniej kwoty.

– Świetnie.

– A zatem, zrobicie to?

Spojrzenie na pozostałych przekonało go, że wszyscy chcą wziąć w tym udział. Felixowi pozostało zadanie najbardziej oczywistego pytania:

– Co takiego ten nieznajomy chciał od was kupić?

– Chodźcie, pokażę wam.

Ulubione skarby hrabiego Andrieva istotnie były dobrze zabezpieczone. Stary człowiek poprowadził ich do środka swojego dworku, a potem w dół, do piwnicy chronionej grubymi ścianami godnymi cesarskiego grobowca.

Wejście do komory prowadziło przez serię wielkich drzwi zawieszonych na przeciwwagach.

– Krasnoludzka robota – objaśnił z dumą starzec.

– I strzeżona przez kilka bardzo silnych zapór, o ile nie myślę się zanadto – powiedział Max. Był chyba pod wrażeniem.

– Nie mylicie się. Sam wielki Elthazar nałożył dla mnie te zaklęcia. Specjalnie sprowadziłem go z Altdorfu dwie dekady temu. Znacie go zapewne?

– Był jednym z moich nauczycieli w Kolegium Magów – odpowiedział Max neutralnym głosem. – Wielki czarodziej ale bardzo... konserwatywny.

– To zabrzmiało jakbyście, ahem, niezbyt go lubili.

– Mieliśmy kilka nieporozumień zanim opuściłem Kolegium.

– Czy uważacie, że jego robota nie jest dobra?

– Nie. Jestem pewien, że jest znakomita. Był bardzo silny i władał wielką mocą.

– Cieszę się, że to słyszę. Jeśli jednak uważacie, że cokolwiek da się udoskonalić, nie wahajcie się o tym wspomnieć.

– Nie zawaham się, wierzcie mi.

Komora przypominała Felixowi jaskinię z opowieści o skarbach Arabii. Mieściła wiele kosztownych i pięknych obiektów: złote statuetki z pustyń Krainy Umarłych, pokryte skomplikowanymi ornamentami amulety z Arabii, piękne dywany z Estalii, precyzyjne krasnoludzkie mechanizmy grawerowane wawię wzory oraz flakoniki cennych płynów ozdobione fantazyjnym pismem elfów. Felix zrozumiał, dlaczego stary człowiek wydał tak wiele złota, by strzec tych zbiorów. Zrozumiał także, jak bardzo musi być zdesperowany, skoro wynajął pięcioro niemal obcych osób, by pomogły mu ich strzec.

Oczywiście, Ulrika była jego kuzynką, a Max był tak znany na swoim polu czarodziejstwa, że krasnoludy zatrudniły go, by zabezpieczył ich statek powietrzny. Może więc to wszystko nie było takie dziwne. Felix podejrzewał, że rekomendacja Ulriki wystarczyła, by on i Zabójcy także dostali robotę. Pomyślał o zapłacie. Sto złotych koron stanowiło małą fortunę. Wystarczyło, by człowiek żył jak szlachcic przez długie miesiące.

Starzec pokazał im ciężką, zapieczętowaną skrzynię. Wydobył klucz spod swoich szat. Skrzynia i zamek także wyglądały na krasnoludzką robotę. Jedna rzecz była pewna – ten człowiek wiedział, jak zadbać o swoje skarby.

– Ach – tu jest. Oko Khemri – powiedział, wyciągając z kufra mały ciemny przedmiot. Uniósł go do światła. Po wysłuchaniu tak długiej opowieści, Felix spodziewał się zobaczyć coś bardziej imponującego. Max wyciągnął dłoń:

– Czy mógłbym to zobaczyć?

Hrabia Andriev nie wydawał się być chętny by oddać przedmiot, ale Max nie cofał dłoni i wreszcie stary człowiek ustąpił. Felix zbliżył się. Stał obok Ulriki, tak że mógł patrzeć ponad ramieniem Maxa. Zobaczył mały owal wycięty z czegoś, co wyglądało jak czarny marmur. Umieszczone centralnie oko wзираło spomiędzy dziwnych piktogramów przedstawiających jakichś starszych bogów. Kamień tkwił zamknięty w srebrnej dłoni, która zaciskała się na dysku ostrymi pazurami. Cały amulet zwisał na poczerńiałym ze starości srebrnym łańcuchu.

Felix spojrzał na twarz Maxa. Czarodziej marszczył brwi.

– Co to jest? – spytała Ulrika. Max zacisnął usta, a na jego twarzy pojawił się wyraz skupienia. Felix dostrzegł ciemne punkty ognia płonącego w oczach czarodzieja i wiedział, że mag wezwał swoje moce.

– Nie wiem – odrzekł Max. – Jest w tym coś bardzo dziwnego. Talizman jest magiczny, ale wydaje się zawierać niewiele mocy...

– I? – spytał Felix.

– Czemu w takim przypadku ktokolwiek zadawałby sobie trud, by go zdobyć?

– Powiadasz, że ta błyskotka rzeczywiście może być magicznym artefaktem? – dopytywał się Andriev.

– Zapewne. W tej chwili nie mogę powiedzieć więcej. Czy pozwolicie mi to zbadać, hrabio?

– Jeśli nie wyniesiecie tego z komory, byłbym zafascynowany wszelką nową wiedzą na ten temat. Zakładałem, że jest to jakiś relikwiarz Grobowych Królów. Człowiek, który mi to sprzedał, twierdził, że rzecz została znaleziona w ruinach Khemri. Przypuszczałem, że przesadzał. Teraz nie jestem tego pewny.

– Z pewnością, jest to starożytne. Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

– Pytanie brzmi: co zrobimy z człowiekiem, który chce to zdobyć? Zaczniemy go szukać, czy poczekamy na jego powrót? – Felix nie był pewien, czy podoba mu się pomysł wyruszenia na poszukiwanie maga. Nawet w towarzystwie Maxa i Gotreka. Magowie byli zbyt potężni, zbyt nieprzewidywalni, a do tego zbyt wiele rzeczy mogło pójść nie tak, jak trzeba. Felix był świadkiem, co Max potrafi uczynić machnięciem dłoni lub jednym słowem i nie miał zamiaru stanąć na drodze rzuconej zaklęciem błyskawicy.

– Nie ma powodów, by nie zrobić jednego i drugiego, człeczyno – powiedział Gotrek. Oczywiście, Felix dokładnie to obawiał się usłyszeć.

– Skąd zaczniemy? Czy nieznajomy podał wam swoje imię, hrabio Andriev?

– Powiedział, że zwie się Adolphus Krieger.

– To nazwisko brzmi jak pochodzące z Imperium – stwierdził Max.

– Równie dobrze mógł podać fałszywe – zauważył Felix. – To dobry pomysł, jeśli zamierzasz grozić ludziom.

– Prawda – odezwała się Ulrika. – Musi być bardzo pewnym siebie człowiekiem, skoro groził kislevskiemu szlachcicowi w samym środku Praag, w jego własnym pałacu.

Felix pomyślał o zniknięciu maga i nieobecności strażników.

– Może miał ku temu powody. Możliwe, że jest bardzo potężnym magiem.

– Zabijałem już czarowników – powiedział Gotrek. Felix nie rozumiał dziwnego przeczucia, które go ogarnęło. Po raz pierwszy wszystko wydawało się układać po ich myśli. Znajdowali się w ufortyfikowanym dworze. Max był czarodziejem o znacznych umiejętnościach, a Gotrek, Snorri Gryzonos I Ulrika stanowili tak groźne trio wojowników, że można było sobie tylko wymarzyć, by walczyć u ich boku. Czemu zatem czuł niepokój? Coś tu się nie zgadzało. Coś go trapiło. Pragnął, by to rozgorączkowanie minęło. Miał problemy ze skupieniem się.

– Możemy zacząć od poszukania tych strażników chowających się w swoich domach – powiedział Gotrek. – Dowiemy się, co ich wywiało.

– To wydaje się być logicznym punktem wyjścia – rzekł Felix analizując ten problem w myślach. Nasunęło mu się kilka nowych pytań.

– Czy Brat Benedykt prowadzi rejestry transakcji? – Felix spytał Andrieva. – W jaki sposób ten Adolphus Krieger dowiedział się, że posiadacie Oko? Jak skontaktował się z Benedyktem?

– Oczywiście, Benedykt prowadzi rejestry – odpowiedział Andriev. – Pracował w sposób drobiazgowy i metodyczny, a jako były kapłan Vereny, głęboko wierzył w wagę zapisków. Powinniście odwiedzić jego kantor na Ulicy Urzędników. Powiedzcie jego skrybom, że ja was posłałem, a powinni pomóc. Jeśli chodzi o pozostałe pytania, nie wiem, w jaki sposób ów Krieger dowiedział się o artefakcie, ale domyślam się tego.

– Gdybyście zechcieli podzielić się z nami tymi przypuszczeniami, byłbym wielce wdzięczny –

powiedział Felix.

– Rynek egzotycznych zbiorów kolekcjonerskich jest mały. Niewielu ludzi przejawia zainteresowanie oraz – ahem – szczerze mówiąc, niewielu posiada dość złota, by oddawać się takiej pasji, jak moja. Tylko kilku kupców zarabia w ten sposób na życie i zwykle znają oni wszystkich potencjalnych klientów w swojej okolicy. Współpracuję z pewnymi szacownymi domami w Middenheimie i Altdorfie. Brat Benedykt zwykł odbywać dla mnie wyprawy kupieckie, raz do roku. Zanim stałem się zbyt słaby, sam tam jeździłem. To były czasy, powiadam wam! Stałem w wielkich salach Zuchiego i Petrillo patrząc na ich zbiory tymi oczami. Płakać mi się chce, gdy pomyślę o tych wszystkich skarbach. Przypominam sobie...

– Zdaje się, że pokładaliście wielkie zaufanie w tym Benedykcie – powiedział Felix przerywając staremu, nim ten dał się porwać kolejnemu ze swoich wspomnień.

– To był dobry człowiek, godny zaufania. Liczył każdy wydany grosz i zawsze byłem zadowolony z jego rachunkowości.

Felix powrócił do pierwszego wątku pytań.

– Czy myślicie, że ten Adolphus mógł wysledzić Oko poprzez kupców, od których je kupiliście, owych Zuchiego i Petrillo?

– Oni są wzorem dyskrecji, *Herr Jaeger*. Między innymi za to płacą ich klienci.

– Ludzi można przekupić albo... zastraszyć czarami.

– To prawda. Tak. – Stary człowiek był naprawdę wstrząśnięty myślą, że ulubieni kupcy mogli zawieść jego zaufanie. Z drugiej strony, nie zaprzeczał tej możliwości.

– Zdaje mi się, że musimy rozważyć jeszcze jedną sprawę – odezwał się Max.

– Mów...

– Dlaczego tenże Adolphus był gotów za wszelką cenę zdobyć Oko? Co miał zamiar zyskać w ten sposób?

– Jesteście magiem. Wy mi powiedzcie.

– Myślę, że kwestią najważniejszą jest, bym rozpoczął badania nad tym artefaktem – rzekł Max. – Może, jeśli uda mi się przejrzeć jego zastosowanie, mógłbym domyślić się, czego oczekuje po nim nasz przyjaciel.

Felix skinął głową. To brzmiało rozsądnie.

– Ktoś z nas powinien tu zostać z tobą i pomóc pilnować tego miejsca.

– Ja zostanę – rzuciła Ulrika, nieco zbyt pośpiesznie, jak uznał Felix.

– Snorri też zostanie – dodał Snorri Gryzonos. – Jeśli ma tu dojść do walki, Snorri chce być w pobliżu. To lepsze niż gadanie z urzędasami.

Felix spojrział na Gotreka.

– Wygląda na to, że to my będziemy zadawali pytania.

Zabójca wzruszył ramionami.

– No to dalej z tym, człeczyno.

Niebo było zasnute i padało jeszcze więcej śniegu. Felix czuł zimno przedzierające się przez dodatkowe warstwy ubrania i postanowił! wykorzystać część wypłaconych im przez Andrieva pieniędzy na kupno nowej pary butów. Jak zwykle obserwowali ich ludzie. Nie było w tym nic dziwnego. Gotrek był barwną postacią, ale nikt nie miał zamiaru go zaczepiać. Nie pokazywał, by zimno dokuczało mu w jakikolwiek sposób.

– Co o tym myślisz? – Felix zapytał Zabójcę. Tłum wokół nich wypełniał wąskie uliczki dzielnicy kupieckiej. Nad nimi pochylały się stare budynki. To był ciemny labirynt i Felix był rad, że przed

wyjściem od Andrieva zatrzymali się, by poprosić jego lokaja o wskazanie drogi do kantoru Benedykta.

– Myślę, że hrabia Andriev jest bogatym starcem, którego stać na spełnianie wszelkich swoich kaprysów, człeczyno. I myślę, że jego złoto jest równie dobre, jak każde inne.

– Nie sądzisz, że on wymyśla różne rzeczy? – zapytał Felix. Zszedł z ulicy, aby przepuścić patrol lansjerów. Po chwili wahania Gotrek uczynił to samo. Zmierzył konie wrogim spojrzeniem. Nigdy nie przepadał zbyt za kawalerią i ich wierzchowcami.

– Nie. Myślę, że najpewniej coś się tutaj dzieje. Wygląda to na robotę dla czarodzieja.

– Myślisz, że pozostali dadzą sobie radę? – niepokoił się Felix.

– Widziałeś, człeczyno, jak Max Schreiber używa magii i widziałeś jak walczą Snorri Gryzonos i Ulrika. Siedzą w umocnionym dworze otoczonym strażnikami. Co z tego wynika?

– Wynika z tego, że zapewne jest im bezpieczniej niż nam.

Gotrek warknął, jakby rozważanie własnego bezpieczeństwa było ostatnią sprawą, o jakiej myśli. Felix zdusił kaszel. Na dnie gardła czuł dziwne łaskotanie i wydawało mu się, że poci się bardziej niż zwykle. Miał nadzieję, że nie opanowuje go nic gorszego niż przeziębienie.

– Myślisz, że to mogą być kultysty Chaosu? – spytał. Spotykali już wyznawców mrocznych bogów w miastach ludzi. Podczas oblężenia udaremniłi podjętą przez czcicieli Chaosu próbę zatrucia spichlerzy. Felix nie łudził się, że zabili wszystkich trucicieli.

– Kto wie, człeczyno? Niewątpliwie wkrótce się przekonamy.

Felix żałował, że nie potrafi wzbudzić w sobie pewności siebie Zabójcy, ale wiedział, że nigdy nie będzie w stanie tego dokonać. Jego wyobraźnia była zbyt aktywna, myślał zbyt wiele. Zapewne Gotrekowi pomagał fakt, że Zabójca nie dbał o swoje życie. Felix przeciwnie. Wiedział, że pragnie żyć – tak wiele chciał jeszcze zobaczyć i zrobić.

– Niewątpliwie masz rację – mruknął i ruszyli ulicą.

Ulica Urzędników została w większej części nietknięta przez oblężenie. To był stary fragment miasta, znajdujący się w obrębie wewnętrznych murów, w cieniu cytadeli. Zabudowę stanowiły w większości domy przykryte czerwoną dachówką oraz sklepy. Mimo zimowego mrozu, po ulicach kręcili się mieszczanie. Długie doświadczenie wyniesione przez Felixa z Altdorfu powiedziało mu, że byli to kupcy i ławnicy oraz ludzie, którzy wykonywali dla nich sprawunki. Zima czy nie, wojna czy pokój, interesy toczyły się jak zwykle. Dokładnie tak powiadał jego ojciec.

Kantor Brata Benedykta znajdował się w jednym z dostojnie wyglądających budynków. Był to wysoki gmach górujący nad aleją, połączony wysokim mostem z domem po drugiej stronie ulicy.

Otynkowane na biało ściany i drewniane podpory przypominały Felixowi zabudowania Altdorfu, chociaż ten budynek nie był tak wysoki, ani piękny, a gargulce rozsiadłe na parapetach nad drzwiami i oknami były zbyt groteskowe, by pasowały do jego ojczyzycznego miasta.

Weszli do środka i ruszyli w górę po wąskich, krętych schodach. Na trzecim piętrze znajdował się kantor, w którym agent Andrieva prowadził jego interesy. Felix zapukał do drzwi, a potem wszedł. Urzędnik wyglądał na zaskoczonego widokiem przybyłych.

– Czego... Czego tu chcecie?

Felix wręczył mu zwój opatrzony pieczęcią hrabiego.

– Jesteśmy tu w imieniu hrabiego Andrieva. Chcę sprawdzić wasze rejestry.

Mężczyzna dokładnie przyjrzał się pieczęci, a potem przełamał ją i przeczytał wiadomość na zwoju.

– Powiada tutaj, że mam zapewnić wam pełną współpracę.

Głos człowieka zabrzmiał tak zgryźliwie, że Gotrek pokazał urzędnikowi swoją pięść, wielką jak połeć szynki.

– Myślę, że to bardzo dobry pomysł, prawda?

Zapytany spojrział na krasnoluda, a potem w milczeniu skinął głową.

– Gdzie twój pan trzyma swoje rejestry? – spytał Felix. Urzędnik wskazał duży sekretarzyk. – Klucze? – domagał się Felix. Mężczyzna sięgnął do sakiewki i wyciągnął je. Felix wsunął klucz w zamek i stwierdził, że pasuje.

– Kiedy po raz ostatni widziałeś swojego pana? – zapytał.

– Dwa dni temu.

– Czy w jego zachowaniu było coś niezwykłego?

– Nie. To było tuż zanim zamknął kantor na noc. Właśnie wychodziłem. Pan mieszkał tu w malej izbie z tyłu kantoru.

Felix zadzwonił kluczami.

– Czy spotkał się tam z cudzoziemcem, szlachcicem z Imperium? Zwał się Adolphus Krieger.

– To nazwisko brzmi znajomo. Myślę, że Krieger odwiedził go któregoś wieczora.

– Wieczora? Czy to nie trochę dziwne? Kupcy zazwyczaj prowadzą swoje interesy za dnia.

– W naszej pracy często spotykamy ludzi w niezwykłych godzinach – kurierów z Imperium, podejrzanych osobników, którzy mają coś ciekawego do sprzedania.

– Podejrzanych osobników?

– Nie wszystkie zbiory bywają legalnie nabyte, *Herr Jaeger*. A liczne z nich są dość cenne. Złodzieje często próbują przekazać je nowym właścicielom. Nie wszyscy kolekcjonerzy są tak skrupulatni w tych sprawach, jak hrabia. Podobnie, jak nie wszyscy pośrednicy są tak skrupulatni, jak mój pan.

– Twój pan pracował wyłącznie dla hrabiego?

– Tak. Jeszcze zanim zostałem pomocnikiem. Ponad dekadę temu.

– Czy pamiętasz cokolwiek o artefakcie, który może pochodzić z Arabii? O Oku Khemri.

– Pamiętam. Nabyliśmy je dla hrabiego jakieś dwa lata temu. Stanowiło część kolekcji należącej do starego kupca z Nuln – bardzo dobrej kolekcji, pełnej wielu znakomitych egzemplarzy. Mnie samemu Oko nie wydawało się niczym specjalnym, ale mój pan pomyślał, że może być magiczne. Powinien to wiedzieć – w końcu jest czarodziejem.

– Magiczne?

– Nic specjalnego. To jakiś rodzaj talizmanu ochronnego. Stary. Najpewniej jego moc rozproszyła się z upływem lat. Mój pan sądził, że ta rzecz pochodzi z Khemri w Krainie Umarłych.

Felix pomyślał, że nie trzeba być ekspertem, by dojść do takiego wniosku. Sam by się tego domyślił. A jednak, nadal coś go niepokoiło. Kraina Umarłych miała złą reputację. Była niegdyś siedzibą najstarszych ludzkich królestw, ale opustoszała tysiące lat temu. Felix nigdy nie przeczytał czegokolwiek dobrego o tym miejscu, a wiele z opowieści było przerażających. Podobno wszyscy mieszkańcy wymarli na jakąś straszliwą zarazę i powiadano, że miasta stały się wielkimi, nawiedzonymi grobowcami. Co gorsza, miała to być ojczyzna Wielkiego Nekromanty, Nagasha, którego imieniem od setek lat straszono dzieci. Felix powiedział o tym urzędnikowi.

– Relikty nehekharzańskie są szczególnie cenione przez niektórych kolekcjonerów. To była najstarsza ludzka cywilizacja na świecie. Jej lud był ucywilizowany na dwa tysiące lat przed czasami Sigmara.

– Nie użyłbym słowa „ucywilizowani”, by ich opisać – odezwał się Gotrek. Felix nie był zaskoczony, gdy Zabójca okazywał niespodziewane głębie wiedzy. Królestwa krasnoludów były

znacznie starsze od królestw ludzi, a krasnoludy przechowywały w swoich wielkich księgach bogate zapiski historyczne.

– Powiedz coś więcej – zachęcił Felix.

– To byli na wpół dzicy ludzie, którzy budowali ogromne miasta dla swoich zmarłych. Praktykowali mroczną magię wszelkiego rodzaju. Ich szlachta spijała krew niewinnych w bluźnierczych orgiach, co miało przedłużyć im żywota. Badali mroczną magię i przyzywanie demonów.

Felix przypomniał sobie, że czytał o tym w wielkiej bibliotece Uniwersytetu w Altdorfie. Przypomniał sobie także inne rzeczy.

– Nie byli tacy źli. Istniało wiele miast-państw. Władcy niektórych z nich walczyli przeciwko krwio pijcom. Wreszcie, Alcadizaar walczył z samym Nagashem i zniszczył go na zawsze.

– Może i tak, człeczyno, ale wszyscy w końcu popadli w ciemność. Ich miasta to przerażające miejsca, nawiedzane przez niespokojnych umarłych. Wierz mi. Widziałem je.

– Widziałeś je?

– *Aye*, i nie jest to widok, na jaki chciałbym patrzeć ponownie.

– Co tam robiłeś?

Gotrek spojrział na niego i wzruszył ramionami. Nie odezwał się. Felix wiedział, że jeśli krasnolud nie chce mu czegoś powiedzieć, nie dowie się niczego. Był zaskoczony. Wiedział, że Zabójca przeżył wiele przygód, zanim się spotkali, ale nigdy nie spodziewał się, że jego towarzysz dotarł aż do odległych krain na wschód od Arabii.

– Nie mamy całego dnia do stracenia – powiedział Gotrek. – Jeśli masz zamiar przejrzeć te rejestry, lepiej zabierz się za to.

– Czego szukacie? – zapytał urzędnik.

– Dowiem się, gdy to znajdę – powiedział Felix. – Możesz już iść. Zjedz coś – dodał. Mężczyzna patrzył na niego przez chwilę.

– Potraficie czytać? – spytał. Felix nie był zdziwiony. Czytanie nie należało do powszechnych umiejętności.

– Tak – odpowiedział Felix. Wskazał kciukiem na Gotreka. – On także.

– Zatem zostawię was, skoro nie będziecie potrzebowali mojej pomocy.

– Nie sądzę, by była ona konieczna.

Felix podszedł do półek z rejestrami i otworzył je. Wybrał księgę najnowszych zapisków i zaczął ją kartkować. Zgodnie z tym, co powiedział urzędnikowi, nie był pewien, czego szuka; miał tylko nadzieję, że znajdzie jakąś wskazówkę oraz, że Max będzie miał więcej szczęścia od nich.

Max Schreiber spoglądał na Oko Khemri. Im dłużej patrzył, tym bardziej przekonywał się, że było w nim coś dziwnego.

Przyjrzał się kamieniowi z bliska. Widział już podobne na początku swoich studiów w Kolegium. Był pewien, że jest to obsydian, kamień często używany przez starożytnych Nehekharan. Mniej oczywiste były piktogramy. Nigdy nie podejmował szczególnych badań tego niejasnego i niemal zapomnianego języka. To była dziedzina, jaką dokładnie badali tylko nekromanci, a Max nigdy nie odczuwał wielkiego zainteresowania tą mroczną i niebezpieczną sztuką.

Mimo to, w talizmanie było coś, co go niepokoiło – subtelna nieprawidłowość, której Max nie był w stanie określić. Przedmiot emanował słabą pozostałością ciemnej magii, jakby niegdyś został użyty do przechowania mrocznej siły magicznej. Takie przeklęte obiekty były dość powszechne i Max widział wiele z nich podczas swoich podróży. Zapewne Oko zostało kiedyś użyte do zgromadzenia energii, która dawno już rozproszyła się. Tak się przynajmniej wydawało. Max nie był pewien, czy



energia została całkiem zużyta. Wiedział, że będzie musiał wykorzystać pewne skomplikowane zaklęcia jasnowidzenia, aby upewnić się, że tak jest w istocie. Zanim jednak to zrobił, na wypadek niepowodzenia, chciał przygotować kilka elementarnych środków bezpieczeństwa.

Zamknął oczy i skupił swój magiczny wzrok, a potem zawinął wokół siebie wiatry magii. W tym miejscu było to trudne. Wokół dworku zostały utkane zaklęcia ochronne, a ta komora była najlepiej chronionym obszarem w jego wnętrzu. Było prawie niemożliwe, by w tym podziemiu ktokolwiek, z wyjątkiem mistrza magii, był w stanie w ogóle zaczerpnąć mocy. Na szczęście, Max należał do mistrzów sztuki i nie potrzebował zbyt wiele energii do tego zaklęcia.

Czuł, jak powoli zaczęła go wypełniać moc. Nie doświadczył tak słabego przepływu energii od czasu, gdy był jeszcze uczniem. Bez względu na to, jak bardzo nie lubił Elthazara, musiał przyznać, że stary czarodziej znał się na swojej robocie. Ściana zaklęć była mocna i gęsta. Max wyęczał wszystkie siły, aby zachować koncentrację i utkać proste zaklęcie wokół talizmanu. Zabrało to znacznie więcej czasu niż normalnie, a gdy zaklęcie zostało ukończone, Max obficie spływał potem. Czuł się wyczerpany i było mu niedobrze, ale wiedział, że zaklęcie jest na swoim miejscu. Przyjrzał się uważnie matrycy energii wokół talizmanu – tu poprawił luźną pętlę mocy, tam zmniejszył przepływ energii, wreszcie z pełną satysfakcją stwierdził, że zaklęcie wytrzyma odpowiednio długo. Był zadowolony z ukończenia pierwszego etapu pracy.

Nadszedł czas na rozpoczęcie badania. Poszerzył swoją magiczną wizję i zignorował własny splot zaklęcia. Pozwolił zmysłom unosić się nad Okiem, wyszukując najmniejszych wskazówek zdradzających, że rzecz nie była tym, czym się wydawała. W pierwszej chwili nic się nie stało. Już sama aura przedmiotu mówiła, że jest stary i rzeczywiście, niegdyś przechowywał znaczną ilość mrocznej magii. Wydawał się być pewnego rodzaju talizmanem, jaki mógłby zostać stworzony przez jakiegoś rozsądnie myślącego i potężnego nekromantę, by pomagał mu przy rzucaniu zaklęć. Być może talizman bardzo długo wypełniał swoje zadanie i rozładował całą energię. Wyglądał na bezwartościowy, wypalony relikw. Gdyby Max nie miał powodów, by podejrzewać cokolwiek innego, zakończyłby swoje badanie w tym momencie. Ale miał powód i popychała go ciekawość. Nie był człowiekiem, który łatwo się poddaje gdy zostanie wzbudzony jego głód wiedzy.

Kontynuował swoje poszukiwania, jeszcze bardziej skupiając na talizmanie magiczny wzrok. Starał się zauważyć ślad czegoś nienormalnego, najmniejszą wskazówkę mówiącą, że przedmiot nie jest tym, na co wyglądał. Słyszał już o takich rzeczach. Magowie czasami maskowali potężne artefakty zaklęciami okrywającymi, aby nie dopuścić, by ich wrogowie poznali wartość i przeznaczenie przedmiotów do chwili, gdy było już za późno.

Max podejrzewał, że podobnie może być w przypadku Oka, ale jak na razie nie udało mu się znaleźć na to żadnego dowodu. Jeśli przedmiot był zamaskowany, to ktoś wykonał naprawdę mistrzowską robotę. Max wątpił, by sam potężny mag wysokich elfów, Teclis, potrafił ukryć cokolwiek przed tak drobiazgowym badaniem, jakiemu poddawał Oko, a jednak nadal niczego nie znajdował.

Przez jego umysł przemknęła myśl, że może się myli. Może ten talizman był po prostu tym, czym się wydawał i dalsze badania są bezcelowe. Max zastanowił się nad tym, a potem uznał za możliwe, że taka myśl zrodziła się poza jego umysłem. To mogło być jakieś subtelne zaklęcie sugestii nałożone na samo Oko.

Nie był pewien, czy nie staje się nazbyt podejrzliwy, z drugiej jednak strony szczerze wierzył, że najdalej posunięta ostrożność nigdy nie zawiodła żadnego mistrza-czarodzieja. Subtelne pułapki zakładane przez zazdrosnych rywali bywały zbyt często spotykane. Max przejrzał stan swoich mentalnych zabezpieczeń i stwierdził, że są nienaruszone. Chciało mu się śmiać. Jakakolwiek

sugestia na tyle delikatna i silna zarazem, by udało się jej przeniknąć przez jego solidne zapory umysłu, z pewnością byłaby w stanie ukryć fakt takiego ataku. To prowadziło donikąd.

Ponownie powrócił do swojego żmudnego poszukiwania, skupiając całą uwagę, by znaleźć jakiegokolwiek zakłócenia w aurze kamienia. Tam! Co to było? Może nic takiego. Tylko najśłabsze odbicie echa magicznego strumienia, dziwny rezonans starego zaklęcia. Max był bliski ominięcia go, a potem zdał sobie sprawę, że to było jedyne, co do tej pory znalazł. Skupił na tym swój umysł, przyciągając do siebie tyle magicznej mocy, ile był w stanie i ruszył śladem rezonansu.

To było jak dotyk babiego lata, ślad tak nikły, że przez kilka uderzeń serca Max nie był pewien, czy w ogóle cokolwiek znalazł. Może tylko mu się wydawało. Na początku faktycznie miał wrażenie, że nic tam nie ma, a potem zauważył najśłabsze odbicie niezwykle delikatnego i zawilego splotu. Było prawie niemożliwe, – – by jakikolwiek ludzki czarodziej potrafił to upleść. Przesunął swoją świadomość na głębszy poziom, odcinając od siebie wszelkie bodźce wizualne i pole jego widzenia wypełnił magiczny wzór.

Wraz z pewnością, jaka opanowała Maxa, nadszedł nagły lęk. Wiedział, że spogląda na zaklęcie najwyższego stopnia, znacznie przekraczające wszystko, cokolwiek sam potrafiłby stworzyć – być może nieosiągalne dla jakiegokolwiek żyjącej obecnie istoty. Ktoś wplótł w talizman najcieńsze włókna mrocznej energii magicznej w taki sposób, że prawie wymykały się one postrzeganiu Maxa, nie mówiąc o możliwości rozplatania. W dodatku, zostało to dokonane pod zaklęciem maskującym tak nieuchwytnym, że Max prawie go nie zauważył.

Max wiedział, że ma do czynienia z robotą prawdziwego mistrza. Może tajemniczy Adolphus Krieger istotnie miał dobre powody, by chcieć zdobyć ten przedmiot, chociaż jak dotąd Maxowi nie udało się odkryć, do czego może to służyć? Kierował się tylko podejrzeniem, że nie jest to nic dobrego. Niewielu magów wykorzystywało mroczne energie magiczne dla dobra ludzkości. Ponownie, dwukrotnie, sprawdził swoje mentalne osłony i splótł wokół siebie najszybsze, najpotężniejsze zaklęcia ochronne, a potem ruszył naprzód.

Koncentrując wszystkie swoje moce był bliski odczytania wzoru. Wybrał wąską linię energii i zaczął za nią podążać. To było doświadczenie, jakie wielokrotnie wykonywał podczas swojego szkolenia, badając sploty zaklęć rzuconych przez jego nauczycieli. Teraz stawka była znacznie wyższa. Wiedział, że musi być naprawdę ostrożny. Ktoś, kto poświęcił tyle wysiłku, by ukryć prawdziwą moc talizmanu, był z pewnością zdolny do zastawienia pułapek na tych, którzy będą próbowali odkryć jego sekrety.

Śledził splot niespiesznie, ostrożnie – niczym człowiek przechodzący ponad przepaścią po zbutwiałym, drewnianym moście, mogącym zarwać się w każdej chwili. Z wolna zaczął dostrzegać porządek i logikę wzoru. W talizmanie zaklęty był pewnego rodzaju czar przymusu, skierowany przeciw umysłom różniącym się od ludzkich, chociaż nie było jasne, jakim. To zaklęcie zostało nałożone na kilka innych i przeplatało się z nimi. Max dostrzegał, że użytkownik artefaktu może pobierać energię mrocznej magii poprzez sieć tak zawiłą i mocną, iż wypełniła jego umysł zdumieniem podobnym do tego, jakie mógł odczuwać architekt w wewnętrznym sanktuarium świątyni Sigmara w Altdorfie. Max wiedział, bez cienia wątpliwości, że spogląda na dzieło geniuszu.

Zagłębiając się w badaniach zauważył, że te zaklęcia były splątane z tuzinami innych, których przeznaczenia nie potrafił przewidzieć. To było oszałamiające. Nie wątpił już, że Adolphus Krieger, o ile to było jego prawdziwe nazwisko, naprawdę pragnął Oka. Każdy mroczny mag zabiłby za ten artefakt, gdyby tylko domyślał się jego prawdziwej mocy.

Zafascynowany Max kontynuował wędrówkę wzdłuż splotu, przytłoczony zawilnością labiryntu mocy. Pozwolił swojej świadomości ślizgać się wzdłuż skomplikowanych krzywizn i linii

magicznych, idąc za nimi coraz szybciej, pewien, że gdy dotrze do rdzenia tego dzieła, w pełni zrozumie jego przeznaczenie.

Jego umysł pędził coraz szybciej, a magiczny wzrok spadał ku centrum wzoru. Max czuł narastające podniecenie, jakby wkrótce miały odkryć się przed nim największe tajemnice magicznego wszechświata. Zbyt późno zdał sobie sprawę z nienaturalnego pochodzenia tego uczucia. Zbyt późno zorientował się, że Oko rzeczywiście zostało zabezpieczone pułapką.

Rozpaczliwie usiłował podeprzeć swoje mentalne ściany, wiedząc, że wkrótce nadejdzie atak. Gdy to uczynił, jego świadomość dotarła wreszcie do samego środka zawilej magicznej struktury. W tym momencie, tuż zanim ogarnęła go fala ciemności, Max przekonał się, że twórca Oka, w uniesieniu megalomanii lub próżności, pozostawił sygnaturę na swym dziele. Niewątpliwie chciał, by ci, którym udało się odkryć jego sekrety, dowiedzieli się kim jest ich autor, na chwilę nim zostaną zniszczeni.

Spoglądając na tę mistyczną pieczęć, tak wyraźną i jak charakter pisma łatwą do rozpoznania przez każdego maga, Max poczuł, że ogarnia go zdumienie i trwoga. Zanim ogarnęła go ciemność, poznał z całą wyrazistością tożsamość twórcy Oka Khemri. Był naprawdę przerażony.

### Rozdział 3

– Co znalazłeś, człeczyno? – spytał Gotrek. Wyglądał na znudzonego i rozdrażnionego, a Felix nie winił go za to. Po kilku godzinach przeszukiwania rejestrów Brata Benedykta w zasadzie niczego nie odkryli. Oko Khemri zostało zakupione od spółki Zuchi i Petrillo w Altdorfie, jako część zbiorów sprzedanych w domu aukcyjnym przez wdowę niejakiego barona Keinstera z Warghafen. Felix nigdy o nim nie słyszał, ale nie było w tym nic dziwnego. W Imperium żyło zbyt wiele starych szlacheckich rodów, by ktokolwiek potrafił zapamiętać je wszystkie. Wiedział tylko, że Warghafen to niewielkie miasteczko w pobliżu Talabheim, co niewiele mogło im pomóc. Znowu zakaszał czując lekkie dreszcze.

Było kilka wzmianek o spotkaniu z Adolphusem Kriegerem. Znalazł nawet dwa listy od tego człowieka, pisane wyraźnym, płynącym stylem pisma Imperium. Prosiły o spotkanie z Benedyktem i jego patronem oraz przedstawiały Kriegera jako entuzjastę antyków. Podano w nich adres w Middenheim i zapowiedź zbliżającej się wizyty w Praag. W tej chwili nie sposób było sprawdzić tego adresu, o ile nie uda się przekonać Malakaia Makaissona, by zabrał „Ducha Grungniego” w długą podróż do tego górskiego miasta-państwa, a wobec obecnych okoliczności wydawało to się frywolnym nadużyciem jego czasu. Zresztą Malakai szykował się do opuszczenia miasta i przelotu do Karak Kadrin, aby przywieźć do Praag więcej krasnoludzkich oddziałów na wypadek wznowienia wojny na wiosnę, jeśli nie nastąpi to wcześniej. Miał lepsze rzeczy do roboty niż dzika pogoń za kimś, kto zapewne nie używa swojego nazwiska ani adresu. Mimo to Felix zabrał listy. Przynajmniej one stanowiły dowód, że tajemniczy Krieger istnieje i nie jest jakimś wymysłem Andrieва.

– Nie za wiele – odpowiedział Zabójcy. – Benedykt był drobiazgowy i zapisywał wszystkie swoje spotkania, ale nie ma tu najmniejszej wskazówki tłumaczącej jego nieobecność.

– No to pora odwiedzić zaginionych strażników.

Felix skinął głową. Nie wiedział, co innego mogliby zrobić. Zmarnowali tu całe popołudnie i sporą część wczesnego wieczora.

Adolphus kroczył spowitymi w śnieg ulicami. Był ciasno owinięty w swój płaszcz, a twarz zasłaniał kapturem. Przy takiej pogodzie nikt nie byłby zaskoczony takim widokiem. Ulice były prawie puste, a mijający go tego wieczora przechodnie często byli jeszcze bardziej okutani od niego. Adolphus nadal czuł się trochę zmęczony. Podobnie jak działo się to ze wszystkimi z jego rodzaju, światło słoneczne spowalniało go i raniło wzrok. Zbyt długie wystawienie się na blask słońca mogło spowodować u niego poważne oparzenia i zadać mu znaczny ból, a wyleczenie się wymagałoby dużej ilości ciepłej, świeżej krwi.

Czuł się nieco odrętwiały. Wiedział, że ostatnio pożywiał się zbyt często, a za dużo krwi było dla niego równie szkodliwe, jak jej niedobór. Bolała go głowa. Miał niespokojne myśli i trudno mu było skupić się. Zastanawiał się, czy jakaś część wypitej krwi mogła być skażona, albo czy nie ulega podstępemu szaleństwu, które stulecia istnienia czasami sprowadzały na należących do jego rodzaju. Kiedyś, gdy był jeszcze młody i zdesperowany, wypił krew mutanta, którego żyły zostały skażone spaczeniem. To wywołało podobny efekt do obecnych, choć o wiele mniej okropny.

Nie mógł się skoncentrować. Głęboko w jego wnętrzu płonął gniew. Czuł potrzebę szarpania i rozdzierania. Chciał znaleźć ofiarę i zabić ją dla samej rozkoszy zabijania. Ciężko walczył o zachowanie kontroli nad sobą. Nie mógł sobie teraz na to pozwolić, nie w chwili, gdy stawka była

tak wysoka, a długo i z takim trudem poszukiwany talizman nareszcie znalazł się na wyciągnięcie ręki. Musiał zachować wszystkie swoje zmysły i jasność umysłu na wypadek, gdyby pozostali domyślili się, co zamierza. Gdyby hrabina albo inni przedstawiciele Rady Wiekowych dowiedzieli się o jego obecności w tym miejscu i przejrzeni jego zamiary, mógł stracić wszystko. W końcu znali prorocтва Nosferatusa równie dobrze jak on sam, chociaż zabrakło im odwagi, by je wypełnić. Nie, nie mógł pozwolić sobie na żadne błędy.

Czy to możliwe, że sam pragnął porażki? Podczas swojej długiej egzystencji widział dziwniejsze rzeczy. Znał kilkoro jemu podobnych, którzy odbywali długie poszukiwania, aby podtrzymać w sobie chęć istnienia i zainteresowanie światem, ale sami skazywali się na wygaśnięcie, gdy udawało się im wypełnić swój cel. Może w głębi duszy chciał uniknąć takiego losu?

Wyczuł, że jest obserwowany i poszerzył zakres swojej świadomości otoczenia. Za nim cicho stąpały kroki. Domyślał się, że śledzi go dwóch osobników, którzy nie znajdują się zbyt blisko. Zapewne były to rzezimieszki albo desperaci, skoro nie kryli się przed taką nocą. Przyspieszył chód. Tego wieczora miał sprawy do załatwienia i nie chciał, by coś mu w tym przeszkodziło. Zmarnował zbyt wiele czasu na negocjacje z upartym staruchem. Nadszedł czas, by sięgnąć po bardziej bezpośrednie środki. Posłał swojego służącego Roche'a, by zebrał sabat. Był gotowy podjąć to ryzyko – jeśli agenci Rady dowiedzą się o tym, trudno. Robiło się późno. Musiał zająć się innymi sprawami. Chciał znaleźć Oko, zanim szaleństwo całkiem go opanuje. Może za pomocą talizmanu pokona jego efekty. A może szaleństwo było wynikiem wpływu tego przeklętego miasta. Jeśli tak, to im szybciej je opuści, tym lepiej.

Zdał sobie sprawę, że gdy przyspieszył – podobnie uczynili jego prześladowcy. Potrząsnął głową, starając się zwalczyć pragnienie, by odwrócić się i rozedrzeć ich na strzępy. Zmuszał się do zachowania spokoju. Przemoc nie była potrzebna. Bestia, która zamieszkała z tyłu jego głowy mówiła mu coś przeciwnego. Ci ludzie byli głupcami i musieli umrzeć. To było ośmielało się go śledzić, co było obrazą. Ich właściwą rolą jest bycie ofiarami, a nie drapieżnikami, a on powinien pokazać im, jaki błąd popełnili.

Spowolnił krok. Siedzący go byli już pewni siebie. Nadchodzili nie zmieniając tempa. Dobrze znał to uczucie. Decyzja zapadła. Nadszedł czas, by zbliżyć się do ofiary. Czekał aż do ostatniej chwili, zanim odwrócił się, by zmierzyć się z nimi. Dwóch mężczyzn, tak jak się tego spodziewał, średniej masy ciała. Opatuleni w grube opończe. Jego bystre oczy dostrzegały każdy szew na łąkach ich ubrań. Mieli zdecydowane wyrazy twarzy. W ich dłoniach błyszczały długie noże. Nie mieli zamiaru okazywać litości. Zamierzali go zabić i zabrać cokolwiek miał przy sobie – a przynajmniej, mieli nadzieję, że tak się stanie.

Adolphus nie zadał sobie nawet trudu, by sięgać po miecz. Wiedział, że go nie potrzebuje. W porównaniu z nim, ludzie poruszali się ze straszną powolnością. Gdy pierwszy z napastników znalazł się dość blisko, Adolphus wyciągnął rękę, z łatwością wymijając niezdarny cios i złapał człowieka za gardło. Jeden gwałtowny ruch i kark nieszczęśnika pękł. Adolphus poczuł trząśnięcie kręgow pod swoimi palcami i zobaczył gasnące światło w oczach bandyty. Jego towarzysz nie zdążył jeszcze zorientować się, co się stało. Adolphus nie zamierzał dać mu na to czasu.

Postanowił, że pokaże temu głupiemu śmiertelnikowi, co znaczy prawdziwe przerażenie. Uderzył. Siła ciosu była tak wielka, że jego pięść przeniknęła ciało i wbiła się głęboko w brzuch człowieka. Adolphus poczuł wilgotną, oślizgłą tkankę wokół swojej dłoni. Z wprawą, jaką mogły zapewnić tylko długie wieki, pchnął i zacisnął palce. Coś młasnęło. Rozległ się dziwaczny, chlupoczący dźwięk, gdy wyszarpnął dłoń z cudzych wnętrzności.

Mężczyzna dopiero zaczynał krzyczeć, gdy Adolphus uniósł splachec mięsa do jego oczu.

Opryszek nie od razu zrozumiał, że patrzy na swoją własną wątrobę.

Strażnik mieszkał w niezbyt przyjemnym otoczeniu. Bez względu na zapewnienia Andrieva, który twierdził, że dobrze płaci swoim ochroniarzom, było jasne, że pieniądze nie szły na czynsz. Domostwo było stare. Szczury spoglądały błyszczącymi ślepiami na Felixa i Gotreka zbliżających się ulicą. Felix z niepokojem przypominał sobie spotkane w Nuln skaveny.

Drzwi otworzyły się na częściowo wyłamanych zawiasach. Rozległ się zgrzyt drzewna szorującego o kamień. Wewnątrz śmierdziało tanim olejem kuchennym i niedomytymi garami oraz zbyt licznymi ludźmi stłoczonymi w jednym miejscu. Felix przypuszczał, że lepiej było przed oblężeniem, zanim tak wielu ludzi straciło domy, ale nie był co do tego przekonany. Ten budynek wyglądał na miejsce zasiedlone już bardzo dawno temu.

W chwili, gdy weszli do środka, zdali sobie sprawę, że obserwują ich nie tylko gryzonie. Gapiła się na nich stara kobieta.

– Czego chceta? – zażądała odpowiedzi zachrypniętym, zdartym głosem, który przypominał skrzek papugi.

– Szukamy Henrika Glasserà, babciu. Macie jakieś pojęcie, gdzie możemy go znaleźć?

– Wam też wisi forse? I nie jestem twoją babcią!

– Nie. Chcemy tylko z nim pogadać.

– Nie wyglądacie na takich, co to przychodzą na spokojną pogawędkę, a Henrik też nie jest gadatliwy.

– Powiedz nam tylko, gdzie go znajdziemy, więdmo i skończ pyskówki – powiedział Gotrek. Jego głos zabrzmiał jeszcze groźniej niż zwykle. Stara kobieta miała najwyraźniej zamiar odpowiedzieć coś ciętego, ale spojrzenie na grubiańskie oblicze Zabójcy i jedno szalone oko przekonało ją, by tego nie robiła.

– Schodami na górę, pierwsze piętro. Drzwi po lewo – odpowiedziała i znikła w swoim kąciku pod schodami, zdecydowanie szybciej niż się stamtąd wywlokła. Felix usłyszał obrót klucza w zamku.

– Nie chcemy tu żadnych kłopotów – zaskrzeczała, kiedy drzwi za nią zamknęły się bezpiecznie. – To jest szacowny dom.

– A moja matka była trollicą – mruknął Gotrek. – Chodź, człeczyno, nie mamy całej nocy.

Felix ruszył po schodach. Dziesięć uderzeń serca później łomotał w drzwi Henrika Glasserà. Nie było odpowiedzi. Spojrzał na Zabójcę.

– Ktoś tam jest – stwierdził Gotrek. – Słyszę oddech.

Felix niczego nie słyszał, ale dawno już przekonał się, że uszy Zabójcy były znacznie czulsze niż jego.

– Otwieraj, Henrik! – krzyknął. – Wiemy, że tam jesteś.

Nadal żadnej odpowiedzi.

– Jeśli nie odpowiesz zanim doliczę do trzech, wyłamię drzwi – zagroził Gotrek. Felix nie usłyszał żadnego poruszenia. Zerknął na krasnoluda.

– Trzy – powiedział Zabójca i jego topór rozbił drzwi na szczapy.

– To nie było zbyt miłe – zauważył Felix przeskakując przez odrzwia.

– On nie zamierzał odpowiedzieć, człeczyno.

Smród uderzył Felixa w twarz, a potem wdarł się w jego nozdrza. Wnętrze cuchnęło brudnym ubraniem, niemytym ciałem i niedojedzoną żywnością, a także mnóstwem samogonu. Samotna świeca migotała na talerzu leżącym na połamanym stole pośrodku pokoju. Felix raczej usłyszał niż zauważył

kątem oka coś wyslizgującego się z jego pola widzenia. Gotrek już go minął i chwilę później przyciągnął do światła bladego, przerażonego mężczyznę.

– Czego chcecie ode mnie? Precz! Nic wam nie powiem – protestował.

– Przekonamy się – powiedział Gotrek. W jego głosie było tyle groźby, co w warknięciu wściekłego wilka.

– Chcemy tylko odpowiedzi na kilka pytań.

– Nie mam żadnych pieniędzy – mówił człowiek. – Powiedziałem to Ariemu i wam powiadam to samo. Może w następnym tygodniu. Może, gdy znajdę jakąś inną robotę. Nic wam nie da połamanie mi rąk. W ten sposób nigdy nie splącę Ariego.

– Nie jesteśmy od Ariego – powiedział Felix.

– Nie musicie mi grozić. Nie mam gotówki. Powiedzcie Ariemu, że złoto nie rośnie na drzewach, dobra?

– Nie jesteśmy od Ariego. Chcemy po prostu zadać ci kilka pytań.

– Nie jesteście od Ariego?

– Nie.

– Więc nie macie prawa rozwalać moich drzwi.

– A kto tak powiedział? – spytał Gotrek groźnym tonem.

Mężczyzna chciał chyba odpowiedzieć zaczepnie, ale zrezygnował z tego. Felix nie dziwił mu się. Zabójca potrafił wywrzeć bardziej zastraszające wrażenie niż stado rekinów.

– Przybывamy od twojego dawnego pracodawcy, hrabiego Andrieva. Pamiętasz go? – spytał Felix.

Zapytany skinął głową. Wyglądał na nieco posmutniałego. Być może nawet rozżalonego.

– Nie ja pracowałem dla hrabiego, tylko mój brat, Henrik.

– Nie jesteś Henrikiem Glasserem?

– Nie. Mam na imię Pauli. Henrik zniknął. Nie żebym go za to winił, wiecie. Zima jest ciężka, było obłęzenie i w ogóle. Pomyślałem sobie, że pewnie miał dość pracy dla tego starego szaleńca i zwiął z karawaną.

– O tej porze roku żadne karawany nie opuszczają Praag – powiedział Felix. – Ani żadne nie przyjeżdżają.

– Przyjeżdżają, tylko trzeba wiedzieć, gdzie ich szukać.

– Jak to? – spytał Felix. Miał wrażenie, że już domyśla się odpowiedzi.

– Przymyt zawsze jest dochodowy, szczególnie w takich czasach jak te, gdy naciskają książęcy poborcy podatkowi i w ogóle. Kapujecie?

– Nawet za dobrze.

Felix przypomniał sobie bezustanne narzekania jego ojca na poborców podatkowych w Altdorfie oraz fakt, że jego rodzic miał wiele powiązań ze szmuglerami. To był jeden z elementów, które pozwoliły spółce Jaegerów osiągnąć obecne rozmiary. Doskonale rozumiał jak to działa. Zawsze znaleźli się ludzie, którzy nie stronili od nieuczciwego zarobku nawet w czasie katastrofy.

– Myślisz, że twój brat uciekł z przemytnikami?

– A gdzie indziej może być? Mógłby jednak zostawić dla mnie stówko, zamiast uciekać cichaczem, zwalając mi na głowę niezapłacony czynsz i w ogóle. Nie sądzę, by to był dla was jakiś problem pożyczyc mi kilka srebrników, zanim dorwę jakąś robotę i...

Felix spojrzał na człowieka, nie mogąc uwierzyć w jego bezczelność.

– Jak dawno temu zniknął twój brat?

– Parę dni temu. A jeśli chodzi o to srebro... Jedna sztuka by wystarczyła.

– Jeszcze coś dziwnego w związku z jego zniknięciem? Nie licząc faktu, że odszedł bez słowa.

– W końcu będę musiał wymienić te drzwi. Stara Gerti bardzo się czepia takich spraw, a wy dwaj je rozwaliliście...

– To nie jest jedyna rzecz, jaką rozwalę, jeśli nie zaczniesz odpowiadać na pytania – powiedział Gotrek. Felix pomacał sakiewkę, jakby zamierzał zajrzeć do niej. Znał wartość metody marchewki i kija, gdy chodziło o wyciąganie odpowiedzi.

– Nie. Poza tym, że nie powiedział o odjeździe nawet swojej dziewczynie, Neli, a byli nierozłączni. Kilka razy przyszła pytać o niego i nie wierzyła, że nie wiem, gdzie on jest.

– Ja też ci nie wierzę – rzekł Gotrek. Podniósł ostrzegawczo swój topór.

– Nie trzeba tak robić. Powiedziałem wam wszystko, co wiem. Szczerze. Ulryk mi świadkiem, czemuż miałbym kłamać? Prawdę mówiąc, życzę wam szczęścia, byście znaleźli mojego brata. Jak go zobaczycie, przypomnijcie mu o jego części czynszu.

Felix spojrzał na Zabójcę. Był jasne, że myślą to samo. Tu nie dowiedzą się niczego więcej.

– To przypomina pogoń za wiatrem – stwierdził Felix, otulając się szczelniej płaszczem przed zimnem. Zabójca wpatrywał się w ciemność.

– Co ty powiesz, człeczyno?

– *Cóż*, przynajmniej wiemy, że ów Krieger, albo ktoś, kto się za niego podaje, rzeczywiście istnieje, a Andriev nie kłamał o zniknięciu swoich straży i domowego czarodzieja. Nie sądzę, byśmy musieli sprawdzać pozostałych. Jestem pewien, co znajdziemy. I nie sądzę, by Pauli kiedykolwiek znowu ujrzał swojego brata.

Zabójca ponownie skinął głową.

– No to wracamy do dworku.

Ruszyli przez noc i coraz głębszy śnieg.

Adolphus rozejrzał się po pokoju. Było ciepło. Wnętrze urządzone luksusowo. Osrik zawsze lubił zapewniać wygody sobie i swoim gościom. Adolphus wyczuwał zapach wina, świeżo przygotowanego jedzenia i krwi – mnóstwa ludzkiej krwi. Ciężkie brokatowe kurtyny zasłaniały okna zatrzymując zimno nocy. Na ścianach wisiały portrety szacownych przodków. Dywany były grube, a meble stare, wypolerowane i ciężkie. To miejsce zapewniało o bogactwie pozostałych jego mieszkańców. Spoglądali na niego zachwyconymi oczami.

Przywykł już do tego. Sam ich wybrał, tuż po dotarciu do miasta. Niektórych z nich znał z innych miejsc i innych czasów. Baronową Olgę poznał niemal dziesięć lat temu. Pił z jej żył w wonnym ogrodzie na ciepłym południu Bretonii i od tego czasu stała się jego dobrowolną niewolnicą. Znajdowała dla niego nowe ruchomości, przedstawiała go innym szlachcom, dbając, by jego sabat rósł w siłę i zwiększał swoje wpływy.

Dowiodła swojej wielkiej użyteczności, chociaż jej chudość i chorobliwe światło w oczach mówiły mu, że wkrótce zacznie gasnąć. Przebywanie zbyt długo na słońcu nie było dobre dla tych śmiertelnych. Pozostawanie w ścisłym związku z Przebudzonym przed czasem pozbawiało ich młodości i sił, jeśli w ogóle udało im się przetrwać pierwsze spotkanie.

To zresztą nie miało znaczenia. Zawsze istnieli inni, gotowi zająć jej miejsce. Panowie niezmiennie fascynowali swoje bydło. Nikt nie wiedział lepiej od Adolphusa, jak aura nieśmiertelności, władzy i piękna dotyka ich wszystkich. Sam był tym przyłoczony, gdy po raz pierwszy spotkał hrabinę całe stulecia temu, gdy go wybrała.

Wiedział, że oto właśnie chodzi – by stać się wybrańcem. Ci wszyscy bogaci i potężni ludzie,



obecni tego wieczora, mieli nadzieję, że któremuś z nich udzieli swojej łaski. Wszyscy wiedzieli, że jest to mało prawdopodobne, ale ta nadzieja pozwalała im żyć, motywowała ich, by czynili z ochotą wszystko, cokolwiek zechciał. Zresztą, nie mieli innego wyjścia. Wszystkich przywiązał do swej krwi i stworzył więź, którą mogli zerwać tylko najsilniejsi.

Spojrzał na nich ponownie. Wszyscy zebrani z radością poddali się jego woli. Tkwili w jego mocy i ochoczo uczynią wszystko, cokolwiek im każe. Odczuwał wobec nich pogardę, nic więcej. Byli powolni, głupi, chciwi, brzydki, tępi, bezmyślni. Odwrócili się plecami do powszechnie przyjętych zasad moralności, do wszystkich swych bogów i w ich miejsce wynieśli jego. To było wypisane na ich twarzach. Zastanawiał się, czy tak czuli się bogowie. Może byli jedynymi stworzeniami, poza Przebudzonymi, z którymi miał cokolwiek wspólnego. Może świat nie był podzielony na drapieżców i ofiary, jak zawsze sądził – może dzielili go czciciele oraz ci, których wyznawali.

Skąd brały się te myśli? Dlaczego teraz przychodziły mu do głowy? Nie miało znaczenia, kim byli ci ludzie, ani co im się wydawało. Teraz potrzebował ich tylko jako narzędzi. Podobnie jak wszyscy wyznawcy Przebudzonych, zapewniali pieniądze, najemników, pochlebstwa i krew. Tylko tyle byli warci.

Jeszcze raz się rozejrzał. Otaczali go szlachetnie urodzeni, mężczyźni i kobiety, którzy pragnęli nieśmiertelności, tak jak pijak pragnie napitku. Wszyscy byli bogaci i potężni, dlatego też ich wybrał, ale w tamtej chwili wyglądali jak grupa zdesperowanych dzieci marzących, by zostali obdarzeni łaskami nieczułego rodzica. Dobrze. Lubił utrzymywać ich w takim stanie.

Jedynym, który odróżniał się, był Roche. Jego zwalisty sługa stał z boku. Na gburowatej, pokrytej ospowatymi śladami twarzy błąkał się cyniczny uśmieszek. Palce silnej dłoni dusiciela przeplatały się w parodii modlitwy. Roche wiedział, co się dzieje. Roche widział już podobne sabaty i dzielił wobec nich pogardę swojego pana. Wiedział, że ma zapewnioną łaskawość mistrza, podobnie jak było z jego ojcem, a wcześniej z dziadkiem. Rodzina Roche'a służyła Adolphusowi od pokoleń. Pokładał w nich więcej zaufania niż wobec innych śmiertelnych. Dbali o jego sprawy wśród śmiertelników, strzegli krypty, gdy spał, prowadzili powóz podczas podróży za dnia, przemawiali w jego imieniu do bydła, gdy nie musiał być obecny. Roche był sługą, ale wiedział, że posiada więcej władzy niż wielu możnych panów i ta arogancja wyrażała się na jego twarzy. Adolphus nie miał nic przeciwko temu, dopóki Roche wiedział, kto jest prawdziwym panem. Może tego wieczora pozwoli Roche'owi wybrać jedną ze szlachcianek, aby spłodził swojego następcę. Ostatecznie Roche nie młodniał, jego krótko przycięte włosy były już metalicznie szare, a zmarszczki wokół oczu robiły się coraz głębsze. Adolphus wiedział, że życie jego sługi nie potrwa już długo. Śmiertelnicy żyli krótko jak jętki.

Adolphus przyglądał się swoim niewolnikom, zastanawiając, czy naprawdę są mu potrzebni. Pozbył się większości straży starego Andrieva, a zwłoki chciwego maga nie zostaną odnalezione przed nadejściem wiosennych odwilży. Stary człowiek odda mu talizman za oferowaną cenę, albo Adolphus wyciągnie artefakt z jego zimnych, martwych dłoni. W tej chwili ta druga opcja wydawała się odpowiedniejsza. Subtelność prowadziła donikąd. Stał się już zbyt widoczny. Jeśli hrabina lub któryś z jej agentów znaleźliby się w mieście, będzie dla nich aż nazbyt oczywiste, że obecny jest także inny Przebudzony.

Dostrzegął, że jeden z jego poddanych, tłusty kupiec Osrik, rozpaczliwie chce przemówić. Najwyraźniej wydawało mu się, że ma coś ważnego do powiedzenia. Pocierał swój podwójny podbródek i tłuste włosy, z żarliwym napięciem utkwivszy wzrok w Adolphusie. Ten zastanawiał się, czy pozwolić mężczyźnie cierpieć jeszcze trochę, ale zrezygnował z tego. Bóg nie powinien

zniżyć się do takich małostkowych gier.

– O co chodzi, Osrik? Zdaje się, że chcesz coś powiedzieć.

– Tak, mistrzu, mam wam do przekazania ważne wieści.

Zignorował spojrzenia reszty sabatu, którego pozostali członkowie równie desperacko pragnęli zwrócić na siebie uwagę Adolphusa. W jego umyśle pojawił się obraz sułtana odwiedzającego swój harem. Nie podobało mu się to porównanie.

– A zatem, mów, podziel się z nami tymi rewelacjami – powiedział Adolphus kpiącym tonem.

Sabat uśmiechnął się, słysząc ten ton. Zawsze byli gotowi schlebiać swojemu panu.

– Jak wiesz, mistrzu, moi agenci obserwują dom starego hrabiego Andrieva dzień i noc.

– To właśnie nakazałem.

– Staruszek miał gości.

Gdyby serce Adolphusa nadal biło, w tej chwili zamarłoby na chwilę. Natychmiast uznał, że to hrabina albo inny agent rady odkryli jego zamiary.

– Kto to był? – spytał spokojnie. Miał za sobą stulecia doświadczenia w ukrywaniu emocji, a w obliczu bydlą nie było dobrze okazywać jakiegokolwiek niepokoju.

– Wezwał pomoc. Maga i dwóch krasnoludzkich Zabójców, a także parę wojowników.

Adolphus pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech satysfakcji. To nie wyglądało na agentów, których mogła użyć hrabina. Krasnoludy prawie nigdy nie stanowiły części jakiegokolwiek sabatu. W ich krwi było coś, co odpychało większość Przebudzonych.

– To nie wydaje się być dużym problemem, Osrik.

– Mag jest bardzo potężny, mistrzu, jest doradcą księcia. Poczyłem badania i dowiedziałem się kilku rzeczy o nim. Zwie się Maximilian Schreiber. Słynie z rzucania zaklęć ochronnych. Był ekspertem od tych spraw u hrabiego elektora Middenheimu i został zatrudniony przez księcia Praag w podobnej roli. Ze wszech miar to groźny mag.

To brzmiało mniej obiecująco. Adolphus lękał się niewielu śmiertelników, ale pierwszorzędni magowie zawsze zmuszali do ostrożności. Gdyby dać im dość czasu na rzucenie zaklęć, mogli stanowić zagrożenie nawet dla jednego z Przebudzonych. Najwyraźniej staruch nie zamierzał poddać się bez walki.

Szaleństwo zaczajone w głębi umysłu Adolphusa powitało te wieści z radością: więcej śmierci, więcej krwi, więcej zabijania. Musiał opanować ochotę, by obnażyć swe kły.

– Wierzę, że potrafię pokonać w pojedynkę każdego maga.

– Zabójcy także są groźni.

Uśmiech wykrzywił oblicze Adolphusa. Nie obawiał się śmiertelnych wojowników.

– Nie sądzę, byśmy musieli się nimi kłopotać – powiedział z pewnością siebie. Ku swojemu zaskoczeniu zauważył, że Osrik wyglądał na zmieszanego, prawie jakby chciał zaprzeczyć Adolphusowi. To było niezwykle dla członka sabatu. Miał zamiar rozproszyć wątpliwości tłustego kupca, ale powstrzyma! go przed tym jakiś instynkt.

– Widzę, że coś cię gnębi, Osrik. Może nam powiesz, co takiego?

Grubas westchnął. Jego wydęte policzki zatrzęśły się.

– Jeden z Zabójców to Gotrek Gurnisson. Spotkałem go kiedyś na murach miasta, przed oblężeniem. Jest przerażający.

Adolphusa zaciekawiło, że Osrik opisał tego Gotreka Gurnissona jako przerażającego. W końcu Osrik był członkiem sabatu i spotkał jednego z Przebudzonych. Po takim przeżyciu śmiertelnych mogło poruszyć niewiele rzeczy. Ten Zabójca mógł istotnie okazać się kłopotliwy. Jego sława dotarła nawet do uszu Adolphusa. Krasnolud stał się dość sławny podczas oblężenia. Podobno był w

posiadaniu magicznego topora i zabił wodza Chaosu, Areka Pazura Demona. W krytycznym momencie oblężenia zebrał obrońców na murach i ponoć zniszczył wielkie demoniczne maszyny oblężnicze. Adolphus podczas nawały bitewnej tkwił pogrążony w głębokiej drzemce, a zatem nie mógł zobaczyć tego osobiście.

Potarł czoło. W przeszłości, podczas bitwy opodal Bagna Hel, zdarzały mu się niedobre doświadczenia z bronią pokrytą krasnoludzkimi runami. Wiedział, że taka broń może go zranić, a jak słyszał, Zabójca bardzo zręcznie władał swoim toporem. Mimo to wątpił, by stanowiło to zbyt wielkie zagrożenie, jednak lepiej było nie ignorować takiej możliwości.

– Dobrze uczyniłeś, Osrik. Jesteś bardzo dociekliwy. Kim są pozostali najemnicy, których zatrudnił staruszek?

– Z całym szacunkiem, mistrzu, oni nie są najemnikami. Jedno z nich to szlachcianka, Ulrika Magdova, córka bojara kresowego Ivana Petrovicha Straghova i daleka krewna hrabiego Andrieva. Drugi Zabójca to niejaki Snorri Gryzonos, krasnolud o wielkiej sile. Ostatni, to Felix Jaeger, szermierz i towarzysz Gotreka Gurnissona. On także odegrał znaczną rolę podczas oblężenia miasta i cieszy się łaską księcia.

Adolphus pomyślał, że brzmiało to coraz gorzej. Zupełnie jakby stare moce uparły się, by go powstrzymać. Jeśli hrabia zwrócił się do ojca Ulriki, to mógł mieć do swojej dyspozycji małą armię wojaków. Adolphus wystarczająco dobrze znał politykę Kislewczyków, aby wiedzieć, że bojar kresowy cieszy się posłuchem carycy, a skoro pozostali mieli posłuch u księcia, może powstać przeciw niemu groźne sprzysiężenie. W dużej liczbie nawet by było bywało niebezpieczne. Co gorsza, jeśli ów Max Schreiber był kompetentnym czarodziejem, a ze wszech miar takim się wydawał, wówczas mógł przejrzeć prawdziwą naturę talizmanu i zawładnąć jego mocą.

Adolphus warknął, a cały sabat zadrżał i zbladł. Zorientował się, że nieświadomie wysunął swoje kły z dziąseł. To nie był widok, na który większość śmiertelników potrafiłaby patrzeć spokojnie. Wydarzenia wymykały się spod kontroli. Przez cały czas martwił się, że hrabina i rada odkryją jego plany, a teraz okazało się, że dał się zaślepić przez głupiego, starego szaleńca. Wiedział, że musi działać szybko. Nie miał już czasu do stracenia. Nawet jeśli będzie to oznaczało odkrycie swojej obecności jakimkolwiek Przebudzonemu w mieście, musi działać i to pośpiesznie, zanim śmiertelnicy zdążą zebrać siły przeciwko niemu.

Spędził zbyt wiele czasu śledząc talizman, by dać się teraz powstrzymać. Był Księciem Nocy. Wypełnił Proroctwa Nosferatusa. Jeśli ktokolwiek stanie mu teraz na drodze, będzie musiał umrzeć.

Zaczął wydawać rozkazy sabatowi. Wiedział, że dzięki ich pomocy szybko zbierze małą armię najemników. Wyglądało na to, iż będzie ich potrzebował.

Ulrika spojrzała na Maxa. Martwiła się. Kilka godzin temu czarodziej krzyknął i spadł z krzesła, na którym siedział. Dziwny talizman leżał w pobliżu jego dłoni. Ulrika upewniła się, że Max nadal oddycha, a jego serce bije, chociaż wolno, ale nie potrafiła go w żaden sposób obudzić. Posłała po medyka, ale przybyły też nic nie poradził. Teraz Max leżał nieprzytomny na podłodze krypty. Nie wyglądało na to, by obudził się zbyt szybko.

Ulrika czuła się bezradna, a to uczucie nie podobało się jej. Była wdzięczna Maxowi Schreiberowi za to, że uratował ją od zarazy i nie wiedziała, jak spłacić ten dług. Wydawało się, że nic nie może zrobić. Aby ożywić Maxa, potrzebny był inny czarodziej albo kapłan. Zastanawiała się, czy nie powinna poprosić o pomoc w świątyni Shallyi lub u księcia. Zaczęła żałować, że w ogóle wzięła udział w tej dziwnej sprawie. Mogła po prostu zignorować wiadomość od Andrieva. Była w końcu tylko daleką kuzynką ze strony matki. Ledwo pamiętała, jak ojciec wspominał o nim gdy

dorastała, a wówczas czynił to z mieszaniną żalości i pogardy. Jej ojciec był wojownikiem i nie interesowało go nic poza końmi, bitwą i doglądaniem swoich włości. Pasja Andrieva wydawała mu się czymś dziecięcym i niemejskim. Ulrika potrząsnęła głową. To było dobre podsumowanie stosunków panujących między kresową szlachtą Kisleva, a mieszkańcami miasta. Większość żyjących na prowincji uważało swoich miejskich krajan za dekadentów i rozpustników. Większość mieszczuchów postrzegała szlachtę kresową jako niewiele lepszą od barbarzyńców. Ulrika rozumiała, że oba punkty widzenia kryją trochę prawdy, a potem skupiła uwagę na sprawach bieżących. Wiedziała jednak, że po prostu usiłuje o nich zapomnieć.

Snorri Gryzonos popatrzył na nią. Jego grubiańskie oczy zdradzały zaniepokojenie.

– Snorri myśli, że Maxowi nie poprawia się – powiedział Snorri. – Oczywiście, Snorri nie jest medykiem.

Ulrika próbowała uśmiechnąć się do Zabójcy. Snorri był głupi, ale miał dobre serce i okazał się dobrym kompanem podczas wielu szalonych przygód. Nie zasługiwał, by w tej chwili stać się ofiarą jej ciętego języka, bez względu na to, jak wielką ochotę chciała mu przygadać. Zastanawiała się, kiedy wróci Felix. Może on miałby jakiś pomysł, co robić. Był zmyślnym człowiekiem. Zbyt zmyślnym, jak dla niej. A do tego często wywyższał się, choć był synem zwykłego kupca. Teraz nie była pewna, co w nim zobaczyła. Nadal jednak na myśl o nim ogarniał ją gniew. W tej jednak chwili usłyszała odgłos kołatania do drzwi.

Po kilku chwilach Felix i Gotrek znaleźli się w komnacie.

– Co mu się stało? – spytał Gotrek, wyciągając kciuk w stronę Maxa. Ulrika opowiedziała wszystko. Felix przyjrzał się uważnie nieprzytomnemu, a potem spojrzał na nią.

– Gdzie jest talizman? – zapytał. Vi – Tylko to cię obchodzi?

– Nie, ale jeśli wezwiemy innego maga, by rzucił okiem na Maxa, mógłby zechcieć zbadać także artefakt.

– Właśnie badanie tej rzeczy zrobiło to Maxowi – powiedziała.

– Jesteś pewna?

– Możliwe, że przeżył atak serca dokładnie w chwili, gdy badał to coś, ale wolę zakładać, iż te dwie sprawy są powiązane – odpowiedziała.

– Nie musisz ironizować.

Spojrzała na niego gniewnie. Czasami potrafił być tak denerwujący.

– Czy sądzisz, że wezwanie innego maga to dobry pomysł?

– Nie potrafię wymyślić nic lepszego, chyba że wezwiemy uzdrowiciela albo przeniesiemy go do świątyni.

– No to lepiej poślijmy po medyka.

– Medyk zażąda datku na świątynię. Prawie zawsze to robią.

Andriev spojrzał na nich.

– Ja zapłacę. W końcu to stało się, gdy ten człowiek był na moich usługach.

W tej chwili coś trzasnęło na górze.

– Co to było? – spytała Ulrika.

– Dla mnie to zabrzmiało, jakby ktoś wyłamywał drzwi – powiedział Gotrek.

Felix nie wątpił, że Zabójca ma rację, jak zwykle w takich przypadkach.

– Snorri myśli, że powinniśmy tam pójść i rozbić parę łbów – zaproponował Snorri Gryzonos. Gotrek warknął, wyrażając zgodę i obaj Zabójcy pomknęli po schodach. Felix popatrzył za nimi, a potem rozejrzał się po otwartej komorze. Zatrzymał wzrok na leżącej postaci Maxa.

– Snorri nie jest mistrzem strategii – zauważył Felix. – Mieliśmy strzec tego miejsca.

– Czasami najlepszą obroną jest atak – stwierdziła Ulrika. – Biegnij im pomóc! Ja tu zostanę z Maxem i zadbam, by nikt nie dostał się do komory.

Felix dostrzegł determinację i pewien sens jej słów. Jeśli uda się zatrzymać napastników zanim tu dotrą – tym lepiej. Felix spojrzał na Andrieva. Nie wątpił, by Snorri Gryzonos i Gotrek byli zdolni powstrzymać cokolwiek mniej licznego od małej armii.

– Czy kryptę można otworzyć od wewnątrz?

– Ahem – tak. To możliwe. Tu jest ukryta dźwignia.

Dobrze, pomyślał Felix.

– Zamknę za sobą drzwi. Jeśli nie wrócimy w ciągu godziny, sami postanówcie, co robić dalej.

Biegając po schodach zastanawiał się, na jak długo wystarczy powietrza w zapieczętowanej komorze. Miał nadzieję, że wystarczająco długo.

Przed sobą słyszał walkę. Rozpoznawał okrzyki bojowe obu Zabójców i odgłosy wydawane przez broń uderzającą w ciało, po których następowały okrzyki bólu.

Wyglądało na to, że krasnoludy wykonują pracę, za którą im płacono. Nadszedł czas, by Felix uczynił to samo.

Miecz w jego dłoni wydawał się lekki. Serce łomotało. Nie był zbyt przestraszony, raczej odrobinę osłabiony. Wszystko wydawało się dziać nieco wolniej niż normalnie. Felix znał te oznaki. Zawsze tak bywało zanim ruszył do akcji.

Wypadł do atrium i jednym rzutem oka ogarnął całą scenę. Śnieg i zimne powietrze nocy wiało przez drzwi chyboczące się na zawiasach. Gromada opatulonych w płaszcze ludzi uzbrojonych w miecze i sztylety wiązała walką obu Zabójców. Wszędzie leżeli służący i zbrojni zbrukani własną krwią. Najwyraźniej najeźdźcy szlachtowali wszystkich jak popadnie.

A jednak przewaga odwróciła się od nich. Gotrek wbił się w intruzów niczym rozwścieczony byk. Jego topór pozostawiał za sobą skrwawione ciała i uderzał gęsto, poruszając się niemal zbyt szybko dla ludzkiego oka. Felix zobaczył, jak Zabójca powala dwóch kolejnych napastników i nurkuje głową naprzód w skupisko ludzi usiłujących przedrzeć się przez drzwi.

Snorri był nie mniej niebezpieczny. W jednej dłoni trzymał swój topór o szerokim ostrzu, a w drugiej ciężki młot bojowy. Władał oboma broniami z niezwykłą zręcznością, uderzając nimi niemal jednocześnie. Wirował jak opętany derwisz w obliczu wroga. Gdy tylko jeden z okutanych w płaszcze ludzi pada! pod gradem ciosów, Snorri przeskakiwał nad jego trupem, aby dorwać następnego. Przez cały czas na jego ustach igrał idiotyczny uśmiezek zadowolenia, a od czasu do czasu z głębi potężnej piersi dobywały się szalone porykiwania radości.

Felix widział, jak coraz więcej ludzi dostaje się do sali przez inne wejścia. Byli tu wcześniej, urządzając rzeź służącym, albo wchodzili przez okna. Felix wolał nie myśleć, co to mogło znaczyć. Kimkolwiek był człowiek, który pragnął talizmanu, sprowadził ze sobą małą armię. To nie była pokrzepiająca myśl. Felix krzyknął zaczepnie i popędził, by przyłączyć się do walki.

Ciekaw był, czy gdzieś wśród tej masy walczących nie znajduje się tajemniczy nieznajomy. Szczerze mówiąc, Felix nie pragnął zbyt wiele spotkania z nim.

Adolphus Krieger przemykał się cichaczem po domu. To było miejsce, które mógłby polubić. Każdy kąt pełen był ciekawostek i artefaktów z dawniejszych czasów. Adolphus rozpoznawał wazy, które musiały opuścić piec garncarza jeszcze przed jego przebudzeniem. Niektóre gobeliny na ścianach zostały utkane, gdy był dziecięciem. To prawie wywoływało w nim nostalgię. Prawie.

Za sobą słyszał odgłosy walki. Wyglądało na to, że służbie sabatu udało się w odpowiedni sposób odwrócić uwagę domowników. Może uda im się nawet pokonać strażników dworu. Adolphus wątpił w to jednak. Być może dzięki jego pomocy mieliby szansę, ale byli zdani sami na siebie. Bestia,

która czyhała w głębi jego umysłu, chciała, by tam wrócił, by darł ciała na strzępy i pił krew, ale nie zamierzał się jej poddawać. Po co ryzykować swoje trwające od stuleci życie, jeśli nie było takiej potrzeby? Zapewne udałoby mu się pokonać krasnoludy, ale po co próbować, skoro istniała choćby jedna szansa na tysiąc, że one zwyciężą?

Jeżeli wystarczająco często podejmuje się nawet tak znikome ryzyko, wówczas jedna z prób musi skończyć się tragicznie. W konsekwencji takiego rozumowania unikat tego, gdy tylko mógł i niewątpliwie dzięki temu przeżył tak długo, podczas kiedy inni z jego rodzaju gaśli jak ogarki świec. Nie – jeśli będzie to absolutnie konieczne, wówczas zmierzy się z krasnoludem i zabije go, ale nie miało sensu kusić losu. Pomimo tej myśli musiał wyteńczyć całą siłę woli, by nie pobiec do walczących, tam gdzie lała się krew.

Poruszając się tak cicho, że zapewne nawet kot by go nie usłyszał, Adolphus zakradał się w głąb dworku. Mag Benedykt, przed swoim nieszczęsnym końcem, wyjawiał mu szczegółowy opis wnętrza i sporządził jego prowizoryczny plan. Adolphus posiadał niemal doskonałą pamięć Przebudzonego, co w połączeniu z przeszywającym mrokiem wzrokiem pozwalało mu bez trudu znajdować drogę wśród cienistych korytarzy.

Ogarnęło go uczucie ulgi, gdy oddalił się od walczących, a żądza zabijania nieco zmaląła. Wszedł do tej części dworku, którą strzegły czarodziejskie zabezpieczenia. Otworzył swoje magiczne zmysły na przepływ energii wokół siebie. Nie dostrzegał żadnych magicznych pułapek, tylko zaklęcia ochrony i blokady, sploty energii, które miały uniemożliwić przeniknięcie do tego miejsca czarom jasnowidzenia, a także zabezpieczenia mające negować bezpośrednie ataki magiczne. Ktokolwiek rzucił te zaklęcia, znalazł się na swojej robocie, ale nie przesadził z używaniem szkodliwych energii magicznych, podobnie jak budowniczcy komory nie zostawili żadnych pułapek fizycznych, takich jak zapadnie.

Adolphus rozumiał to. Z pewnością istnieli osobnicy wystarczająco paranoidalni, by zapewniać sobie i takie środki ochrony, ale należeli do mniejszości. W końcu kto chciałby mieszkać w budynku, w którym najmniejszy fałszywy krok mógł skończyć się wpadnięciem do jamy lub uderzeniem ognistego pocisku? Pomimo zapewnień magów o ich przeczności, takie rzeczy zdarzały się. A gdy się już zdarzyły, zazwyczaj ofiary nie były w stanie skarżyć się na to.

Adolphus zmazał uśmiech ze swoich ust. Dokonywał założeń, które mogły okazać się zgubne. Nie wiedział na pewno, czy w tym przypadku tak jest w istocie. Możliwe było, że mag, który zakładał te zabezpieczenia był lepszym czarodziejem od niego, a Adolphus po prostu nie potrafi zauważyć pułapek. Najlepiej będzie posuwać się naprzód z największą ostrożnością, dopóki nie będzie jasne, jak jest naprawdę.

Był u szczytu schodów na piętro. Wiedział, że prowadzą w dół do piwnic i komór. Zatrzymał się na chwilę i pozwolił sobie na krótkie rozsmakowanie w oczekiwaniu. Był już blisko, tak blisko, że prawie czuł obecność swojego celu. Rzecz, której szukał tak długo i z takim trudem, była już prawie w zasięgu jego ręki, a wraz z nią czekała władza, o której żaden z Przebudzonych nie marzył od czasów Wampirycznych Hrabów. To on wypełni prorocтва Księgi Cieni oraz Grimuaru Necronium. Z pewnością nadszedł już czas. Armie Chaosu maszerowały, stary porządek dobiegał końca, a nowy świat zrodzi się w ogniu i krwi. Przede wszystkim we krwi. On stanie się Królem Nocy, a jego władanie będzie wieczne, mroczne i pełne jadowitego piękna.

Potrząsnął głową. Takie dumanie nie przybliżało go do celu. Nadszedł czas, by pokonać kilka ostatnich kroków, które doprowadzą go do ostatecznej chwały.

Felix obejrzał pozostałości bitwy. Wokół nich leżały zebrane w stosy ciała zabitych. Krew, jaką

byli opryskani Gotrek i Snorri, nadawała im wygląd rzeźników. Felix domyślał się, że sam nie wygląda dużo lepiej. Nie cała krew należała do jego przeciwników. Miał pół tuzina ran i stłuczeń, chociaż nie sądził, by któreś z nich było poważne.

– Ledwo warci walki – mruknął Gotrek. – To byli kiepscy wojownicy, nawet jak na ludzi.

– Snorri zabijał twardsze karaluchy – zgodził się z niesmakiem Snorri Gryzonos. – Snorri zmiążdżył kiedyś mrówkę, która biła się lepiej. Miała paskudne, jadowite żądło.

Felix nie do końca zgadzał się z Zabójcami co do oceny wrogów. Kilkakrotnie byli bliscy przytłoczenia go samą masą, a ból dowodził, że ta walka była wystarczająco niebezpieczna. A jednak krasnoludy miały sporo racji. Ci ludzie nie walczyli tak dobrze, jak wielu innych przeciwników, jakich spotkał. Nie chodziło tylko o to, że byli kiepskimi wojownikami, to było coś więcej. Walczyli jak lunacy. Mieli spowolnione reakcje i zachowywali się, jakby nie dbali o to czy przeżyją, czy nie. Ich bloki i pchnięcia wydawały się czysto mechaniczne. Uderzyła go pewna myśl.

– Walczyli jak ludzie pod wpływem zaklęcia – powiedział.

– Może to było zaklęcie zmieniające w bardzo złych wojowników – rzekł Snorri Gryzonos.

– Myślę, że masz rację, człeczyno – powiedział Gotrek. – Nawet ludzie zwykle nie są tacy niemrawi. Oni walczyli jakby byli niespełna rozumu.

– To nigdy nie powstrzymało Snorriego od dobrej walki – zauważył Snorri. Sądząc po rozdrażnionym głosie, można by było pomyśleć, że ci ludzie oszukali go o miedzianego pensa. W oczywisty sposób nadal był rozczarowany lichą jakością przeciwników, z jakimi się zmierzyli.

Felix zignorował go. Jego umysł pędził już naprzód, wyszukując powodów takiego rozwoju wydarzeń. Ten Adolphus Krieger był magiem jakiegoś rodzaju, a ci ludzie zapewne pozostawali w jego mocy. Pytanie brzmiało, dlaczego wysłał ich do ataku właśnie teraz. Odpowiedź była oczywista.

– To dywersja – powiedział Felix. – Mag nadal jest w budynku.

Wymienił spojrzenia z Gotrekiem.

– Komora – rzucili jednocześnie.

Adolphus stał przed wejściem do schronu. Drzwi były wielkie, bardzo mocne i zapewne mogły powstrzymać grupę ludzi wyposażonych w taran. Zresztą i tak nie było miejsca, by się z nim rozpędzić w tych korytarzach. Na odrzwiach umieszczono kilka silnych zaklęć mających neutralizować czary otwierające drzwi i zamki. Adolphus wątpił, by udało mu się je przełamać za pomocą magii. Jako mag posiadał wielką wiedzę, ale nie władał szczególnie dużą mocą. Hrabina, na przykład, była znacznie silniejsza. To się zmieni, gdy zdobędzie talizman.

W tych okolicznościach nie musiał być wielkim magiem. Sprytnie ukryte, zbudowane przez krasnoludy płyty naciskowe, umknęłyby większości oczu, ale nie jego. Miał o wiele bystrzejszy wzrok w ciemnościach niż jakiegokolwiek człowiek. Nawet cienkie jak włos krawędzie, zręcznie wpasowane w kamienne rzeźbienia, były dla niego widoczne tak wyraźnie, jak brzegi kamiennej płyty podłogowej dla śmiertelnika.

Wyciągnął sztylet i wsunął jego ostrze w najbliższą wąską szczelinę. Usłyszał ciche trzaśnięcie i kamień odsunął się ujawniając płytę naciskową. Wcisnął ją i rozległo się kolejne trzaśnięcie, które powiedziało mu, że wrota są częściowo otwarte. Powtórzył ten proces po drugiej stronie drzwi. Pozostał tylko główny zamek u drzwi. Na szczęście na to też miał gotowe rozwiązanie. Poczył przygotowania z dużą przezornością.

Sięgając za kamizelę delikatnie wyciągnął dwa pojemniki, które napełnił wcześniej. Uśmiechnął się. Może nie był największym z czarnoksiężników, ale jego wiedza alchemiczna była znaczna i udoskonalona poprzez długie stulecia. Gdy zawartości obu pojemników zostaną wymieszane, stworzą

silny kwas zdolny do przeżerania się w krótkim czasie przez dowolne metale.

Ostrożnie upuścił kilka kropel płynu wokół zamka. Gdy zielony płyn połączył się z czerwonym, uniosł się żrący, chemiczny opar. Rozległo się syczenie i bulgotanie, a metal zamka zaczął rozpuszczać się jak śnieg pod szczykami żołnierza.

Już za chwilę talizman znajdzie się w jego garści.

– Co to było? – zapytał nerwowo Andriev.

Ulrika uniosła wzrok. Ona także usłyszała dziwne bulgotanie. Kilka chwil wcześniej oboje usłyszeli ciche szczęknięcia, jakby ktoś majstrował z zamkami. Mogła mieć tylko nadzieję, że to wracali Felix i pozostali. A jednak nie sądziła, by tak było.

– Nie wiem – powiedziała.

Do jej nozdrzy dotarł słaby smród, jakby trujących chemikaliów. Przypominał odór alchemicznego ognia, ale to było coś innego. Jeszcze raz pociągnęła nosem. Smród dochodził od strony drzwi. Wydawało się jej, że słyszy także ciche syczenie.

– Ktoś jest na zewnątrz. Myślę, że próbują dostać się do środka – powiedziała unosząc miecz w pozycji obronnej. Andriev mocniej zacisnął palce na swojej broni. Patrzyli na drzwi, które zaczęły wyginać się do wnętrza, jakby poddane sile tak powolnej i niepowstrzymanej, jak napór lodowca.

– Cokolwiek tani jest, to nie człowiek – odezwał się Andriev.

Ulrika zadrżała. Zbyt dobrze pamiętała opowieści Felixa o demonach. Cóż takiego posłał Adolphus Krieger, by zabrać talizman?

Uważnie unikając miejsca, gdzie kwas nadal się pienił, Adolphus wyteżył swoje siły. Był znacznie silniejszy od jakiegokolwiek człowieka i wiedział, że za kilka chwil osłabione drzwi ustąpią. Mógł po prostu poczekać, aż kwas wykona swoją pracę, ale czuł, że zaczyna brakować mu czasu. Odgłosy walki za nim przycichły. To mogło oznaczać, że jego sługom udało się zabić obrońców, ale jakoś w to wątpił. Bardziej prawdopodobne było, że Zabójcy ruszyli po niego. Nie zamierzał teraz ryzykować walki, jeśli mógł tego uniknąć będąc tak blisko swojego celu.

Słyszał głosy za drzwiami. Jeden z nich należał do Andrieva, drugi do młodej kobiety. Nie powstrzymają go zbyt długo.

Felix pędził przez dom zastanawiając się, czy to co robi jest mądre. Miał dłuższe nogi niż krasnoludy i był o wiele szybszym biegaczem, więc wyprzedził ich dość znacznie. A jeśli w domu było więcej zaklętych wojowników? A jeśli wpadnie na samego maga? O ile nie uda mu się go zaskoczyć, to będzie zapewne fatalne spotkanie. Nie miał złudzeń co do wyniku zmagania z kompetentnym czarnoksiężnikiem.

Z drugiej strony, Ulrika była w niebezpieczeństwie i pomimo tego, co się między nimi działo, nie chciał, by stała się jej jakaś krzywda. Mogła być arogancką, zadufaną w sobie, niestałą w uczuciach, zagubioną snobką, ale nie chciał zobaczyć jej martwej. Prawdę mówiąc, dziwiła go intensywność własnych uczuć, gdy wiedział, że znalazła się w niebezpieczeństwie. Pomyślał z goryczą, że najwidoczniej nie wszystko jeszcze wygasło w jego sercu.

Dotarł na szczyt schodów i zatrzymał się. Z dołu dobiegł go zgrzyt torturowanego metalu. Zabrzmiało to jakby wejście do komory zostało rozbite z niesamowitą siłą. Wmawiał sobie, że to było niemożliwe – do tego potrzebna była machina obłącznicza. Ale człowiek na dole był magiem. Któż wiedział do czego jest zdolny? Może zaklęcia utkane wokół komory nie były tak silne, jak twierdził Max, a może mag był o wiele potężniejszy niż się tego spodziewali. To nie była



pokrzepiająca myśl.

Nasłuchiwał, próbując wyłapać jakiś inny odgłos. Miał nadzieję, że usłyszy zbliżających się Gotreka i Snorriego Gryzonosa, ale tak się nie stało. Nie słyszał stukotu o kamień ich obutych stóp. Usłyszał niewyraźny głos Ulriki wykrzykującej coś zapalczywie oraz pomruk odpowiedzi zbyt niski, by go rozpoznać. A potem na dole zapanowała złowieszcza cisza.

Chciał już tam zejść i dowiedzieć się choćby najgorszej prawdy. Niechętnie stąpał po schodach myśląc, że może to Gotrek napisze opowieść o jego heroicznej śmierci.

Ulrika widziała drzwi eksplodujące do środka. Kamień zazgrzytał o kamień. Spodziewała się zobaczyć gromadę wojowników uzbrojonych w przenośny taran, albo maga otoczonego żarzącym się lśnieniem mocy. Zamiast tego ujrzała wysokiego, dumnie wyglądającego mężczyznę odzianego w modne ubranie. U jego boku wisiał długi miecz w pochwie. Nieznajomy poruszał się z osobliwą gracją, która bardziej pasowała do akrobaty niż do maga. Spojrzał na nią, ale nie wykonał żadnego groźnego ruchu.

– Jeśli potrafisz użyć tego miecza, magu, sugeruję, byś to zrobił. Nienawidzę zabijając nieuzbrojonych ludzi.

Ku jej zaskoczeniu uśmiechnął się, pokazując olśniewająco białe zęby. Przeszywał ją spojrzeniem ciemnych oczu.

Ulrika pomyślała, że przybysz jest bardzo przystojnym mężczyzną, niemal pięknym. Otaczała go aura władzy, której mógłby pozazdrościć nawet car.

– A ja nienawidzę, zabijać tak pięknych, młodych kobiet – powiedział przyjemnym głosem. Mógł pochodzić z Imperium, ale w jego głosie słychać było lekką nutę obcego akcentu. Gdyby musiała zgadywać, powiedziałaaby, że był bretoński.

– Nie lękam się twojej magii, czarowniku – rzuciła i była dumna z siebie, że udało się jej zachować spokój w głosie. Coś w zachowaniu tego człowieka mówiło jej, że może tu zginąć. Zaśmiał się – to był dziwny, aksamitny śmiech.

– A więc myślisz, że nim jestem?

– A kimże innym możesz być?

– Kimś poza twoją zdolnością pojmowania – odpowiedział.

Adolphus rozpoznawał kobietę, którą zobaczył tamtej nocy „Pod Białym Dzikim”. Przypominał sobie także nieprzytomnego człowieka leżącego tuż obok. Jakiż ten świat mały, pomyślał. Z drugiej strony, Praag było małym miastem, a niewiele karczm pozostało otwartych po zniszczeniach odniesionych podczas oblężenia. Ponownie poczuł falę zainteresowania nieznajomą.

Z pewnością była piękna i dobrze się trzymała. Znajdował coś tkliwego w jej odwadze w obliczu oczywistego zagrożenia. Żałował, że nie ma czasu, by z nią porozmawiać, ale zmarnował go już zbyt wiele. Dostrzegając to, po co przyszedł. Leżało na stole za nieruchomą postacią mężczyzny w stroju czarodzieja.

Adolphus widział, że ten człowiek jeszcze żyje, ale życie pulsowało w nim tak słabo, że zbyt szybko nie dojdzie do siebie, jeśli w ogóle. A zatem, nie było niebezpieczeństwa z tej strony.

Między nim a talizmanem stali teraz tylko młoda kobieta i stary mężczyzna. Nie musiał nawet wyciągać na nich swojego miecza.

Na schodach z tyłu rozległ się odgłos kroków człowieka, który usiłował poruszać się cicho. Śmiertelnik mógłby go nie usłyszeć, ale Adolphus potrafił określić położenie człowieka słysząc sam jego oddech, nie mówiąc o cichym szuraniu skóry butów o kamienie. Uśmiechnął się. Pojedynczy

człowiek również nie stanowił dla niego zagrożenia.

– Odsuńcie się od talizmanu, a pozwolę wam żyć – powiedział cicho do dziewczyny. – Jeśli mi przeszkodzicie, niechybnie zginiecie, a to nie będzie dla mnie żadna przyjemność.

Kobieta rzuciła się na niego z zaskakującą prędkością. Najwyraźniej była wprawiona we władaniu swoim długim mieczem. Adolphus z łatwością ustąpił na bok. Była szybka jak na śmiertelnika, ale w porównaniu z nim poruszała się niczym artretyczna kaleka. Gdy ruszyła na niego, starzec sięgnął po talizman. Adolphus nie zamierzał na to pozwolić.

Wydłużył swój krok i dotarł do talizmanu w tej samej chwili, co stary człowiek. Szybkie uderzenie otwartą dłonią rzuciło Andrieva na przeciwległą ścianę. Rozległo się okropne chrupnięcie i nieszczęśnik osunął się na podłogę. Krew załata jego rozbitą głowę. Uczucie triumfu ogarnęło Adolphusa, gdy podnosił amulet.

Był rozczarowany nie czując fali mocy, ani potężnego uderzenia magicznej energii. Nie rozległ się grzmot. Nie błysnęły pioruny. Świat nie zmienił się w jednej chwili. Był głupcem spodziewając się takich rzeczy. Talizman musiał zostać przebadany i dostrojony, zanim będzie mógł go używać. Nie miał jednak wątpliwości, że znalazł to po co przybył. Wyglądało dokładnie tak, jak opisano w grimuarze i Zaginionej Księdze Nagasha. Obecnie na świecie nie mógł istnieć więcej niż jeden artefakt odpowiadający temu opisowi. Miał to, czego szukał. Nadszedł czas, by odejść.

Obrócił się, by zobaczyć biegnącą ku niemu kobietę i wysokiego blondyna stojącego w drzwiach. Zapewne ci głupcy nie zamierzali spróbować go powstrzymać?

Felix nie przypuszczał, że kiedykolwiek zobaczy człowieka poruszającego się tak szybko. Jego prędkość była oszałamiająca. Musiał korzystać z dobrodziejstwa jakiegoś zaklęcia. Okazało się, że na dole jest tylko sam czarnoksiężnik. To była niewielka pociecha. Widząc tego człowieka wiedział, że w żaden sposób nie pokona go, jeśli tamten wyciągnie swój miecz. A zatem, lepiej było do tego nie dopuścić. Wskoczył do pomieszczenia.

Ulrika także biegła naprzód, zamierzając się do cięcia w kark mężczyzny, które mogłoby zerwać głowę z jego ramion, jeśli tylko trafi. Tak się nie stało. Krieger uniknął ciosu i ostrze przeszło nad jego głowę. Skoczył przed siebie ruchem tygrysa opadającego na jelenia. W jednej chwili unieruchomił Ulrikę otaczając ramieniem jej szyję. Szamotała się bezsilnie jak mysz w objęciach kota.

– Ulrika! – krzyknął Felix.

Mężczyzna spojrział na niego, a Felix nie był zaskoczony widząc w jego oczach czerwony błysk. Pomyślał, że widzi maga, a potem zdał sobie sprawę, że obcy wydaje mu się dziwnie znajomy. Felix nagle przypomniał sobie. To był czarodziej z gospody, ten, który zniknął zaraz po tym, jak weszli Max i Ulrika.

Felix słyszał na schodach Gotreka i Snorriego Gryzonosa. Pomoc nadchodziła.

– Jeśli zależy ci na tej dziewczynie, odsuń się – powiedział Krieger. – Inaczej złamię jej kark jak patyk.

– Jeśli uczynisz jej jakąkolwiek krzywdę, zabiję cię – odrzekł Felix i z zaskoczeniem stwierdził, że jest gotów to uczynić, bez względu na to, jak wiele czasu to zabierze. Nawet gdyby musiał ścigać tego człowieka do grobu.

– Jakoś w to wątpię – odpowiedział Krieger swoim aksamitnym głosem.

– Jeśli nie człeczyna, to ja to zrobię – odezwał się Gotrek stojący za Felixem. Nie można było wątpić w powagę jego słów.

Wysoki mężczyzna zaśmiał się, ale w jego oczach płonęło piekło.

– Twój lud już tego próbował, ale im także to się nie udało. A teraz odsuń się albo dziewczyna umrze.

Zabójca spojrzał na mrocznego maga. Felix zastanawia! się, czy Gotrek zamierza zaatakować i pozwolić Ulrice zginąć. Wiedział, że nie może do tego dopuścić.

## Rozdział 4

- Snorri myśli, że powinniśmy go zdjąć – oznajmił Snorri Gryzonos.
- A ja nie – powiedział Felix. – Jeśli to zrobimy, on zabije Ulrikę.
- A wtedy Snorri zabije jego – odpowiedział Snorri.

Spotkanie z pomocnikami maga nie zaspokoilo żądy bitwy krasnoluda. Był gotów zaatakować bez względu na to, co mówią inni. Felix spojrzał błagalnie na Gotreka. W jedynym, szalonym oku Zabójcy nie pojawił się żaden ślad zrozumienia. Milczenie przedłużało się. Gotrek i Krieger wpatrywali się w siebie. W oczach maga znowu pojawił się dziwny błysk. Zdawało się, że nawiązuje jakiś kontakt między nimi dwoma. Żaden z nich nie opuścił wzroku.

Felix czuł suchość w ustach. Pomieszczenie cuchnęło pyłem, śmiercią i czymś jeszcze, może cynamonem. Andriev leżał w pobliżu. Jego rozbita głowa stanowiła świadectwo, jak kruche bywa życie. Max nie wyglądał dużo lepiej.

- Zabijcie go – stęknęła Ulrika. – Nie zważajcie na mnie. Wolę umrzeć niż stracić honor.

Jej słowa urwały się gwałtownie, gdy Krieger zacisnął swój chwyt na jej gardle, jak na magika, był silny. Felix nie był wcale przekonany, czy chciałby zmierzyć się z nim, nawet mając miecz w dłoni. Twarz Ulriki pobladła. Felix widział, że oddycha z trudem. Zabójca nadal wpatrywał się w obcego. Felix wyczuwał, że sprawy osiągnęły punkt krytyczny, gdy wszystko może pójść tylko w jedną lub w drugą stronę. W izbie zapanowało napięcie, które aż dopraszało się rozładowania przez wybuch przemocy. Niestety, Felix wiedział, że taka eksplozja oznaczałaby śmierć Ulriki.

- Puść ją, a dam ci słowo, że będziesz mógł odejść – powiedział, mając nadzieję poruszyć sumienia Zabójców wzmianką o honorze i przysięgach. W przypadku krasnoludów takie podejście zwykle skutkowało. Gotrek spał się. Zabójcy nie podobał się taki obrót sprawy. Mag tylko się zaśmiał.

- Chociaż bardzo bym chciał skorzystać z tej propozycji, obawiam się, że w obecnej sytuacji to byłoby nierozważne. Ta dziewczyna jest moją tarczą, a tylko głupi wojownik odrzuca swoją tarczę przed bitwą.

- Nie jesteś wojownikiem – warknął Gotrek. – Nie masz pojęcia, co oznacza to słowo.

Uśmiech Kriegera był gorzki i dziwnie smutny.

- Niegdyś wiedziałem, co to znaczy, zapewne lepiej od ciebie. Jednakowoż wszystko się zmienia.

Gotrek był gotów rzucić się na niego. Piana wystąpiła na usta Snorriego, który nie mógł doczekać się bijatyki. Czekał jednak na zachętę od Gotreka. Ulrika spróbowała wbić swój obcas w obutą stopę Kriegera, ale ten uniknął tego z łatwością. Mocniejsze ściśnięcie ramienia wywołało krzyk bólu kislevskiej szlachcianki. Jej kark mógł zaraz pęknąć.

Felix położył dłoń na ramieniu Zabójcy. Wiedział, że powstrzymanie krasnoluda szykującego się do ataku jest równie trudne, jak ujarzmienie dzikiego wilka, ale musiał spróbować.

- Nie rób tego – powiedział. – Musi być z tego jakieś wyjście.

- Owszem, jest – odezwał się Krieger. – Puśćcie mnie, a gdy będę wolny pozwolę jej iść, dokądkolwiek sobie zażyczy.

- Nie chciałeś zawierzyć memu słowu – Felix patrzył na czarnoksiężnika. Lekki, nieprzenikniony uśmiech maga poszerzył się. – Dlaczego miałbym zawierzyć twojemu?

- Nie masz innego wyboru – odrzekł Krieger z pewnością siebie. Podniósł do ust pomander dyndający na szyi i z zadowoleniem głęboko wciągnął powietrze. Wyglądał na całkowicie

opanowanego i skupionego. Roztaczał wokół siebie urok arystokraty. Felix nigdy takich nie lubił.

– Puście go – rzucił Felix. – Zawsze możemy go dorwać później.

– Możecie spróbować – powiedział Krieger.

Gotrek jakby otrząsnął się ze swojego morderczego transu.

– Nieważne, jak długo to potrwa i jak daleko zawędrujesz, znajdę cię i zabiję – zapewnił.

– To samo po dwakroć dotyczy Snorriego Gryzonosa – dodał Snorri.

– Odstąpcie – powiedział Krieger. Powoli i niechętnie krasnoludy posłuchały. Krieger podniósł

Ulrikę jakby nic nie ważyła i zaciskając talizman w dłoni przeszedł między nimi, a potem ruszył po schodach.

W komorze zapadło milczenie.

– Co teraz zrobimy? – zapytał Felix.

– Ruszymy za nim – odpowiedział Gotrek. – Nie ujdzie daleko. Popędzili po schodach śladami Kriegera, ale gdy wypadli na ciemną ulicę ich przeciwnik już zniknął, a z nim Ulrika. Felixowi wydawało się, że słyszy szuranie sań w oddali, ale to była noc i wiele sań krążyło między dworkami szlachty.

Ulice wypełniała lodowata mgła. Zbierała się z niemal nienaturalną prędkością. Felix zastanawiał się, czy mag nie rzucił jakiegoś zaklęcia, aby zatrzeć swoje ślady. To wydawało się prawdopodobne. Ogarnęła go rozpacz. Ulrika była w rękach złego maga, podobnie jak talizman, którego zgodzili się strzec. Andriev był martwy. Max trwał w śpiączce. Porażka miała gorzki smak.

– Musiał użyć magii, by zniknąć zaraz po wyjściu z komór – odezwał się Felix. – Tutaj blokady magiczne już go nie powstrzymywały.

– Nie wiem – powiedział Gotrek. W jego głosie dała się słyszeć furia. Ta sytuacja nie podobała mu się bardziej niż Felixowi. – Nie jestem magiem.

– Snorri też nie jest, ale lepiej szybko wymyślny, jak go znaleźć. Snorri Gryzonos złożył przysięgę, a jeśli Snorri będzie musiał przeszukać to miasto dom po domu, Snorri tak uczyni.

– Możliwe, że przyłączymy się do ciebie – mruknął Felix. – Chodźcie, wracajmy do środka zobaczyć, co z Maxem.

Żaden z nich nie zasugerował, by uderzyć w dzwon alarmowy i wezwać strażę.

Krieger rozpierał się na wyściełanym siedzisku sań. Widok zasłaniały mu szerokie plecy Roche'a powożącego końmi. Obejmował ramieniem nieprzytomną Ulrikę. To był przekonujący widok. Wyglądali jak dwoje kochanków powracających z nocnej przejażdżki saniami. Takie obrazki Krieger wielokrotnie obserwował wśród bydła, zanim wypijał ich krew. A zatem, nikt nie zwróci na nich uwagi.

Ogarniało go ciepłe uczucie triumfu. Przez chwilę myślał, że wszystko może pójść fatalnie. Z bliska moc strasznego topora tego krasnoluda była oczywista. Nie miał wątpliwości, że ta broń mogła jednym ciosem zakończyć jego nieśmiertelne życie. Nigdy nie widział czegokolwiek tak przesyconego strasliwą mocą zabijania. Dla kogoś obdarzonego magicznymi zmysłami, jak Krieger, topór praktycznie promieniował zabójczą energią, a jego właściciel był niemal równie przerażający, ponury i srogi.

Oreż mężczyzny nie był tak potężny, ale ku zaskoczeniu Adolphusa, również okazał się magiczny, a zatem zdolny go zranić. Zdumiewał się, że Andriev w krótkim czasie znalazł dwóch takich strażników. Gdyby to wiedział, nie zachowywałby się z taką pewnością siebie. Nie wątpił, że zwyciężyłby w każdej walce z tą parą, ale istniało ryzyko porażki, a w tej chwili, gdy talizman znalazł się w jego garści, głupotą byłoby je podejmować.

A jednak ta część jego umysłu, która łaknęła przemocy i śmierci, żałowała że nie zainicjował walki. Pragnęła, by walczył i wyrwał swoim przeciwnikom jedną kończynę po drugiej. Nadal tkwiła w nim wściekła bestia. Próbował sobie wmawiać, że to coś więcej. Irytowało go, że pozostawił swoich, wrogów żywymi i nietkniętymi. Gniewała go arogancja krasnoluda. Fakt, że jakiś śmiertelny ośmielił się grozić jednemu z Przebudzonych wydawał się na niemal świętokradczy. Był także pewien, że krasnolud będzie próbował wypełnić swoją obietnicę, choćby miał spędzić całe lata polując na Kriegera.

To zresztą nie miało w tej chwili znaczenia. Wkrótce będzie miał dość mocy, by podbić świat, a wówczas wyrze na nich zemstę. To nie krasnolud znajdzie jego. Gdy wypełni proroctwo Nosferatusa, zemsta będzie należeć do Kriegera. Próbował sobie wmawiać, że bez względu na to, jak potężny jest tamten topór, nie lęka się go. Był jednak na tyle mądry, by wiedzieć, że sam się oszukuje. To właśnie dlatego kryjąca się w jego wnętrzu bestia warczała tak gwałtownie. Czuł się zastraszony. Odrobinę się trząśł. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat spotkał coś, co wywołało w nim strach.

Może powinien spróbować poszukać przyjemności w tym nowym doznaniu. W końcu, w obliczu nudy długich stuleci, każde nowe doświadczenie emocjonalne było pożądane. A jednak nie potrafił się zmusić, by dać temu wiarę. Uznał, że najlepiej będzie oddalić się możliwie prędko i cicho, oraz zostawić Zabójców na próżno usiłujących go ścigać. Potrafił podróżować tak szybko i sekretnie, że nie będą mieli szans, by go odnaleźć, jeśli sam tego nie zechce.

Najważniejszą sprawą było teraz zapewnienie sobie czasu, by zdołał dowiedzieć się, jak uwolnić moc talizmanu, dostroić się do niego i nauczyć czerpać z jego energii. Gdy uda mu się to osiągnąć, niewiele rzeczy pozostanie poza jego zasięgiem, przynajmniej tak twierdził Nosferatus, a ów wampiryczny prorok dobrze wiedział, co mówi.

Dziewczyna obok niego jęknęła, ale nie odzyskała przytomności. Spojrzał na nią. Prastara nikkzemność obudziła się w jego mózgu. Było jasne, że tamten mężczyzna troszczy się o nią, a krasnoludy żywią wobec niej dość szacunku, by powstrzymać się przed atakiem. Mogła okazać się cenną zakładniczką, a poza tym, na wszystkich Mrocznych Bogów, była piękna. Podczas jego długiej podróży towarzysząca, która pomoże przepędzić czas, mogła okazać się interesująca. Zawsze może się jej pozbyć, jeśli stanie się nudna. Wątpił, by tak się stało, przynajmniej przez chwilę. Znała krasnoludy i człowieka z magiczną bronią, a zatem mogła mu opowiedzieć o jego przeciwnikach. Będzie musiał znać przynajmniej ich imiona, gdy nadejdzie czas, by na nich zapolować.

Oczywiście dał człowiekowi słowo, że ją puści, a nigdy nie złamał danego słowa podczas wszystkich długich stuleci swojego nieżycia. Po prostu odpowiednio dobrał słowa przyrzeczenia. Powiedział, że pozwoli jej iść dokądkolwiek sobie zażyczy. Miał swoje sposoby, by zapewnić, że nie będzie sobie życzyła go opuszczać.

Delikatnie odsunął kołnierz jej koszuli i potarł szyję szukając przepięknej żyły, która musiała tam czekać na niego.

Felix rozglądał się po ruinie dworku. Wszędzie walały się ciała: szczątki podstarzałych służących Andrieva, porąbane ciała ludzi, których zabili Gotrek, Snorri i on sam. Powietrze śmierdziało krwią, otwartymi wnętrznościami i zepsuciem. To nie poprawiało mu nastroju. Żałował, że nie nosi zapachowego pomandera, tak jak mag. Perfumy mogły osłabić odór śmierci.

Ta myśl poruszyła coś na dnie jego umysłu. Coś mu przypominała, tak ulotnego jak słaby zapach, który czuł w komorze. Co to było? Dlaczego w jego myślach pojawił się obraz zmarłej kobiety?

Oczywiście, pomyślał w pierwszej chwili, że sprawiały to otaczające go zwłoki, ale wiedział, że to nie jest prawdziwa przyczyna. Przypominał sobie widok trupa kobiety znalezionej w śniegu oraz

to, co powiedziała jej towarzysza. Nieszczęsna ofiara poszła ze szlachcicem. Jej przyjaciółka zapamiętała bardzo charakterystyczny zapach, jakby cynamonu. To właśnie Felix poczuł w komorze. Czy było możliwe, że człowiek, który zabił ulicznicę i okaleczył jej ciało, był tym samym, który porwał Ulrikę?

Felix modlił się, by tak nie było. Wielu imperialnych szlachciców nosiło pomandery, aby osłabić smród ulic. Z pewnością ten był jednym z nich. Perfumy oparte na cynamonie były popularne. Nie, to nie mógł być ten sam człowiek. A jednak, dlaczego nie? Był mrocznym magiem, a kto wie, jakich okrucieństw mógł się dopuścić? Felix słyszał opowieści o złych magach pożerających mózgi swoich ofiary, aby wchłonąć ich dusze. Może te opowieści były prawdziwe, a tamten był jednym z tych szaleńców? Nagle Felix zapragnął, by Max już się obudził. Wiedział więcej o ich sprawach niż on kiedykolwiek się dowie. Podzielił się swoimi wątpliwościami z Zabójcami.

– Snorri myśli, że powinieneś mu pozwolić go zabić – powiedział Snorri Gryzonos lekko rozdrażnionym głosem.

Felix doskonale zdawał sobie sprawę, że nie mógłby zrobić nic, by powstrzymać Zabójców, jeśli rzeczywiście postanowiliby rzucić się do walki.

Spoglądał na dwóch ponurych krasnoludów. Było jasne, że nie byli w najlepszym nastroju. Patrzyli na niego, jakby był osobiście odpowiedzialny za pozbawienie ich szansy heroicznej śmierci. W pewien sposób, tak właśnie było. Nie zamierzał jednak przejmować się tym za bardzo. Życie Ulriki było znacznie ważniejsze od ich śmierci. Będą mieli następną okazję, gdy dorwą maga. Felix nie miał wątpliwości, że tak się stanie. Musiał tylko wymyślić, jak tego dokonać.

Pierwsze co musieli zrobić, to zanieść Maxa do uzdrowiciela. Max był ekspertem w swojej dziedzinie i jeśli ktokolwiek wie, jak znaleźć mrocznego maga, to właśnie on. Felix uznał, że lepiej będzie powiadomić władze o tym, co się tutaj stało. Nic myślał jednak o strażach miejskich; zapewne na wszelki wypadek wrzuciliby całą czwórkę do cel, a gdy już by się tam znaleźli, kto wie, kiedy udałoby im się stamtąd wyjść? Wszystko to przy założeniu, że Gotrek i Snorri nie wszczęliby bitwy z zuchwalcami, którzy ośmieliliby się próbować ich zatrzymać. Lepiej przedstawić sprawę samej górze – księciu. On ich wysłucha, a może nawet zechce pomóc.

Pozostawał ojciec Ulriki. Felix nie był skory zawiadomić szlachcica o porwaniu jego córki i jej możliwej śmierci. Nie był także przygotowany, by przyznać, że Ulrika może być jeszcze żywa. Nie śmiał dopuszczać do siebie takiej myśli. Nie – powiedzą o wszystkim Ivanowi Petrovichowi Straghowowi, a on niewątpliwie pomoże im, nawet jeśli nie zrobi tego książę.

Dokładnie przemyślał ten plan. W tej mgle nie było sensu wyruszać na bezowocne poszukiwania maga, bez względu na to, czego mogą chcieć Zabójcy. Może uda mu się przekonać księcia, by zamknął wrota i kazał swoim ludziom przeszukać miasto. W ten sposób, strażnicy mogą okazać się przydatni, a kilka tysięcy ludzi będzie skuteczniej prowadziło poszukiwania niż trzech osobników.

Szybko przedstawił swoje plany pozostałym. Zanurzili się w noc.

Felix rozglądał się po lecznicy, w której leżał Max. Kapłanka zakończyła swoje rytuały. Magia lecznicza została przywołana. Felix modlił się tylko, by zadziałała lepiej na czarodzieja niż w przypadku jego matki wiele lat temu. Książę spoglądał ze swojego miejsca za łóżem. Nawet w tym miejscu strzegło go dwóch kapitanów gwardii. To były niebezpieczne czasy.

Oblicze Enrika zdradzało melancholijny nastrój. Wydawał się emanować smutkiem i przygnębieniem od dużych, podkrążonych oczu do długich, opadających wąsów. Felix słyszał, że książę czasem poddaje się falom głębokiej depresji, a nawet szaleństwa, ale sam nie widział tego na własne oczy. Książę Praag był jednym z najbardziej kompetentnych i energicznych szlachciców,

jakich spotkał. Z wigorem i odwagą pokierował obroną miasta przeciw hordzie Chaosu. Było jasne, że mocno uderzyła go śmierć jego brata – w cokolwiek tajemniczych okolicznościach. Poruszał się jak starzec i to nie tylko z powodu bólu jaki go dręczył.

– Twoje wieści są zatrważające, Felixie Jaegerze – odezwał się. Jego głos był czysty, władczy i w całkowitej niezgodzie z wyglądem mówiącego. Brzmiała w nim cała władcza arogancja, jakiej należało się spodziewać po władcy drugiego z największych miast Kisleva. – Ulrika była moją daleką krewną, tak jak Andriev, chociaż między mną, a tym starcem nie było wiele sympatii. Miał więcej wspólnego z moim bratem. Obaj interesowali się starymi rzeczami i magią.

Felix podejrzewał, że brat księcia miał związek z kultami Chaosu. Czy było możliwe, że hrabia Andriev także? To tłumaczyłoby zainteresowanie magicznymi przedmiotami oraz unikanie zwracania na siebie uwagi. Ale jeśli tak było, wówczas miałby własnych sojuszników, zarówno magicznych, jak i ludzi. Nie musiałby wzywać pomocy Felixa, Ulriki i Gotreka. O ile nie chciał ukryć czegoś przed innymi wyznawcami demonów. Felix poznał wystarczająco dobrze zdradę i występność, w jakich lubowali się wszyscy czciciele Mrocznych Bogów. Sama myśl o tym spowodowała, że kręciło mu się w głowie.

Może stary człowiek był powiązany z kultami, a może nie. Nie warto było o tym rozmyślać, dopóki nie pojawi się rzetelny dowód na tak lub nie. W tej chwili Felix miał mnóstwo innych spraw na głowie.

Księżę odwrócił się i rzucił kilka poleceń swoim kapitanom gwardii, którzy natychmiast oddalili się. Felix wiedział, że wkrótce pojawią się warty w każdej bramie, a straż miejska otrzyma rozkaz, by wypatrywać ludzi przypominających Ulrikę lub jej porywacza. Żołnierze z pośpiechem ruszyli wykonać rozkazy księcia.

– Przykro mi, że nie mogę uczynić nic więcej – powiedział księżę Enrik – ale w tej chwili niemożliwe jest przeszukiwanie wszystkich domów. Musimy zatroszczyć się także o inne sprawy.

Felix wiedział, co księżę ma na myśli. W czasie gdy w jego pałacu przebywała Królowa Lodu, a pod miastem rozbiła się armia, trudno było zapewnić bezpieczeństwo władczyni i zachować porządek publiczny, nie wspominając o konieczności przygotowań przeciw nadciągającej hordzie Chaosu. To przypomniało Felixowi, że cały świat nie zatrzymał się z powodu jego problemów osobistych. Największa od dwustu lat inwazja na Stary Świat nadal była w drodze. Księżę uznał tę sprawę za załatwioną, ale Felix postanowił jeszcze przez chwilę zaryzykować nadużycia jego cierpliwości.

– Czy wasza łaskawość powiadomił jej ojca? – spytał Felix.

– Wezwałem go. Mądrze z twojej strony, że przyszedłeś z tym najpierw do mnie. Myślę, że takie wieści powinno się słyszeć tylko od krajanów. On bardzo kocha Ulrikę. To jego jedyne „żyjące” dziecko.

Felix usłyszał wahanie, z jakim księżę wypowiedział słowo „żyjące”. On także próbował przyjmować dobrą maskę do złej gry.

– A czy nie masz jakiegoś pojęcia, czym jest ten talizman, albo co można z nim zrobić?

Felix domyślił się celowej zmiany tematu rozmowy.

– Nie mam pojęcia, ale to musi być coś ważnego, zważywszy na wysiłki tego Adolphusa Kriegera, by go zdobyć. Miejmy nadzieję, że Max wkrótce wróci do siebie. Może on nam coś powie.

– To badanie talizmanu tak na niego podziałało?

– Tak powiedziała Ulrika.

– Powiadomię cię, gdy się przebudzi – zapewnił księżę. Ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że spotkanie dobiegło końca. Księżę wyglądał na człowieka, który dźwiga na swych



barkach ciężar całego świata.

– Dziękuję, wasza łaskawość – powiedział Felix i oddalił się.

Adolphus rozejrzał się po komnacie dworku. Osrik oddał swojemu panu najlepsze pomieszczenia. Gobeliny na ścianach były grube i ciężkie, doskonałe wino czekało zamknięte we flaszy na masywnym mahoniowym stole, a ogień płonął jasno. Chociaż Adolphus nie odczuwał już zimna, ani nie czerpał przyjemności z picia wina, uważał, że należy podtrzymywać złudne wrażenie, iż jest wprost przeciwnie. Języki służby trudno było utrzymać pod kontrolą, a nie sposób omamić lub oszołomić siłą umysłu każdego służącego. Zresztą, w oczach Adolphusa oni wszyscy wyglądali tak samo. Przyznawał, że odczuwa pociąg do luksusu, jaki pozostał z jego poprzedniego życia, zanim wybrała go hrabina. Ktoś, kto osiągnął status jednego z Przebudzonych mógł oddawać się takim słabostkom.

Jedyną rzeczą naprawdę niezbędną w komnatach były grube kotary, które zatrzymywały światło słoneczne. Nigdy nie przywykł do dziennego oświetlenia. Nadal raniło jego oczy i boleśnie paliło skórę. Bez względu na to ile krwi wypił, pod wpływem tego światła dysponował tylko częstką swojej prawdziwej siły. To sprawiało, że był prawie tak słaby i niezdarny jak zwykły śmiertelnik. Ospałość, jaką czuł w tej chwili dowodziła, że na zewnątrz nadal było jasno.

Niewielu służących uważało za dziwne, że nie należy niepokoić gościa podczas dnia. Byli przekonani, że jest dalekim kuzynem pana, lubującym się w nocnym życiu i rozpuście, który spędza noce w karczmach i burdelach na mieście, a za dnia odpoczywa po tych igraszkach.

Nie żałował, że opuszcza Kislev. To było barbarzyńskie miejsce i zapewne stanie się jeszcze dziksze, gdy nadejdzie horda Chaosu. Upust krwi na masową skalę zawsze wyzwalał w Kislevczykom coś szalonego.

A jednak sytuacja miała swoje dobre strony. Z łatwością można będzie wykorzystać anarchię zbliżających się miesięcy i lat, a on będzie dość potężny, by to uczynić. Proroctwa Grimuaru Necronium zostaną wypełnione. To był Czas Krwi, o którym mówił pradawny tom, tego był pewien. A on był Bładym Królem, który powstanie, by rządzić nocą. Talizman sprawi, że stanie się to prawdą. Dzięki artefaktowi nie będzie w stanie przeciwstawić mu się nikt z pozostałych. Oni wszyscy – nawet hrabina i Rada – będą musieli przysiąc mu wierność.

Kobieta na jego łożu poruszyła się. Wyglądała aż nazbyt pięknie. Nie miała w sobie ani krzty cielejącej głupoty, która zwykle była wypisana na twarzach kislevskich szlachcianek. Wydawała się silna, zdecydowana i zajadła jak jastrząb. W jej urodzie było coś drapieżnego. Być może okaże się warta, by stać się jego wybranką – warta mrocznego pocałunku. Być może była tą, której szukał.

Przed długie wieki, od kiedy hrabina wyjaśniła mu, jak linie krwi rozrzedziły się od czasów mieszkańców Lamii, powstrzymywał się przed stworzeniem swojego potomstwa. Większość z Przebudzonych z jego generacji mogła stworzyć jedno dziecko, a nawet ono często okazywało się tylko tępym naśladowcą tego, czym być powinno – zidiociałe, słabe, szalone były przyczyną wszystkich dziwacznych stereotypów o potworach, jakie śmiertelni powtarzali myśląc o Przebudzonych. On sam nigdy nie zaryzykował stworzenia dziecięcia, bowiem nie znalazł istoty wartej jego łaski. W ciągu stuleci czasami wydawało mu się, że znalazł ją wreszcie, ale zawsze objawiała się w niej skaza.

Zobaczmy. Była ta bretońska szlachcianka, Katherine, która okazała się niczym więcej niż pustym, nieszczerym głupcem. Jej piękno oślepiło go na chwilę i wydało mu się, że kobieta ma inteligencję i wdzięk warte wieczności u jego boku.

Jakże bardzo się mylił. Kobieta troszczyła się bardziej o swoje lustro niż cokolwiek innego.

Odczuwał szczególną przyjemność obserwując rozpacz kobiety, gdy na jej twarzy pojawiały się zmarszczki, włosy siwiały, a czas pożerał urodę.

A potem była ta chłopka, która stała się kurtyzaną z Nuln. Jakże jej było na imię? A tak – Marianne. Miała w sobie wszystko, czego pożądał. Była piękna, inteligentna, bystra, urocza, nawet kulturalna, posiadała erudycję osoby, która pracowicie zdobyła ją własnym wysiłkiem. Była figlarna i ciekawa, co obiecywało, że nie podda się łatwo nudzie. Istniało wiele powodów, dla których czuł do niej pociąg. Ale okazała się kobietą zdradziecką, samolubną i zwodniczą. Przypomniał sobie, jak sam obrócił się przeciwko hrabinie, przewidywał, że ona także zwróci się przeciwko niemu, a takiego bólu by nie zniósł. A zatem opiekował się nią, pomagał i chronił, aż wreszcie umarła w bogactwie, otoczona szacunkiem jako jedna z wielkich szlachcianek Imperium. Jej awans przyniósł obojgu wiele zadowolenia.

Była Alana, ta dziwna zgorzkniała kobieta, pół wiedźma, pół prorokini, która nauczyła go wszystkich mrocznych sekretów i otworzyła jego oczy na moc magii śmiertelnych. Jej oraz hrabinie zawdzięczał wiedzę, którą śmiertelnicy usiłowali ukrywać nawet przed sobą. Zginęła, zanim zdążył powziąć decyzję co do niej, rozdarła na strzępy przez jakąś przerażającą kreaturę, którą przyzwała podczas bluźnierczego rytuału w Geheimmisnacht. Stała się ofiarą własnej, nadmiernej ambicji oraz żądz sprawowania kontroli. Nie był tego pewien, ale przypuszczał, że nie wybrałby jej ostatecznie. Ich związek zawsze opierał się na władzy. Chodziło o to, kto ją ma, kto będzie rządził. Zapewne chciałyby związać go swoją magią, podobnie jak by było można było związać mrocznym pocałunkiem.

Były inne, tak wiele innych, przez całe stulecia. Ich twarze czasami przesuwały się przed nim, gdy wchodził w stan transu, który zastępował Przebudzonym sen. Czasami wszystkie zlewały się w jedno oblicze, czasem zmieniały się w twarze, jakich nigdy nie widział, ale wiedział, że kiedyś je zobaczy. W ciągu wieków nauczył się tego, że wcześniej czy później, większość wydarzeń rzeczywiście następowała.

Rozmyślał. To było dziwne, jak wiele ciała zostawało w człowieku, a ile porzucał za sobą, gdy przyjmował uścisk wieczności. On sam nie pragnął już mięsa, trunków, seksu ani narkotyków. Nadal jednak pożądał towarzystwa. Być może to była jedyna rzecz, jaką zachował wspólną z bydłem. Stałe szukał tej jednej, specjalnej kobiety, tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy spotkał hrabinę w Parravonie wieki temu, tak samo, gdy był ledwo wyrosłym chłopięciem, które po raz pierwszy udało się na bal na dworze króla.

Odsunął od siebie te myśli. Oto stał u zarania największego triumfu, jaki kiedykolwiek osiągnęli Przebudzeni, na krawędzi szaleństwa podsycanego przez coś, czego nie potrafi! wytłumaczyć, a myślał o kobietach. Uśmiechnął się krzywo. To był jeden z nawyków śmiertelności, którego nie całkiem potrafił się pozbyć.

Pomyślał, że może powinien zabić tę kobietę już teraz, wyssać ją do cna w ekstazie pocałunku, tylko po to, by udowodnić sobie, iż może coś takiego uczynić. Powtarzał jednak, że byłoby to bezcelowe, wiedział, że jest do tego zdolny. To było coś, co ze zbyt wielką łatwością dokonywał w ciągu kilku ostatnich tygodni. Jeśli naprawdę chciał dowieść sobie, że zachowuje nad sobą kontrolę, powinien pozwolić jej żyć. Gwałtowna reakcja bestii w jego mózgu dowiodła mu, że ma rację. A zatem na razie pozwoli jej żyć. Przez chwilę może z nim podróżować. Nigdy nie zaszkodzi mieć obok siebie dodatkowy zapas pokarmu, na wszelki wypadek. Nie mógł pozwolić sobie na osłabianie Roche'a, popijając z niego podczas podróży, a bezwzględnie nienawidził pić krwi zwierząt. W tej chwili tylko najbardziej nieprzewidywalna konieczność mogłaby go do tego zmusić. Zresztą nie byłoby stosowne, by przyszły władca wszystkich wampirów pił z ciała sarny.

Na długo zanim usłyszał pukanie do drzwi, rozpoznał kroki zbliżające się korytarzem. Roche miał

charakterystyczny chód. Stąpał bardzo miękko jak na tak ciężkiego mężczyznę. Czułe zmysły Adolphusa powiedziały mu, że w pobliżu nie ma nikogo innego. Podeszedł do drzwi i obrócił klucz w zamku. To był elementarny środek ostrożności, o którym nigdy nie zapominał od czasu, gdy pokojówka weszła do jego komnaty i znalazła go z opróżnionym ciałem ulicznicy w kilka dni po tym, jak hrabina przygarnęła go po raz pierwszy.

Roche popatrzył na niego poważnie. Adolphus odwzajemnił spojrzenie mierząc go wzrokiem. Roche był wielkim człowiekiem, silnym jak kowal, szybkim jak kot. Posiadał maniery szambelana i moralność skrytobójcy. Podobnie jak jego ojciec i dziad przed nim, Roche służył jako najbardziej zaufany, osobisty sługa Adolphusa i miał dostęp do wszystkich sekretów pana, poza tymi najmroczniejszymi. To była pozycja, do objęcia której był przygotowywany od małego.

– Sanie są gotowe, panie – powiedział Roche. Jego głos był melodyjny i dość smutny. Powinien należeć do kapłana, którego zresztą tak często udawał. – Możemy wyruszyć, gdy tylko będziecie gotowi.

– Bardzo dobrze, Roche.

– Młoda dama, panie? – Roche spytał cicho. Chciał się dowiedzieć, co ma zrobić. Adolphus mógł kazać mu zawinąć ją w koc i zabrać do powozu albo porąbać na maleńkie kawałki i rzucić psom. Wykonałby dowolną z tych czynności z tą samą cichą, spokojną skutecznością, z jaką czynił to często w przeszłości.

– Będzie nam towarzyszyć.

– Tak jest, panie. Nosilem się z możliwością, że wyrazisz takie pragnienie i pozwoliłem sobie załadować dodatkowe zapasy. Mam nadzieję, że spotka się to z waszą przychylnością.

– Jak zawsze, Roche, myślisz o wszystkim.

– Moją przyjemnością jest służyć, panie. – Wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Ruszajmy, Roche. Mamy przed sobą daleką drogę, a im wcześniej opuścimy to zaściankowe królestwo, tym będę szczęśliwszy.

Ivan Petrovich Straghov był już spokojny. Felixa cieszyło to. Jeszcze kilka minut temu mężczyzna wykrzykiwał groźby i przekleństwa, od jakich zbladłby nawet doker. Teraz ograniczał się tylko do kilku wybranych epitetów anatomicznych. Odwrócił się i spojrzał na Felixa. Młodszemu mężczyźnie nagle wydało się, że namiot stał się zbyt mały.

– Znajdziemy ją – powiedział wyzywającym tonem, jakby Felix dopiero co mu zaprzeczył. – A gdy znajdziemy tego, który ją porwał, powieszę go za jaja i...

Dalej opisywał dokładnie, co mu robi. W przypadku większości ludzi Felix przyjmował, że mówią takie rzeczy metaforycznie, ale Ivan Petrovich był bojarem kresowym. Zamierzał wypełnić swoje pogroźki bez względu na to, jak bardzo wydawały się niemożliwe fizycznie. Felix nie chciałby znaleźć się w skórze Adolphusa Kriegera, jeśli stary szlachcic położy na nim swoje ręce.

– Najpierw musimy go znaleźć – odezwał się Gotrek. Jego szorstki, chropawy głos zabrzmiał prawie spokojnie w porównaniu z okrzykami Kislevczyka, ale przy całym czynionym przez siebie hałasie, Ivan Petrovich w żadnym swoim wcieleniu nie dalby rady zawrzeć w głosie takiej nienawiści. Podziałało to na niego jak chłaiście zimną wodą.

– Jak to zrobimy?

Zabójca potrząsnął głową. Wyglądał na zmieszanego i sfrustrowanego. Felix wiedział, że przez to stanie się jeszcze bardziej wybuchowy. Przysunął się do kociołka na węgiel drzewny i ogrzał dłonie. Ivan Petrovich, gdyby zechciał, mógłby dostać komnaty w Cytadeli, ale w starym stylu kislevskich konnych wojowników postanowił zostać ze swoimi ludźmi, którzy rozbili obóz namiotowy na brzegu

miasta. Felix chciał ponarzekać na zimno, ale usłyszał już tyle komentarzy o wydelikacjonnych mieszkańcach południa, że wystarczyło mu tego na całe życie.

Pytanie bojara kresowego było jednak dobre. Felix nie miał wielkiej nadziei, że ów Krieger dotrzyma swojego przyrzeczenia i wypuści Ulrikę, a w ciągu następnych kilku dni nawet ta nikła nadzieja wygasła. Jak można znaleźć jednego człowieka i jego więźnia w mieście tak dużym i tłocznym, jakim było Praag? Jak uniemożliwić im wyjazd, jeśli postanowili to zrobić? Ivan Petrovich miał swoich jeźdźców, ale ze względu na zimno i śnieg, poszukiwania wokół miasta były trudne. Z drugiej strony, każdy wyjeżdżający będzie bardziej widoczny niż zwykle. W tej chwili niezbyt wiele osób opuszczało miasto. Ciągłe napływały strumyki uciekinierów.

Felix był skonsternowany. Musiał dowiedzieć się więcej. Musiał poznać przeznaczenie talizmanu i domyśleć się, co chciał z nim zrobić mroczny mag. Desperacko pragnął przekonać się, że Ulrika nadal żyje.

Zastanawiał się, co sam by zrobił, gdyby był złym czarnoksiężnikiem i chciał ukryć się w Praag. W książkach i sztukach, które czytał za młodu, to zawsze było łatwe. Żli magowie mieszkali w zrujnowanych wieżach, kryptach cmentarnych i wielkich dworach wybudowanych za swoje nikczemnie zdobyte dobra. Przeszukanie podobnych miejsc w mieście powinno go odkryć. Niestety, Felix już dawno temu nauczył się, że sprawy rzadko bywały tak proste. Jeśli Krieger miał choć odrobinę rozumu, będzie starał się siedzieć cicho, maskując się w jakiś sposób. Jak mógłby to zrobić? Felix żałował, że tego nie wie.

– Wyglądasz na zamyślonego, człeczyno – zauważył Gotrek. – Masz jakieś użyteczne sugestie?

Pomimo wyraźnej kpiny w jego głosie, Felix nie wątpił, że Zabójca pyta poważnie. Podczas ich długiej przyjaźni, w podobnych sytuacjach myślenie zwykle należało do człowieka. Jednak w godzinie największej potrzeby jego umysł był pusty. Potrząsnął głową, a potem usiadł na grubym dywanie pokrywającym podłogę namiotu i zaczął przesuwając palcami wzdłuż zagmatwanych splotów. Bolała go głowa i oczy, a z nosa mu ciekło. Z całą pewnością nie był zdrow.

– Potrzebujemy maga – powiedział.

– Mieliśmy jednego – odrzekł Gotrek. – Niestety, zdaje się, że już z nami nie jest.

– To może się zmienić – mówił Felix.

– Powiadasz, żebyśmy cierpliwie siedzieli? – dopytywał się Ivan Petrovich. Jego głos brzmiał, jakby Felix zachęcał do molestowania kóz.

– Czasami to jedyna rzecz, jaką można zrobić – odpowiedział Felix zmęczonym głosem.

– Oszczędź nam pereł swojej mądrości, człeczyno.

– Jeśli masz lepsze pomysły – odparł Felix – jestem na nie otwarty.

Milczenie było ogłuszające.

Roche kierował saniami w stronę wrót. Z tyłu znajdowała się tania drewniana trumna, worki paszy dla kuców, poszarpany namiot i kilka innych rzeczy. Trzasnął lejcam popędzając zwierzęta. Płozy syczały na śniegu, gdy zbliżali się do bramy.

Strażnicy na służbie spoglądali na niego z większą podejrzliwością niż można było się tego spodziewać. Roche spokojnie wytrzymał ich wzrok. Sierżant zerknął na zwój, a potem przypatrzył się jeszcze raz człowiekowi, jakby sprawdzał czy pasuje do opisu. Roche utrzymywał na twarzy wyraz cielejącej głupoty. To było stosowne uzupełnienie chłopskiego odzienia, jakie miał na sobie. Jeśli ci głupcy szukają jego pana, wówczas będą wypatrywali szlachcica i może jasnowłosej dziewczyny. Zapewne nie spodziewali się kogoś podobnego do niego.

Był pewien siebie. Jeśli zechcą przeszukać sanie, miał przygotowaną historyjkę i wszystkie

dowody jej prawdziwości. Mimo to czuł narastające lekkie napięcie. Sprawy mogły wymknąć się spod kontroli. To się zdarzało w przeszłości i mogło zdarzyć ponownie.

– Jaką masz sprawę, chłopie? – zapytał niski mężczyzna, który wyłonił się zza strażników. Jego pyszny mundur i zuchwałe, aroganckie maniery wskazywały na jakiegoś rodzaju oficera, zapewne jednego z tych, tak zwanych, szlachciców kislevskich. Roche nie lubił takiej postawy. Zapamiętał twarz mężczyzny, na wypadek, gdyby w przyszłości pojawiła się okazja do zemsty. W tych okolicznościach było to mało prawdopodobne, ale zawsze można było mieć nadzieję. Kilka minut sam na sam z Rochem i jego narzędzia pozbawiłyby człowieka pyszałkowatości, łącznie ze sporą ilością skóry.

– Wracam li na farmę, pochować mojego brata – odpowiedział Roche. W razie potrzeby potrafił udawać grubiański, gardłowy akcent kislevskiego plebsu. – Obiecał żem mu, że to zrobię. Gadał zanim umarł, że chce legnąć obok mamuli i żem mu powiedział, że zadbam o to.

– Zabierz go z powrotem i spal, to moja rada. W tych lasach grasują teraz zwierzoludzie. Pomimo patroli... – tym razem odezwał się sierżant. Jego głos nie był nieprzyjazny. Słysząc w nim było pewne współczucie. Oficer o hardym obliczu spojrzął na mężczyznę. Twarz sierżanta stała się pustą maską, a jego usta zacisnęły się. Straż miejska miasta Praag nadal wymuszała dyscyplinę za pomocą chłosty. Roche zgadzał się, że nic tak dobrze nie uczyło posłuszeństwa.

– Ludzie próbują przemycać w trumnach różne rzeczy – powiedział oficer. – Próbuje wielu sztuczek.

Roche popatrzył na aroganckiego idiotę, ale zachowywał kamienną twarz. Większość przemytników usiłowałaby dostarczyć rzeczy do miasta, a nie wydostawać je na zewnątrz. A jednak, chłopu nie wypadało tłumaczyć takich oczywistości szlachcicowi. Chłopstwo w Kislevie było posłuszne, podobnie jak w jego ojczystej Sylvania.

– Obiecał żem mu – powiedział Roche, udając, że jest tak głupi, jakby nadal odpowiadał sierżantowi. – Kazał mi zaprzysięgać na Shallyję i Ulryka, że tako zrobię. Kochał mamulę. Kochał stary dom. Gadał, co byśmy nigdy nie przychodzili do miasta. Powiadał był, że chce być pogrzebion pod sosnami.

– Otwórz skrzynię – nakazał oficer. Było jasne, że z jakiegoś powodu Roche nie spodobał mu się. Tak się często zdarzało. Roche przywykł do tego. Podejrzewał, że sprawiało to coś w jego wyglądzie. W tej chwili nie mógł z tym nic zrobić.

– Ale on jest nieżywy – powiedział Roche.

– Jeśli tego nie otworzysz, zrobią to moi ludzie.

Roche zauważył, że żołnierze cofnęli się. Nie mieliby żadnych oporów, by zabić człowieka z zimną krwią, ale żaden z nich nie chciał otwierać trumny, która mogła zawierać martwe od tygodnia ciało.

– Na co on umarł? – spytał nerwowo jeden ze strażników, blady chłopak, którego odzienie ledwo na niego pasowało.

– Na kaszlową chorobę. Miesiąc nie było, jak był tak zdrowy jako wy. Jednego dnia zaczął kasłać i kichać, gadał był, że mu trudno oddychać. Dwa dni temu odszedł, po miesiącu potów, gorączki i wypluwania płuc. To nie było piękne.

Żołnierze wyglądali teraz na jeszcze bardziej podenerwowanych. Od czasu oblężenia w mieście pojawiło się wiele dziwnych chorób. Może były to pozostałości nikczemnych zaklęć rzuconych przez wyznawców Nurgła, Pana Zarazy. Może były tylko skutkiem przeludnienia, zepsutej żywności, zimna i złych warunków sanitarnych. Mówiono, że od zakończenia oblężenia więcej ludzi padło z powodu choroby niż zginęło w bitwie. Roche dawał temu wiarę. Tak często bywało.

– Kazałem otworzyć skrzynię. Spójrzmy co tam masz.

– Trupa – odpowiedział ponuro Roche.

– Sam się nim staniesz, jeśli tego nie otworzysz – zagroził oficer. Najwyraźniej należał do tych małych człowieczków, którzy lubią nadużywać odrobiny władzy, jaka została im udzielona. I najwyraźniej lubił okazywać swój autorytet wobec takich zwalistych olbrzymów, jakim był Roche. Z całą pewnością Roche zapamięta tego człowieka. Może nawet odbędzie wyprawę z powrotem do Praag, specjalnie po tego człowieka, jeśli pan pozwoli. Nie lubił być zastraszany.

Roche zwał się z sań i podszedł do trumny. Wszyscy żołnierze cofnęli się nieznacznie, za wyjątkiem oficera, który szedł natrętnie tuż za nim. Roche pomyślał, że pragnie tylko jednej minuty ze swoimi narzędziami do darcia skóry. Podważył pokrywę trumny i usiłował stanąć tak, by cień padł na pana. Wiedział, jak słońce wpływa na jego czułą skórę.

Oficer przyjrzał się nieruchomej postaci. Pan także był odziany w chłopski strój i miał potargane włosy. Błede oblicze nie wymagało makijażu, smugi brudu na twarzy podkreślały bladość skóry. W przeszłości robili tak wiele razy, gdy musieli w pośpiechu opuszczać miasto. Roche pamiętał swojego ojca i dziadka, którzy opowiadali mu historie o podobnych ucieczkach, a niektóre z nich odbywały się w okolicznościach znacznie bardziej niebezpiecznych.

Oficer ściągnął rękawicę i położył dłoń na piersi leżącego, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– Rzeczywiście, martwy – powiedział rozczarowany.

– Właśnie dlatego chcę go pogrzebać.

– A ja mam dość twojej bezczelności – rzucił kapitan. – Jeszcze jedno słowo i moi ludzie wygarbują ci skórę.

Roche wbił wzrok w swoje buty, by ukryć furię w oczach. Nienawidził z pasją tych drobnych, nadętych urzędasów i w ciągu lat był zmuszony użerać się z nimi częściej niż pozwalała na to jego cierpliwość. Powtarzał sobie jednak, że nie nadszedł czas rewanżu. Lepiej będzie wyglądać jak absolutne wcielenie onieśmiałego chłopka.

Oficer wyglądał, jakby poważnie rozważał wydanie rozkazu swoim ludziom, by rozbili trumnę na kawałki. Roche wiedział, że to nie byłoby dobre, bowiem wówczas mogli znaleźć ukryty pod ciałem pana schowek, w którym mieścił się talizman. Kto wie, co pan uczyniłby w takich okolicznościach? Roche wiedział wszystko o jego obsesji na punkcie tej starożytnej błyskotki, zmuszony był wysłuchiwać opowieści o, niej podczas niezliczonych wieczorów, aż miał już szczerze dosyć słuchania planów jego pana. Roche myślał, że jeśli jeszcze raz usłyszy imię Nosferatusa, to...

Oficer ponownie przyjrzał się z bliska panu. Roche wstrzymał oddech. W bucie miał schowany sztylet. Jeśli coś się stanie, pierwsze co zrobi, to wciśnie go w bebechy pyszałka i obróci ostrze. Ludzie długo umierali, gdy wykonało się to właściwie. Roche wiedział to z praktyki. W końcu jednak nawet ten człowiek znużył się swoim bezcelowym dociekaniem.

– Wynoś się stąd – powiedział. – Jedź pochować swojego zmarłego.

Roche głupawo skinął głową, wgramolił się na sanie i zaciął lejcam. Dostrzegał współczujące spojrzenia w oczach żołnierzy.

– Wygląda na to, że wasz przyjaciel zaczyna powracać do zdrowia – powiedziała kapłanka Shallyi. W jej włosach widać było siwiznę, ale spokojna twarz była bardzo urodziwa. Mówiąc uśmiechała się. – Jest jeszcze bardzo słaby, ale sądzę, że powrócił do nas znad krawędzi. Myślę, że będzie żył.

Felix rozejrzał się po małej, skromnej celi. Max został przeniesiony do hospicjum na terenie

świątyni, zgodnie z poleceniem księcia. Dzięki temu najpotężniejsi uzdrowiciele pozostawali zawsze w pobliżu. Odwzajemnił uśmiech kobiety.

– Cieszę się, że to słyszę.

– *Herr Schreiber* ma bardzo silną wolę i jest w nim moc, która dopomaga w leczeniu.

– Czy wiecie, co mu się stało?

– Nie... Pani Uzdrowicielka twierdzi, że do jego mózgu wdarła się w jakiś sposób szkodliwa energia. Wiele wysiłku kosztowało ją usunięcie tej energii. Teraz zamknęła się w swej izbie na cały dzień. Wasz przyjaciel musi być bardzo ważnym człowiekiem, skoro sam książę nalegał, by to uczyniła.

– Jestem pewien, że złoży bardzo duży datek dla bogini – powiedział z przekąsem Felix. Najwyraźniej nawet pozornie niezależne i altruistyczne siostry Shallyi, pomocnice biednych i słabych, były podatne na wpływy polityczne. Nie wiedział, dlaczego to go zaskoczyło i rozczarowało, ale tak właśnie się stało. Kobieta usłyszała hardą nutę w jego głosie i jej twarz stała się mniej przyjazna.

– Czy mogę na niego spojrzeć? – spytał, zmuszając się do uśmiechu. Lepiej było nie zrażać do siebie kapłanek. Nigdy nie wiadomo, kiedy własne życie mogło zależeć od ich pomocy. Modlitwy i zioła pomogły mu zwalczyć własną chorobę. Teraz czuł się lepiej, chociaż jeszcze nie całkiem zdrow.

– Jeśli chcesz, ale bądź cicho. On śpi i musi odpoczywać, zanim wyzdrowieje. I zasłoń swoje usta chusteczką. Byłoby fatalnie, gdyby wyzdrowiał tylko po to, by paść ofiarą twojego kataru.

Felix skinął głową i jak najciszej wszedł do izby chorych. Pachniało miętą, kamforą i innymi ziołami, jakie pamiętał z dzieciństwa, gdy odwiedzał swoją matkę podczas jej długiej choroby.

Felix był wstrząśnięty. Max zawsze wydawał się potężnym, energicznym mężczyzną. Teraz wyglądał niezwykle blado i słabowicie. Był wychudzony jakby zżerała go zaraza. To była przerażająca zmiana w tak krótkim czasie. Przynajmniej jego oddech był głęboki i regularny. Felix spojrzał na ikonę gołębicy na ścianie i ofiarował modlitwę Shallyi, prosząc ją o łaskę i uleczenie czarodzieja. Bogini nie dała żadnego znaku, czy wysłuchała modlitwy.

Felix wstał do wyjścia, gdy usłyszał zmianę w rytmie oddechu czarodzieja. Odwrócił się i zobaczył, że oczy Maxa są szeroko otwarte. Dostrzegał w nich dzikość i strach. Chory wysunął drżącą dłoń i wyszeptał jedno słowo, które wywołało ciarki na plecach Felixa.

– Nagash – powiedział Max i ponownie osunął się bez przytomności.

– Nagash – mruknął ponuro Gotrek.

Nawet w ciepłe gospody, otoczony setkami podpitych wojowników, zapachem piwa oraz odgłosami śpiewów i tańców, na dźwięk tego słowa Felix zadygotał jak od ataku febry. Usiłował sobie wmawiać, że to były ostatnie pozostałości przebytej gorączki, ale wiedział, że tym razem to nieprawda. To imię przywołało obraz odległych czasów, gdy mroczni bogowie wędrowali po świecie i zabijali całe królestwa. Nawet najokrutniejsze z matek nie przywoływały tego imienia, by straszyć swoje nieposłuszne dzieci.

– Istotnie, zły omen to imię – odezwał się Ivan Petrovich wlewając w swoje gardło kolejną szklanekę, wódki. Jego dłoń zadrżała.

– Snorriemu to się wcale nie podoba – powiedział Snorri i Felix musiał zgodzić się z nim całym sercem.

– A zatem, człeczyno, nasz czarodziej uważa, że ten talizman jest w jakiś sposób związany z Wielkim Nekromantą?

– Właściwie nie omówiliśmy tej sprawy. To było jedyne słowo, jakie wypowiedział, zanim znowu zapadł w śpiączkę. To by jednak tłumaczyło, dlaczego ów Krieger tak bardzo chciał dorwać tę rzecz w swoje ręce.

Felix zamyślił się nad tym pociągając kolejny łyk wódki. Ognisty płyn ogrzał jego brzuch, ale nie przegnał mrozu z serca. Myślał o Wielkim Nekromancie. Była to istota, która walczyła z człowiekiem-bogiem Sigmarem jeszcze przed założeniem Imperium. Jeśli wierzyć mrocznym legendom, był on odpowiedzialny za wymordowanie całego narodu u zarania świata. Nagash ze wszech miar był najpotężniejszym czarnoksiężnikiem, jakiego znał świat, nekromantą, który opanował najciemniejsze tajemnice życia i śmierci. Któż wiedział, jakie narzędzie najwyższego zła byłby w stanie stworzyć? Cokolwiek to było, spoczywało w rękach Adolphusa Kriegera, czy jak tam brzmiało jego prawdziwe imię. Razem z Ulriką.

Felix nie chciał tego roztrząsać. Z wystarczającym trudem i bólem głowy przyjmował podejrzenie, że Krieger był krwio pijcą, który zabił tamte kobiety.

Zadrzał. Tylko tego było im trzeba. Ulrika porwana, Max w śpiączce, hordy Chaosu w drodze i teraz pradawny artefakt w rękach szalonego czarnoksiężnika. Czy mogło być gorzej?

Adolphus czuł się już lepiej. Była noc, a jego skóra zaczęła się goić. Dziwne światło księżycowe przydawało pokrytemu śniegiem krajobrazowi widmowego piękna i wywoływało w nim żądze polowania. Z okna leśniczówki widział zbliżającego się grubego Osrika i jego ludzi. Było tam kilka sań i najemników do ochrony. Jego bystre oczy dostrzegały mężczyzn i kobiety otulonych w ciężkie futra. Bez wątplenia nie mieli kłopotów z wydostaniem się z miasta. W końcu wszyscy stanowili grupę dobrze znanej miejscowej szlachty. Żaden ze strażników u bram nie zamierzał ich zatrzymać.

Widział, że była z nimi ta dziewczyna, Ulrika. Jej głowa opierała się o grube ramię Osrika. Nadal pozostawała oszołomiona pocałunkiem, jakim poczęstował ją ostatniej nocy. Adolphus nie mógł doczekać się kolejnego łyku jej krwi. Wyglądało na to, że plan działa. Byli już poza miastem i czynili przygotowania, by wyruszyć do Sylvanii. Jego sabat zadbał o to, by wyposażyć wyprawę we wszystko, co może być potrzebne jemu, Roche'owi i dziewczynie. Wkrótce wszyscy będą gotowi do drogi.

Ścisnął talizman zawieszony na szyi. Wyczuwał we wnętrzu artefaktu coś, co reagowało na jego obecność. Położył na nim dłoń, aby poczuć pod palcami zimny kamień. To była z pewnością fascynująca rzecz, przynajmniej dla jemu podobnych istot, a to właśnie sprawiało, że artefakt był tak niebezpieczny.

Gdy tylko znajdzie się z powrotem w swojej adoptowanej ojczyźnie, ten przedmiot użyczy mu potęgi o jakiej nie marzyła arystokracja nocy. Stanie się prawdziwym Władcą Wampirów, a jego władanie będzie trwało wiecznie.

Nadszedł czas, by powitać dziewczynę. Może ona okaże się tą wybraną.



## Księga Druga

### Sylvania

*Zima to niedobry czas na podróże po Kislevie. Śnieg, wilki, bezkresna monotonia jazdy saniami uczyniły tę podróż nawet bardziej znojną niż zwykle doświadczenia wędrówki w kompanii z Zabójcą. To w żaden sposób nie mogło powstrzymać nawrotu choroby, jaka mnie nękała.*

*Jednak po tym, czego doświadczyłem u celu, wolałbym raczej odbyć setkę wypraw poprzez skute lodem pustkowie Kisleva, niż tę jedną podróż przez niegościnne lasy iglaste Sylvanii.*

– Fragment z *Moich Podróży z Gotrekiem*,  
tom IV, spisanych przez Herr Felixa Jaegera  
(Wydawnictwo Altdorf, rok 2505)

## Rozdział 5

– Jak długo byłem... chory? – spytał Max Schreiber. Czuł się osłabiony, jego umysł ogarniało przerażenie jakiego nigdy wcześniej nie zaznał. Podniósł dłoń. Pałce wyglądały jak szpony dłoni zbudowanych z samych mięśni i kości. Miał długie i zaniedbane paznokcie. Jego skóra wydawała się przezroczysta. Poruszał się ze znacznym wysiłkiem.

– Trzy dni – odpowiedział Felix Jaeger.

Max podniósł się na łóżku i skupił wzrok na poecie-rewolucjoniście. Felix także nie wyglądał dobrze. Miał zaczerwienione oczy, włosy w nieładzie i nieogoloną brodę. Max czuł od niego zmieszany zapach bimbrowy i brudnej odzieży. Odkasznął sucho w dłoń zaciśniętą w pięść. Max usiłował się uśmiechnąć. Miał wrażenie, jakby od tego wysiłku miała mu popękać skóra na twarzy.

– A ty, z tego co widać, przez cały ten czas zajmowałaś się tęgą popijawą.

– Mniej więcej – odrzekł Felix. Mówił ponurym głosem, a wyglądał jeszcze gorzej. W jego oczach pojawiła się dzikość jakiej wcześniej nie było. Przypominał raczej Zabójcę, niż uprzejmego młodzieńca, jakim był zazwyczaj.

Wysiłek wyprostowania się na łóżku wyczerpał Maxa. Ponownie osunął się na poduszkę i wpatrzył w pobielony sufit. Izba pachniała miętą i leczniczymi ziołami. Ściany także były białe. Kątem oka dostrzegł ikonę przedstawiającą gołębicę.

– Boleję nad tym, że muszę się powtarzać, ale... gdzie ja jestem? – spytał. Domyślał się odpowiedzi, jednak wolał wiedzieć na pewno.

– W hospicjum Świątyni Shallyi.

– Byłem aż tak chory?

– Tak.

Max odetchnął głęboko i spróbował zebrać swoje myśli. Ostatnie co pamiętał, to dom szlachcica Andrieva. Nie. Coś badał – talizman. Po tym jego wspomnienia stawały się... rozmyte. Przypominał sobie koszmary, olbrzymi szkielet o twarzy uosabiającej śmierć i przerażenie, zęby szczerzące się w czaszce, ciało odpadające od twarzy, oczy stanowiące jamy zielonkawego, gnijącego śluzu. Pamiętał dziwne obrazy pustynnej krainy i wielkiej, czarnej piramidy; wojny, w których martwi walczyli z żywymi, a bladzi arystokraci spijali krew kielichami z brązu i uprawiali mroczne czarodziejstwo, aby przedłużyć swoje nienaturalnie podtrzymywane żywota. Wydawało mu się, że jego wiadomości pozwalają mu nazwać tę postać i ową odległą, piaszczystą krainę śmierci. Nie chciał tego uczynić. Jego myśli uciekały przed tymi wspomnieniami. Istniały rzeczy, z którymi na razie nie był gotów się zmierzyć. Być może nigdy już nie będzie.

Uniósł dłoń i dotknął swojej twarzy. Jego broda była długa i zmierzwiona. Miał wychudłe policzki. Dotknął serca. Nadal biło. W pewien sposób bał się, że może być inaczej.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha – powiedział Felix.

– Myślę, że go zobaczyłem.

– Gdy byłeś chory, mówiłeś w gorączce. Powtarzałeś jedno imię.

Max domyślał się, o jakie imię chodziło. Nie chciał, by Felix je wypowiedział, nie chciał przypomnieć sobie rzeczy, jakie widział. Jednak Felix nie zamilkł.

– Nagash.

Max zeszywniał. Wiedział, że prędzej czy później będzie musiał zmierzyć się z tym. Nie zostałby mistrzem magii, gdyby brakowało mu silnej woli. Zmusił się do normalnego oddechu, próbował

uspokoić łomoczące serce i zignorować zimny pot na skroniach.

– Tak – odezwał się wreszcie. – Nagash.

Wspomnienia powróciły nagłą falą. W amulecie ukryte było tak wiele mocy, utkanej z taką przemyślnością i zręcznością, że Max nadal nie mógł do końca w to uwierzyć. Ta rzecz była chroniona pułapkami przed badaniem, jakiemu poddał ją Max. To uruchomiło pułapkę. Zakrawało na cud, że w ogóle przeżył. Domyślał się, jak niewiele brakowało mu do śmierci. Nagash istotnie zadał sobie wiele trudu, by strzec swoich sekretów, ale to było zrozumiałe. Wielki Nekromanta nie był przecież jedynym, który ukrywał swoje tajemnice przed innymi magami. Po prostu jego zabezpieczenia były skuteczniejsze niż większości innych.

Tylko dzięki nagłemu przeczuciu niebezpieczeństwa, Maxowi udało się uchronić przed całym impetem ataku, a jednak pułapka i tak przebiła jego magiczne tarcze. Wiedział, że potrzebuje teraz czasu, by poszukać ewentualnych uszkodzeń mózgu. Musiał się dowiedzieć, czy jego umysł nie został spaczony, czy posiada pełnię wspomnień oraz swoich zdolności...

Instynktownie zaczerpnął wiatrów magii. Przepłynęła moc. Porywał jej strumienie i tkął z nich zaklęcie sondujące, a później, gdy zdał sobie sprawę, że nadal jest bardzo słaby, uwolnił moc. Pomyślał, że przynajmniej nadal potrafi kształtować magię. Jego talent pozostał nietknięty.

Zauważył, że Felix wpatruje się w niego, a jego dłoń spoczywa na mieczu.

– Co się stało?

– Twoje oczy zabłyśły i usiadłeś prosto. Miałeś taki wyraz twarzy, jakbyś chciał mnie zaatakować.

– Nie. Sprawdzałem tylko, czy... czy nadal jestem zdolny rzucać zaklęcia.

Felix skinął głową, chociaż jego mina zdradzała, że wciąż nie rozumie.

– Co Nagash ma wspólnego z Okiem Khemri?

– On je stworzył. Stworzył je dawno temu, w konkretnym celu. Przynajmniej tyle udało mi się zobaczyć zanim uruchomiła się pułapka.

– Co to robi?

Max zastanowił się. Był pewien, że poznał przeznaczenie Oka, ale ta wiedza została pogrzebana w jego umyśle pod kaskadą przerażających snów i wizji. Z czasem będzie w stanie odkryć to na nowo. Z czasem przypomni sobie. Przynajmniej, taką miał nadzieję.

– Jeszcze nie wiem.

– Jeszcze?

Max nie miał ochoty w tym momencie tłumaczyć Felixowi całej sytuacji.

– Mój umysł jest nadal nieco skołowany. Wszystko poukłada się później.

Uderzyła go inna myśl.

– Gdzie jest Ulrika?

Reakcja Felixa zaskoczyła go. Młody człowiek wyglądał jakby Max poraził go magią. Nagle przyszło mu na myśl, że może istnieje powód, dla którego Felix zaczął ciężko pić i mówił z takim ociąganiem.

– Ona nie umarła, prawda? Co się stało? Co się wydarzyło w dworku Andrieva?

Felix opowiedział mu. Max słuchał. Nie uszczęśliwiło go to, co usłyszał. Gdy Felix skończył, Max rozejrzał się.

– Gdzie moje szaty? Muszę być gotów do drogi. Musimy ją znaleźć.

Felix uśmiechnął się do niego kpiąco.

– Jak? Gotrek i ja starliśmy buty szukając jej wszędzie. Łaziliśmy po całym mieście, szukaliśmy na każdym cmentarzu i sprawdziliśmy każdą plotkę o obecności maga. Nic. Ludzie Ivana Petrovicha przeszukują okolice miasta. Nic. Książę przekazał opis Kriegera i Ulriki całej straży przy bramach. I

zgadnij, co znaleźli? Nic.

Maxowi nie podobały się ton głosu ani wygląd Felixa.

– A potem zaczęliście badać wszystkie oberże i szukaliście jej na dnie każdej szklanicy piwa? – powiedział złośliwie.

Palce Felixa pobieleły na rękojeści miecza, a potem na jego obliczu pojawił się wyraz poczucia winy.

– Nie wiedziałem, co jeszcze możemy zrobić. Próbowałem wszystkiego i nic nie pomogło. Miałem nadzieję, że będziesz w stanie coś zrobić, gdy odzyskasz siły. To dlatego tu czekałem.

Powiedział to tak zbolalym tonem, że Max zlitował się nad nim.

– A zatem dobrze zrobiłeś. Potrafię ją znaleźć. Taką mam przynajmniej nadzieję.

– Jak? Magią?

– Owszem.

– A więc, jesteś w tym lepszy niż połowa jasnowidzów tego miasta.

– Mam nad nimi przewagę.

– Cóż takiego?

– Rzuciłem zaklęcie lokalizacji na talizman, zanim zacząłem go badać. Z odrobiną szczęścia zaklęcie nadal się trzyma i uda mi się je wysledzić.

– Więc potrafisz znaleźć amulet? To nie znaczy, że uda ci się znaleźć dziewczynę.

– Nie bądź tępy, Felix. Krieger zadał sobie wiele trudu, by dostać tę rzecz. Wątpię, by po prostu ją wyrzucił. Szczególnie, jeśli jest tak potężna, jak sądzę. Każdy mroczny mag chciałby to zatrzymać i wykorzystać. Jeśli uda mi się znaleźć talizman, znajdę Kriegera, a jeśli uda mi się znaleźć jego, znajdziemy Ulrikę.

– O ile nadal żyje. Jeśli nie poświęcił jej na ofiarę dla jakiegoś mrocznego boga. Jeśli...

Max przerwał Felixowi gestem dłoni chociaż jego słowa sprawiły, że serce prawie zatrzymało mu się ze strachu. Ulrika musi być żywa. Nie mogła umrzeć. Max kochał ją i nie pozwoliłby na to. Rozumując realistycznie, istniała spora szansa, że podejrzenia Felixa okażą się słuszne, ale Max nie przyjmował tego do świadomości.

– Weź się w garść, człowieku. Jeśli go znajdziemy, to ją uwolnimy, o ile żyje. Jeśli jest martwa...

– Poczł suchość w ustach próbując wymówić te słowa i miał wrażenie, jakby zeszytywniał mu język. Zmusił się, by kontynuować: – Jeśli jest martwa, zemszczę się na Kriegerze i wszystkich, którzy mu pomagają.

Felix wyprostował się, a szalony błysk w jego oczach przygasł nieco. Puścił swój miecz i przesunął dłonią po policzku, jakby po raz pierwszy zauważając w jakim nieładzie jest jego broda.

– Kiedy możesz zacząć? – spytał.

– Gdy tylko wyjdę z tego łóżka. I jeszcze jedno, Felixie...

– Co takiego?

– Prześpij się trochę. Wyglądasz koszmarnie.

– Jesteś pewien, że to podziła? – spytał po raz setny Ivan Petrovich Straghov.

Max sapnął rozdrażniony i wbił wzrok w miejskie mury. Felix widział, że mag nadal jest osłabiony. Trzymał się jedynie dzięki sile woli, a nieustanne nagabywanie bojara kresowego wykańczało go.

– Jeśli nie ufasz mojej magii, możesz zabrać swoich ludzi i pojechać w jakim tylko chcesz kierunku – powiedział czarodziej. Ton jego głosu wskazywał, że był u kresu cierpliwości. Przez chwilę stary człowiek wyglądał, jakby zamierzał tak właśnie uczynić. Troska o córkę sprawiała, że

panował nad sobą jeszcze mniej niż zazwyczaj, a nigdy nie był cierpliwym człowiekiem.

– Jestem pewien, że Max potrafi znaleźć waszą córkę – odezwał się dyplomatycznie Felix. Chciał, by starszy wojak i jego dwudziestu jeźdźców pojechali wraz z nimi. Przemierzenie Kisleva w środku zimy było w najlepszym razie uciążliwe. Teraz, gdy zbliżała się horda Chaosu i w okolicy mogły przebywać skaveny, to mogło okazać się samobójstwem. Być może odpowiadało to Gotrekowi i Snorriemu, ale Felix ze wszech miar pragnął uwolnić Ulrikę, a dwudziestu zahartowanych weteranów północnych kresów z ich dzielnym wodzem znacznie zwiększało szansę sukcesu.

Ivan stał przez chwilę, a potem walnął Maxa w plecy tak serdecznie, że ten zaniósł się kaszlem.

– Nie miałem zamiaru cię obrażać Max, mój przyjacielu, tylko...

Max wyglądał żałośnie, ale uśmiechnął się słabo do bojara i powiedział: – Rozumiem. Wszyscy martwimy się o nią.

Felix przyjrzał się ich małej karawanie. Każdy z jeźdźców przyprowadził dwa dodatkowe kuce. Mieli trzy sanie na zapasy, dla Maxa i krasnoludów. Na wszystkich saniach ułożono wysokie sterty pożywienia i ziarna. Felix miał nadzieję, że to wystarczy. Nie po raz pierwszy żałował, że nie wie kiedy i czy w ogóle Malakai Makaisson powróci z „Duchem Grungniego”. Od wielu dni nie było żadnych wieści o wielkim statku powietrznym i nie mogli czekać dłużej. Gdy widzieli się po raz ostatni, inżynier Zabójca mamrotał *coś* o przebudowie statku w Czarnej Wieży. Gdyby był tutaj teraz, ich misja mogła być znacznie łatwiejsza.

Gotrek i Snorri niespokojnie spoglądali na kuce. Oba krasnoludy uważały, że konie nadają się tylko do jedzenia, ale nawet oni widzieli sens w zabraniu sań w taką pogodę. Felix miał nadzieję, że zwierzęta lepiej wytrzymają zimno, niż on sam. Marzył pomimo dwóch warstw ubrania i najgrubszego płaszcza oraz rękawic, jakie udało mu się dostać. Pragnął znaleźć się z powrotem w gospodzie „Pod Białym Dzikim”, ogrzewać dłonie przy ogniu i pociągać gorące, korzenne wino. Choroba, jaka nękała go od tygodni, wróciła podczas ostatnich popijaw i ani zioła kapłanek, ani zaklęcia Maxa nie okazały się zbyt pomocne. Miał tylko nadzieję, że nie będzie jeszcze gorzej.

– Czas ruszać – powiedział Gotrek sadowiąc się na saniach za Felixem i rzucając kucom groźne spojrzenie. Gdyby zwierzęta potrafiły odczytać to mordercze ostrzeżenie, uznałyby, że powinny zachowywać się jak należy. Snorri usadowił się obok Maxa. Ivan sam trzymał lejce w trzecich saniach. Jeźdźcy ustawili się w formacji marszowej. Para zwiadowców ruszyła naprzód, kolejne dwie pary pilnowały boków, a straż tylnia została na ogonie kolumny. Reszta jechała w podwójnym rzędzie obok nich.

Śnieg skrzypiał pod kopytami koni i szumiał pod płozami. Sanie szarpnęły naprzód, gdy Felix pociągnął za lejce. Wyruszyli. Za nimi, w oddali znikaly złote kopuły wieżyc Praag.

Max zamknął oczy i ponownie przywołał zaklęcie szukające. Opłynęły go strumienie magii i wzmocniły długie, wiotkie więzy, jakie łączyły go z Okiem Khemri. Długa, niesamowicie cienka nić pozornie wiązała go z talizmanem. Nie potrafił dokładnie określić jej długości, ale wiedział, że dystans jest znaczny i powinni udać się w kierunku południowozachodnim.

Miał nadzieję, że gdy będą się zbliżali, uda mu się zobaczyć więcej, ale w tym momencie to musiało wystarczyć. Miał szczęście, że delikatne więzy w ogóle utrzymywały się na tak wielką odległość. Do diabła z tym – miał szczęście, że nadal żył po swoim spotkaniu z pułapkami zastawionymi przez Wielkiego Nekromantę.

W ciągu kilku ostatnich dni Max spędził wiele czasu rozmyślając na ten temat. Nadal był zdolny przywoływać moc. Jego umiejętności i wspomnienia wydawały się mniej lub bardziej nietknięte. Nie znajdował w swojej duszy żadnych skaz pozostawionych przez tamtą przytłaczającą falę mrocznej

magii. To samo w sobie nic nie znaczyło. Dowolne zaklęcie zdolne wypaczyć jego myśli byłoby w stanie uniemożliwić mu rozpoznanie prawdy. Max wiedział, że mógł tego dokonać tylko mag o niesamowitej mocy i zdolnościach. Jeszcze kilka dni temu nie uwierzyłby, że to się może wydarzyć. Teraz wiedział, iż tak jest w istocie. Sam splot magiczny pozostawiony na Oku Khemri przekonywał Maxa, że Nagash był zdolny do czegoś podobnego. Ten człowiek, albo cokolwiek, czym się stał, był istotą o potędze bliskiej bogom.

Max zdumiewał się, jak coś takiego mogło być możliwe? W jaki sposób mag mógł stać się tak potężny? Być może energia magiczna była silniejsza, gdy świat był młody. Może Nagash żył w czasach, gdy fale mrocznej energii magicznej osiągnęły szczyty, o jakich próżno myśleć współcześnie. Może to właśnie działo się teraz, gdy Pustkowie Chaosu rozszerzyły się, a armie Mrocznych Potęg maszerowały na południe.

A może Wielki Nekromanta po prostu urodził się posiadając moce znacznie przekraczające możliwości jakiegokolwiek współczesnego maga. To było możliwe. Wszyscy czarodzieje różnili się między sobą mocą i potencjałem. Max znał ludzi dwukrotnie przekraczających go wiekiem i doświadczeniem, którzy nie posiadali nawet dziesiątej części jego obecnej siły. Widział też uczniów, którzy nabywszy odpowiednią praktykę mogą stać się silniejsi od niego. Przynajmniej tak wówczas uważał.

Jego spotkanie z zabezpieczeniami nałożonymi przez Nagasha na Oku Khemri obudziło w nim liczne wątpliwości. Podczas całego życia nigdy nie miał do czynienia z dziełem maga tak znacznie przewyższającego go pod każdym względem. Magowie, którzy rzucali zaklęcia dla hordy Chaosu podczas oblężenia, byli silniejsi od niego, ale przynajmniej rozumiał, co robią. Wiedział też, że ich moc pochodzi częściowo z wielkiego strumienia mrocznej magii, z jakiego czerpali. Ten skaveński szary prorok był silniejszy, ponieważ używał spaczenia, by wzmocnić swoje siły, ale Max wątpił, by skaven znacznie przewyższał go pod względem mocy i sprawności w kształtowaniu magii.

Ale Nagash – to było coś całkowicie innego. Max nigdy nie spotkał się z zaklęciem tak wysublimowanym, jak nałożone na amulet, ani z naturalną siłą tak wielką, że rezonans zaklęcia przetrwał przez trzy tysiąclecia. Gdy odkrył obronne zaklęcie na Oku, ujrzał dzieło istoty przerastającej go w takim stopniu, jak on przerastał zwykłych ludzi pod względem używania magii. Wiedział, że bez względu na to, jak bardzo będzie starał się uczyć i jak wiele mocy zdobędzie, nigdy nie zrówna się z tamtą istotą.

Przydarzyło mu się coś więcej niż okropne wizje i koszmary. To wydarzenie okazało się zgubne dla jego pewności siebie, nadwątlilo przekonanie o własnych możliwościach, a Max wiedział, że dla maga to mogło okazać się fatalne. Znaczna część sztuki rzucania zaklęć zależała od czystej siły woli, a wszystko cokolwiek ją osłabiało, pomniejszało zdolności maga. Jeśli doprowadziłoby do błędu podczas splatania niebezpiecznego zaklęcia, skutki mogły być opłakane. Max słyszał o takich przypadkach. Rezultaty nie były przyjemne ani dla maga, ani dla ludzi wokół niego. Wiedział, że w tej chwili nie może sobie pozwolić na takie błędy. Nie, gdy stawką było życie Ulriki!

Zastanawiał się, czy to uczucie własnej niedoskonałości nie zostało wzbudzone przez zaklęcia obronne talizmanu. Byłby to bardzo subtelny sposób zniszczenia wrogiego maga za pomocą podminowania jego pewności siebie. Wątpił, by Nagash potrzebował takich subtelności, chociaż bez wątpienia był do nich zdolny. Dlaczego ukrył moc w talizmanie? Dlaczego ochronił go takimi zabezpieczeniami?

Max potrafił odpowiedzieć przynajmniej na drugie pytanie. Rozważał to wystarczająco długo. Mag, tak potężny jak Nagash, miałby wielu przeciwników i zdrowy rozsądek nakazywał zapewnienie, by jego praca nie wpadła w ręce wrogów. Myśl o wrogach wywołała kolejny obraz

spośród wirującego chaosu koszmaru i wizji w jego umyśle. Znowu zobaczył owych białych szlachciców pijących krew i wiedział, że talizman jest z nimi w jakiś sposób powiązany – tylko w jaki? Miał nadzieję, że wkrótce zamieszanie w jego umyśle zniknie i będzie w stanie wyłowić z szalonego wiru myśli prawdziwe przeznaczenie talizmanu. Powtarzał sobie, że od tego zależy życie Ulriki. Co równie ważne – pod wieloma względami od tego zależało także jego własne życie. Musiał dowiedzieć się z czym się mierzą, gdy wreszcie odnajdą Adolphusa Kriegera. Musiał też rozpocząć odbudowę własnej pewności siebie.

Zmuszał się do myślenia. Kazał sobie odszukiwać jasne strony sytuacji. Chciał nauczyć się, czego się da z tego doświadczenia i za jego pomocą uczynić z siebie lepszego człowieka i lepszego maga. Zawsze wiedział, że istnieją magowie potężniejsi od niego. To w żaden sposób nie umniejszało jego własnych dokonań. Uczynił najlepsze co mógł używając darów, jakie zostały mu dane.

Przeżył i nie został pokonany. Nauczył się wielu rzeczy. Z pewnością, mógłby żyć bez tego doświadczenia, ale to się już stało. Jak wielu ludzi może powiedzieć, że bezpośredniego spojrzeli w umysł Wielkiego Nekromanty? Jak wielu ludzi przeżyło uderzenie jednego z jego zaklęć?

Powoli, niespiesznie Max zmagał się z własnymi wątpliwościami. Wiedział, że odnalezienie samego siebie będzie długim i powolnym procesem, ale przynajmniej uczynił pierwszy krok. Miał tylko nadzieję, że będzie gotowy, by zmierzyć się z tym mrocznym magiem, gdy nadejdzie czas. Jego myśli goniły jedna drugą, kiedy pojawiła się bardziej przerażająca możliwość.

Uruchomił pułapkę i przyjął pełen impet jej energii. Czy zaklęcie odnowi się po tym? A może Kriegerowi udało się znaleźć sposób, by dostroić się do amuletu? Kolejna myśl uderzyła Maxa. Zabezpieczenia amuletu nie zostały uruchomione dopóki nie spróbował przeanalizować jego struktury. Może amulet miał być wykorzystany w określony sposób? Może posiada! jakieś złowieszcze, tajemnicze przeznaczenie, jakie Wielki Nekromanta chciał ukryć? Przez chwilę Max czuł, jakby wielka kościana dłoń sięgała poprzez wieki, by wstrząsnąć losami śmiertelnych.

Zadrzał i zastanowił się, czy zabijając Adolphusa Kriegera nie okażą mu łaski.

Ivan Petrovich Straghóv niezgrabnie zaciskał na lejcach sań dłonie w grubych futrzanych rękawicach. Padały płatki śniegu, które tłumiły tupot kopyt kuców i dzwonięcie uprzęży. Wiatr kasał jego skórę. Wokół drogi majaczyły gęste puszcze iglaste. Za sobą słyszał pozostałe sanie brnące przez śnieg.

Przeklinał pogodę. Przeklinał człowieka, który porwał jego córkę, ale najbardziej ze wszystkich przeklinał sam siebie. Nie był na miejscu, gdy jego córka go potrzebowała. Zabawiał się na bankiecie u księcia, porywał ją jakiś oszalały magik. Rozpuszczał ją bezwstydnie od czasu przedwczesnej śmierci jej ukochanej matki, pozwalając na wszystko – nawet na wyprawę z tym młodym cudzoziemcem, Felixem Jaegerem, gdy powinna pozostać bezpieczna w domu.

Tyle, że teraz nie mieli już domu. Jego dwór został zniszczony podczas ataku skavenów, miesiące wcześniej, i niewątpliwie, cokolwiek pozostało, rozbiły w pył nadchodzące hordy Chaosu. Cała nadzieja na przeżycie spokojnej starości w otoczeniu wnuków przepadła. Czuł się dziwnie niespokojny i pozbawiony swojego miejsca na ziemi. Minione miesiące walki w podjazdach i wędrówka ze zgromadzeniem wojennym sprawiły, że zdał sobie sprawę, iż nie jest już młodym człowiekiem. Czuł się grubym starcem, który przywykł do wygod, a dobre bytowanie zmiękczyło go. Dotrzymanie młodszym w jego oddziale i ukrycie własnego zmęczenia oraz desperacji wymagało olbrzymiego wysiłku. Jeszcze więcej wysiłku kosztowało go nie poddawanie się własnej słabości.

Usiłował sobie wmawiać, że jego córka jest odważną i zmyślną młodą kobietą, równie dobrze wyćwiczoną w broni, jak każdy wojownik w oddziale. To niczego nie zmieniało. Mógł mieć tylko

nadzieję i modlić się, by Ulrika nadal żyła i nie została poświęcona jakiemuś mrocznemu bóstwu. Chciał wierzyć, że Max Schreiber wie, co robi. Jechał dalej. Serce gryzło mu poczucie winy i obawa, a myśli były tak ponure jak pogoda i bezludne otoczenie.

Adolphus Krieger rozejrzał się po wnętrzu powozu. Było wygodne. Siedziska obito delikatną skórą. Miało mnóstwo miejsca dla siebie i dziewczyny. Pojazd dla Osrika został zbudowany przez najlepszego rzemieślnika w Kislevie i rzeczywiście, było to widać. To była zabawka dla bogacza. Luksusowy powóz na płozach. W kraju, gdzie zimy mogły trwać przez sześć miesięcy i gdzie śnieg pokrywał ziemię przez większość czasu, posiadanie takiego pojazdu miało sens. W każdym razie był zadowolony, że Osrik zdecydował się na taki zbytek.

Dziewczyna spojrzała na niego ponuro. Była blada, wyglądała na spiętą i zbuntowaną. Nie rozumiała, co się z nią działo. Niewielu śmiertelników rozumiało efekty mrocznego pocałunku. Walczyła z tym. Adolphus uznał, że to było dobre. Z tym większą przyjemnością złamie jej wolę. Uśmiechnął się do niej, nie pokazując zębów.

– Przyznaj – powiedział jedwabistym głosem. – Podobało ci się. Ostatniej nocy obnażyłaś swój kark zanim zdążyłem o to poprosić.

To nie całkiem była prawda, ale też nie całkiem kłamstwo. Nie opierała się zbyt mocno, gdy ją obejmował. Wiedział, jaką rozkosz czerpała większość śmiertelników, gdy z nich spijał. To była ekstaza nieporównywalna do czegokolwiek innego. Kiedy uzależniali się od tego, gotowi byli uczynić wszystko, by przeżyć to ponownie, mimo że to mogło ich zabić. Zresztą, zwykle tak się działo.

Dziewczyna wpatrywała się w niego, niechętna przyznać, że w tych słowach było ziarno prawdy. Nie była w stanie przyjąć do wiadomości, że istotnie tak mogło być. A jednak wiedziała. Powoli ta wiedza stanie się niemożliwa do odrzucenia. Z czasem pokona jej lęki, opory i zaprzeczenia. Sam element zasianej wątpliwości podminuje jej opór, gdy dowie się, że nie potrafi już zaufać własnym osądom, swojemu staremu poczuciu moralności. W ciągu wieków Krieger wielokrotnie obserwował, jak tak się działo. Raz rozpoczęty proces był niepowstrzymany, o ile sam nie postanowił go przerwać.

Otworzył książkę – starą, podniszczoną kopię pergaminu Proroctw Nosferatusa, oprawioną w ludzką skórę. Księga otworzyła się na rozdziale poświęconym zapowiedzi nadejścia Ery Krwi. Niewątpliwie wszystkie znaki już się objawiły. Nadchodziły armie bestii. Głodny księżyc pożerał niebo. Miasta ludzi płonęły. A teraz Błady Książę odkrył Oko Wielkiego Nieumierania. Było tutaj – płonęło na jego gardle. Czuł subtelny dotyk mocy tego przedmiotu. Kątem oka dostrzegł nagłe poruszenie.

Dziewczyna, szybko jak wąż, sięgnęła po sztylet. Uśmiechnął się. Spodziewał się, że to uczyni. Między innymi dlatego pozwolił jej zatrzymać broń. Była bardzo szybka. Sztylet znalazłby się w sercu śmiertelnika, zanim ten zdążyłby zareagować. Adolphus nie był jednak śmiertelnikiem. Chwycił ją za nadgarstek i delikatnie odsunął jej dłoń. Uścisk nie był słaby mimo wdzięku tego ruchu. Po chwili zmusił ją, by wsunęła broń z powrotem do pochwy. Książka spadła na jego kolana.

– Złość piękności szkodzi, moja słodka – powiedział kpiąco i ponownie schwycił ją za nadgarstek, gdy usiłowała go spoliczkować. Musi się nauczyć, że jest bezsilna; nie może zrobić niczego, by go powstrzymać. Najpierw musi przekonać się o tym fizycznie, a potem z pewnością nauczy się tego także w swym sercu i duszy.

– Krwiopijca – rzuciła gniewnie, odwróciła się i zaczęła wypatrywać przez okno. Adolphus dostrzegł dwa małe nakłucia na jej szyi. Ten widok podniecił go dziwnie i wywołał pragnienie, by



ponownie spróbować jej krwi. Zwalczenie tego pragnienia było jednak trudne – w krwi dziewczyny było coś, co dawało mu wielką rozkosz. Może właśnie dlatego spędził tak wiele godzin czuwania pracując nad nią i subtelnie wypytyjąc o jej towarzyszy. Z zadowoleniem stwierdził, że udało mu się zapanować nad pokusą. Im więcej mil dzieliło ich od Praag, tym mniej nękała go wewnętrzna bestia. A może sprawiał to dystans między nimi a Północą? Tak czy inaczej to nie miało znaczenia. Ważne było, że powracała jego samokontrola.

– Jestem nim – przyznał z pewną dumą – i nie jest mi z tym źle. Żyję od wieków i widziałem więcej cudów niż jesteś w stanie sobie wyobrazić.

– Kupiłeś te stulecia za krew niewinnych.

Zaśmiał się.

– Większość oddała mi się wystarczająco ochoczo, jak wkrótce stanie się z tobą.

– Nigdy – powiedziała i zabrzmiało to przekonywująco. – Wolałabym raczej umrzeć.

– Och, nie bądź taka melodramatyczna. Nie masz pojęcia, o czym mówisz. W końcu jeszcze daleko ci do grobu. Po co się tam spieszyć? Czy chcesz pozwolić, by robaki wyżarły te piękne oczęta, a larwy pełzały po tych pełnych i cudownych ustach?

Przez chwilę nie było odpowiedzi, a potem odezwała się: – Co ty wiesz o śmierci? O prawdziwej śmierci? O wiecznym spoczynku? Jesteś chodzącym trupem podtrzymywanym krwią żyjących.

A zatem mimo wszystko zamierzała się opierać. Dobrze. Zmagania zawsze dodawały smaczku. Przełamanie jej woli zapewni mu coś do roboty zanim dotrą do twierdzy i będzie mógł dostroić talizman do swojej woli.

– Wiem wystarczająco, by zrozumieć, że nie chcę tego doświadczyć.

– To nie jest żadna odpowiedź.

– Co mam powiedzieć? Nie jestem kapłanem, bym mówił ze znawstwem o sprawach, jakich nie widziałem, ani o krainach, w których nigdy nie byłem. Nie opowiadam kłamstw.

Adolphus podejrzewał, że wreszcie przykuł jej uwagę. Przemawiał szczerze i chociaż był zdolny do okazywania pozornej szczerości, w tym przypadku tego nie uczynił. Nie było takiej potrzeby. Po prostu przywołał wątpliwości i lęki, jakie żywili wszyscy śmiertelnicy – które sam odczuwał, gdy jeszcze oddychał, a które nadał czasami powracały.

– Powiadasz, że kapłani kłamią? Twierdzisz, że Księga Morra nie jest prawdą, a słowa bogów są kłamstwami?

Wyciągnął dłoń i schwycił ją za policzek, delikatnie, ale zdecydowanie obracając jej głowę, by mógł spojrzeć jej w oczy.

– Czy kiedykolwiek rozmawiałaś z bogiem, ślicznotko?

– Modliłam się.

– A czy kiedykolwiek bóg ci odpowiedział?

– Moje modlitwy zostały wysłuchane.

– Nie pytam o to, czy dostałaś to, o co prosiłaś, albo tak ci się wydawało. Spytałem, czy bóg kiedykolwiek przemówił do ciebie bezpośrednio? – Dostrzegął, że oddychała głębiej. Śmiało zmierzyła się z jego spojrzeniem.

– Nie. Oczywiście, że nie.

– A jednak, jesteś gotowa przyjmować słowa kapłanów za prawdę. Zgadzasz się wierzyć w istnienia, jakich nigdy nie widziałaś.

– Nigdy nie widziałam Altdorfu, ale wiem, że to miasto istnieje.

– Gdybyś chciała, mogłabyś pojechać do Altdorfu, ale czy możesz rozmawiać z bogami twoich kapłanów?

– Były cuda czynione przez kapłanów w imię ich bogów.

– Oboje wierzymy w magię. Zdaje się, że znasz czarodzieja. Jestem pewien, że on potrafiłby powtórzyć efekty większości z tych cudów. Któż może stwierdzić, czy kapłani nie są po prostu magikami?

Milczenie. Pozwolił, by się przeciągnęło i uśmiechnął się do niej kpiąco. Nie opuściła wzroku. Postanowił ją zaskoczyć.

– Ja wierzę, że bogowie istnieją. Widziałem dość dowodów, by to wiedzieć. Nie wierzę tylko w to, o czym mówią kapłani.

– Widziałeś dowody?

– Ty także je widziałaś, jeśli o tym pomyślisz. Tylko głupiec patrzyłby na hordeę Chaosu i zaprzeczał istnieniu Władców Chaosu.

– A jeśli chodzi o naszych bogów?

– Chcesz powiedzieć: twoich bogów?

– Niech ci będzie.

– Wierzę, że istnieją, ale nie sądzę, by bogowie byli tym, w co wierzą śmiertelnicy.

Nie dała się wciągnąć do rozmowy, więc kontynuował: – Myślę, że bogowie są istotami o tyle przewyższającymi zwykłych śmiertelników, o ile śmiertelnicy przewyższają psy. Czy myślisz, że patrząc na ciebie pies rozumie, co dzieje się w twoim umyśle?

– Mój stary pies to rozumiał.

– Czy potrafił docenić poezję?

– Nie widzę, co to ma do rzeczy.

– Chodzi mi o to, że istnieją sprawy, które możesz zrozumieć i myśleć o nich, ale żaden pies nie będzie tego potrafił, bez względu na to, jak dobrze rozpoznaje nasze emocje i nastroje. Uważam, że bogowie są takimi stworzeniami. Myślę, że spoglądają na was, śmiertelników, i to ich bawi. W końcu mają przed sobą perspektywę eonów i wiedzy, która znacznie przekracza waszą.

– Wydaje mi się, że próbujesz spoglądać na świat oczami bogów. Twierdzisz, że ich nie rozumiem, ale sądzę, że sam nie rozumiesz ich lepiej.

Adolphus spojrzał na nią, zaskoczony przenikliwością tego stwierdzenia. Najwyraźniej dziewczyna była inteligentna. Doskonale – zapewni stymulujące towarzystwo podczas tej raczej nudnej podróży. Znudziła go już obecność Osrika i reszty sabatu. Pochlebny szacunek i oddanie okazywało się męczące, jak wszystko w nadmiarze. Wszystko – za wyjątkiem krwi.

Teraz, gdy bezpośrednie zagrożenie minęło, żałował, że Zabójca i jego kompani nie pojawią się. To dodałoby ekscytującego smaczku do jego działań. A jednak mówiono, że ten kraj jest niebezpieczny. Był przekonany, że zanim ta podróż dobiegnie końca, wydarzy się coś interesującego.

\* \* \*

– Przynajmniej kierujemy się z powrotem w stronę Imperium – powiedział Felix, przyglądając się padającemu śniegowi. Zimny wiatr wyciskał z jego oczu łzy, które zamarzały na policzkach. Cieszył się, że zanim opuścili Praag, nabył dodatkową parę rękawic. Mimo grubości obu par, którymi okrywał swoje dłonie, wydawało mu się, że palce przymarzają do lejców. Wszystko to pogarszało jego stan wywołany chorobą. Może przepijanie wszystkich nocy w Praag nie było tak dobrym pomysłem. Nie miał czasu, by naprawdę wydobrzeć.

Gotrek nic nie powiedział. Gapił się tylko na śnieg, jakby to był osobisty wróg. Na jego twarzy zastygła ponura mina, jaką zawsze przybierały krasnoludy zmuszone znosić jakieś wyrzeczenia. Felix

podejrzewał, że pod tą maską Zabójca bawi się całkiem nieźle. Krasnoludy najwyraźniej uwielbiały znosić fizyczny znój. Felix uważał to za ich najbardziej odpychającą cechę. Z zadowoleniem obyły się bez wszelkich trudów.

Max i Snorri przed nimi byli ledwo widoczni, a jeźdźcy stanowili ciemne cienie wśród padającego śniegu. Felix zastanawiał się, jak zwiadowcom udaje się odnaleźć drogę powrotną w tak nieprzyjaznych warunkach. Podejrzewał, że byli przyzwyczajeni do takiej pogody, często nadchodzącej z dzikich pustkowi północnego Kisleva. Szydzili z narzekań Felixa na zimno mówiąc, że to przypomina wiosnę w porównaniu zimą w ich ojczyźnie. Felix nie był pewien, czy stroją sobie z niego żarty. Sądził jednak, że mogą mówić prawdę.

Z pewnością okazywali niesamowite umiejętności w znajdowaniu i budowaniu schronienia. Ostatniej nocy Ivan Petrovich pokazał im nawet jak zbudować małą okrągłą chatkę ze śniegu i lodu. Gdy znaleźli się w środku, pomieszczenie okazało się zaskakująco ciepłe i niewątpliwie znacznie wygodniejsze i mniej przewiewne niż namioty.

Ich wędrówka postępowała jednak powoli. Poruszanie się przez tę część Kisleva, gdy zima trzymała coraz mocniej, było koszmarem. Gdyby nie chodziło o Ulrikę, Felix błagałby ich, by zawrócili. Miał dość niekończącego się zimna, kłuszącego wiatru i dalekiego wycia wilków. Przypominało mu to aż nazbyt dobrze spotkanie z Wybrańcami Ulryka w Imperium, w podobnych okolicznościach. Trzy dni takiej podróży wystarczyło mu za całe życie. Wiedział jednak, że będzie musiał znieść znacznie więcej. Według Maxa, od talizmanu dzieliło ich co najmniej sto mil, a właściciel amuletu nie zatrzymywał się.

Bywały chwile, gdy brnąc przez te białe pustkowia, Felix odczuwał beznadziejność ich starań. Szaleństwem była pogon za magikiem, który tak znacznie wyprzedzał ich w podróży przez tę pęsną, mroźną krainę, w nikłej nadziei, że znajdą Ulrikę żywą.

Przynajmniej to właśnie starali się osiągnąć wraz z Maxem. Był pewien, że Gotrek, Snorri i Ivan są gotowi ścigać Kriegera na kraniec ziemi, aby pomścić Ulrikę, albo – w przypadku Zabójców – po prostu po to, by wypełnić złożoną obietnicę.

Można było dziękować Sigmarowi za jego drobne laski. Jak dotąd nie spotkali żadnych zwierzoludzi, ani wojowników Chaosu. Gdy patrzył z pokładu statku powietrznego wydawało mu się, że okolica aż roi się od nich, ale na ziemi sprawy wyglądały inaczej. Prędkość „Ducha Grungniego” była zwodnicza. Na powierzchni podróżnik zdawał sobie sprawę, jak wielkim i pustym krajem jest Kislev oraz jak znaczne odległości rzeczywiście oddzielały poszczególne oddziały.

Felix zastanawiał się, co się stanie, gdy uda im się pokonać Kriegera i odbić Ulrikę. Niebezpieczeństwo nie minęło. Zima zaledwie spowolniła wielką inwazję Chaosu i całkowicie uniemożliwiła wszelkie poruszenia wojsk ludzi. Z nadejściem wiosny rozpocznie się totalna wojna na skalę, jakiej świat nie widział od dwóch stuleci. Może próby uratowania jednej kobiety, w samym środku tego wszystkiego, były próżne. Może wkrótce i tak wszyscy będą martwi. W Praag udało im się powstrzymać i pokonać tylko niewielką część ogromnej armii. Siły Chaosu wydawały się nieograniczone, a ich demoniczni panowie nie dbali o to, ile żywotów poświęcą w pogoni za swoim celem. W obliczu takich przeciwników, Felixowi wydawało się nieuniknione, że zostaną pokonani, a świat skona w ogniu i zgliszczach.

Ale cóż mógł uczynić? Tylko to, co wydawało mu się najlepsze. A prawdę mówiąc, nie przeszkodziłaby mu odrobina ognia już teraz, chociaż mógł obyć się bez zgliszczy. Był to marny dowcip, ale trochę go rozweselił na kilka następnych minut, po czym zimno ponownie zaczęło przenikać jego kości i powrócił dławiący kaszel.

Dojechali do miejsca, które jeszcze niedawno było wioską. Teraz, z kamiennych budynków

pozostały tylko poczernione sadzą ruiny. Nad śniegiem wznosiło się kilka osmalonych kikutów drewnianej palisady. Wszelkie ślady ludzkiej obecności zostały pogrzebane pod zaspami, włącznie z większością ciał. Felix czuł się winny, jakby jego myśli sprzed paru minut przywołały to do istnienia. Przywracał się do rozsądku – to miejsce zostało zniszczone kilka dni temu. A jednak, dziwne uczucie nie opuściło Felixa i pogłębiło ogarniający go smutek.

– Spójrzcie na to – odezwał się Marek, tropiciel. Trzymał coś długiego i białego pokrytego brązowymi śladami. Felix przyłączył się do Gotreka i podeszli bliżej. Ivan Petrovich był już na miejscu. Płatki śniegu opadały z nieba. Falista równina wokół nich pogrążona była w ciszy, nie licząc dziwnego zawodzenia wiatru.

– Co to takiego? – spytał Felix.

– Ludzka kość – odrzekł Gotrek spoglądając na znalezisko w dłoni Marka.

– Kość udowa – dodał Marek. Miał pociągłą, zamyśloną twarz i rzadko mówił więcej, niż było trzeba – A przynajmniej jej część. Skruszona na szpik.

– Wilki? – spytał Felix z nadzieją w głosie. Słowa Marka podsunęły Felixowi bardziej przerażające możliwości, ale nie chciał o nich wspominać. Wilki nie atakowały umocnionych wiosek i nie paliły ich do gołej ziemi.

– Nie, kość złamano wzdłuż i nie zębami wilków. Coś takiego robią ludzie albo stwory do nich podobne.

– To robota zwierzoludzi! – huknął Ivan Petrovich. – Podczas przemarszów oglądałem takie rzeczy na tyle często, by to rozpoznać.

– Musieli poczuć głód i zatrzymać się na przekąskę po długim marszu – powiedział Gotrek. Rzucił groźne, dzikie spojrzenia. Nienawidził zwierzoludzi.

Max podszedł do nich. Poruszał się powoli, jakby nadal zbierał siły. Wielka opończa z niedźwiedziej skóry okrywała jego grube wełniane szaty. W okrytej rękawicą dłoni ścisnął swoją łaskę.

– Jak sądzisz, czy Ulrika i Krieger mogli tu być, gdy nadszedł atak? – Felix zadał pytanie, o którym myśleli wszyscy.

Max potrząsnął głową.

– Talizman nadal się przemieszcza.

– Mogli go zabrać zwierzoludzie – powiedział zaniepokojony Felix.

Max spojrzał na niego lodowatym wzrokiem.

– Nie wyczuwam w tym miejscu pozostałości magii. Gdyby zostali zaatakowani, Krieger na pewno wezwałby siły mroku, żeby się bronić. Gdyby tak się stało, wiedziałbym o tym. Nie sądzę, by tu był, kiedy to się wydarzyło. – Mówił tak przekonująco, że Felix nie naciskał. Może nie chciał dopuścić do siebie innych możliwości.

– Myślisz, że zwierzoludzie nadal są gdzieś tutaj? – spytał Felix, rzucając nerwowe spojrzenia na wszystkie strony.

– Nie. Zgłiszczą mają ze dwa dni. Bestie już dawno odeszły – powiedział Marek.

– Szkoda – mruknął Gotrek przesuwając kciukiem wzdłuż ostrza swojego topora, aż pojawiła się kropla jasnej krwi.

– Nie martw się, Gotreku Gurnissonie. Zanim skończymy, twój topór będzie miał mnóstwo roboty. Tej zimy maszerują wszystkie hordy piekła.

– Dawać je – rzucił Gotrek gapiąc się ponuro w las. – Trochę ruchu pomoże mi się rozgrzać.

Adolphus słyszał dobiegające z oddali nocne wycie. Były to wilki skowyczące w pościgu za żerem. Miała nim stać się jego mała karawana. Normalnie zwierzęta nie martwiłyby go w

najmniejszym stopniu, ale z zewem wilków mieszały się inne głosy – goblinów, wilczych jeźdźców. Zielonoskórzy musieli być zdesperowani, skoro tej zimy zapuścili się tak głęboko na ziemie ludzi. Bez wątpienia zostali wypędzeni ze swoich krain ojczystych przez napór brnącej na południe hordy Chaosu. Nie tylko ludzie uciekali przed nią niczym jelenie przed naganiaczami. Cóż, niech nadejdą – szybko przekonają się, jaką głupotą jest atakowanie kogoś takiego jak on.

Krew Ulriki napełniła go słodyczą. Pozostawiła w nim ciepłe uczucie, jakie kiedyś wywoływało dobre wino. Słyszał, że niektórzy z Przebudzonych wraz krwią ofiar spijają ich wspomnienia i emocje, ale do tej pory nigdy nie doświadczył czegoś podobnego. Jakby część wewnętrznego ognia dziewczyny przedostała się z jej żył do jego. Ona sama leżała na skórzanym siedzisku pogrążona we śnie i wyczerpana. Na jej twarzy utrzymywał się uśmiech nasycenia. Adolphus wielokrotnie widział taki grymas u tych, z których pił. Wiedział, że będzie spała przez kilka godzin. Wyczuwał niektóre z jej emocji. Więź krwi między nimi umacniała się.

Sanie szarpnęły zatrzymując się. Ktoś zapukał w okno i pojawiła się brzydka twarz Roche'a, nakrapiana śladami po ospie niczym oblicze większego księżyca.

– Zdaje się, iż jesteście ściągnięci, panie – powiedział spokojnie, jakby na ich tropie nie było pół setki zielonoskórych. – Czy pragniesz panie, bym jechał dalej, czy mam powiedzieć pozostałym, by szykowali się do walki?

– Nie sądzę, by potrzeba było walczyć, Roche – odrzekł Adolphus. – Wątpię, by wilki nas zaatakowały. Z ich gatunkiem łączy mnie obopólne zrozumienie.

Otworzył drzwiczki i wyszedł na zimne nocne powietrze. Nie czuł zimna, tak jak kiedyś, i mroźny wiatr wydał mu się całkiem orzeźwiający. Śnieg pokrywał drzewa wokół nich.

Zawsze lubił śnieg. Miał kolor kości, czystego papieru. Był dla niego symbolem niewinności i nowego początku. Osrik i pozostali szlachcice spoglądali na niego zaniepokojeni przez okna swoich sań. Ocaleli najemnicy wyglądali jakby nie mogli się zdecydować, czy mają szykować się do walki, czy do ucieczki. Adolphus uśmiechnął się do nich w sposób, który zapewne nie uspokoił ich zbyt.

– Nie lękajcie się, moi śmiali przyjaciele – powiedział. – Obronę was.

Wycofał się po ich śladach, aż stanął między niewielkim okręgiem utworzonym przez sanie, a zbliżającymi się prześladowcami. Czekał na nich przyglądając się swoim paznokciom. Pod nimi dostrzegł słabiutkie zaróżowienie od krwi, jaką właśnie wypił.

Zawodzenie było coraz bliższe. To był zew samotności, chociaż dobywał się z gardeł całego stada i to do niego przemawiało. Pomimo tego, co mówił Ulrice o psach i poezji – czuł, że łączy go więź z tymi stworzeniami. On i wilki rozumieli, czym była samotność drapieżcy. Potrząsnął głową. Nie było czasu na podobne rozważania. Musiała je wywołać krew dziewczyny albo obecność talizmanu.

Nagle z lasu wypadła wataha, wyrzucając za sobą fontanny śniegu. Były to wielkie stwory, znacznie większe od normalnych wilków, okryte białym futrem zimowym. Ich czerwone ślepia płonęły szalonym głodem. Były pięknymi stworzeniami, w odróżnieniu od swoich jeźdźców.

Ci byli mniejsi od ludzi, być może wzrostu dziesięcioletniego chłopca, zielonoskórzy i odziani w grube futra i łachy, które wyglądały jak stare, pstrokate szmaty. Ich usta wypełniały wielkie, ostre zębiska. Mieli żółte oczy wielkości spodków i Adolphus domyślał się, że w ciemności widzą prawie równie dobrze jak on. Ich ramiona były nieproporcjonalnie długie, może o połowę dłuższe od ludzkich. W wielkich sękatych dłoniach ściskali włócznie, łuki i zakrzywione szable. Adolphus ruszył pewnie w ich stronę.

To ich zaskoczyło. Nie tego się spodziewali. Jeden z goblinów, większy i paskudniejszy od pozostałych, podniósł łapę i szereg jeźdźców zatrzymał się w pewnym nieładzie. Jeździec wycelował ze swojego krótkiego łuku i wypuścił strzałę. Adolphus ustąpił na bok i pozwolił jej przelecieć obok,

aż wbiła się w ściankę powozu za nim. Wątpił, by strzały zakończone kamiennymi grotami mogły go zranić, ale potrafiły ukąsić, a Adolphus nie lubił bólu. Przywódca obrócił się i spojrzał na mniejszego goblina, który wystrzelił. Wyczuwając zbliżającego się Adolphusa i pochwyciwszy jego zapach na wietrze, wilki zaczęły warczeć, a potem podkradać się. Przewodnik watahy, potężna bestia, wpatrywał się w niego ślepiami, w których jarzył się szal dorównujący wściekłości wodza goblinów.

Adolphus cofnął się o dwadzieścia kroków. Wiedział, że do tej pory Roche przygotował swoją kuszę i celuje w przywódcę. To nie było konieczne, ale Adolphus uznał, że dobrze będzie dać jego słudze coś do roboty. Wątpił, by najemnicy przydali się na coś, gdyby miało dojść do walki, ale nie dbał o to. Położył dłoń na rękojeści miecza i pogardliwie przyglądał się wilczym jeźdźcom. Poruszyli się niespokojnie w siodłach, niepewni, z kim mają do czynienia – choć dobrze wiedzieli, że wykracza to poza ich zwykłe doświadczenia.

– Odejdźcie natychmiast, a pozwolę wam żyć. Jeśli zostaniecie, niechybnie zginiecie – przemówił do nich pewnym głosem, wbijając wzrok w przywódcę. Poczł nawiązane połączenie, gdy ich wzrok zetknął się. Rozpoczęli bitwę siły woli. Goblin był dziki, głupi, ambitny i nie lubił być zmuszany do czegokolwiek. Starcie nie było jednostronne.

Reszta jeźdźców uniosła swoją broń i wykrzykiwała wyzwiska i obelgi w swoim gardłowym narzeczu. Adolphus wątpił, by zrozumieli choćby kilka z jego słów. Takie zachowanie leżało w ich naturze. Przywódca patrzył na niego, najwyraźniej niepewny, co się dzieje. Wyczuwał obecność magii i to go irytowało. A jego gniew zamienił się w strach.

– Zabić magik! – krzyknął, a potem zaczął wyrzaskiwać rozkazy w swojej mowie. Wilki warknęły i przykucnęły zbierając się do skoku. Goblino pochylły lance i uniosły szabliska. Adolphus wzruszył ramionami. Nie miał wielkiej nadziei, by jego sugestia podziałała, ale warto było spróbować. Teraz musiał przejść do drugiego planu.

Jego spojrzenie przemknęło po wilkach. Pozwolił im ujrzeć drzemiacą w nim bestię. Zrozumiały, że znajdują się w obecności drapieżnika znacznie niebezpieczniejszego od nich. Zmiana była natychmiastowa. Sierść na ich karkach nastroszyła się i wilki skuliły się jak zbite kundle. Podkuliły ogony, rozwarły pyski i wywały jęzory. Okrzyki ich jeźdźców ustąpiły słabym, zdumionym protestom.

Adolphus zaczerpnął mrocznej energii magicznej, jaka wypełniała noc i skupił swą wolę na zwierzętach. Może tylko mu się wydawało, ale dzięki obecności Oka wykonał to z większą łatwością niż zwykle. Wyczuł chwilowy opór u zwierząt, ale jego wola była zbyt silna. Po kilku chwilach bestie były na jego rozkazy i odbierały je bezpośrednio w swych umysłach.

Prawie jednocześnie uniosły się na tylnych łapach wyrzucając jeźdźców z siodła. Rzuciły się na nich, by rozrywać gardła. Goblinom zajęło dłuższą chwilę otrząśnięcie się z zaskoczenia i zorientowanie, co się dzieje. Do tego czasu ponad połowa z nich była martwa.

Nie zamierzały ustąpić bez walki. Niektórym udało się utrzymać w siodle. Adolphus zobaczył, jak herszt podrzyna sztyletem gardziel swojego wierzchowca. Wilcza krew zaplamiła śnieg. Wódz wyskoczył z siodła i popędził w stronę Adolphusa, wyciągając ociekający czerwienią nóż. Adolphus chciał się uśmiechnąć na widok tak głupiej brawury.

Ruszył na stwora nawet nie dobywając miecza. Tuż przed goblinem ustąpił na bok i otoczył ramieniem jego gardło. Jednym skrętem ramienia zmiażdżył kark wodza. Chrupnęły kręgi. Coś mokrego i lepkiego ześlizgnęło się po nodze goblina i upadło na śnieg. Adolphus uniosł ciało nad głowę i rzucił je w kolejnego nacierającego jeźdźca.

Obok niego śmignął bełt wystrzelony z kuszy i przebił gardło innego goblina. Słyszał najemników

włączających się do walki, która teraz wydawała się wygrana. Tego było już zbyt wiele dla zielonoskórych. W ciągu kilku uderzeń serca, ci którym udało się przeżyć, odwrócili się i uciekli ścigani przez własne wierzchowce. Po chwili śnieg zalała żółtawozielona krew i wszystkie gobliny były martwe.

Adolphus pozwolił wilkom pożywić się. Usłuchały go z ochotą. Najwyraźniej zima była ciężka, a ich dawni panowie nie karmili dobrze swoich zwierząt. Odwrócił się i odszedł do powozu. Roche przyglądał mu się beznamiętnie. Sabat spoglądał na swojego mistrza z mieszaniną czci i przerażenia. Strach płonął w oczach najemników, którzy rozstąpili się, by go przepuścić.

– Gdy ruszymy dalej – odezwał się Adolphus – sądzę, że będziemy mieli eskortę.

– Doskonale, panie – powiedział Roche. – Poczekam, by twoje nowe sługi skończyły swój posiłek.

– To mi się wcale nie podoba – powiedział Max Schreiber. – Te ślady są nienaturalne.

Felix odczuwał głęboki niepokój. Lasy wokół nich były gęste i mroczne, a drzewa oszronione białymi płatkami. Śnieg przed nimi był poruszony, jakby duża liczba ludzi lub innych stworzeń przeszła tamtędy całkiem niedawno. Felix wątpił, by jakikolwiek rozumny lub uczciwy człowiek przebywał na drodze podczas tej pogody nie mając naprawdę ważnego powodu. Zimno nasilało się, a pogoda stawała się coraz bardziej ponura, a on sam coraz częściej myślał, by poddać się.

Nie przestał pragnąć ocalenia Ulriki. Po prostu, z upływem czasu wydawało mu się, że maleje szansa, by nadal była żywa. Przysięganie, że się ją pomści było łatwe, ale zamrożenie w śniegu albo utrata kończyn z odmrożenia zapewne nie pomoże tego dokonać.

Na razie Felix zatrzymywał te myśli dla siebie. Zapewne nie znalazłyby wielkiego posłuchu wśród Zabójców, Maxa, ani ojca Ulriki. Czasami sam się nimi brzydził. Czuł odrazę do samego siebie, ale te myśli coraz częściej zakradały się do jego umysłu. Wiedział, że jest chory – przeziębienie powróciło ze zdwojoną siłą. Miał nadzieję, że nie dostanie zapalenia płuc.

Powtarzał sobie, że żaden z bohaterów w historiach, jakie czytał jako chłopak, nigdy nie poddał się z powodu zimna, głodu lub bolącej głowy, a na myśl o kolejnym kęsie suszonej wołowiny nie robiło im się niedobrze. Ale z upływem dni właśnie te rzeczy najbardziej go nękały.

Felix potrafił poradzić sobie z zagrożeniem fizycznym. Chociaż nie przepadał zbyt za tego rodzaju niebezpieczeństwami, udawało mu się je przewycięzać w przeszłości i radził sobie dobrze. Te drobnostki powoli, ale nieubłagane pozbawiały go sił: popękane usta, burczenie w brzuchu, bezustanny ból skroni od kataru, który nie ustępował bez względu na to, jak często uzdrawiał go Max czarami albo ziołowymi ekstraktami. Czuł się wyczerpany, jakby jego siły żywotne były wysysane przez duchy zimowych borów. Czasami myślał, że gdy dogonią Kriegera, będzie zbyt zmęczony, by z nim walczyć.

Z trudem przychodziło mu przywołanie obrazu Ulriki do swego umysłu oraz uzmysławianie, w jakim jest niebezpieczeństwie. To było niepokojące. Wydawało mu się, że ją kocha. Nie – rzeczywiście ją kochał, a jednak teraz poważnie rozważał, czy nie pozostawić jej samej sobie. To był kolejny z elementów, który nie pasował do historii opowiadanych w książkach. Tam bohaterowie ośmielali się zaryzykować wszystko, by ocalić swoje ukochane. Płonęła w nich niespożyta pasja i absolutne oddanie. Nigdy nie dotykały ich wątpliwości i nie zastanawiali się, czy rzeczywiście są zakochani.

Jego jednak czasem to dotyczyło. Czasami, gdy był głodny, zmęczony, skacowany albo przestraszony, z łatwością zapominał, że ją kocha. Bez trudu przypominał sobie wszystkie chwile, gdy go zraniła, odepchnęła lub powiedziała, że jest głupcem. Do jego umysłu zakradały się wszystkie

drobne urazy, jakie wobec niej żywił i skupiały na sobie jego uwagę. Detlef Sierck nigdy nie raczył wspomnieć o tym w swoich sztukach. Felix zastanawiał się, czy jest jedynym człowiekiem na ziemi, którzy czuje się podobnie. Wątpił w to.

A potem, w chwili gdy wydawało mu się, że wszystkie dawne uczucia wygasły – powracały w najdziwniejszy sposób. Przypominał sobie, jak Ulrika zabawnie, po kislevsku, wymawiała niektóre sylaby, albo potrzasała głową uśmiechając się, gdy powiedział coś naprawdę głupiego. Nie rozumiał, dlaczego te akurat rzeczy wspominał z taką tkliwością, ale tak właśnie było. Przypominały ogniwa w łańcuchu, który nadal ich łączył, chociaż czas, odległość i głód usiłowały go rozerwać. Być może nigdy nie będzie pewny co do niej czuje, ale wiedział, że dopóki ona żyje, ma szansę, by się tego dowiedzieć. A jeśli umarła...

Zmuszał się, by podążać naprzód. Musiał tylko jechać tą drogą. Musiał jeść obrzydliwe kislevskie racje żelazne. Próbował ignorować zimno, ból, mamrotanie krasnoludów, przechwałki Kislevczyków i stale zatroskane oblicze Maxa. Musiał to wszystko znieść. Tak czy inaczej, przejdzie przez to. Pewnego dnia, jeśli będzie miał szczęście, przypomni to sobie z rozrzewnieniem, tak jak spoglądał na przeszłe trudy, gdy znalazły się bezpiecznie daleko za nim.

Wiedział, że pamięć potrafi płatać dziwne figle. Jeśli przeżyje, jego umysł przypomni sobie głównie przyjemniejsze chwile tej mordęgi. Będzie pamiętał towarzyszy i wspólne niebezpieczeństwa, jakie przeżyli. Przypomni sobie, w jak nagły i zaskakujący sposób dostrzegał piękno nawet w głębi tych zimowych pustkowi. Zobaczy czarujące obrazy zamrożonych zagajników, które zauważał kątem oka podczas jazdy. Przestraszonego jelenia uciekającego w oddali na ich widok, z jego zadem połyskującym w wielkich susach. Czyste, przejrzyste powietrze, odgłos płóz tnących śnieg i kuców parskających między sobą, jakby dodawały sobie otuchy. Przypomni sobie dziwne wrażenie spokoju, gdy konni wojownicy śpiewali swoje zimowe pieśni wokół ognia w lodowych chatkach, jakie wycinali każdego wieczora.

Gdy zabraknie rzeczywistego bólu, mdłości, zmęczenia i strachu, jego pamięć przypomni sobie cudowną przygodę.

Oczywiście, to wszystko będzie kłamstwem, ale pięknym kłamstwem, o wiele lepszym od rzeczywistości. Być może, tak jak inni bajarze, opowie to kłamstwo innym i sprawi, że oni także uznają to za coś cudownego. A co najdziwniejsze – wiedział, że będzie to opowiadał z przekonaniem. Całkowicie uwierzy w swoją opowieść.

Marek zatrzymał się, by przyjrzeć się śladom. Badał je dokładnie.

– Niezbyt daleko od nas, jak sądzę – powiedział. – Nic przyjemnego.

– Skąd to wiesz? – spytał Felix.

– Proste. Niektóre z odcisków stóp mieszają się ze śladami kopyt. Rozszczepionych. Jedyne stwory, jakie pozostawiają takie ślady, to zwierzoludzie. Jeśli będziemy mieli szczęście, niedługo ich dogonimy.

Felix nie uważał, by to było cokolwiek szczęśliwego i złapał się za bolącą głowę.

Max był zaniepokojony. Nie chodziło o perspektywę zmierzenia się z nieokreśloną liczbą zwierzoludzi, ale o czas, jaki zabierał ich pościg. Posuwali się naprzód prawie od tygodnia i nadal nie zbliżyli się do talizmanu. Odległość od niego raczej zwiększała się. Kimkolwiek był Krieger, z pewnością potrafił poruszać się przez te zimowe krainy.

W pewien sposób to było dobre. Wskazywało na to, że mroczny mag nadal brnął naprzód, nie powstrzymywany przez niebezpieczeństwa na drodze. Można było przypuszczać, że potrafił ochronić życie Ulriki, jeśli taki miał zamiar. Stanowiło to ostatnie źródło nadziei dla Maxa. Nie był



tego jednak pewien. Fakt, że Krieger był tak potężny źle wróżył dla szans odzyskania dziewczyny, szczególnie jeśli porywacz nauczył się korzystać z mocy talizmanu.

Max zadrzał i to nie z zimna. Od czasu porwania Ulriki zmusił się do wysiłku, jakiego wcześniej sobie nawet nie wyobrażał. Czasami wydawało mu się, że utrzymuje się przy życiu tylko dzięki swojej sile woli. Zmienił się w człowieka z kamienia. Nie czuł już zimna, zmęczenia ani głodu. Chciał tylko odbić tę kobietę.

W pewien sposób ta sytuacja była dla niego zbawienna. Pomogła mu wytrzymać straszliwą próbę odzyskania sił mentalnych po spotkaniu z zabezpieczeniami talizmanu. Zapewniała mu motywację dla pokonania słabości. Sprawiała, że przestał użalać się nad sobą i zmusiła do konfrontacji z otchłanią wątpliwości, jakie nękały jego umysł. Wiedział, że musi zebrać się do kupy zarówno dla Ulriki, jak dla siebie samego.

Kiedyś myślał, że ją kocha, ale to był blady cień tego, co czuł w tej chwili. Możliwość, że ją utraci była nie do zniesienia. Nigdy nie doświadczył tak głębokich uczuć. Kierowało nim niepowstrzymane pragnienie, by ją odnaleźć – sprawiało, że malały potrzeby własnego ciała i jego słabości.

Żałował każdej minuty straconej po drodze. Obawiał się spotkania ze zwierzolidzmi zarówno dlatego, że mogło to spowolnić ich podróż, jak z powodu zagrożenia ranami i śmiercią. Nienawidził każdej straconej chwili, która umożliwiała Kriegerowi zwiększenie dystansu między nimi. Nie mógł przeboleć czasu, jaki zabierało rozbicie obozu na noc, budowa lodowych chat i rozpalenie ognisk. Gdyby mógł, obyłby się bez tego, nie jedząc, nie pijąc i nie śpiąc w razie potrzeby.

Miał świadomość, że to było szaleństwo. Jeśli odrzuci te rzeczy – umrze, a wówczas nie będzie pomocny dla nikogo, a najmniej dla Ulriki. Ale czym innym było rozumne przyjmowanie tych faktów, a czym innym uczucia płonące głęboko w duszy.

Jego życie uprościło się do jednej jasnej i konkretnej idei – musi uratować Ulrikę. Myślał, że oszaleje, jeśli tego nie dokona.

\* \* \*

Jak dotąd, nie znaleźli niczego, nie zostali zaatakowani przez potwory i nie zauważyli żadnych zwierzolidz. Tylko Zabójcy tego żalowali. Dla wszystkich pozostałych był to powód do radości. Felix był ciekaw, jak zwierzolidzom udaje się przetrwać trudy zimy. Ivan znał odpowiedź.

– Zjadają się nawzajem, gdy nie mogą zdobyć ludzkiego mięsa. Duzi pożerają małych. Silni jedzą słabych. Sądzę, że w ten sposób bogowie poddają ich próbom, by przetrwali tylko najtwardsi. Nie wiem. Wiem tylko, że widziałem dość trupów i walczyłem w wystarczająco wielu bitwach przeciw nim podczas zimy, by wiedzieć, jaka jest prawda.

Gotrek pokiwał głową, jakby zgadzał się z każdym słowem. Felix wzdrygnął się. To była wiedza, bez której z radością mógłby obyc się przez resztę życia. Niestety, wydawało się, że los miał wobec niego inne plany.

– Lepiej ruszajmy – odezwał się Zabójca. – Zdaje się, że tej zimy poruszyła się każda plugawa bestia Chaosu. Wcześniej czy później wpadniemy na którąś z nich.

Jego złowrogi uśmiech nie pozostawiał Felixowi wątpliwości, co stanie się w takim przypadku.

## Rozdział 6

Księżycy płonęły jasno na niebie. Śnieg przykrywał puszcę grubą warstwą. Otaczały ich sękaty, prastare drzewa zarastające drogę. Adolphus odetchnął głęboko. Nareszcie tu się znaleźli. Powietrze miało inny smak – ostrzejszy, z posmakiem krwi, mrocznej magii i starożytnych tajemnic. Wiedział, że znalazł się w domu. Na świecie nie było innego miejsca, które pachniałoby jak Sylvania.

Oczywiście, nie urodził się tutaj, ale spędził tu wiele stuleci swojego nieżycia. To była przystań dla takich jak on. Kraina, którą od wieków rządzą nieumarli hrabiowie, gdzie chłopcy i pomniejsi, tak zwani arystokraci, dawno temu zdali sobie sprawę ze swojego miejsca w wielkim planie wszechrzeczy i złożyli ukłon, oddając swe usługi Przebudzonym. On zadba, by te dni powróciły jeszcze raz. Nadszedł Czas Krwi. Rada i ci, którzy jej służyli, będą musieli ustąpić albo iść do diabła. Wyśle ich tam osobiście.

Prowadząc za sobą wilki niczym sforę posłusznych psów, szedł otoczony powozami. Z łatwością dotrzymywał im kroku mimo głębokiego śniegu. To nie było przeszkodą dla kogoś takiego jak on. Zimno nie spowalniało go; dawno temu pozbył się takich ludzkich słabości, jak wrażliwość na odmrożenia. Tej nocy – nocy jego powrotu – chciał przebywać na otwartej przestrzeni, skradać się przez noc jak przystało na łowczego, węszyć za zwierzyną i poszukiwać krwi w tradycyjny sposób. To było jedyne miejsce, gdzie mógł to czynić nie spodziewając się żadnego oporu. Chciał też w odosobnieniu kontemplować tę chwilę, z dala od trywialnego sabatu i zimnego zachwyty Roche'a.

W tej pradawnej twierdzy wampirzej władzy było nie ośmielało się stawać przeciw swoim panom. Nawet w mrocznych czasach, gdy siły samozwańczego Imperatora zepchnęły Przebudzonych do podziemia, w Sylvanii nadal pozostali otoczeni lękiem i szacunkiem. Śmiertelnicy wiedzieli, że bez względu na to, kto obejmuje władzę na tą krainą, prawdziwi władcy zawsze pozostaną ci sami. Władza ludzi była tu tylko przejściowa. Zwierzchnictwo Przebudzonych zawsze powracało. Adolphus wiedział, że śmiertelnicy i ich panowie przystosowali się do wzajemnej obecności w sposób, który zaspokajał głęboko zakorzenione potrzeby jednych i drugich. Cóż mogło być lepszego dla nieokrzesanych, krótko żyjących chłopów niż ktoś, kto łączył cechy władcy lennego i nieśmiertelnego bóstwa? Tacy ludzie zawsze potrzebowali znać swoje miejsce na świecie, a Przebudzeni potrafili o to zadbać. W pewien sposób było mogło być wdzięczne za to, że czuli nad sobą władzę silnej ręki. Byli najszczęśliwsi, gdy mogli pozostawać na swoim miejscu, a myśleniem zajmował się za nich ktoś inny.

Adolphus wiedział, że pewnego dnia cały świat będzie tak wyglądał. Sylvania stanowiła model tego, co ma nadejść. Teraz, gdy talizman znajdował się w jego rękach, wkrótce zdobędzie moc, by tak się stało. Nigdy nie był szczególnie utalentowanym magiem – swoje zdolności rozwijał w innych kierunkach – ale gdy dotrze do Drakenhof i zaczerpnie ze starożytnego węzła mocy, jaki się tam znajduje, w pełni zawładnie Okiem.

Uśmiechnął się. Minęły dziesięciolecia badań i lata studiowania tajemnych ksiąg oraz prorocत्व, ale klucz do absolutnej władzy znajdował się w jego ręku. Trzymał w niej artefakt Wielkiego Nekromanty, stworzony u szczytu jego mocy. Był to przedmiot, jaki potężny licznik dzierzył niegdyś we własnej garści i nasycił go odrobiną swojej nieograniczonej siły. Nagash bywał podstępny i nieugięty w swej nienawiści do wszelkich potęg, jakie mogły mu zagrozić. Stworzył talizman, gdy stało się jasne, że pradawne Wampiry Królowe Lamii oraz ich słudzy mogą powstać przeciwko niemu. Skoro potężni-nieumarli czarnoksiężnicy zamieszkiwali tę samą krainę, musiał zabezpieczyć

się przeciw nim. Stworzył zatem Oko Khemri, które miało posłużyć do zdobycia władzy nad nimi.

Oko zawierało runy, które po odpowiedniej aktywacji zmuszały Przebudzonych do uległości wobec posiadacza artefaktu. Za jego pomocą powołał Ogary Nagasha – ród, który służył mu wiernie, spętany zaklęciem. Pozostali Przebudzeni uciekli i ukryli się w odległych krańcach świata. Oczywiście, Nagash nie zamierzał nigdy pozbywać się Oka. Mimo swych mocy nie potrafił przewidzieć porażki, po raz pierwszy poniesionej z ręki bohaterskiego króla Alcadizaara, a potem zadanej przez człowieka-boga Sigmara. Wraz z unicestwieniem Nagasha, Oko znikło z kart historii przechodząc przez ręce kolejnych nieznanymi powierników, aż ponownie pojawiło się zawieszona na szyi Viada von Carsteina. Jego najbliżsi towarzysze nie domyślali się, czym jest artefakt – nawet gdy uginali się pod jego przemożną władzą. Czasami Adolphus zastanawiał się, czy pierwszy i najpotężniejszy z Wampirzyc Hrabów w pełni zdawał sobie sprawę z tego, co do niego należy. Vlad odszedł jednak na zawsze i Adolphus żałował, że nie będzie miał okazji zapytać go o to. Talizman był przekazywany kolejnym sukcesorom, z których żaden nie domyślał się jego prawdziwej mocy. Potem zaginął podczas Bitwy pod Bagien Hel. Dopiero lata później, wczytując się w rozdział dotyczący historii starożytnej Nehekary w jednej z trzech istniejących kopii przerażającego tomu Liber Occultus, Krieger zrozumiał, czym jest Oko. Wtedy rozpoczął swoje długie poszukiwania.

Teraz talizman należał do niego i był prawie dostrojony do jego woli. Dzięki niemu Adolphus stanie się absolutnym władcą Przebudzonych. Zjednoczy za sobą całą Sylvanie i powoła niezwyciężoną armię. Oczywiście, to będzie wymagało czasu i cierpliwości. Przebudzeni na wiele sposobów udowadniali, że są tajemnymi władcami świata, ale nie mogło to stać się prawdą, ponieważ brakowało im jedności. Spędzali więcej czasu knując przeciwko sobie niż starając się rozszerzyć zasięg władzy swojego rodu.

Adolphus skończy z tym. Zorganizuje Przebudzonych i w miejsce wahającej się Rady wprowadzi własne rządy żelaznej ręki. Będzie ich królem, który zadba, by zachować hierarchię tak ścisłą, jak w Imperium, gdzie każdy z pomniejszych władców zna swoje miejsce i władza ściśle określonymi lennami. Adolphus dużo podróżował. Wiedział, że jest wystarczająco wiele miejsca dla nich wszystkich i wystarczająco liczne stada ludzkiego bydła, by zapewnić im byt przez całą wieczność. Był podekscytowany. W jego mózgu płonęły wizje przyszłości i chciał się nimi podzielić.

Zostawiając wilki wrócił do swoich wyznawców i wskoczył do powozu. Dziewczyna spojrzała na niego. Widział, że wraz z krwią powoli wycieka z niej wszelka chęć oporu. Jej gniew mieszał się teraz z pożądaniem, a nawet łaknieniem. Ekstaza mrocznego pocałunku zawsze wpływała tak na śmiertelnych, bez względu na to, jak bardzo chcieli temu zaprzeczyć. Mimo to sięgnęła po swój sztylet. Znowu zamierzała pokazać, że jest gotowa z nim walczyć. Niedbałym ruchem zabrał jej broń, jakby dorosły zabierał dziecku zabawkę. Tego wieczora nie miał nastroju na takie gierki. Chciał porozmawiać, a mógł wybierać tylko między nią, Rochem, albo wilkami. Czuł, że rozmowa z dziewczyną była najwłaściwszą decyzją.

– Wkrótce będę władał tą krainą – powiedział.

– Jesteś szalony – odpowiedziała. Ze zmęczenia mówiła cicho i z trudem. Adolphus ponownie poczuł wzbierające w nim pragnienie łyku jej krwi. Stłumił je. Chciał jej wyjawic swoje plany, zmusić ją, by zobaczyła to, co on widział i dowiedziała się kim jest, a kim stanie się wkrótce.

– Nie – odrzekł – nie jestem szalony. Jestem w stanie uczynić wszystko, cokolwiek zamierzam.

Potrząsnęła głową z niedowierzaniem, ale zauważył, że przykuł jej uwagę.

– Przebudzeni są liczni, a ich sabaty mają ogromny wpływ na świat. Byłabyś zaskoczona, jak wielu majątnych i potężnych ludzi jest tajnymi członkami sabatów.

– Więc? – Podobało mu się, jak mówiąc wyzywająco unosi podbródek, pomimo zmęczenia i

zapewne zamętu w głowie wywołanego pocałunkiem. To było interesujące.

– Zamierzam rządzić Przebudzonymi.

– Jak?

– Nie bądź ponura, Ulrika. To do ciebie nie pasuje. Mam zamiar użyć talizmanu, którego ty i twoi przyjaciele broniliście tak dzielnie. Ma w sobie znaczną moc. Został stworzony przez Wielkiego Nekromantę Nagasha, który dzięki niemu wiele stuleci temu rozkazywał podobnym do mnie. Moc jest w nim nadal. Ja będę rządził Przebudzonymi, a poprzez nich całą tą ziemią.

– Imperator może mieć coś do powiedzenia na ten temat. Pieniądze i wpływy nie pokonają armii.

– Ulrika, Ulrika, czasami wydaje mi się, że celowo udajesz głupią, aby mnie zmylić. Oboje wiemy, że pieniądze i wpływy pozwalają na zdobycie żołnierzy i oboje wiemy, jak wielu ludzi wynajmowało wojowników. A wracając do rzeczy – Nagash był przecież Wielkim Nekromantą. Mogę użyć mocy tego talizmanu, by powołać armię z dowolnego cmentarza i pola grzebalnego, jeśli będzie to konieczne. A wielu z Przebudzonych jest także zdolnymi nekromantami. Zjednoczeni możemy stworzyć armię tak wielką, że żadne śmiertelne siły jej nie powstrzymają.

– Armia chodzących trupów.

– Jestem pewien, że nie będą mieli nic przeciwko temu. W końcu, już są martwi. Tylko bogowie i Przebudzeni żyją wiecznie. – Przez chwilę zawiesił w powietrzu te słowa i myśl. Z czasem coraz więcej śmiertelników ulegnie urokowi jego władzy. Nawet, gdyby nigdy nie zechciał uczynić jednego z nich Przebudzonym, zaczną o tym myśleć. Zaczną dostrzegać możliwości, jakie może zapewnić zabieganie o jego łaski. Brak obawy przed starością i grobem. Brak lęku przed pozostawieniem za sobą tego świata. To przede wszystkim te obietnice sprawiały, że poddawali się z taką ochotą. To była zapłata, jaką mogli otwarcie zaproponować tylko tacy, jak on. Wydawało mu się, że dziewczyna dostrzega budzącą się w niej pokusę, ale wyraz jej twarzy zdradzał, że ją odrzuciła. Nie przejmował się tym. Wielu śmiertelników tak reagowało, zanim dostali dość czasu, by to sobie przemyśleć. A gdy już tak się stało...

– Siły Chaosu także mogą się wtrącić. Najwyraźniej one również desperacko pragną zdobyć świat dla siebie – wskazała na okno, w stronę pękatego oblicza Morrslleiba świecącego jaskrawo na niebie.

– Zostaną odepchnięci, jak bywało poprzednio. Zjednoczeni Przebudzeni będą mieli dość władzy, by to uczynić. Prawdopodobnie tylko oni mogą to zrobić. Myślisz, że upadające królestwa ludzkości mają dość siły?

– Są wystarczająco silne, by was powstrzymać. Tak jak zatrzymano von Carsteina pod Bagnem Hel.

Uśmiechnął się pokazując zęby – wszystkie. Zadrżała. Częściowo ze strachu, tego był pewien, ale także z pożądania.

– Bagno Hel? Pamiętam to dobrze. Von Carstein nie powinien tam walczyć. To było złe miejsce na bitwę. Żadnej drogi ucieczki poza bagnem. Był pewien, że nie będzie potrzebna. Głupiec...

– Byłeś pod Bagnem Hel? – Dostrzegł w jej oczach iskrę zrozumienia. Zaczęła zdawać sobie sprawę, kim jest i co może ofiarować. Teraz dowiedziała się, że był obecny podczas bitwy stoczonyj ponad dwa stulecia wcześniej.

– A teraz wciąż jestem tutaj – powiedział. – Jak wielu tak zwanych zwycięzców tamtej bitwy może powiedzieć to o sobie?

Milczała. Na to pytanie nie było żadnej odpowiedzi.

– Nareszcie zbliżamy się do zwierzóludzi – powiedział Marek.

Felix spojrzął na tropiciela w mroku nadciągającego zmierzchu. Jego ogorzała od ostrej pogody twarz była napięta od tłumionego podniecenia. Wszyscy kislevscy lansjerzy wyglądali na gotowych do walki. Max rozprostował kończyny i Felixowi wydawało się przez chwilę, że dostrzegł słaby nimb światła igrającego wokół wyciągniętych palców czarodzieja.

– Słyszę odgłosy walki przed nami – odezwał się Gotrek. Felix niczego nie słyszał, ale to go nie zaskakiwało. Zabójca miał czulsze uszy, tak jak oczy człowieka były lepsze od krasnoludzkich w świetle dnia.

– Kto walczy? – spytał Felix.

– Ludzie, bestie i wojownicy Chaosu. Wyśpiewują imię Khorna, ale wkrótce z tym skończymy. – Felix żałował, że nie jest tak pewny siebie. Ivan Petrovich skinął głową. Jego lansjerzy przeszli w kłus. Felix zaciął lejcami i ponaglił kuce do marszu.

Niedługo później sam usłyszał odgłosy bitwy.

Krew plamiła śnieg. Pośrodku polany broniła się grupa ludzi opancerzonych jak imperialni rycerze. Usiłowali ochraniać powóz. Martwi wojacy leżeli w zaspach śnieżnych, a ich piki wypadły z pozbawionych czucia dłoni. Otaczali ich zwierzoludzie, rogate potwory, po części ludzie, po części kozły. W zniekształconych palcach ściskali broń i tratowali upadłych swoimi rozszczepionymi kopytami. Ich ślepia lśniły czerwono żądzą krwi. Piana kapała z pysków.

Zarżał przerażony koń. Jeździec, bogato przyozdobiony czerwienią i złotem, wyleciał z siodła. Masywny zwierzoczek, który trzymał sztandar przedstawiający wydętą, żarłoczną twarz księżycy, i zakończony ludzką czaszką, ruszył naprzód i wbił okute żelazem drzewce flagi w pierś mężczyzny. Rozległ się okropny dźwięk przypominający młaśniecie. Człowiek zacharczał konając.

Zwierzoludzie odwrócili się, zaalarmowani hałasem kopyt uderzających w śnieg. Ivan rzucił komendy swoim ludziom i dwadzieścia lanc opadło w pozycji gotowej do ataku. Kislevska konnica runęła naprzód jak grom i wbiła się w niezborne szeregi zwierzoludzi. Padali wrzeszcząc nadziewani na lance, miażdżeni podkutymi żelazem kopytami. Gotrek i Snorri byli tuż za nimi z gotową bronią, niepowstrzymani niczym bijące pioruny. Max wyśpiewał zaklęcie i polana stała się jasna jak w dzień.

Nad głową czarodzieja pojawił się błyszczący dysk słoneczny, a potem na słowo jego stwórcy wyrzucił z siebie promienie gorącego światła, które zapalało futro na zwierzoludziach i wypełniło powietrze smrodem spopielonych ciał.

Felix ledwo zdążył wyrwać swój miecz z pochwy i wyskoczyć z sań, gdy było po wszystkim. Dzicy zwierzoludzie zaskoczeni napaścią rozproszyli się i zbiegli do lasu. Większości z nich tam nie dotarła. Dogonili ich konni albo zginęli od magicznych pocisków Maxa. Gotrek i Snorri wykończyli rannych. Wyglądali na niezmiernie niezadowolonych.

– Walka nie warta zachodu – stwierdził Gotrek.

– Zwierzoludzie nie są już tacy jak bywali, gdy Snorri był chłopakiem – powiedział Snorri. – Wtedy potrafili wziąć się do bitki.

Felix cieszył się, że tym razem tak nie było. Nie był pewien, czy spowolniony swoją chorobą i wymęczony chłodem przeżyłby starcie ze zwierzoczłekiem. Uznał, że lepiej będzie odsunąć od siebie tę myśl. Podeszedł do powozu, którego tak zacięcie bronili rycerze. W tej samej chwili jeden z nich, wielki mężczyzna z grzywą złotych włosów stanął między nim a pojazdem. Uniósł broń, najwyraźniej chcąc powstrzymać Felixa. Felix wzruszył ramionami i zatrzymał się.

– Nie chcemy wyrządzić wam żadnej krzywdy – powiedział. Gotrek i Snorri przyczłapali, by stanąć obok Felixa. Nie wyglądali tak uspokajająco, jak pragnąłby tego Felix. Z pewnością nadal

byli gotowi do walki, a ten rycerz mógł ich sprowokować. Istotnie, wyglądał jakby rozważał taką możliwość. Felix pomyślał, że lepiej będzie coś powiedzieć, zanim sprawy wyrwą się spod kontroli. – W imię Sigmara, odłóżcie broń. Właśnie ocaliliśmy wasze żywota.

Czterech ocalałych rycerzy zebrało się wokół złotowłosego mężczyzny. Spoglądali na niego wyczekująco. Felix domyślał się, że to ich przywódca.

– Sami radziliśmy sobie znakomicie – odezwał się wreszcie. Miał głęboki, rozkazujący, pewny siebie głos. Najwyraźniej wierzył w swoje słowa.

Felix pomyślał, że tego właśnie było im trzeba – kolejnego arystokratycznego idioty. Mężczyzna mówił z dziwnym akcentem, który nie pasował do języka imperialnego ani kislevskiego. Akcentował wyrazy w sposób, który przypominał Felixowi postacie przemawiające w dawnych ksiązkach.

– Znaczą, wasza strategia polega na tym, że rzucacie się na włócznie zwierzoludzi? – spytał kpiąco Gotrek. – Świetny plan.

Felix był pewien, że rycerz podniesie swój miecz na Gotreka. Kusiło go, by na to pozwolić. Skoro ten idiota chciał stracić życie walcząc z Zabójcą, dlaczego miał mu w tym przeszkodzić? Wytarł nos o skrawek swojego płaszcza i czekał.

– Co się tam dzieje, Rodriku? – zapytał kobiecy głos z wnętrza powozu. – Dlaczego nie dziękujesz tym uprzejmym nieznanym za ich pomoc w walce z tymi paskudami?

– Moja pani, są bezczelni, a ich manierom brakuje prawdziwej dworskości. Nie powinnaś narażać swych cnotliwych uszu na wysłuchiwanie ich mowy.

Gotrek i Felix wymienili spojrzenia. Gdyby Felix nie znał go dobrze, mógłby rzec, że Zabójca jest zdumiony.

– Uważam, że to właśnie tobie brakuje rycerskiej ogłady, Rodriku. Prawdziwie zacy mąż w takich okolicznościach wyraziłby wdzięczność, a nie szukał wymówek.

Rycerz wyglądał na zbitego z tropu, a gdy ponownie skierował wzrok na Zabójców, wykonał doskonale dworski ukłon.

– Przepraszam za swoje zachowanie – powiedział. – Mogę się tłumaczyć tylko w ten sposób, że pozwoliłem, by bez reszty zawładnęła mną troska o bezpieczeństwo mojej czcigodnej pani. Błagam o wasze wybaczenie.

Gotrek splunął na ziemię u jego stóp. Nie należał do osobników, którzy wdzięcznie przyjmują przeprosiny; Rodrik nawet nie mrugnął. Przykuśtykał Max. Wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego i wyczerpanego niż zwykle. Magiczna walka ze zwierzoludźmi musiała drogo go kosztować.

– To niezwykle widzieć ludzi podróżujących w taką pogodę, gdy okolice są równie niebezpieczne – powiedział. Rycerz spojrzał na niego podejrzliwie. Felix przebywał w towarzystwie czarodzieja tak długo, że zapomniał jak bardzo zwykli ludzie nie lubili czarodziejów.

– Mógłbym rzec to samo o was – odparł Rodrik. Ta odpowiedź zdradzała więcej inteligencji niż Felix spodziewał się po rycerzu. Może nie był tak głupi, na jakiego wyglądał.

– Mamy zadanie do wykonania – powiedział wytwornym tonem Max, chociaż przez jego twarz przemknął grymas bólu. – Można by rzec, misję.

To była dobrze wyważona odpowiedź. Felix dostrzegł zaintrygowane spojrzenie Rodrika. Misje należały do spraw, które rycerze rozumieli doskonale, szczególnie tacy jak Rodrik, któremu najwyraźniej wydawało się, że żyje w jakimś dworskim romansie. Felix słyszał, że nadal istnieją tacy jak on, ale nigdy w to nie mógł uwierzyć, aż do tej chwili. Wydawało mu się, że tylko Bretończycy zajmują się takimi rzeczami.

– A cóż to może być takiego?

– Zaczyna dama należąca do naszego towarzystwa została porwana przez nikczemnego

czarnoksiężnika. Zamierzamy ją wybawić albo pomścić. – Takie słowa powinny zabrznieć śmiesznie, ale Max nadał każdemu z nich odpowiedni ciężar i powagę. Felix widział, że Rodrik był pod wrażeniem.

Zasłony w oknie powozu odsunęły się i spojrzała na nich blada, piękna twarz okolona czernią i częściowo osłonięta drobną siatką woalki.

– Jeśli nie opóźni to zbyt waszej misji, może moglibyśmy ofiarować wam schronienie na noc. Niedaleko stąd znajduje się twierdza, w której jesteście spodziewani. Za wysiłek z waszej strony możemy zaproponować co najmniej gorący ogień i grzane wino korzenne.

Nawet Zabójcy nie mieli ochoty odrzucić takiego zaproszenia. Rodrik i jego ludzie jechali na przodzie powozu. Zwiadowcy Ivana Petrovicha wyprzedzili ich. Sanie wlokły się na końcu.

– Zauważyłem, że tamci nie powiedzieli nam, co tutaj porabiają – powiedział Felix.

– Niewątpliwie niedługo się tego dowiemy, człeczyno – odrzekł Zabójca.

– Wygląda jak nawiedzony dwór z melodramatu Detlefa Siercka – mruknął Felix. Zabójca spojrzał na niego. Felix był ciekaw, czy krasnolud wie, kim był ten dramatopisarz. – Nie podoba mi się to.

Twierdza przykucnęła na szczycie wzgórza, na którym siedziała jak jastrząb na gałęzi. W jej wyglądzie było coś drapieżnego. Ten widok przypominał Felixowi zbójceckich baronów, bandytów i inne, mniej przyjemne rzeczy ze starych opowieści. Wydawał się złowrogo znajomy. Felix próbował nie dać ponieść się własnej wyobraźni. Był chory, było mu zimno i każde miejsce w tej lodowatej krainie wyglądało zdradliwie. Ten zamek był solidnie zbudowany. Miał grube mury, wieżyczki na wewnętrznych murach mogły wytrzymać oblężenie, ale mimo to wygląd tego miejsca podsuwał także inne skojarzenia. Felix pomyślał o salach tortur, duchach w dzwoniących łańcuchach i nikczemnych starych baronach grożących bohaterkom losem gorszym od śmierci.

– To zamek, człeczyno, i to mocny. Niezła robota, znaczy, jak na ludzi. – Krasnolud najwyraźniej postrzegał otoczenie w możliwie najbardziej prozaiczny sposób. Felix pomyślał, że jego lud nie miał zbyt wielkiej wyobraźni, ale w tej chwili żałował, że sam posiada jej aż za wiele. Coś w tym otoczeniu sprawiało, że jego nerwy były napięte jak postronki.

– Czuję się podenerwowany – powiedział Felix. – To ma jakiś związek ze stylem tego budynku, który...

Gdy wypowiedział te słowa, doznał olśnienia. Przypomniał sobie, gdzie widział wizerunki podobnych twierdz. Znajdowały się w książce z przerażającymi opowieściami, którą czytał jako chłopiec – były to opowieści dziejące się w Szwecji. To miejsce stanowiło niemal dokładną replikę jednego z zamczysk z książki. Mogło stanowić model tamtej ilustracji. Felix miał nadzieję, że tylko z powodu tego wspomnienia twierdza wydawała mu się tak złowieszczą.

Osada pod zamkiem była w znacznej części zrujnowana. Felix widział, że zniszczenia były stare. Większość budynków zawaliła się dziesiątki lat wcześniej. Miasto wyglądało jakby zostało wzniesione dla populacji liczącej pięć tysięcy mieszkańców, a teraz zamieszkiwała je tylko jedna dziesiąta tej liczby. Nawet w centrum miasta, na głównej drodze prowadzącej do zamku, zamieszkiwany był tylko jeden dom na trzy – a i te były na wpół ruiną. Felix nigdy jeszcze nie widział tak ponurych i nieokrzesanych ludzi. Apatycznie snuli się po niemal opustoszałych ulicach bez wyraźnego celu. Powietrze cuchnęło zgnilizną i ludzkimi ekskrementami.

A to był Waldenhof, jak na miejscowe standardy – duże i prosperujące miasto. Felix stwierdził, że nie chciałby tu mieszkać.

Droga prowadziła po zboczu stromego wzgórza ku rozwartym wrotom strażnicy. Brama przypominała Felixowi paszczę wielkiej bestii, której zębiska stanowiły kraty. Przebiegł go dreszcz

wzdłuż kręgosłupa.

Felix pomyślał, że to z powodu gorączki, ale nie potrafił w to uwierzyć.

\* \* \*

– Witamy w Waldenschlosse – powiedział mężczyzna, który oczekiwał ich na dziedzińcu. Był wysokim, wytwornie noszącym się arystokratą odzianym w nieco przestarzałym stylu. Podszycie na ramionach jego kaftana i obszerny sącdek na genitalia wyszły z mody w Imperium już pół wieku wcześniej. Felix oglądał coś takiego tylko na starych portretach. Pozostali byli ubrani w podobny sposób. W pewien sposób pasowało to do ich odrobinę staroświeckiego sposobu mówienia. – Dziękujemy wam za usługi, jakie wyświadczyliście mojej szwagierce, hrabinie Gabrielli oraz mojemu synowi Rodrikowi. Zdaje się, że bez waszego wstawiennictwa nie miałbym przyjemności witać ich teraz. Nie możemy zrobić nic, by w pełni wyrazić wdzięczność za waszą uprzejmość, ale postaramy się w miarę naszych skromnych możliwości.

– Jestem Rudgar, hrabia Waldenhof, a wy jesteście moimi najzaciewniejszymi gośćmi. Mam nadzieję, że zanim odjedziecie, poznacie prawdziwe znaczenie słowa „gościnność” w Sylvania.

Felixowi lekko kręciło się w głowie ze zdumienia. Dotarli dalej niż się spodziewał, albo raczej – niż by sobie tego życzył, skoro przekroczyli granice otoczonej złą sławą prowincji Sylvania. Nigdy nie miał wielkiej ochoty, by odwiedzić to miejsce, nawet w pełni lata i bez zwierzołudzi zapełniających lasy. Miało bardzo złą opinię.

Nastąpiły kolejne introdukcje, ale głowa Felixa nadal wirowała od gorączki i nie udało mu się zapamiętać nikogo. Pamiętał jednak, że hrabina Gabriella spoglądała na niego i pomimo wdowiej woalki okrywającej jej twarz zauważył, że była bardzo piękną kobietą.

– Wasze zdrowie – powiedział hrabia Rudgar wznosząc szklanicę. Pot błyszcza! na jego łysej głowie. Końce długich wąsów zanurzyły się w winie. Przechylił naczynie i wypił wszystko jednym haustem. Milczący sługa niemal automatycznie zbliżył się, by dolać trunku.

Felix musiał przyznać, że czuł się lepiej po kilku godzinach siedzenia za stołem biesiadnym wielkiej sali w pobliżu rozgrzewającego ognia. Żołądek wypełniała mu wołowina z pieczonymi ziemniakami oraz kapłon w sosie. Pół butelki świetnego wina z piwniczki hrabiego także uczyniło cuda i sprawiło, że trochę lepiej poczuł się w tym otoczeniu. Zauważał, że dotyczy to także większości pozostałych.

Tylko Gotrek rozglądał się podejrzliwie swoim jedynym okiem, jakby spodziewał się w każdej chwili ataku uzbrojonych wrogów. Nie było w tym nic niezwykłego. Zazwyczaj wyglądał w ten sposób, ale to nieprzyjemnie uświadamiało Felixowi, że być może także powinien mieć się na baczności. Max nie pił i chociaż czarodziej gawędził dość przyjaźnie z sylvańskimi szlachcicami, Felix widział, że on także nie jest całkiem spokojny. Max zauważył przyglądającego mu się Felixa i skinął głową, jakby chciał powiedzieć, iż on też dzieli podejrzenia swojego towarzysza.

Kislevscy konni wojacy i Snorri Gryzonos bawili się jednak z ochotą, napychając jedzeniem i winem jakby to była ich ostatnia okazja. Możliwe zresztą, że tak było. Ivan Petrovich dzielił stół z gospodarzami. Jego ludzie siedzieli przy innym stole na końcu wielkiej stali wraz ze zwolnionymi żołnierzami z zamku i pozostałymi wojownikami.

Felix z zaskoczeniem stwierdził, że grupa towarzysząca hrabinie i przybysze nie byli jedynymi gośćmi. Wyglądało na to, że Waldenschlosse odwiedziło wielu sylvańskich szlachciców, chociaż nie miał pojęcia, dlaczego postanowili zrobić to w środku zimy. Przeczytał zbyt wiele historii i widział



zbyt wiele sztuk, w których wydarzały się straszne rzeczy podczas uczt na zamkach w Szwabii. Nie potrafił czuć się tu swobodnie. Pomimo przyjemnego ciepła wina w żołądku, bezustannie spodziewał się usłyszeć komendę nakazującą ukrytym wojownikom, by rzucili się na gości. Takie wypadki powtarzały się nader często w tych opowieściach.

Rozejrzał się usiłując ponownie przypisać twarzom odpowiednie nazwiska. Tym razem był pewien, że to mu się udało. Słabowity staruszek po jego prawej, chudy jak szkielet z dużą głową o nieskazitelnie białych włosach, to Petr, hrabia Swartzhafen. Wydawał się dość miły, łagodny i uprzejmy, ale miał obłąkane spojrzenie. Felix był pewien, że ten człowiek widział rzeczy, jakie oglądało niewielu śmiertelników. Po przeciwnej stronie stołu zasiadał wysoki mężczyzna w sile wieku. Kristof, baron Leicheburga, miał głęboko czarne włosy i arogancką, ptasią twarz przykuwającą uwagę płonącymi, czarnymi oczami. Po jego prawicy siedział Johan Richter, dobrze wyglądający młody mężczyzna, który dzielił coś z niesamowitego wyglądu hrabiego Swartzhafen. Felix zorientował się, że wszyscy są ważnymi szlachcicami w tej części swata. Dało się jednak zauważyć, że byli przestraszeni. Całe zebrane towarzystwo, z wyjątkiem Gotreka, uniosło swoje szklance, by spełnić toast. Felix poczuł na sobie czyjeś spojrzenie i zerkając w lewo zauważył, że hrabina Gabriella przygląda mu się badawczo. Jej błękitne oczy były zdumiewająco dobrze widoczne mimo woalki.

– I za zdrowie naszych niespodziewanych i wielce miłych gości – powiedział Rudgar. – Zaskarbili sobie moją wdzięczność za ocalenie życia mego syna i szacownej szwagierki.

Rodrik słysząc to, wyglądał na nieco zakłopotanego, ale trzymał język za zębami. Niewątpliwie nie chciał ponownie wysłuchiwać od swojego ojca lub hrabiny kazania o wdzięczności. Szmer wokół stołu przytakiwały słowom hrabiego. Felix pomyślał, że cokolwiek by nie mówić o sylwańskiej szlachcie, trzeba przyznać, że istotnie byli uprzejmi – w staromodny, dworski sposób.

– Skoro już pożyliśmy się, proponuję przejść do spraw – odezwał się baron Leicheburga. Miał głęboki, dźwięczny głos, który z łatwością rozbrzmiewałby w teatrze lub komnacie lub wznosił się nad hałasem bitwy. Felix zazdrościł mu tego. – Nie przebyłem całej drogi przez najgorszą zimę od dwustu lat po to jedynie, by sączyć twoje wino, stary przyjacielu, jakkolwiek utrzymujesz znakomitą piwnicę.

Hrabia skłonił wdzięcznie głowę na ten komplement i przemówił raz jeszcze.

– Aye, w tym właśnie sęk. To najgorsza zima od dwóch wieków i nie tylko ze względu na śnieg. Wilki mnożą się po lasach, zwierzoludzie blokują imperialne drogi, a inne rzeczy, gorsze jeszcze, ponownie się pojawiły.

Felixowi nie podobał się ton głosu hrabiego. Sprawił, że zjeżyły mu się włosy na karku. Hrabia Swartzhafen podniósł pięść do ust i odkaslnął sucho.

– Powiadasz, że starożytna klątwa powróciła, by znowu nas nękać?

Felix spojrzał na Gotreka. Zabójca wyprężył się jak trzymany na postronku pies łowczy, który zwęszył zwierzynę. Niewątpliwie pomyślał, że znajdzie dla siebie robotę. Świetnie – pomyślał Felix – jakby mało było ratowania Ulriki z rąk mrocznego czarnoksiężnika, teraz wmieszają się w jakieś pradawne zło. Tylko tego było mu trzeba.

– Jak możesz w to powątpiewać? – rzucił Richter. Pochylił się naprzód i ostrożnie postawił swój puchar na stole, ale jego oczy płonęły z niemal szalonym napięciem. Felix nie był pewien, czy chce się dowiedzieć, co może wywołać takie spojrzenie w oczach człowieka. – Wszystkie znaki na to wskazują. Dwa tygodnie temu kupiec zobaczył diabelskie ogniki płonące na Mrocznym Wrzosowisku. Widywano czarne powozy na Starej Drodze do Czerwonego Opactwa. Coś poruszyło groby na cmentarzu w Essen. W drodze tutaj wszedłem do krypty w Mikalsdorfie i okazało się, że jest pusta.

Rabusie grobów musieli zabrać się do roboty.

– To nie brzmi dobrze – spokojnie powiedział hrabia Swartzhafen. To oświadczenie spotkało się z niewesołym śmiechem pozostałych szlachciców, co sprawiło, że żołnierze przy drugim stole zamilkli na moment i spojrzeli na swoich panów. Trwało to jednak chwilę, po której wznowiono rozmowy.

Baron Leicheburga rozejrzał się po zgromadzonych i kontynuował:

– Znowu zaczęły znikać dziewczęta w Ponurym Lesie, a chłopstwo zaczęło wywieszać nad drzwiami warkocze wiedźmogonu i krwawego korzenia. Normalnie nie zastanawiałbym się nad tym. Zima jest ciężka, a spaczeni Chaosem tak liczni, że stanowiłoby to wystarczający powód dla takich zabezpieczeń, ale widziano także odzianych w czerń ludzi o pobladłych twarzach.

– Nie sądzę, by to pozostawiało cień wątpliwości – stwierdził Rudgar. – Nieumarli powrócili.

Na słowa mężczyzny Felixa przebiegł dreszcz.

– Nieumarli? – zapytał. Domyślał się, że już wie kim są, ale chciał się upewnić.

– Następcy von Carsteina, krwiopijcy – odpowiedział Johan kierując na nich swój płonący wzrok.

– Wampiry – odezwał się Max Schreiber. – Mówicie o wampirach.

Rudgar uśmiechnął się do niego gorzko, ledwo błysnąwszy zębami, bez żadnej wesołości.

– To jest Sylvania – rzeki. – Kraina Wampirzych książąt.

Ponownie zapadło milczenie. Nawet służący nie poruszyli się. Zupełnie jakby ktoś roześmiał się podczas pogrzebu albo wypowiedział straszną prawdę, o której wszyscy myśleli, lecz nikt do tej chwili nie ośmielił się jej wymówić.

Cudownie, pomyślał Felix – źli czarnoksiężnicy, nadejście Chaosu, a teraz powrót Wampirzych książąt. Jak udało mu się wplątać w te sprawy?

– Ktoś życzy sobie więcej wina? – zapytał hrabia Rudgar, chcąc przerwać milczenie. Jego wąsy opadły jakby jeszcze bardziej. Wyglądał na człowieka, któremu właśnie powiedziano, że jego rodzina zaraziła się śmiertelną chorobą i jest duża szansa, że on także jest chory. Felix doskonale znał to uczucie.

Max wpatrzył się w swój nadal pełny kielich wina, jakby usiłował dojrzeć w nim tajemnice przyszłości. Gotrek zatarł swoje potężne dłonie gestem zadowolenia. Ivan Petrovich wyglądał na jeszcze bardziej zaciętego w postanowieniu odnalezienia swojej córki. Felix zdusił w sobie jęk.

– Będzie jeszcze dość czasu na te dyskusje – odezwała się hrabina Gabriella. Jej melodyjny głos brzmiał spokojnie i z lekkim rozbawieniem. – Może nasi goście zechcieliby powiedzieć nam, co ich tu sprowadza w tak trudnych czasach?

Max spojrzął na Felixa, jakby chciał spytać, który z nich powinien to wyjaśnić. Felix wskazał na Maxa, oddając mu głos. Niewątpliwie mag potrafił opowiedzieć o tym lepiej niż on. Max powiedział o porwaniu Ulriki i ich pogoni przez zamarzną krainę. Podczas opowieści zmuszony był wspomnieć o oblężeniu Praag i inwazji Chaosu.

Gdy skończył, sylwańscy szlachcice milczeli przez pewien czas, a potem spojrzeli się po sobie. Twarze większości pozostawały opanowane, ale Felix był pewien, że dostrzega strach w ich oczach, a zdążył już przekonać się, że niełatwo przestraszyć tych ludzi.

– To brzmi jak koniec świata – odezwał się wreszcie hrabia Swartzhafen.

– Istotnie żyjemy w ciężkich czasach – zgodził się baron Leicheburga. – Gorszych niż sobie wyobrażałem.

– Imperator zwoła swoje armie – powiedział Max. – Jestem pewien, że z nadejściem wiosny wyruszy na spotkanie wrogów.

– Niechaj sobie tak będzie – odrzekł Rudgar. – Nikt z nas z nim nie pójdzie.

Felix poczuł narastającą wściekłość. Szlachta zawsze chętnie mówiła o swoich prawach i

przywilejach. O ile pamiętał, mieli także pewne obowiązki, a jeden z nich dotyczył obrony Imperium w razie potrzeby. Spośród nich tylko Rodrik zauważył jego spojrzenie i raczył wyglądać na zakłopotanego.

– Nie chodzi o to, że nie chcemy tego zrobić – powiedział szybko. – Nie mógłbym prosić o więcej niż możliwość wyjechania do bitwy u boku Imperatora, ale nasze obowiązki zatrzymują nas z naszym ludem. Jeśli nieumarli ponownie wypełzli ze swoich schronień, naszym obowiązkiem jest zadbać, by znowu zostali zepchnięci do czeluści, z których wyleźli.

Koniec tego zapewnienia wypowiedział ze zdecydowanie mniejszą pewnością siebie niż początek. Felix nie był zaskoczony. Jeśli znana mu historia była prawdziwa, gdy ostatnim razem pojawili się Wampirzy Książęta, pokonanie ich wymagało wysiłku całej potęgi wojennej Imperium i jego sojuszników. Kosztowało to wiele lat i niezliczone żywota.

– Zgadza się z młodym Rodrikiem – powiedział białowłosy stary hrabia Swartzhafen. Znowu zakaszłał sucho. – Nie robi dobrze Imperium, jeśli Imperator wyruszy na spotkanie z Chaosem tylko po to, by na swojej flance znaleźć armię nieumarłych. Obawiam się wręcz, że to byłoby tragiczne w skutkach.

Felix nie był ekspertem w sprawach wojskowych, ale to brzmiało przekonująco. Wobec tak potężnego przeciwnika przed sobą, jakiegokolwiek zagrożenie dla linii zaopatrzenia albo flank byłoby katastrofalne. Przypominał sobie także inne rzeczy o armiach Wampirzych Książąt. Ich sługami bywały chodzące trupy poruszane najbardziej mrocznym czarnoksięstwem. Śniegi zimy wcale ich nie spowolniały. Przeciwnie – był to czas, gdy wydawali się najsilniejsi. Nawet w tej chwili siły ciemności zdobywały potężnego sprzymierzeńca.

– Najlepsze, co możemy uczynić dla Imperium, to zmiażdżyć nieumarłych zanim osiągną pełnię sił, a potem pomaszerować na pomoc Imperatorowi.

– Módlmy się, by to było możliwe – powiedziała hrabina Gabriella. Wszyscy poza Gotrekiem uczynili ponad stołem znak młota. Gotrek tylko warknął i pociągnął wina. Kobieta pochyliła się nad stołem i w jej zimnych, błękitnych oczach pojawił się dziki błysk. – Zdaje mi się, że bogowie uśmiechnęli się do nas. Nasi przyjaciele przybyli tu dzisiaj nieprzypadkowo.

Felix zauważył, że Gotrek i Max odwrócili się do niej. Ivan pochłonięty był piciem wina, ale coś mówiło Felixowi, że on także słucha z uwagą.

– Co masz na myśli, pani? – spytał Max.

– Imię Adolphusa Kriegera nie jest nam nieznane – odrzekła.

Max wciągnął ze świstem powietrze.

– Czy on jest nekromantą?

– Gorzej. Jest jednym z nieumarłych. To bardzo niebezpieczny potomek linii Carsteinów.

– A cóż to znaczy? – zapytał Felix. Czuł, że musi coś powiedzieć, by pokryć ogarniające go przerażenie.

Krieger był wampirem! To wiele tłumaczyło: jego niesamowitą szybkość i niezwykłą siłę. A może był związek między nim a zabójcą, który nawiedzał ulice Praag osuszając ciała z krwi. Felix przypominał sobie, jak ulicznica Nella wspomniała o zapachu cynamonu, a także o wonnym pomanderze, jaki Krieger nosił w zanadrzu.

Hrabina zaśmiała się dźwięcznie.

– Wybaczcie mi, *Herr Jaeger*, siedząc przy tym stole czasami łatwo jest zapomnieć, iż nie wszyscy dzielą nasze obsesyjne zainteresowanie i wiedzę dotyczące nieumarłych. Gdy jest się sylwańskim szlachcicem, dorasta się wśród tego wszystkiego.

– Myślałem, że większość sylwańskiej szlachty to wampiry – rzucił Gotrek. To nie była najbardziej

taktowna uwaga, ale Felix faktycznie słyszał o tym, chociaż większość jego wiedzy na te tematy pochodziła od niani, która lubiła straszyć swoich podopiecznych strasznymi opowieściami.

W reakcji na słowa Zabójcy temperatura wokół stołu gwałtownie opadła. Dłoń Rodrika powędrowała w stronę miecza i Felix był pewien, że tylko zimne spojrzenie jego ojca powstrzymało młodzieńca przed natychmiastowym wyzwaniem Gotreka.

– Wasza wiedza jest odrobinę przedawniona – powiedział baron Leicheburga. Spoglądał na Zabójcę, jakby był paskudnym insektem, który właśnie wypełzł na stół. Gotrek najwyraźniej nie przejmował się tym. Pociągnął kolejny łyk wina i beknął głośno. Tym razem ojciec Rodrika musiał położyć dłoń na ramieniu syna, by powstrzymać go przed skoczeniem na równe nogi i rzuceniem wyzwania. Na twarzy starego człowieka pojawił się wyraz głębokiego zafrasowania. Zapewne, podobnie jak Felix, domyślał się, jaki byłby wynik takiego starcia.

– Widzę, że masz ochotę mnie poprawić – powiedział Gotrek.

– Dwa stulecia temu mielibyście całkowitą rację – odrzekł hrabia Swartzhafen. – Dwieście lat temu ta ziemia leżała pod butem Wampirzych Księżąt i ich sprzymierzeńców. Po Bagnie Hel zostali usunięci, a Imperator oddał te ziemie w lenno swoim zaufanym wasalom.

Felix przypomniał sobie, że czytał coś na ten temat w Bibliotece Uniwersyteckiej w Altdorfie. Księga nie wspominała jednak nic o zaufanych wasalach. Mówiła o tym, że ziemie Sylvanii zostały nadane zubożonym domom szlacheckim i młodszym synom wysokich rodów, którzy pragnęli posiadać własną ziemię, ale nie mieli szans, by dostać ją w inny sposób. Treść księgi sugerowała raczej, że musieli być bardzo zdesperowani, skoro chcieli rządzić jakąkolwiek częścią tej prowincji.

– Słyszałem opowieści o wampirach w Sylvanii z mniej odległych czasów niż Bagno Hel – odezwał się Max. – Wiem z pewnych źródeł, że do całkiem niedawna rządziły sporymi połaciami tej krainy. Zdaje się, że rycerze Białego Wilka oblegali przed dziesięciu laty Zamek Regrak, gdy odkryto, że jego mieszkańiec był krwiopijcą.

– Regrak pił krew – odpowiedział hrabia Swartzhafen – ale był śmiertelnikiem jak wy albo ja. Po prostu wydawało mu się, że wypijając krew młodych dziewcząt zachowa młodość i zdobędzie moce magiczne. O ile wiem, tak się nie stało. Wiercie mi, gdyby on był wampirem, rycerze mieliby znacznie więcej problemów ze spaleniem jego siedziby.

– Tym niemniej nasz uczonego przyjaciel ma rację – odezwała się hrabina. – Od czasów Bagno Hel występowały inne przypadki rządów nieumarłych w Sylvanii, jak wszyscy wiemy aż nazbyt dobrze. Jeśli nawet liczba takich przypadków jest mniejsza niż głosi plotka, ignoranci wierzą, że to nie zmienia prawdy ogólnej.

– Nie odpowiedziałas na moje pierwsze pytanie, hrabino – powiedział Felix. Ton jego głosu i niewyraźnie wypowiedziane słowa wskazywały, że był już dobrze napity. Nic dziwnego. Chorował od wielu dni i nie uświadczył kropli wina podczas całej długiej podróży. Wyszedł z praktyki w picciu. – Co to znaczy, że Krieger jest potomkiem linii Carsteinów?

Max znowu zaskoczył Felixa przemawiając. Czarodziej nie mógł powstrzymać się przed popisywaniem się wiedzą przy najmniejszej okazji.

– Uczni w tych sprawach uważają, że nieumarłych można... sklasyfikować, rzecz można, według kilku linii krwi. Uważa się ich za potomków pierwszych wampirów z miasta Lamia w królestwie Nehekhary stworzonych przez Nagasha ponad trzy tysiące lat temu. Każda linia krwi dzieli podobno pewne cechy swojego praprzodka i przejawia różne silne i słabe strony, w zależności od swojego pochodzenia.

Felix zauważył, że hrabina spogląda na Maxa ze zdumieniem połączonym z szacunkiem i zainteresowaniem. Poczul coś w rodzaju zazdrości. Z pewnością była bardzo dobrze wyglądającą

kobietą. Nagle poczuł odrazę do siebie. Co on sobie myślał? Ulrika znajdowała się w rękach kogoś znacznie gorszego niż jakikolwiek szaleniec lub mroczny mag, a on pożył innej kobiety. Cyniczna część jego umysłu mówiła mu, że uczucie zawstydzenia w żaden sposób nie zmienia faktycznej sytuacji.

– Jesteście bardzo uczonym człowiekiem, *Herr Schreiber*. Jestem zaskoczona. To nie są sprawy powszechnie znane. Musicie kiedyś wyjawić, jak udało się wam zdobyć taką wiedzę.

Max łaskawie skinął głową.

– Dziękuję wam – powiedział. – Studiowałem pilnie mroczną i zakazaną wiedzę i...

– Tym niemniej, mylicie się w kilku kwestiach.

– Mylę się?

– Wampiry nie zostały stworzone przez Nagasha. Same były potężnymi magami i uzyskały część jego wiedzy podczas długich wojen Ery Zaranja.

Max wyglądał na pełnego wątpliwości, ale milczał.

– To były czasy co najmniej równie niespokojne jak obecne.

– Linia Carsteinów? – naciskał Felix mając nadzieję na uzyskanie odpowiedzi na swoje pierwsze pytanie.

– To jeden z ważniejszych rodów wampirzych – powiedziała hrabina. – W Imperium jest to być może najważniejszy ród.

– To nazwisko istotnie brzmi znajomo – powiedział oschle Felix. – Wiąże się z wojnami z Wampirzami Książętami i tak dalej.

– Dlatego właśnie ród jest znany jako linia Carsteina. Właściwy Vlad von Carstein był najśłynniejszym ze wszystkich hrabiów, a popularna legenda przypisuje to nazwisko wszystkim jego potomkom.

– Mówisz pani jakbyś z tym nie się zgadzała? – powiedział Max, jak zwykle dociekliwie rozdrabniając się nad wszelkimi pomniejszych niuansami nazewnictwa, zamiast kontynuować dyskusję o masowym mordercy, którego szalone plany podboju doprowadziły do śmierci dziesiątek tysięcy ludzi.

Hrabina lekko wzruszyła ramionami gestem, który Felixowi kojarzył się z majątynymi bretońskimi kupcami, jacy często odwiedzali kantory jego ojca.

– Nie sądzę, by to miało znaczenie. Niewiele wiemy o poprzednikach von Carsteina. Był pierwszym ze swojego rodu, który zyskał rozgłos. Od tego czasu jego potomkowie pozostawali dość aktywni, szczególnie tu, w Szwabii...

– Zdaje się, że ostatnio stali się znacznie aktywniejsi – zauważył Felix. – Zastanawiam się, dlaczego?

– Myślę, że jest to coś, czego musimy się dowiedzieć – powiedział hrabia Rudgar. – Od tego zależy wiele żywotów.

Przed wszystkim twój własny, pomyślał Felix. Zmusił się do ponownego skupienia uwagi, mimo wina, ciepła i uczucia zadowolenia, jakie zapewnił pierwszy solidny posiłek po wielu dniach wyrzeczeń.

– Zdaje się, że wiecie coś o Adolphusie Kriegerze – powiedział, starając się za bardzo nie bełkotać. – Czy zechcielibyście podzielić się z nami swoją wiedzą?

– Później – odparła hrabina. – To był długi dzień i jestem pewna, że wszyscy jesteście strudzeni. Ta sprawa poczeka do jutra. Pewne rzeczy lepiej omawiać, gdy słońce jest wysoko na niebie.

W takich okolicznościach Felix nie potrafił podważyć słuszności jej argumentu. .

Komnata była obszerna, chłodna i dominował w niej wielki portret sylwańskiego szlachcica o zimnych oczach, który wydawał się spoglądać na Felixa z morderczymi zamiarami. Przez chwilę Felix zastanawiał się, czy nie powinien poszukać w pokoju jakiś ukrytych przejść. W starych opowieściach zamki Sylvanii były ich pełne, ale komnata była zbyt zimna, a Felix zbyt pijany, by się tym zająć. Mimo to dokładnie zamknął drzwi i postawił w zasięgu ręki miecz, a potem położył się na łóżku.

Mógłby przysiąc, że gdy zapadał w zimny i niespokojny sen, usłyszał daleki zew wilków.

## Rozdział 7

Było ciemno. Powóz szybko sunął w nocnej ciszy. Wilki za nimi biegły przez śnieg, niczym upiory. Ich ślepia płonęły. Oddechy wyrywały się kłębami pary. Wyglądały na pobite, ale jednocześnie niepokromione. Było w nich coś głęboko nienaturalnego, gdy pograżały się coraz bardziej w oddaniu woli wampira.

Ulrika wiedziała, jak się czują. Była zagubiona. Nie panowała nad swoimi emocjami i czasami wydawało jej się, że noc wtargnęła do jej umysłu i duszy. Nienawidziła Kriegera. Gardziła nim. Był arogancki, butny, zadufany w sobie, dominujący, pogardliwy dla tych, których uważał za gorszych od siebie, co oznaczało prawie cały świat. Była pewna, że planował coś nikczemnego, a jednak chwilami chciała stać się tego częścią.

Wiedziała, że musi się wyrwać, wydostać się z powozu i uciec, albo w jakiś sposób zabić Kriegera. A jednak, to było niemożliwe. Był zbyt silny, zbyt potężny. Często próbowała zranić go swoim nożem, ale on zabierał jej sztylet jak dorosły, który wyciąga zabawkę z rąk dziecka. Dwukrotnie spróbowała uciec przez śniegi, w głąb zimowego lasu. Biegła, nie dbając o to, czy umrze z zimna lub głodu.

Za pierwszym razem po prostu poszedł jej śladami, dogonił ją w ciemnościach i zaniósł z powrotem do powozu. Jej opór był równie daremny jak myszy wyrywającej się kotu. Za drugim razem wydawało się jej, że nareszcie uciekła wystarczająco daleko, ale zimno przeniknęło ubranie uciekinierki i zemdląca na śniegu. Obudziła się ponownie w powozie, ogrzana w jakiś nienaturalny sposób i przekonana, że i tym razem Krieger mógł dogonić ją w dowolnej chwili, ale chciał się z nią zabawić. Pozwolił jej pomyśleć, że uciekła – tylko po to, by później jeszcze dotkliwiej zniszczyć wszelkie jej nadzieje. Najbardziej zdumiewające było, że żaden ze sług wampira nie usiłował jej powstrzymać. Zupełnie jakby dostali polecenie, by się nie wtrącać.

Wypatrywała oczy w poszukiwaniu jakiejś wioski, dokąd mogłaby uciec i znaleźć schronienie, ale nigdzie nie zatrzymywali się dość długo, a gdy Roche i pozostali kupowali potrzebne zapasy, ona tkwiła unieruchomiona w niewoli płonącego spojrzenia i nienaturalnie silnego uścisku jej prześladowcy. Nie była nawet w stanie krzyknąć o pomoc, co ją zdumiewało.

Zdawała sobie sprawę z mroczniejszej strony swojego zniewolenia. W gorejącym pocałunku wampira ukryta była ekstaza, jakiej nigdy nie zaznała, rozkosz intensywniejsza niż wszystko, czegokolwiek doświadczyła. Słyszała, że niektórzy z wyznawców demonicznego boga Slaaneshu uzależniali się od pewnych narkotyków i nie mogli bez nich żyć. Zaczęła podejrzewać, że wie jak mogli się czuć. Bywały chwile, gdy zauważała, że z niecierpliwością oczekuje nadejścia nocy i była rozczarowana, kiedy Krieger nie zechciał skosztować jej krwi. Czasami odczuwała zazdrość, gdy widziała jak powracał od powozu jednego ze swoich sług, z tym sennym, sytym wyrazem twarzy.

A co gorsze, przeczuwała, że on jest tego świadom. Oprócz wypowiedzianych przez niego słów wskazywało na to jego rozbawione spojrzenie. Wydawał się bardzo pewien wyniku swoich starań – zupełnie, jakby robił to już setki razy i przyglądał się setkom kobiet stających się jego bezmyślnymi niewolnicami.

Ta myśl rozпалиła iskierkę oporu w jej umyśle. Nie zamierzała stać się niczyją bezwonną sługą. Nie chciała stać się jego dobrowolną ofiarą. Jeśli myślał, że tak się stanie, będzie zaskoczony. W jakiś sposób uda jej się znaleźć wyjście z tej pułapki, a potem...

A potem co? Musiała wziąć pod uwagę także inne rzeczy. Była daleko od domu, nie miała żadnych

pieniędzy, zapasów ani przyjaciół. Była pewna, że dotarli już do przeklętej Sylvanii, miejsca otoczonego mrocznymi legendami – niedobrze było pozostawać tu samotnie w samym środku zimy. Za nimi stale podążały wilki. Bez protekcji Kriegera mogłyby rozszarpać ją na sztuki. Wyjrzała w półmrok i ujrziała tam Kriegera kroczącego między bestiami – drapieźnika pośród drapieźników.

Na jego widok powrócił ogarniający myśli mrok, a wraz z nim pokusa. Ostatnio zaczął mówić do niej przyjaźniej, oferować różne rzeczy. Nie pieniądze, nie złoto czy klejnoty, lecz władzę i nieśmiertelność. Czynił to w kpiący, kuszący sposób, tak że nigdy nie była pewna, czy mówi poważnie, czy też zamierza jedynie dręczyć ją przed śmiercią.

Wmawiała sobie, że nie interesowały jej te propozycje. Nie chciała stać się nieśmiertelna za cenę własnej duszy. Nie chciała nienaturalnie przedłużyć swojego życia za cenę cudzej krwi. Nie pragnęła poznać najmroczniejszych sekretów czarnoksięstwa. Nie. Nie chciała żadnej z tych rzeczy. To jej nie kusilo.

Ale czasami zastanawiała się nad tym. Gdyby stała się nieśmiertelna, pewnego dnia mogłaby mu dorównać, nauczyć się jego sekretów i nareszcie uciec, albo dokonać zemsty. Była pewna, że nieżycie dałoby jej odpowiednie siły. Usiłowała przekonać samą siebie, że to był jedyny kuszący element. Niestety, nie była pewna, czy to cała prawda.

Czasami, gdy rozmawiali, miała wrażenie, że Krieger pozwala jej rzucić okiem na większy, bardziej mroczny świat zawładnięty przez pradawne i przerażające piękno, rządzony przez arystokrację nocy, która zasiadała w swoich ukrytych pałacach obsługiwana przez legiony nader ochoczych sług. Mówił o dalekich miejscach, jakie odwiedził i rzeczach, jakie widział. Był pewna, że żaden śmiertelnik nie zdołałby obejrzeć tak wiele w ciągu swojego życia.

Widział Krainę Umarłych i oglądał o północy wielką Czarną Piramidę Nagasha. Słyszał szepty martwych, poruszających się wewnątrz miast-grobowców. Odwiedził granice Królestw Chaosu i to go nie przeraziło. Bywał w Bretonii, Estalii, Tilei i każdym zakątku znanych ludziom ziem. Rozmawiał ze sławnymi malarzami i poetami, a także królami i królowymi oraz pomniejszych władcami. Dyskutował o filozofii z Neumannem i na temat sztuk teatralnych oraz poezji z von Diehlem, Sierckiem i Tarradaschem.

Posiadł wiedzę i obycie, przy których każdy człowiek musiał czuć się płytki i pospolity. Nawet Max nie dysponował taką głębią wiedzy. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że Max nie wykradł stuleci z żywotów niewinnych, by rozwijać swoje wykształcenie.

Krieger podszedł do powozu i otworzył drzwi. Wraz z nim do środka dostał się chłód nocy. Wyciągnął lodowatą dłoń i dotknął jej policzka. Odsunęła się, ale nie tak szybko, jak by tego chciała.

– Czy pomyślałaś o pytaniu, jakie ci zadałem?

– Nie jesteś nauczycielem, a ja nie jestem twoją uczennicą – odrzekła. – Nie muszę odpowiadać na żadne z twoich pytań.

Uśmiechnął się, pokazując zęby wyglądające jak u zwykłego śmiertelnika. Mordercze kły nie zostały wysunięte.

– Nie proszę, byś odpowiadała. Prosiłem, byś o tym pomyślała – powiedział cicho. – I tak wiem, że o tym myślałaś. Jakże mogłoby być inaczej?

Ponownie pokazał tę pewność siebie, przekonanie, że dziewczyna musi uczynić wszystko, cokolwiek on zechce. Irytujący był fakt, że miał rację. Potrafił zadbać, by w tej sytuacji nie potrafiła o tym nie myśleć. Jeszcze raz poczuła się jak mucha zaplątana w szczególnie mocną i drobno uplecioną sieć. Zignorowała go, wiedząc, że jeśli się odezwie, będzie to oznaczało jego kolejne zwycięstwo. Wzruszył ramionami i zapatrzył się przez okno na księżycowe światło.

Pomimo wysiłków, by je odsunąć, zadane przez niego pytania ją dręczyły. Zupełnie, jakby jego



obecność przywoływała je za pomocą jakiejś magicznej siły. Spytał, na czym polega różnica między nimi. On podtrzymywał swoje życie odbierając je śmiertelnikom. Ona podtrzymywała swoje zabijając bydło, ptaki i inne żywe stworzenia.

W pierwszej chwili odpowiedź wydawała się prosta. On zabijał ludzi – myślące istoty potrafiące kochać, nienawidzić, myśleć i oddawać się pasjom. Zapytał, skąd może być pewna, że zwierzęta nie czują tego samego. W końcu sama powiedziała kiedyś, że jej stary pies rozumiał ją.

– Czy jesteś gotowa zabijać w obronie samej siebie lub swojej rodziny? Nie musisz odpowiadać. Wiem, co powiesz.

Odpowiedziała tylko z przekory.

– Oczywiście, że bym zabijała.

– Jaka jest różnica między tym, a zabijaniem dla przedłużenia swojego życia?

– Różnica polega na tym, że nie byłabym napastnikiem. Broniłabym siebie.

– A jeśli chodzi o obronę swojej ziemi?

– Walczyłabym, żeby ją chronić.

– A zatem powiadasz, że cenisz swoją ojczyznę wyżej niż życie innej osoby.

– Jeśli usiłują odebrać moją ziemię, to tak. – Potrząsnęła głową a on uśmiechnął się do niej kpiąco.

– A jeśli twoi sprzymierzeńcy wezwą cię do walki, czy będziesz zabijać, by chronić ich ziemię?

– Zmuszałby mnie do tego honor.

– Czyli teraz twój honor jest ważniejszy od życia kogoś innego. Myślę, że jestem uczciwszy od ciebie. Ja potrafię otwarcie powiedzieć, że cenię swoje istnienie wyżej niż życie innych ludzi.

– Masz do tego prawo – powiedziała. – Ale co się stanie, gdy spotkasz kogoś, kto czuje to samo wobec ciebie?

– Znasz już odpowiedź na to.

Ulrika zamilkła. Wiedziała, że te pytania to tylko kolejna z jego gier, które miały sprawić, by poczuła się poniżona i słaba. To miało przełamać jej opór. Nie rozumiała, dlaczego mu na tym zależy. Może czerpał z tego jakąś chorą, sadystyczną przyjemność.

Nie uważała się za osobę o szczególnie filozoficznym typie umysłu. To nie było potrzebne córce granicznego szlachcica Kisleva. Musiała tylko umieć utrzymywać majątek i władać bronią, a nie udzielać odpowiedzi na trudne pytania etyczne. Czowała się nieswojo w konfrontacji z problemem, który znacznie przekraczał jej dotychczasowe doświadczenia.

Nie chciała przyznać, że wieczne życie i nieprzemijająca młodość mogą być atrakcyjne. Jednak cena była o wiele za wysoka.

Adolphus Krieger uśmiechnął się, jakby dokładnie wiedział, o czym rozmyślała.

W tamtym momencie naprawdę pragnęła wbić sztylet w jego serce, ale podejrzewała, że nawet gdyby mogła to zrobić, nic by się nie zmieniło. Wydawał się niezniszczalny.

Max obserwował z murów Waldenschlosse wschodzące słońce. Ten widok nie pocieszał go. Mięso, zjedzone poprzedniego wieczora, zalegało w jego żołądku, ciężkie jak ołów. Osłabienie, które czuł od chwili ocknięcia się po niefortunnym badaniu Oka Khemri, nadal go nie opuściło. Zaczerpnął odrobinę mocy i owinał się w nią, by oddalić od siebie chłód i rozgrzać się. Jego starzy mistrzowie byliby wstrząśnięci widząc, jak korzysta z mocy w tak trywialny sposób, ale w tej chwili nie dbał o to.

Ciepło rozpląnęło się po jego skórze i przywołało rumieńce na policzki. Nie ogarnęło jednak serca. Nie było w tym nic dziwnego – widok z zamku mógł zmrozić krew w żyłach każdego

człowieka. Twierdza stała na szczycie wielkiej skały. Po ustąpieniu cieni nocy ujrzał trupa miasta. To określenie najlepiej pasowało do zrujnowanej i na wpół wyludnionej miejsciny. Waldenhof wydawało się nie tyle żywym miastem, co więzieniem, albo obozem, w którym zebrali się uciekinierzy przed jakąś straszliwą katastrofą i oczekiwali na nadejście następnego straszliwego nieszczęścia.

W oddali, poza rozpadającymi się murami miasta, rozciągał się pozornie bezkresny ciemny las. Wyczuwało się w nim jakąś obecność, jakby nadal czaiły się tam pradawne, złe istoty, szykujące do uderzenia. Powiadano, że puszcze Sylvania stanowiły schronienie dla stworzeń ciemności już od czasów Sigmara. Max skłonny był w to uwierzyć. Nawet kłęby dymu unoszącego się nad pokrytymi śniegiem domostwami nie uspokajały go zbytnio. Miasto w świetle dnia wyglądało jeszcze mniej przytulnie niż wczorajszego wieczora.

Max pomyślał, że powinien dobrze wyspać się minionej nocy. Spał przecież na prawdziwym łóżku w komnacie ogrzewanej prawdziwym ogniem. A jednak tak się nie stało. Jego sen nawiedzały koszmary. Ciało tak przywykło do twardej ziemi, że stale przewracał się na siennikach próbując odpocząć. Komnata wydawała się duszna i trudno mu było oddychać. Może zaczynał chorować, ale rutynowa kontrola stanu własnego zdrowia nie potwierdzała tego. Zakłęcia ochronne wydawały się działać. Wątpił, by padł ofiarą przeziębienia lub zarazy. To musiał być skutek trosk i przemęczenia.

Przywołał zakłęcie lokalizacyjne Oka Khemri. Przestało się poruszać, jak zwykle podczas tej pory doby. Cóż, znalazł odpowiedź przynajmniej na jedną niewiadomą. Jeśli Krieger był krwiopijcą, to tłumaczyło dlaczego podróżował głównie nocą. Max modlił się, by wampir dotarł wreszcie do swojego celu – by mogli go dogonić. Wydawało się logiczne, że wkrótce tak się stanie: Sylvania stanowiła najbardziej prawdopodobny cel podróży wampira. Pytanie brzmiało – jakie okropności planował po dotarciu na miejsce? Z pewnością zamierzał użyć Oka w jakimś niewyobrażalnym celu.

Max dostrzegł Felixa wchodzącego na mury. Wyglądał zdecydowanie kiepsko. Był blady i pocił się pomimo zimna. Miał włosy w nieładzie i zapuszczoną brodę. Podniszczony czerwony płaszcz okrywał szczelnie jego ramiona. Felix zakaszał głośno, aż zatrzęsło się całe jego ciało. Szedł w stronę Max pociągając nogami jak stary człowiek, bardzo ostrożnie stawiając kroki. Czarodziej nie dziwił się temu. Kamienie były śliskie, a na dole czekały twarde kamienne płyty dziedzińca.

– Witaj Max, wcześniej wstałeś – powiedział Felix. Miał ochrypły głos i Max był pewien, że słyszy charczenie dobywające się z jego piersi.

– Nie spałem dobrze.

Felix uśmiechnął się.

– Wyglądasz tak, jak ja się czuję.

– Mógłbym powiedzieć to samo o tobie – odrzekł Max.

– To przygnębiające miejsce.

– Trudno się z tym nie zgodzić.

– I przygnębiający czas. Zima w pełni. Hordy Chaosu nadchodzą. Gromadzą się siły nieumarłych, a my jesteśmy w samym środku tego wszystkiego. To zabawne – jako dziecko, zawsze chciałem przeżyć przygody, o których czytałem w książkach. Teraz mam już dość przygód i chciałbym znowu stać się dzieckiem w domu mojego ojca.

– To mroczne czasy – powiedział Max. Ku jego zaskoczeniu Felix wybuchnął śmiechem i śmiał się, dopóki jego wesołość zakończył spazm kaszlu.

– Co to miało znaczyć? – spytał Max.

– Czasami Max naprawdę przemawiasz jak przystało na prawdziwego czarodzieja. Czy zechciałbyś wygłosić teraz jakieś złowieszcze przepowiednie?

– Nie sądzę, byś był w odpowiednim nastroju. Może poczekamy aż zapadnie zmrok i wilki zaczną wyć po lasach. Może wówczas podczas moich przemów odpowiednio zadrzysz przerażony.

– Wydaje mi się, że w tej chwili wystarczająco już drzę.

Max odwrócił się i spojrzał ku horyzontowi. W oddali dostrzegał wnoszącą się smugę ciemnego dymu.

– Co to takiego? – spytał. Odpowiedział na własne pytanie. – Zapewne to tylko ogień z paleniska w domu jakiegoś mieszkańca miasta.

Felix potrząsnął głową.

– Nie. Kłęby dymu są zbyt gęste i ciemne. To nie jest normalny ogień, chyba że podpalili całą ulicę, by się ogrzać. Nie zdziwiłbym się, gdyby tak zrobili.

Na jednej z pobliskich wież strażniczych rozległ się róg. Zew sygnału odbił się echem od dziedzińca i doczekał odpowiedzi z pozostałych wież.

– Zdaje się, że nie tylko my to zauważyliśmy – stwierdził Felix.

W ciągu kilku minut na dziedzińcu zebrała się drużyna żołnierzy.

– *Sądzę, że powinniśmy tam pójść i pomóc im w zbadaniu tej sprawy* – powiedział Felix bez większego entuzjazmu. Zanim ruszył w stronę schodów, zakaszła długo i ciężko.

Max widział pojawiający się pod zamkiem tłum ludzi, którzy wychodzili z zawałonych ulic umierającego miasta. Wyglądali jakby uciekali, by ratować swoje życie. Dostrzegał nędznie odzianych mężczyzn, kobiety przyciskające niemowlęta do piersi i małe dzieci. Kilku z uciekających trzymało widły i inną broń. Niektórzy unosili na ramionach żałośnie małe tobołki, które zapewne mieściły cały ich dobytek. Wszyscy byli przestraszeni. Wieśniacy w chatkach poniżej wyszli ze swych domostw na spotkanie uciekinierom. Po kilku chwilach rozmowy zaczęli wykrzykiwać, by ich panowie otworzyli wrota.

– Zdaje się, że w nocy nastąpił kolejny najazd – powiedziała hrabina. Podeszła do Maxa i Felixa, by im się przyjrzeć. Max popatrzył na nią. Była blada i bardzo piękna – prawdziwa arystokratka wyglądająca na bliską omdlenia. Coś mu się w niej nie podobało. – Rudgar i jego ludzie wyjechali, by sprawdzić, co się dzieje, jednakże wątpię, by cokolwiek znaleźli. Stwory musiały już zniknąć w lesie. Zawsze tak się dzieje. Są w tym dobre.

Nie skończyła mówić, gdy Rudgar, Rodrik i grupa rycerzy przemknęła obok nich, pędząc na złamanie karku do puszczy. Wyglądali, jakby wyruszali na łowy. Kilku z konnych wydało nawet z siebie dzikie okrzyki podniecenia i zadeło w rogi – zupełnie, jakby zwoływali psy łowcze. Max nie był zachwycony taką taktyką. Po co ostrzegać przeciwników o swoim przybyciu? Nigdy nie podejrzewał, że hrabia i jego syn należą do najbystrzejszych ludzi, a teraz miał tego dowód. Gotrek i Snorri Gryzonos biegli już po schodach wymachując bronią, weseli jak ludzie zmierzający na bal hrabiny Elektorki.

– Lepiej się pospieszcie – powiedział z ironią. – Inaczej ominie was bitwa.

Oba krasnoludy wyszczerzyły się nie zauważając kpiny i popędziły kłusem w stronę dymu. Felix zakasłał zakrywając usta dłonią i także ruszył za nimi. Max podejrzewał, że zmuszała go do tego jego przysięga.

– Poczekajcie – odezwała się hrabina. – Weźcie konie ze stajni. Wszyscy dotrzemy tam szybciej. – Max zauważył, że najwyraźniej to dotyczyło także jego. Niemal automatycznie ruszył do stajni. Hrabina roztaczała wokół siebie bardzo subtelną aurę przywództwa.

Jazda przez pokryte śniegiem ulice do miejsca, gdzie obrzeża miasta stykały się z lasem, zabrała

dwadzieścia minut. Mijali chyłce się ku upadkowi budynku, a przestraszeni ludzie wyglądali z ich ciemnych sieni. Oddech Maxa unosił się parą w powietrzu. Konie sunęły przed siebie, rytmicznie pracując potężnymi mięśniami. Jazda była bardzo ożywiająca i Max pomyślał, że zaczyna rozumieć wcześniejsze zachowanie młodych szlachciców.

– Wasze oblicze jest bardzo ponure, *Herr Schreiber* – odezwała się hrabina Gabriella. – Jest ku temu jakiś szczególny powód, czy zawsze tak wyglądacie?

Max zmusił się do uśmiechu i rozluźnił odrobinę. Mógł nie przepadać za hrabiną, ale nie musiał być nieuprzejmy. To niczemu nie służyło. Zresztą, kim był, by ją oceniać? Ostatecznie ledwo znał tę kobietę.

– Jestem zatroskany. Myślę o Ulrice i Adolphusie Kriegerze.

– Macie ku temu wszelkie powody. To bardzo nikczemny człowiek.

Max spojrzał na nią. W zimnym porannym świetle dostrzegął, że nie była tak młoda, jak początkowo sądził. Za woalką dało się zauważyć drobne zmarszczki w kącikach jej oczu. Wprawnie nałożony makijaż dobrze je ukrywał, ale nie do końca. Natomiast blask jej czarnych włosów podpowiadał Maxowi, że były farbowane. Przypuszczał, że hrabina była starsza od niego przynajmniej o dziesięć lat.

– Czy wiesz to pani z własnego doświadczenia? – Max nie był pewien, dlaczego o to spytał, po prostu mu się wymknęło. Dostrzegł ostrzegawcze spojrzenie Felixa. Być może ton jego głosu był odrobinę zbyt impertynencki, ale nie mógł na to poradzić. Ta kobieta z jakiegoś powodu wywoływała w nim najgorsze cechy.

– Można tak rzec – powiedziała. – To stary wróg rodziny mojego męża. Albo raczej, to oni są jego starymi wrogami.

– Dlaczego?

– Imperator przydzielił nam zamek, który Krieger zajmował przed Wojnami Wampirzych Książąt, zanim ktokolwiek dowiedział się, kim jest. Uznał to za wielką zniewagę i przysiągł odzyskać zamek oraz wyrzucić zemstę na całym rodzie mojego męża.

– Najwyraźniej potrafi długo zachowywać urazę – odezwał się Felix. W jego głosie zabrzmiała lekka ironia.

– Nie rozumiecie, *Herr Jaeger*. Nie macie wyobrażenia, w jaki sposób myślą nieumarli. Wyglądają jak śmiertelnicy, ale nimi nie są. Nie są w pełni rozumu według waszej oceny. To, czym są, wypacza ich umysły. Są trudniejsi do ogarnięcia przez większość ludzi, niż byłby pająk, gdyby można przeczytać jego myśli.

– To nieprzyjemna wizja – powiedział Felix już bez cienia ironii.

– Nieumarli są niepokojącymi istotami. To drapieżniki, a śmiertelni są ich zwierzyną. Kierują nimi potrzeby i impulsy niezrozumiałe dla żyjących.

Max usiłował powstrzymać dreszcze. Gdzieś tam Ulrika tkwiła w rękach takiej kreatury, a on mógł mieć tylko nadzieję, że w najlepszym przypadku ta istota nie zabiła jej na miejscu, by wyssać krew dla podtrzymania swojej nienaturalnej egzystencji. W głębi jego serca zaczął rozpalać się gniew. Jeśli tak się stało, Adolphus Krieger zapłaci za to; nieważne, ile czasu minie – Max wytropi go i skończy z nim. Nie miało znaczenia, jak potężnym stworzeniem jest jego przeciwnik – przekona się, że istnieją inne potęgi na tym świecie.

Max ponownie dotknął splotu swojego zaklęcia lokalizacyjnego. Nadal tam było. Wyczuwał je. Nagle, zapragnął po prostu ruszyć z miejsca, wznowić pogoń. Tutaj marnowali czas. Każde uderzenie serca mogło mieć żywotne znaczenie. Odsunął od siebie te myśli. Ta kobieta może powiedzieć mu o rzeczach, które mogłyby okazać się pomocne. Dobrze było poznać swojego wroga, szczególnie jeśli

jest tak potężny i niebezpieczny, jakim zapewne był Adolphus Krieger. Z pewnością zatrzymanie się tu na kilka następnych godzin niczego nie zmieni. Dodatkowy odpoczynek umożliwi im szybsze poruszanie się przez kilka następnych dni. Już dla tego samego warto było zdecydować się na opóźnienie.

Usiłował to sobie tłumaczyć, ale nadal czuł się winny.

– Powiedz, pani, więcej o Adolphusie Kriegerze – poprosił.

– Niewiele o nim wiadomo. Był jednym z najbardziej zaufanych popleczników von Carsteina. Prowadził dla niego armie do boju podczas Zimowej Wojny. Powiadają, że lękał się go nawet sam von Carstein. Zniknął po Bagnie Hel. Wielu myślało, że zginął wraz z innymi nieumarłymi. Rodzina mojego męża nie wierzyła w to.

– Czemu?

– Działy się różne rzeczy. Moi krewni ginęli w tajemniczych okolicznościach i to zawsze po doniesieniach o pojawieniu się w okolicy kogoś, kto wyglądał jak Krieger. Niektórzy uważali, że jego duch powrócił, by nawiedzać rodzinę. Inni wiedzieli, że on nadal istnieje i ich dręczy. Nieumarli mogą sobie pozwolić na dowolne długie zwlekanie z wykonaniem swojej zemsty. W porównaniu z nimi kot igrający z myszą jest miłosierny.

Mówiła dalej, opowiadając mrozące krew w żyłach opowieści o podłościach Kriegera oraz anegdoty z historii jej rodziny. Przed oczami słuchającego Maxa rysował się przerażający obraz Kriegera. A przecież ten człowiek miał amulet Nagasha! Pomijając kwestię ocalenia Ulriki, Max pomyślał, że nie wolno pozwolić, by Oko Khemri pozostało w jego posiadaniu.

Felix przysłuchiwał się Maxowi i Gabrielli. Jego kaszel był coraz gorszy. Czuł, że ma nabrzmiałe płuca, ale udało mu się utrzymywać prosto na koniu. Wypatrywał oczy badając otoczenie. Jeśli w okolicy byli zwierzoludzie, chciał ich zobaczyć, zanim oni zauważą jego. Te opustoszałe ulice doskonale nadawały się na zasadzkę. Ciekawiło go, gdzie przebywają Zabójcy. Nie dogonili ich na drodze, ale nie zdziwiłby się, gdyby Gotrek i Snorri poszli skrótem.

Jego nozdrza drgnęły. Przed sobą wyczuwał spaleniźnę. Najwyraźniej zbliżyli się bardziej niż to mu się wydawało. Żałował tego. Chciał zadać kilka pytań hrabinie Gabrielli. Wydawała się najlepiej poinformowaną osobą ze wszystkich sylvańskich szlachciców, chociaż przypuszczał, że zapewne każdy z nich potrafiłby udzielić mu odpowiedzi. Chciał dowiedzieć się wielu rzeczy na temat nieumarłych i rodu Carsteina, szczególnie od czasu, gdy w nieprzyjemny sposób zyskał pewność, że podczas jednej z najbliższych nocy znajdzie się w jakimś zapadłym miejscu polując na Kriegera lub jemu podobnych. Takie epizody zbyt często ubarwiały jego karierę towarzysza Zabójcy.

Chciał wiedzieć, ile z opowieści o wampirach jest prawdą, a co było bajdurzeniem starych matron. Uznawał, że Sylvańczycy potrafią mu na to odpowiedzieć w najlepszy sposób. Stwierdził, że lepiej nie odkładać tego na później.

– Hrabino, czy to prawda, że nieumarli są znacznie silniejsi od zwykłych ludzi, dość silni, by wyrwać człowiekowi serce gołymi rękami?

Max nie okazał niezadowolenia z tego wtrącenia się do rozmowy. Spojrzał wyczekująco na hrabinę. Kobieta zastanawiała się przez chwilę.

– Niektórzy z nich z pewnością tacy są. Krieger do nich należy... o ile można wierzyć starym opowieściom.

Cudownie – pomyślał Felix. Stał w pomieszczeniu z człowiekiem zdolnym rozerwać go samymi rękami i był gotów z nim walczyć. Być może będzie musiał to powtórzyć.

– Dlaczego powiedziałaś „niektórzy z nich”? – spytał Max. To było dobre pytanie i Felix żałował, że o tym nie pomyślał.

– Nieumarli różnią się między sobą znacznie bardziej niż ludzie. Słyszeliście wiele opowieści o nich, a pewne jest, że niektóre z nich są zasadniczo prawdziwe. Jednak nie każda opowieść jest prawdziwa w odniesieniu do dowolnego krwiopijcy.

– Możecie podać jakiś przykład?

– Powiada się, że nieumarli nie mogą znieść znaku miota albo nie potrafią przejść przez okno, na którym leży diabelski korzeń. W niektórych przypadkach jest to prawda. Istnieją udokumentowane raporty o nieumarłych uciekających przed kapłanami Sigmara, którzy pokazali im święte symbole. Ale równie wiarygodne są doniesienia o takich, którzy rozrywali na strzępy kapłanów, którzy im się sprzeciwili, po czym ze śmiechem deptali święte znaki.

– Byłbym jednak zaskoczony, gdyby te opowieści dotyczyły tego samego wampira – powiedział Max. Hrabina spojrzała na niego z pewnym szacunkiem. Felix zastanawiał się, do czego czarodziej zmierza. Pragnął, by głowa nie bolała go tak bardzo, a ruchy konia nie wywoływały w nim mdłości.

– Mielibyście rację, *Herr* Schreiber. A gdzie pojawiają się sprzeczne opowieści, tam nietrudno o zamieszanie.

– Istnieją pewne możliwe wyjaśnienia – rzekł Max. – Takie istoty mogą być całkowicie zależne od przekonań na temat własnej osoby. Tak dzieje się z czarodziejami. Niektórzy potrafią rzucać zaklęcia tylko wtedy, gdy mają przy sobie swoje ulubione laski. Niektórzy są przekonani, że ich zaklęcia nie będą miały żadnego efektu na określone cele, na przykład kapłanów albo ludzi noszących znak młota. Co dziwne, tak jest w istocie. Mimo, że pozostali czarodzieje nie mają z tym najmniejszych problemów. Magia pod wieloma względami opiera się na pewności siebie i sile umysłu, na równi z czerpaniem energii z prądów magii. Z pewnością nieumarli muszą być jeszcze bardziej zanurzeni w magii niż czarodzieje.

– Przytaczacie teorię systemów przekonań Karela Lazło – powiedziała hrabina. Max uśmiechnął się.

– Pomyślałbym, że jestem jedyną osobą w promieniu setek mil, która słyszała o tej księdze, nie mówiąc o jej przeczytaniu.

– W Sylvania znamy wagę posiadania szerokiej wiedzy i zmuszamy się do jej przyswajania.

Felixowi kręciło się w głowie, ale nadal chciał doczekać się odpowiedzi na swoje pytanie i nie zamierzał pozwolić, by tych dwoje pograżyło się w długiej dyskusji dotyczącej przemyśleń umarłego przed setkami lat filozofa – bez względu na to, jak bardzo by go to zainteresowało w normalnych okolicznościach.

– Czy to prawda, że oni umierają wystawieni na światło słoneczne? – spytał, ponownie wtrącając się do rozmowy.

– To zależy – odpowiedziała hrabina. – Niektórzy mogą zostać bardzo poważnie poparzeni przez światło dzienne, inni giną, a niektórzy wydają się znosić je bez poważnego uszczerbku. Wszystkie jednak źródła zgadzają się, że o ile nieumarli nie spożyją znacznej ilości krwi albo nie wzmocnią się za pomocą magii, w świetle dnia stają się znacznie mniej groźni. Nikt nie wie, dlaczego tak się dzieje.

– Czytałem, że niektórzy z nich mogą chodzić swobodnie nawet w dzień, o ile ich skóra jest chroniona przed wystawieniem się na słońce – powiedział Max.

Hrabina poprawiła swoją woalkę i spojrzała na niego.

– To najprawdopodobniej także jest prawda.

Felix zastanawiał się, jak wiele z jego dawnych wyobrażeń o tych stworach jest prawdziwe, a ile dotyczyło tylko niektórych z nich lub było jedynie opowieściami wyssanymi z palca? Naciskał dalej.

– Czy oni potrafią latać lub przemieniać się w nietoperze, wilki albo inne zwierzęta? Czytałem, że

niektórzy to potrafią.

Zarówno Max i hrabina spoglądali na niego w milczeniu przez długą chwilę. Nie mógł się domyśleć, czy poważnie zastanawiają się nad jego pytaniem, czy też patrzą na niego, jak na idiotę. Śmiało wytrzymał ich wzrok. Jego pytanie nie było głupie, jeśli od odpowiedzi mogło zależeć życie. Wreszcie przemówiła hrabina.

– Mówi się, że niektórzy z rodu Carsteina potrafią przemieniać się w stwory nocy.

Max zastanawiał się przez chwilę.

– Nie ma powodów, dla których to miałyby być niemożliwe. Niektórzy czarodzieje potrafią dokonać tej samej sztuczki za pomocą pewnych zaklęć transformacyjnych. Sam nigdy nie widziałem tego na własne oczy, ale nie wątpię, że to możliwe. Za pomocą odpowiednio użytych sił można zdziałać wiele dziwnych rzeczy.

Felix pomyślał, że sprawy wyglądały coraz gorzej. Było bardzo możliwe, że Krieger posiadał wszystkie moce, jakie przypisywały krwio pijcom legendy i równie prawdopodobne, że żadne z zabezpieczeń, o których czytał, nie pomoże w jego przypadku. Usiłował się uspokoić myślą, że doszukuje się najciemniejszych stron sytuacji, ale często potwierdzało się to w przeszłości, zatem to zdało się na nic.

Ciekaw był, gdzie jest Gotrek? Potęga jego pradawnego topora z pewnością zapewniłaby mu poczucie bezpieczeństwa, jakiego teraz potrzebował.

Gdy dojechali na miejsce, budynek nadal płonął. Gęste, oleiste kłęby dymu wznosiły się z torfowych ścian najbliższej chaty. Felix słyszał, że warunki życia chłopstwa w Sylvania są jeszcze gorsze niż gdziekolwiek indziej, a teraz przekonywał się o tym na własne oczy. Chłopi wokół Altdorfu trzymali świnie w chlewach, które wyglądały na wygodniejsze od niektórych z tych chat.

Felix słyszał, że w Sylvania jest ciężko, a chłopstwo wegetowało na poziomie zwierząt. Przyglądając się otoczeniu nietrudno było w to uwierzyć. Nigdy nie widział tak małych i brudnych domostw. Chłopi, którzy zaczęli nieśmiało powracać zauważywszy przybycie rycerzy, wyglądali na najmniejszych, najbardziej wychudłych i niezdrowych ludzi, jakich Felix kiedykolwiek widział, a większość z nich nosiła ślady po ospie, miała zęza lub wygląd urodzonych idiotów. Ciekaw był, czy coś w tutejszej ziemi tak wypaczało ludzkie żywota.

Nie zdawał sobie sprawy, że mówi na głos do chwili, gdy zauważył przyglądającego mu się Maxa.

– Skaza mrocznej magii jest bardzo silna w Sylvania – powiedział czarodziej. – Mówi się też, że grunt został straszliwie skażony po upadku spaczenia z nieba, które poprzedziło Wielką Zarazę z roku 1111. Może to miało wpływ na ludzi, chociaż zapewne nie czas teraz ani miejsce, by o tym mówić.

Felix skinął głową. Odwiedził Pustkowie Chaosu i nie sądził, by na świecie znajdowało się gorsze miejsce, ale teraz zaczynał mieć co do tego wątpliwości. Znamię ciemności było na Pustkowiach bardziej oczywiste, ale przez podobieństwo Sylvania do znanych mu widoków, to było straszniejsze. To była część Imperium. Ci ludzie byli obywatelami jego ojczyzny, a jednak niszczycielska magia skaziła ich życie na wiele sposobów. Rozmyślał jak wyglądałoby jego własne życie, gdyby urodził się tutaj.

Myśląc o nieco ekscentrycznym wyglądzie i manierach szlachciców, jakich spotkał, zastanawiał się, czy tak bardzo różnili się od swojego ludu. Może zostali odmienieni wewnątrz w taki sposób, w jaki pozostali ludzie zmienili się na zewnątrz. Może było trochę prawdy we wszystkich opowieściach o szaleństwie trapiącym tę przeklętą prowincję. Potrząsnął głową. Czynił zbyt wiele założeń w oparciu o znikomą liczbę faktów. Poddawał się przygnębiającej atmosferze tego niszczącego miejsca.

Podjechał do kilku wieśniaków, którzy ciągnęli jakieś ciało, albo coś co w pierwszej chwili tak wyglądało. Spojrzał ponownie, ściągnął lejce konia i zeskoczył z niego, a potem przepchał się przez niewielkie zbiorowisko ludzi wokół trupa. Może kiedyś to był człowiek, chociaż musiał być bardzo chudy i nikiemnej postury. Szturchnął zwłoki butem i jego głowa przetoczyła się na bok. Wygląd twarzy był wstrząsający, zarówno ze względu na swoje podobieństwo do ludzkiej, jak na jego brak. Stworzenie miało zielonkawą i łuskowatą, jakby jaszczurczą skórę, chociaż Felix nie potrafił się domyśleć, co mogło to sprawić.

Żółtawe oczy były znacznie większe niż normalne i wydawały się wypływać z oczodołów, tak że powieki nie mogły ich w pełni zakryć. Twarz była bardzo długa i chuda, a szczęki wąskie. Usta rozwarte w śmiertelnym grymasie były pełne odbarwionych i o wiele za ostrych zębów. Pazury na dłoniach były długie i przypominały szpony.

– Co to jest? – spytał cicho.

– To ghul, człeczyno – powiedział Gotrek, gdy tłum rozstał się przed nim. – Trupojad.

Felixowi zrobiło się niedobrze. Podobnie jak wszyscy obywatele Imperium słyszał opowieści o tych nikiemnych kanibalach, którzy żywili się mięsem zwłok, ale nigdy nie spodziewał się spotkać jednego z nich.

– Wasza miłość, to Goetz był że utłukł to swojemi widłami – odezwał się jeden z chłopów. – Dyc potem dwa z onych stworów chycili go i ubieгли. Pewnikiem jednego dnia znajdziem jego kości wyssane do szpiku.

Teraz Felix naprawdę czuł się podle. Wystarczająco obrzydliwy był widok szczątków człowieka zabitego i – zjedzonego przez zwierzoczęka, ale jeśli legendy nie myliły się, ten ghul także był niegdyś człowiekiem, który zasmakował w zakazanym mięsie.

– Ten ci tutaj wyglomda jako Wilhelm – stwierdził inny chłop z tępym zainteresowaniem. – A zem się dziwował, co też siem z nim podziało.

– Powiadacie, że znacie to stworzenie? – spytał Felix z niedowierzaniem.

– Ano, może. Nie pierwej ci on, któren przylezł tutaj pokosztować dobrego mięsiwa, jeżeli wicie o czym wam powiadam. Zima długa, a czasem żarła brak. Któren tera zapłaci rzeźnikowi, a?

Felix nie wiedział, co przerażało go bardziej – informacja podana przez tego człowieka, czy też niedbały sposób, w jaki ją wypowiedział. Spostrzegając krzywe spojrzenie Felixa mężczyzna cofnął się i dodał:

– Nie, cobym sam onego próbował, wicie.

Grzmot kopyt oznajmił przybycie Rudgara.

– Te stwory muszą być bardzo zdesperowane albo niezwykle pewne siebie, skoro zaatakowały miasteczko.

Głos hrabiny Gabrielli przeszywał zimnem.

– Obawiam się, że stają się coraz bardziej bezczelne.

W tym momencie ślepią ghula rozwarły się i stwór wydał z siebie przeraźliwy, złowieszczy śmiech.

– Nadszedł Czas Krwi – wybełkotał i rzucił się na Felixa. Zanim ten zdążył wykonać unik, topór Gotreka zerwał łeb stwora z jego ramion. Popłynęło zdumiewająco niewiele krwi.

Chłopi odskoczyli szepcząc z przerażenia i czynili znak młota oraz inne, których Felix nie rozpoznawał.

– Stwór był padły, wiedział zem to – powiedział chłop, który mówił o zdobywaniu świeżego mięsa.

– Teraz już jest – rzucił Gotrek i splunął na bezgłowe ścierwo.



– Z pewnością wyglądał na martwego, kiedy kopnąłem go butem – powiedział Felix, gdy szli przez ruiny na koniec miasta. Tam mury miały wysokość niemal czterech mężczyzn i miejscami były zakończone kolcami. Oczywiście, w innych fragmentach ziały ogromne dziury, których nikt nie naprawił. Łatwo było domyśleć się, którędy przedostał się stwór.

– Każdy może się pomylić, złęczyno – powiedział Gotrek.

– Mógł być martwy – odezwał się Max. – Może pozostało w nim trochę mrocznej magii, która pozwoliła mu na jeszcze jeden powrót do pozornego życia.

– Może – rzekł Zabójca. – A może po prostu był ranny i tylko udawał.

– Zapewne masz rację – odpowiedział Max z pewnym niedowierzaniem. Felix był ciekaw, czy atmosfera tego miejsca zaczyna wpływać także na czarodzieja. Normalnie Max Schreiber był dość sceptyczny.

– Wampiry, ghule, zwierzoludzie, co jeszcze? – mruknął Felix.

– Niektórzy z tych chłopów wyglądają jakby mieli ochotę na świeże mięsko – powiedział zgryźliwie Gotrek.

– Wyglądają po prostu na wygłodzonych. Przydałby im się solidny posiłek – rzekł Felix.

– Nie trzeba przejmować się tymi szumowinami – zahuczał Rodrik, podjeżdżając błotnistą ulicą. Najwyraźniej usłyszał ich rozmowę.

– Przeżyją. Potrafią dać sobie radę. Zapewne mają cały worek rzepy ukryty przed poborcami, w stercie odpadków.

– Cały worek? Rzepy? – powiedział cicho Felix. Młody rycerz najwyraźniej nie dostrzegł ironii w jego głosie i tylko skinął przemądrzale głową.

– Te łotry to bydłeta, nic więcej. Okradają bez zmrżenia oka swoich panów, potrafią obrabować przechodnia z jego butów, żeby uwarzyć sobie z nich zupę. Gdyby nie trzymało się ich pod batem, znowu byłoby jak za dawnych czasów. Zbyt długo siedzieli pod rządami Wampirzyc Hrabów.

Felix pomyślał, że raczej za długo pozostawali pod rządami takich głupców jak ten. Przypominał sobie wszystkie powody, dla których tak pogardzał arystokracją swojej ojczyzny. Spojrzał z nieukrywana odrazą na młodego rycerza. Rodrik najwyraźniej tego nie dostrzegł.

– Niewiele więcej możemy tu zrobić. Lepiej wracajmy do zamku – powiedział Rodrik.

Felix zgadzał się. Mieli lepsze rzeczy do roboty niż stać w miejscu i pomagać prostakowi z wyższych sfer w uciskaniu chłopstwa. A jednak musiał przyznać, że niektórzy z chłopów spoglądali na niego raczej łakomie.

Max cieszył się, że znowu jest w drodze, chociaż był mniej zadowolony z faktu, że hrabina Gabriella postanowiła towarzyszyć im z Rodrikiem i jego ludźmi jako eskorta. Wszystko wskazywało na to, że ich wspólna droga ciągnie się przez wiele mil. Jeśli prawdą były słowa hrabiny, która twierdziła, iż Krieger rości sobie prawa do ziemi jej męża, mogło to oznaczać, że pozyskali sprzymierzeńców.

Zebranie szlachty zakończyło się w mało decydujący sposób. Zgodzili się wysłać sobie nawzajem pomoc w razie ataku na jednego z nich, ale najwyraźniej planowali przede wszystkim pozostać w zamkach do końca zimy, a potem wezwać swoich wasali i powołać armie, by oczyścić krainę. Po prawdzie, niewiele więcej mogli zrobić. Armie nie byłyby w stanie maszerować w środku zimy, a utrzymywanie zaopatrzenia większego skupiska wojska byłoby niemal niemożliwe. Tylko desperaci i nawiedzeni przebywali teraz poza domem. Max uśmiechnął się ponuro. Innymi słowy, byli nimi właśnie oni. Po chwili namysłu zaliczył do nich także sługi mrocznych mocy.

Zastanawiał się, jakie szanse mają sylwańscy szlachcice przeciwko oddziałom, które może zebrać Krieger. Max wątpił, by były duże. To była biedna, nieurodzajna ziemia i nie mogła wyżywić zbyt wielu ludzi. Rozmiary wojsk szlacheckich były znacząco mniejsze od tych, które można było powołać w jakimkolwiek innym miejscu Imperium. Wątpił, by wszyscy przywódcy, którzy spotkali się w Waidenschlosse mogli zebrać siły liczniejsze od straży miejskiej Praag. To także nie była pocieszająca myśl.

Mówiono też o wynajęciu najemników, ale Max powątpiewał, by coś z tego wyszło. Żaden rozumny najemnik nie zechciałby przybyć do Sylanii za pieniądze, jakie mogli zaoferować ci zubożali szlachcice, a nawet gdyby było ich na to stać, niewątpliwie większość najmitów znajdzie wkrótce bardziej lukratywne zatrudnienie w kampanii przeciw Chaosowi prowadzonej przez Imperatora.

Max przestał o tym myśleć i zwrócił uwagę na otoczenie. Śnieg skrzypiał pod kopytami kucyków. Kislevscy wojownicy jechali kolumną, w milczeniu przepatrując okolicę niespokojnymi oczami. Max nie winił ich za marny stan ducha. Sam nigdy nie widział bardziej złowieszczonego lasu. Drzewa były chore, a w miejscach nie pokrytych śniegiem plamiły je pasożytnicze porosty, które lśniły w cieniu. To miejsce było odpychające i śmiertelnie ciche, nie licząc odgłosów jadącej grupy.

Zadrzał. To była droga do Drakenhof, miejsca o najgorszej reputacji na świecie. W Drakenhof po raz pierwszy objawiło się przekleństwo Wampirzych Książąt. W Drakenhof niesławny von Carstein po raz pierwszy uniósł swój sztandar i obwołał się władcą Sylanii. Powiadano, że sam zamek został zbudowany w szczególnie niedobrym miejscu, na węzle straszliwych energii mrocznej magii, tak przesyconym szkodliwymi zaklęciami ochronnymi, że każdy śmiertelnik, który spędził tam nieco czasu, wkrótce tracił zmysły. Mówiono, że inżynierowie wojenni, którym rozkazano zniszczyć pałac podczas oblężenia pod wodzą Imperatora Joachima, oszaleli i pożarli się nawzajem. Myśląc o tym wszystkim Max nie miał wielkiej ochoty tam jechać. Niestety, najwyraźniej był to ostateczny cel podróży Adolphusa Kriegera. To było niepokojące spostrzeżenie.

W każdym razie, cokolwiek by o nich nie mówić, ludzie z Waldenschlosse szczerze wyposażyli ich na drogę. Uzupełnili zapasy ziarna i sucharów na wozach, zubażając swoje własne marne zasoby. Max podejrzewał, że mieli ku temu ukryte powody. Jeśli ta wyprawa dawała najmniejsze szanse pozbycia się Kriegera, wówczas warto było ją wspierać. Sądząc po spojrzeniach żegnających ich ludzi, niezbyt wielu uznawało te szanse za duże.

Max miał także inne powody do zadowolenia. Podczas pobytu w twierdzy skorzystał z biblioteki i uzyskał wiele trudno dostępnej wiedzy na temat Sylanii i Wampirzych Książąt. Kroniki rodzinne domów szlacheckich w większości okazały się równie suche i nudne jak należące do arystokratycznych rodów gdziekolwiek indziej, ale udało mu się wyłowić kilka zaskakujących informacji.

Mannfred von Carstein udekorował całą drogę do Drakenhof ukrzyżowanymi ciałami swoich wrogów. Pewnego mrocznego, jesienno-wieczornego kazał je wszystkie podpalić, by oświetlić swoją triumfalną procesję do miasta. Wiele z ofiar jeszcze żyło, gdy przytykano pochodnie do ich oblanych olejem ciał. Max nie mógł się nadziwić, jaki maniak mógł uczynić coś takiego.

Niestety, odpowiedź była aż nazbyt oczywista, jeśli rzecz dotyczyła członków rodu Carsteinów. Ich rodowody wydawały się w jakiś sposób skażone, jakby na wszystkich potomków tego tej linii ciążyła nieunikniona, prastara klątwa szaleństwa. Zresztą żaden z nieumarłych nie pozostał w pełni rozumu. Max wniosł z innych lektur, że niemal wszystkie rody okazywały podobne objawy szaleństwa. Zastanawiał się jednak, czy wampiry postrzegają to w ten sposób.

Jakże mógł ich oceniać? Żyli tak długo, że dzięki wypaczonej perspektywie jaką uzyskiwali, być

może dla nich takie zachowanie było normalne. Jeśli żyło się przez całe stulecia traktując ludzi jako bydło, wówczas używanie ludzi w charakterze pochodni mogło wydawać się naturalne. Max nie mógł jednak przekonać się do tego. Pomyślał, że bardziej prawdopodobne jest, że te istoty były tak przesycone czarną magią, iż ich rozумы i dusze, jeśli takie mieli, zostały przez nią wypaczone. To był dobrze znany proces, który dotykał mrocznych magów i tych, którzy zadawali się z Niszczycielskimi Potęgami. Nie było powodu przypuszczać, że wampiry są na to odporne, w istocie – wręcz przeciwnie.

Max nie wiedział, dokąd prowadzą go te wszystkie spekulacje – poza uzmysłowieniem sobie, że zna kilka zaklęć rozproszenia i uwolnienia mrocznej magii, które mogą okazać się nader przydatne w starciu ze stworzeniem, jakie zawdzięczało swoje istnienie po części tym zgubnym energiom. To był pewnego rodzaju problem taktyczny. Jeśli Krieger był jednym z tych nieumarłych, którym szkodzi światło słoneczne, to Max znał także kilka zaklęć replikujących efekt słońca. To także może okazać się bardzo użyteczne. Tę sprawę należało dobrze przemyśleć. Stawka była zbyt wysoka, by pozwolić sobie na jakiegokolwiek błędy w ocenie sytuacji. Od tego mogło zależeć nie tylko życie Ulriki, ale także całej ich grupy.

– A zatem pisywaliście poezje? – spytała hrabina Gabriella. Felix skinął głową, ciekawo dlaczego poprosiła go, by się do niej przyłączył. Z pewnością nie zaprosiła go tylko na dyskusję o poezji. Wyrżał w gromadzący się mrok. Rodrik jechał obok powozu. Zauważył spojrzenie Felixa i odpowiedział wzrokiem, który można opisać wyłącznie jako zazdrosny. Felix odwrócił się. Ostatnia rzecz jakiej pragnął, to kłopoty z tym młodym szlachcicem o gorącej głowie.

Czuł się dość sennie. Ruch powozu sunącego na płozach usypiał go. Powóz hrabiny był ciepły, a skórzane obicia siedzeń znacznie wygodniejsze niż twarda ławka sań z zapasami. Sama hrabina była znacznie lepszym towarzystwem od Zabójcy, chociaż to niewiele mówiło, bowiem lepszym od niego kompanem podróży mógł być nawet zdechły borsuk. Uczciwie jednak mówiąc, ta kobieta była znacznie miłszą towarzyszką niż większość ludzi jakich znał. Była błyskotliwa, pełna erudycji i uroku.

– A gdzie były publikowane?

Spojrzał na nią. Oczy za woalką błyszcząły w słabym świetle. Delikatny, korzenny zapach jej perfum wypełniał wnętrze powozu.

– W Altdorfie, drukiem Wydawnictwa Altdorf. W większości znalazły się w antologiach nowej poezji imperialnej.

– Czyli pisaliście w imperialnym, a nie klasycznym.

– To obecna moda – powiedział Felix lekko się zaperzając. Podobnie jak większość wykształconych ludzi potrafił dość dobrze czytać i pisać w starym języku, ale idea pisania w nim wierszy nie przemawiała do niego. Zbyt wielu wielkich mistrzów korzystało z tego języka, co mogło zmuszać do niepożądanych porównań. – Większość wydawców w ostatnich czasach kieruje się w stronę popularnego odbiorcy. Ta grupa jest liczniejsza.

– Prawda – powiedziała hrabina, odrobinę ostro. – Lecz klasyczny jest znacznie bardziej eleganckim językiem, nie sądzicie? – W jej głosie pojawiła się lekka nuta wyzwania. Felix poczuł się jakby był przepytywany przez swoich profesorów na uniwersytecie.

– Nie wiem, czy się z tym zgadzam – odrzekł. – Myślę, że to wybór słów decyduje o elegancji wypowiedzi, a nie język, w jakim ją zapisano. Z pewnością potrafię sobie przypomnieć równie wiele złych wierszy napisanych w klasycznym, co w imperialnym. Właściwie, nawet więcej tych pierwszych, ponieważ klasyczny pozostawał znacznie dłużej językiem uczonych i poetów.

– Interesujące – odpowiedziała. – Jesteście nader niezwykle młodym człowiekiem, *Herr Jaeger*. Myślicie w oryginalny sposób.

Felix spojrzał na nią próbując doszukać się cienia ironii. Powiedział jej tylko to, co powtórzyłaby większość intelektualistów i profesorów. To było stwierdzenie powszechnie przyjmowane od jakiś dwudziestu pięciu lat. A jednak w jej głosie i zachowaniu nie dostrzegął żadnych oznak kpiny. Felix podejrzewał, że nic w tym dziwnego. Sylvania była przecież zapadłym miejscem, z daleka od głównych strumieni życia intelektualnego. Większość ksiąg w bibliotece Waldenschlosse została napisana odręcznie i skopiowana przez skrybów zamiast za pomocą ruchomych czcionek. To było niezwykle, biorąc pod uwagę eksplozję publikacji po wprowadzeniu przez Johanna z Marienburga jego maszyny drukarskiej, ponad sto lat temu. Felix słyszał, jak ktoś powiedział, że obecnie każdego roku drukuje się więcej książek niż zostało spisanych w dowolnym z minionych stuleci. Nie wiedział, czy to prawda, ale z pewnością można było dawać temu wiarę.

Wspomniał o tym hrabinie, aby przerwać milczenie.

– Tak – powiedziała. – Kiedyś wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Człowiek mógł śledzić wszystkie nowe trendy w literaturze, filozofii i naukach przyrodniczych. Obecnie niestety jest to niemożliwe. Świat pędzi naprzód znacznie szybciej i obawiam się, że jest to pęd na złamanie karku, bez określonego celu.

Powiedziała to z dużym przekonaniem.

– Uważam, że rozwój wiedzy to dobra rzecz – rzekł Felix. – Myślę, że im więcej się nauczymy, tym lepiej.

Westchnęła.

– Ach, pewność siebie młodości.

Felix nie był pewien, czy podoba mu się jej ton. Ostatnio nie czuł się zbyt młodo. Obawiał się, że jego doświadczenia postarzyły go przedwcześnie. Hrabina mówiła dalej, jakby niepompna jego chłodnego spojrzenia, chociaż był pewien, że to dostrzegająca. Była bardzo spostrzegawczą kobietą.

– Czy sądzicie, że to dobrze, iż szerzy się wiedza o mrocznych kultach? Albo, że wkrótce sekrety najczarniejszej magii będą dostępne dla każdego prostaka, który będzie umiał je odczytać? Te same sekrety, niegdyś chronione przez tych, którzy znali zagrożenie i koszt tej wiedzy.

– Gildie czarodziei oraz świątynie nadal dobrze chronią swoich tajemnic – zauważył Felix. – Podobnie jak czynią to inżynierowie i alchemicy.

– Jak długo jeszcze to może potrwać? Ile czasu zostało światu?

Felix pomyślał, że to było dobre pytanie. Widział maszerujące armie Chaosu. Było aż nazbyt prawdopodobne, że żyli podczas dni ostatnich. Świetlane obietnice nauk przyrodniczych i magicznych badań mogą nigdy nie zostać spełnione. Zamiast tego cały Stary Świat może zostać zdeptany podkutymi żelazem kopytami hord Chaosu. A jednak trudno było winić za to rozwój drukarstwa. Hrabina przyglądała mu się uważnie, jakby była głęboko zainteresowana jego odpowiedzią.

Felix czuł, że musi powiedzieć coś uspokajającego – zapewnić, że Imperator zatriumfuje i wszystko skończy się dobrze, ale widział zbyt wiele, by w to uwierzyć. Siły Chaosu zostały powstrzymane pod Praag, ale to było dla nich tylko chwilowe opóźnienie. Wkrótce odzyskają siły i wtargną jeszcze głębiej na ziemię ludzi.

– Nie wiem – odpowiedział w końcu. – To niespokojne czasy.

– Bardziej niż to się wam wydaje – powiedziała.

Felix wylazł z powozu dziwnie poruszony swoją konwersacją z hrabiną Gabriellą. Potrafiła

zmusić go do myślenia o rzeczach, których wolał unikać i była bardzo oświeconą kobietą, na swój staroświecki sposób. Wydawała się także szczególnie zainteresowana jego osobą, a nie był pewien dlaczego tak jest. Powiedziałaby, że to normalne zainteresowanie kobiety mężczyzną, ale wyczuwał w niej pewną rezerwę, wycofanie się, wyczekiwanie wypełnione obserwacją i oceną, które wydawały się wręcz nienormalne. Stwierdził, że jest to nader osobliwa kobieta, a potem ruszył przez śnieg do sań z zapasami.

Owinał się szczelniej płaszczem, chroniąc przed wiatrem. Przynajmniej czuł się trochę lepiej. Przestało mu ciec z nosa, a kaszel nie wstrząsał jego ciałem i nie wyciskał łez z oczu. Nie miał także wcześniejszej gorączki. Może pobyt w zamku pomógł mu jednak.

Wdrapał się na sanie obok Gotreka i wziął lejce kuczka.

– Lepiej uważaj, człeczyno. Ktoś tu wygląda jakby chciał wepchnąć ci sztylet w plecy – Zabójca był rozbawiony na swój ponury sposób. Felix rozejrzał się i zobaczył spoglądającego na niego Rodrika. Jego przystojną twarz wykrzywiał grymas, który mógł wyrażać nienawiść. Najwyraźniej Rodrik zazdrościł mu czasu spędzonego z hrabiną.

– Rodrik jest zbyt honorowy, by wbijać mi nóż w plecy – mruknął Felix.

– A zatem może spróbować wbić ci miecz w bebechy.

Felix zaśmiał się.

– Nie sądzę, żebyśmy mieli czas na staczanie pojedynków o rękę hrabiny.

– On może się z tobą nie zgodzić.

– Będę się o to martwił, jeśli tak się stanie.

Zabójca zarechotał paskudnie.

– Wtedy może być już za późno.

– Trochę pachnie tu stęchlizną – powiedział Roche.

Adolphus Krieger rozejrzał się po hollu Drakenhof. Wyglądało to dobrze. Jego służący naprawili niektóre ze zniszczeń wyrządzonych przez tych wandalów dwa stulecia temu. Osmalone ściany zostały odbudowane, usunięto roślinność zarastającą przejścia, a wielkie drzewo, które przebiło dach, zostało ścięte. W palenisku płonął ogień. Adolphus nie potrzebował ciepła, ale lubił widok ognia. W odróżnieniu od pozostałych ze swojego rodzaju nie przesadzał z lękiem wobec niego. Stwierdził, że początek wygląda obiecująco.

– Pachnie pięknie – odrzekł Adolphus i rzeczywiście tak uważał. – Pachnie jak dom.

Zaskoczyło go, że to tak wiele dla niego znaczyło. Miał wrażenie, jakby minęły dekady bezcelowej tułaczki. Wyczuwał strumienie starych energii magicznych płynących przez kamienie. To było miejsce pełne mocy, w którym dokona tego, co powinien zrobić. Tu postawi ostatnie kroki na drodze ku swojemu przeznaczeniu.

Do komnaty weszła Ulrika. Była blada i chwiała się lekko. W jej oczach lśniła ekstaza, którą tak wielu śmiertelników odczuwało po mrocznym pocałunku. Patrzyła na niego z mieszaniną odrazy, nienawiści i tęsknoty. Znał to spojrzenie od stuleci.

– Zaprowadź dziewczynę do komnat gościnnych – rozkazał pokojówce. Lekki błysk zazdrości, który pojawił się w oczach kobiety rozbawił go. Należała do jego najbardziej zaufanych sług i nosiła się z odpowiednią skromnością, mimo że niegdyś była dumną córką jednego z najzacieńszych domów szlacheckich Kisleva. Była piękna, ale zbyt słaba, by zainteresować go na dłużej.

Zastanawiał się, co powinien zrobić z Ulriką. Była piękna, inteligentna oraz ambitna i na swój sposób polubił ją. Oczarowała go jej krew i utajona nikczemność, która zapewniała, że dziewczyna może stać się jedną z prawdziwych Przebudzonych. Może nadszedł czas, by stworzył potomstwo.

Może udzieli jej daru nieśmiertelności. Jednak nie teraz. Nie była jeszcze całkiem gotowa. Nadal musiał przekonać ją do swojego punktu widzenia. Gdyby teraz obdarzył ją ostatecznym pocałunkiem, mogłaby oszaleć, zabić się, albo – co gorsza – wyrwać się całkiem spod jego kontroli i ruszyć własną drogą. Nie chciał, by tak się stało. To zaprzeczało sensowi wszystkich jego wysiłków, które miały na celu zapewnienie sobie towarzyszki na całą wieczność. Myśląc o sobie i hrabinie nie był pewien, czy chce zaryzykować.

Oczywiście, nieuniknione było, że kiedyś odejdzie. Tak zawsze działo się z potomstwem. Sam zerwał ze swoją rodzicielką i wyruszył w świat. Lepiej jednak, by nie stało się to zbyt wcześnie. Jeśli zaś wykona wszystkie plany związane z Okiem Khemri, nie będzie musiał się tym martwić. Używając mocy artefaktu będzie mógł przywiązać do swej woli ją i innych wybranych Przebudzonych.

Jakże hrabina będzie żałować, że podzieliła się z nim swoją wiedzą! Zachichotał. Jego czcigodna rodzicielka pożałuje, że mówiła o tym wszystkim wiele lat wcześniej. Oczywiście wtedy musiał ukrywać płonące w jego sercu pożądanie Oka. Musiał zebrać siły i wiedzę, zanim uciekł od starszego wampira i zakończył dziesięciolecie niewoli. Nie za to jednak nienawidził hrabiny. Sprawiała to jej przesłodzona afektacja i troska o jego zadowolenie, które zbyt przypominało mu przesadną opiekuńczość, jaką obdarzała go prawdziwa matka. To go krępowało, tłamsiło i sprawiało, że czuł się jak w pułapce lub w więzieniu. Nawet myśl o tym sprawiała, że te uczucia powróciły.

Wkrótce jednak nie będzie musiał przejmować się nią ani pozostałymi z Przebudzonych. Zapewnią to starożytnie zaklęcia utkane przez Nagasha wokół Oka Khemri.

## Rozdział 8

Adolphus skończył rysować kredą pentagram na podłodze. Wokół jego boków narysował symbole wszystkich czterech wielkich Potęg Chaosu. Sam stanął wewnątrz trójkąta pośrodku pentagramu. Przed nim leżała przerażona młoda dziewczyna, naga i bezwolna. Oko Khemri błyszczało między jej piersiami. W jej oczach dostrzegał panikę i oszołomienie. Poprzedniego dnia ułożyła się do snu w chacie swoich rodziców w pobliżu zamku. Tego wieczora przebudziła się w jego najgłębszym lochu, porwana przez sługi Kriegera.

Przeklęty sztylet połyskiwał ostrzem w jej dłoniach. Wyglądała, jakby chciała zacząć krzyczeć.

Adolphus wyśpiewał imiona Mrocznych Bogów, przywołując ich zgodnie z opisem rytuału. Dziewczyna zaczęła miotać się. Przerażenie pokonało nawet potężny urok, jaki na nią nałożył. Może powinien spętać ją prawdziwym łańcuchem? Może przecenił swoje możliwości? Odsunął na bok te myśli. Jakikolwiek zachwianie koncentracji mogło teraz okazać się fatalne.

Wokół niego uniosły się mroczne energie magiczne. Dla jego magicznego wzroku wyglądały jak czerwonawe, podobne do krwi krople, które spływały z kamieni ścian lochy i unosiły się na brzegach pentagramu. Dla śmiertelnych oczu dziewczyny nic się nie zmieniło, ale najwyraźniej wyczuwała co się dzieje i zapiszczała.

Adolphus odetchnął głęboko. Mroczna magia miała swój charakterystyczny zapach, trochę przypominający krew, ale intensywniejszy. Sprawiała, że czuł mrowienie skóry i słyszał brzęczenie w mózgu. Czuł, jak porusza się tkwiąca w nim bestia. Co się działo? Nie czuł się tak od opuszczenia Praag. Dlaczego teraz narastała w nim furia?

Z olbrzymim wysiłkiem woli zwalczył żądzę krwi. Nie mógł sobie pozwolić na utratę kontroli nad sobą. Dziewczyna zaczęła się podnosić. Jeśli wyrwie się z pentagramu, mroczna magia wybuchnie w niekontrolowany sposób. Co gorsza, mogą pojawić się niektóre z demonicznych istot, jakie przyzwał. Adolphus nie był pewien, czy nawet jego siła wystarczy, by pokonać takie stwory, przynajmniej dopóki nie dostroi się do Oka.

Nie przerywając śpiewu podszedł do dziewczyny i chwycił ją za gardło. Podniósł ją bez trudu jedną ręką, ignorując słabe uderzenia jej pięści i stóp. Uniósł ją, aż mógł zajrzeć w jej oczy z mocą, która uderzyła jak młotem. Źrenice dziewczyny rozszerzyły się, usta powoli otwarły i wydawała z siebie kilka cichych jęków, gdy jej ciało zwiotczało w jego uścisku. Z łatwością ponownie położył ją na przeklętym ołtarzu.

Na fali mrocznej magii pojawiły się zmarszczki przybierające kształty wstrętnych istot. Rytuał zaczynał przyciągać demoniczne istnienia: ogromne ogary z wielkimi, mięsistymi grzebieniami na karkach walczyły ze szponiastymi obojnakami; monstrualnie otyłe, pokryte krostami stwory wiły się na podłodze w walce z dziwnymi dyskami, których krawędzie pokrywały ślepie. Toczyły bitwę o małe strzępy energii, którą przyciągnął z mrocznych głębi pod twierdzą. Wystarczała, by mogły przyjąć kształty i formę. Teraz nawet śmiertelne oczy dziewczyny były w stanie postrzegać je jako migoczące kształty w ciemnościach. W piersi Kriegera zawyła bestia desperacko pragnąc walki, chociaż zapewne mogła skończyć się jego destrukcją.

Musiał pracować szybciej. Jeśli nie zużyje zgromadzonej mocy zanim stwory w pełni się objawią, mogą wydarzyć się straszliwe rzeczy. Mroczna energia magiczna : wlewała się przez szczelinę w punkcie, który zaznaczył w północnej krawędzi pentagramu, na wskazującym Pustkowie Chaosu ramieniu gwiazdy. Z jego ust padały słowa w starożytnym narzeczu Nehekharan, kiedy kontynuował

wyśpiewywanie rytuału. Wszystkie myśli skoncentrował na wysiłku ukończenia zaklęcia. Potok słów trwał, gdy nikczemne istnienia tłoczyły się wokół brzegów pentagramu wabione duszami, jakie wyczuwały w jego wnętrzu.

Adolphus opanował napływ paniki. Nie był najlepszym z czarnoksiężników. Istnieli magowie, którzy potrafili dokonać tego bez rytuałów i dodatkowej mocy, jaką musiał czerpać z pradawnego zła ukrytego pod twierdzą. Może popełnił błąd; może usiłował dokonać czegoś, co przerastało jego możliwości. Może to był już koniec.

Nie! Nie pozwoli, by tak się stało. Wytężył wolę i dalej wyspiewywał pieśń, którą zapamiętał tak dawno temu. Poruszał nożem wymyślnymi, rytualnymi gestami, popychając go w kierunku wszystkich wierzchołków gwiazdy po kolei, aż wreszcie uniósł ostrze wysoko nad dziewczynę, po czym zatopił je w jej sercu.

Wydała długi, rozpaczliwy jęk, gdy jej dusza opuściła ciało, a krew ochlapała ołtarz. Dokładnie w tym momencie Adolphus poczuł w sobie straszliwe łaknienie krwi. Bestia chciała wychłęptać tę krew. Stłumił to pragnienie i pozwolił krwi spływać, aż strumyk przelał się przez ołtarz i sięgnął podłogi. Zetknąwszy się z potokami mrocznej magii zaczął skwierczeć i tańczyć, a kropelki podrywały się z kamiennych płyt. Powietrze wewnątrz pentagramu wypełniła delikatna, czerwona mgła. Adolphus słyszał dobiegające zza ścian zaklęcia ciche skowyty i zawodzenia demonów. Nie przerywał śpiewu i gestykulowania, kierując skręcającą się i wijącą mgłą, aż dotknęła zarówno jego ciała, jak i Oka Khemri.

W tym momencie utworzyło się połączenie między nim a amuletem. Wyczuł w nim moc i pradawne zaklęcia. Czul się jakby został wessany do amuletu i walczył niczym pływak porwany prądem wzburzonej rzeki.

Potem nagle było po wszystkim. Amulet należał do niego. Rozpoczął rytuał rozproszenia i przywołane energie zaczęły odpływać. Demoniczne istnienia usiłowały z tym walczyć, ale nie mogły w żaden sposób zatrzymać tego procesu. Gdy strumienie mrocznej magii wygasły, demony przypominały już ryby trzepoczące na dnie osuszonego przez słońce jeziora. Jeden po drugim znikwały, wracając do piekieł z innego wymiaru, z którego przybyły, pozostawiając Adolphusa z jego zdobyczą. Amulet spoczywający na dłoni pulsował, dostrajając się do jego mistycznych energii.

Gdy tak się działo, Adolphus dostrzegł linie mocy połyskujące w nocnych ciemnościach, tak cienkie, że prawie niewidoczne. Wychodziły z pentagramu przez jego przerwana krawędź i płynęły w dal. Nie emanowały mocą zawartą w amulecie. Były świeższe i zdradzały sygnaturę innego czarodzieja. To nie był żaden problem. Adolphus wyciągnął swój przeklęty sztylet i przeciął linię zaklęcia. Rozwiał się w ułamku chwili.

Amulet był już jego i zamierzał użyć jego mocy, by osiągnąć swój ostateczny cel. Martwa dziewczyna spoglądała na niego pustymi, niewidzącymi oczami. Sięgnął dłonią, zanurzył końce palców w jej krwi i uniósł je do ust. Krew smakowała cudownie.

Felix zobaczył jak Max pochylił się naprzód, prawie wypadając z sań przewożących zapasy. Zeskoczył ze swojego siedzenia zostawiając Gotreka przy lejcach i popędził w stronę czarodzieja.

– Co się stało? – spytał. Czarodziej był blady i osłabiony. Po jego brwi spływał pot. Max wyglądał, jakby coś go straszliwie zabolalo.

– Zaklęcie, jakie nałożyłem na Oko Khemri właśnie zostało zerwane – jęknął. – To nie było przyjemne uczucie.

– Czy nadal możesz odnaleźć talizman?

Max ze smutkiem potrząsnął głową.



– Nie. Nie mogę już go wyczuć.

– Masz jakieś pojęcie, gdzie mogło być Oko?

Czarodziej powoli i z boleścią pokiwał głową.

– Wiem, w jakim kierunku musimy jechać. Mogę go wskazywać oceniając pozycję słońca.

– To nie będzie zbyt pomocne. Ta ścieżka wije się przez cały las. Łatwo można zgubić drogę.

Max zacisnął zęby i skinął ponownie.

– Jest gorzej – powiedział.

– Och, świetnie – odrzekł Felix. – Pociesz mnie i opowiedz o tym.

– Tuż zanim zakłęcie zostało zerwane, odniosłem dziwne wrażenie, że coś stało się z amuletem.

Wyczułem napływ mocy i duszę krzyczącą z przerażenia. Podejrzewam, że Krieger wykorzystał najmroczniejszy rodzaj magii, by związać amulet ze sobą. Myślę, że poświęcił kogoś na ofiarę.

Sądząc po wyrazie twarzy Maxa, Felix domyślał się, że obaj pomyśleli o tym samym.

– To była Ulrika?

– Nie wiem – odpowiedział Max. – Być może.

– Cholera! – rzucił Felix uderzając pięścią w bok sań. Ból pomógł mu odzyskać zmysły i kontrolę nad ogarniającymi go przerażeniem i gniewem. Znowu spojrzał na Maxa. Mag nie wyglądał zbyt dobrze.

– Wszystko w porządku z tobą? – spytał.

– Dam sobie radę. Cokolwiek uczynił ten Krieger, zamierzam go ukarać.

– Pomogę ci – zapewnił Felix, żałując że nie czuje się tak pewny siebie, jak to zabrzmiało.

– Najpierw musimy go odnaleźć – powiedział Max.

– Coś mi mówi, że to nie będzie zbyt trudne. On nie bez powodu przebył całą drogę do Sylvania i myślę, że obaj domyślamy się, o co mu chodzi.

– Zamierza przejąć władzę nad całą tą przeklętą prowincją, a to tylko początek.

Felix wiedział, że Max ma rację. Wojny Wampirzych Książąt miały rozpocząć się raz jeszcze.

Max siedział zgarbiony na swym miejscu, ledwo trzymając lejce. Na szczęście, zmęczone kuce praktycznie same odnajdywały drogę. Zimny wiatr kąsał go po twarzy wyciskając łzy z oczu. Nie potrafił znaleźć dość sił, by wzmocnić zakłęcie ogrzewające. Jedyne co mógł zrobić, to starać się nie spaść z sań i skupić się na oddychaniu.

Najpierw pojawiło się dręczące uczucie straty. Połączenie z Okiem, które utrzymywał od tak dawna znikło całkowicie. Nawet, gdy nie skupiał się na zakłęciu, zawsze był świadom, że ono istnieje. Teraz, nie czuł jego obecności. Po chwili zdał sobie także sprawę, że czuje się lepiej. Zupełnie jakby wyrwano mu ząb, który ćmił bólem od tygodni.

W pewien sposób poczuł ulgę. Kontakt ze starożytnym złem znajdującym się wewnątrz Oka Khemri, był nieprzyjemny, bez względu na to, jak daleko się znajdowało. To rzucało cień na jego duszę. Teraz, mimo okoliczności, było mu o wiele lżej. Z trudem powstrzymywał się przed uśmiechem, chociaż nie minęły obawy o Ulrikę i o to, co może robić wampir. Wiedział, że to nie było w porządku, ale nie mógł się powstrzymać. Czuł się, jakby zaczął odzyskiwać siły po długiej chorobie. Cały świat wyglądał odrobinę radośniej.

\* \* \*

Ulrika spojrzała na talizman błyszczący na piersi Adolphusa Kriegera. Dzięki niemu wampir wydawał się wyższy, bardziej władczy i pewniejszy siebie niż zwykle. Uśmiechał się do niej prawie

przyjacielsko. Potrząsnęła głową i odwróciła wzrok, zastanawiając się dlaczego dostrzegła wszystko w pomieszczeniu z większą ostrością i wyrazistością, pomimo ciemności. Co się z nią działo? Nie była pewna, czy chce to wiedzieć.

Rozejrzała się po dziwnej sali tronowej, do której ją zaprowadził. Znajdowała się głęboko pod tym nawiedzonym zamczyskiem, z jego dziwnymi korytarzami, w których czas i odległości wydawały się zupełnie wypaczone. To miejsce otaczał bezruch, jaki można było znaleźć tylko w najstarszych świątyniach, a także wrażenie zaczajonego zła, które nie pozostawiało wątpliwości, że znajduje się u źródła nikczemnej mocy, jaka przeniknęła to miejsce. Prastare zbroje wypełniające nisze w ścianach trzymały starą, ale nadal użyteczną broń.

Wydawało jej się, że dostrzega jakieś poruszenie nad głową, pośród potężnych podpór gigantycznego sklepienia. Głębokie cienie unosiły się nad wielkim żyrandolem, ignorując jego światło. W tym miejscu wyczuwało się czyjaś obecność, o której bardzo pragnęłaby zapomnieć.

– Wszystko się teraz zaczyna – powiedział Krieger wchodząc na masywne podwyższenie i rozpierając się na ogromnym tronie z rzeźbionego i polerowanego drewna. Oparcie tronu zostało ukształtowane w formie skrzydeł potężnego nietoperza lub smoka. Nad głową Kriegera majaczyła czaszka ogromnego nietoperza. W jego oczodołach lśniły rubiny.

Głos Kriegera był jakby głębszy, bardziej rezonujący i przeszywający. Trudno było nie wierzyć komuś, kto przemawiał takim głosem. Stłumiła w sobie to przekonanie, przypominając sobie, że on jest złym, bezdusznym krwiopijcą. Jednak nie potrafiła wywołać dawnej nienawiści. Trudno było myśleć o czymkolwiek, poza rozkoszą jego ostatniego uścisku. Zastanawiała się, jak to mogło się stać, a potem odrzuciła tę myśl jako nieistotną.

To się już stało i musiała z tym walczyć. Tylko tyle potrzebowała wiedzieć.

– Talizman jest już mój, Ulriko. Wkrótce stanę się Księciem Nocy.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

Talizman został stworzony w starożytnych czasach przez samego Wielkiego Nekromantę. Jedną z właściwości artefaktu jest zwiększanie u jego właściciela... wpływu na Przebudzonych.

– Po co?

– Nagash lękał się wzrostu ich potęgi i postrzegał jako potencjalnych rywali. Stworzył talizman i przywiązał wielu Przebudzonych do swojej woli: stali się jego ogarami, stworzeniami budzącymi strach do dzisiejszego dnia. Amulet zaginął, gdy Alcadizaar pokonał Nagasha. Płynął przez wieki noszony przez głupców, zbyt ślepych, by dostrzec czym to jest. Wszystko to dobiegło końca. Dzisiejszego wieczoru zaważadłem nim, podobnie jak tronem von Carsteina.

– Skąd wiesz, że to nadal działa po tak długim czasie?

Wielki Nekromanta został tak nazwany nie bez powodu. Przedmioty jakie stworzył, nie tracą swoich mocy. Był największym czarnoksiężnikiem swojej ery, największym nekromanta wszystkich czasów. Nikt nie rozumiał magii Nieśmierci, tak jak on. Wiem, jak działa Oko. Czuję to. Ty już podajesz się jego wpływowi. – Ton głosu Kriegera wstrząsnął nią. Nigdy nie słyszała, by ktoś przemawiał tak triumfalnie.

– Co masz na myśli? Dlaczego miałabym odczuwać jego wpływ? – Podejrzewała, że zna już odpowiedź.

– Ponieważ każdej nocy od trzech dni zbliżałaś się krok po kroku, by przyłączyć się do mnie. Pragnę mieć kogoś u swego boku, kto dzieliłby radość z mego triumfu. Zostaniesz obdarzona wiecznym życiem.

Nagle poczuła suchość w gardle. Chciała krzyknąć. Chciała z wrzaskiem uciec z tej sali. Pragnęła wbić swój nóż w pierś tego nieumarłego upiora. Ale zaskakująco znaczna część jej osobowości była

żałośnie wdzięczna za tę propozycję.

– Nie – zmusiła się do odpowiedzi.

– Tak – powiedział skacząc na nią z obnażonymi kłami i oczami płonącymi piekielnym światłem. Próbowwała usunąć się, ale była oszołomiona i powolna. Z łatwością ją dopadł. Wbił palce w jej szyję. Złapała go za nadgarstki i usiłowała odsunąć jego dłonie, ale był o wiele silniejszy. Powoli nachylił się nad nią, jakby zamierzał złożyć jej najdelikatniejszy pocałunek. Jego oczy lśniły na czerwono. Psie zęby błyszcząły bielą. Widziała, że były długie i ostre jak igły.

Fala ekstazy przepłynęła przez jej ciało, gdy zęby wbiły się w szyję. Siła odpłynęła od niej razem z całą wolą i nie potrafiła się dłużej opierać. Powoli przestała cokolwiek widzieć i słyszeć. Pozostał tylko odgłos bicia własnego serca. Czują wpychany do jej ust okrwawiony palec i zaczęła ssać go chciwie jak niemowlę przyssane do matczynej piersi.

Czyniła to świadoma, że nadal ogarnia ją ciemność. Bicie jej serca łomotało echem w uszach niczym grom, a potem zamarło.

– Przynajmniej w tej wiosce jest gospoda – powiedział ponuro Ivan Petrovich Straghov spoglądając na sztyl gospody „Pod Zielonym Człkiem”. – To z pewnością lepsze niż obozowanie na śniegu przez kolejną noc.

Felix nie był pewien, czy się z tym zgadza. „Pod Zielonym Człkiem” było ufortyfikowaną budowlą górującą nad częściowo zrujnowaną sylwańską osadą. Niewielkie doświadczenie uzyskane podczas wizyt w miasteczkach i wsiach tej krainy nie wzbudzało w nim wielkiego pragnienia, by je odwiedzać, chociaż musiał przyznać, że odległe wycie wilków sprawiało, iż nawet to podłe miejsce wydawało się atrakcyjne.

Pociągnął nosem i spojrzał na Gotreka.

– Będą mieli piwo – powiedział Zabójca, jakby był to powód wystarczający, by spędzić noc w zapchlonej wiosce.

– Snorri lubi piwo – wyjaśnił Snorri.

– Cieszę się, że mi to powiedziałaś. Nigdy bym się tego nie domyślił.

– Nie musisz ze mnie kpić, młody Felixie.

Felix zauważył z niepokojem jeden z najgorszych efektów przedłużającego się przebywania w towarzystwie Snorriego. Zdolność krasnoluda do wyczuwania ironii znacząco wzrosła dzięki praktyce.

– Kufelek lub dwa najlepiej przegonią nocny chłód.

Kufelek albo raczej dziesięć – pomyślał Felix, ale nie powiedział tego na głos. Zdał sobie sprawę, że wyklócał się tylko po to, by dać upust dla swojego gniewu i niepokoju o Ulrikę oraz powodzenie ich misji, a także z powodu własnej niedoli spowodowanej chorobą. Nie było to zbyt konstruktywne ani pomocne – zresztą, najwyraźniej jego opinia i tak nie liczyła się, ponieważ wszyscy pozostali członkowie wyprawy widocznie chcieli odwiedzić gospodę.

Powróciły do niego wszystkie opowieści o mrocznych, nawiedzonych karczmach Sylvanii, o jakich czytał jako młodzieniec. Często bywały przystanią morderców lub potwornych wampirów, którzy żerowali na niewinnych podróżnych. Miał ochotę zapewnić resztę, że będą tego żałowali, ale powstrzymał się. Nie było sensu pogłębiać ponurego cienia, który już zebrał się nad ich wyprawą.

Wnętrze gospody nie było takie złe, jak spodziewał się Felix. Budynek został wzniesiony z kamienia, co być może było pamiątką lepszych czasów tej okolicy, chociaż Felix nie przypominał sobie, by kiedykolwiek mówiono o dobrych czasach w Sylvanii.

Niewielki tłum ludzi w środku zamilkł na widok wchodzącej grupy rycerzy, Zabójców i ponad tuzina kislevskich konnych. Wyszedł im na spotkanie gospodarz – mężczyzna gruby jak beczka o

zimnym, wyrachowanym spojrzeniu i uśmiechniętej twarzy. Nerwowo wytarł dłoń o zaplamiony fartuch, najwyraźniej niepewny, czy przybyli są klientami czy też grupą bandytów.

Rodrik poinformował go o celu ich wizyty i zażądał izb dla jego towarzyszy i oddzielnej dla hrabiny. Felix i Max wzięli pokoje dla siebie. Zabójcy i Kislevczycy postanowili pozostać w izbie wspólnej. Kilku z konnych łuczników zdecydowało się przespać w stajni obok swoich wierzchowców. Felix przypomniał sobie mimo woli kilka obscenicznych dowcipów, traktujących o miłości kislevskiej kawalerii do swoich koni. Taktownie powstrzymał się jednak przed ich przytoczeniem.

Felix przyjrzał się gościom gospody. Zauważył, że to była stosunkowo dobrze wyglądająca oberża, jak na tę część świata. Niewielu ludzi w izbie wspólnej przypominało miejscowych. Większość wyglądała na kupców i ich ochronę, chociaż była nieco zbyt wczesna pora roku, by spotkać ich na drodze.

Kilku wyglądało na szlachciców, od których odwróciło się szczęście – swojego rodzaju podejrzanych dżentelmenów, jakich zawsze można było odnaleźć w odleglejszych częściach Imperium, gdzie oszukiwali miejscowych w kartach i wysuwali bezczelne żądania powołując się na swój domniemany stan wyższy. Sporo gości miało wygląd najemników, niebezpiecznych mężczyzn o hardych obliczach, noszących wytarte pancerze. Większość spoglądała wygłodniałym, wyczekującym wzrokiem. Przypominali Felixowi watahę głodnych wilków na tropie rannej sarny.

W jednym z kątów siedział kapłan Morra w swoich czarnych szatach i kapturze zakrywającym twarz. Jego obecność była tak banalnym powtórzeniem scen z melodramatów, że Felix miał ochotę roześmiać się. Zamiast tego podszedł do baru i zamówił *ale* dla siebie i krasnoludów. Ivan Petrovich już zadbał o swoich ludzi, a Max i szlachcice znikli na schodach, aby wraz z hrabiną obejrzeć komnaty na górze.

Gdy Felix pochylał się nad barem, przysunął się do niego obskurnie wyglądający mężczyzna z drugiego końca stołu. Ubrany był w podniszczony kozuch i czapkę oraz poplamiony kaftan, który mógł należeć do kogoś z wysokiego rodu. Jego oczy były ruchliwe i przestraszone, twarz ponura i ściągnięta. Miał wystającą grdykę.

– Świeżo przybyli? – spytał. Spoglądał, jakby oceniał, czy Felix jest gotów postawić mu napitek. Jego akcent wskazywał na szlachcica, albo kogoś, kto nauczył się takiego udawać. Obliznął wargi. – Skąd przyjeżdżacie, *sir*?

Felix zauważył, że palce mężczyzny bawią się nerwowo głowicą miecza. Rękojeść była absurdalnie ozdobna. Doskonale uzupełniało to pretensjonalne odzienie mężczyzny łącznie ze staromodnym, wydatnym sączkiem na genitalia.

– Z Waldenhof – odpowiedział Felix raczej z uprzejmości niż zainteresowania, co ma do powiedzenia ten człowiek. Nieznajomy zmrużył brew, jakby chciał dać znać, że obaj wiedzą, iż Felix żartuje. Felix nie połknął przynęty.

– A wy skąd? – zapytał Felix.

– Stąd i z owąd – odrzekł mężczyzna. Tym razem Felix uśmiechnął się do niego ironicznie. Odwrócił się, by przyjrzeć się karczmarzowi nalewającemu piwo. Miał nadzieję, że w ten sposób zasugeruje zakończenie rozmowy. – Właśnie zjechałem z drogi od Leicheburga.

– Podróżujecie złą porą roku – powiedział Felix.

– Mógłbym powiedzieć to samo o was – mruknął nieznajomy.

– Mamy pilne sprawy w tej okolicy – odrzekł Felix.

– Najwyraźniej. Trudno się nie zastanawiać, co w zimową noc sprowadza do – „Zielonego Człeka” dwunastu kislevskich konnych, dwóch Zabójców, czarodzieja, kilku sylwańskich rycerzy i

hrabinę Nachthafen. A także tak wykształconego człowieka, jak wy.

Felix spojrzał na rozmówcę z nieco większym zainteresowaniem. Nie był tak pijany, jak się wydawało, a jego oczy i umysł były bystre. Bezbłędnie policzył Kislevczyków. Felix nie dawał niczego po sobie poznać.

– Pilne sprawy – odpowiedział.

– Najwyraźniej – powtórzył mężczyzna.

– A was co tu sprowadza?

– To i tamto. Trudno mi usiedzieć na miejscu, chcę zobaczyć, co leży za kolejnym wzgórzem, miałem parę kłopotów rodzinnych.

– Kłopotów rodzinnych?

– Nieporozumienia z braćmi dotyczące dziedziczenia. Musiałem oddalić się nieco od dworu moich przodków – zwierzył się mężczyzna i rzucił na Felixa szybkie, szacujące spojrzenie.

Zapewne myślał, że mówiąc tak otwarcie zachęci Felixa do tego samego. Felix spotykał już tak zachowujących się ludzi, w podziemnym świątku Altdorfu i Nuln. Większość z nich była zawodowymi wywiadowcami.

– Wiecie, jak to bywa, nie?

– Niezupełnie – powiedział Felix. – Dobrze mi się układało z braćmi.

– To podłe, gdy krewni walczą o spadek – mówił dalej mężczyzna. Westchnął głęboko w wystudiowany sposób, ale nie wyglądał na tak zatroskanego.

– Wyobrażam sobie – rzekł Felix. – Zapewne nic w tym dobrego, że o tej porze roku, ktoś taki jak wy, musiał znaleźć się w tej dziurze.

Mężczyzna przebiegł po izbie nerwowym wzrokiem. Spojrzał na blat lady i zaczął kreślić na niej palcem koła.

– Uważam się za szczęśliwca, że tu trafiłem – powiedział złowieszczym tonem.

– Dlaczego?

– Postawcie mi kolejkę, a wam powiem – rzucił. – Jeśli jedziecie na południe, chcielibyście o tym usłyszeć.

– Powiedzcie coś na zachętę.

– Nieumarli poruszyli się – wyszeptał złowróźnie nieznajomy.

– Naprawdę? – zakpił Felix. – Powiedzcie mi coś, o czym nie wiedzą już wszyscy.

Nieznajomy uśmiechnął się z afektacją.

– W lasach zbierają się ghule. Stary zamek Drakenhof znowu jest zamieszkały. Mijając go widziałem dziwne światła migoczące w oknach. Zauważyliśmy światła w lesie i pomyśleliśmy, że może znajdziemy schronienie na noc. Przy tym zimnie każde miejsce jest lepsze od namiotu. Ale, gdy ujrzałem te światła, już tak nie myślałem.

– Zauważyliśmy?

– Chłopaki przy tamtym stole są ze mną. Podróżowaliśmy razem. Prawdą jest powiedzenie, że w grupie bezpieczniej, a szczególnie w Sylvania w takich czasach.

Felix spojrzał na grupę wskazaną przez nieznajomego. Była to zbieranina hardych, dotkniętych przez los najemników, sądząc po ich wyglądzie. Nie widział tak wspaniałej kolekcji kalafiorowych uszu, połamanych nosów i ubytków po zębach od opuszczenia Karak Kadrin, miasta Zabójców.

– Nie wyglądają na ludzi, których może przestraszyć kilka świateł – zauważył Felix. Pomyślał, że było wprost przeciwnie – wyglądali dokładnie tak jak ludzie, których światła raczej przyciągały, gdyż mogły oznaczać obecność kogoś, kogo można obrabować.

– Przestraszylibyście się, gdybyście je zobaczyli, a może nawet także wasi przyjaciele, Zabójcy.

Te światła były dziełem złej magii, nie mam co do tego wątpliwości.

– A zatem jesteście ekspertem od złej magii – powiedział Felix.

– Nie trzeba sobie kpić, przyjacielu. Każdy powiedziałby, że te światła to coś nikczemnego. Lśniły na zielono i migotały, zgasły, a potem znowu wszystkie zaczęły świecić. Wydawały się unosić nad lasem.

Felix pomyślał, że to zabrzmiało całkiem przekonująco w porównaniu z jego własnymi doświadczeniami, ale utrzymywał na twarzy wyraz niedowierzania.

– A kiedy to się stało?

– Trzy noce temu.

Felix skinął głową. To musiała być noc, gdy Max powiedział, że zakłęcie wiążące go z Okiem Khemri zostało zerwane. Elementy łamigłówek zaczęły do siebie pasować, chociaż nieznajomy nie miał o tym żadnego pojęcia. Felix zastanawiał się, czy nie poprosić tego człowieka, by powtórzył swoją opowieść Maxowi. Postanowił jednak sam mu o tym powiedzieć i przekonać się, co odpowie czarodziej.

– Czyli powiadacie, że należy unikać twierdzy Drakenhof – odezwał się Felix.

– Jak zarazy. A co z tym piwem?

Felix zauważył wyczekujące spojrzenie karczmarza. Skinął głową.

– To będzie dobre – powiedział nieznajomy.

– Czego chciał ten manekin krawiecki? – spytał nieco zbyt głośno Gotrek, gdy Felix postawił kufle piwa. Felix cichym głosem przytoczył opowieść spotkanego mężczyzny.

– Myślę, że odwiedzimy tę twierdzę – powiedział Zabójca.

Snorri Gryzonos przytaknął entuzjastycznie kiwając głową.

– Wiedziałem, że to powiesz – stwierdził Felix.

– Zgadza się – powiedział Max. Słuchał uważnie opowieści powtarzanej przez Felixa. Felix wstał i podszedł do okna. Było zasłonięte przed zimmem. Mimo to nasłuchiwał przez chwilę, a potem rozejrzał się po izbie. Była zaskakująco dobrze wyposażona jak na tak zapadłą dziurę, chociaż wszystkie meble wyglądały na bardzo stare. Łoże wieńczył baldachim opierający się na słupkach rzeźbionych w niepokojąco wyglądające smoki. Komoda była duża i ciężka. Zbyttno przypominała trumnę.

Max usiadł na krześle, którego nogi kończyły rzeźbione szpony i spojrzał na Felixa zamyślonym wzrokiem.

– Sądzę, że Krieger chętnie rzuciłby zakłęcia w miejscu, które kiedyś było przesycone mroczną magią, a tym właśnie podobno jest Drakenhof. To była ta sama noc, gdy moje zakłęcie zostało zerwane. Wystarczająco silne zakłęcie o dużym zasięgu może objawiać się przebłyskami światła, tak jak opisał je ten człowiek.

– To wszystko zbyt dobrze pasuje do siebie, nie sądzisz?

– O co ci chodzi? – spytał Max.

– Pomyśl, jaka jest szansa, że ten gość na dole przejeżdżał z swoimi kumplami koło twierdzy właśnie tej nocy, gdy to się stało, a potem przypadkiem znalazł się tutaj dzisiaj wieczora, by nam o tym opowiedzieć?

– Takie zbiegi okoliczności zdarzają się – zauważył Max. – Ale rozumiem, co masz na myśli.

– Zbiegi okoliczności, Max? Daj spokój. To środek zimy. Po co ktoś, nawet taki jak tamten, włóczyłby się drogami? Jeśli naprawdę jest tym, za kogo się podaje, to znalazłby sobie na zimę miłą

oberzę gdzieś w Middenheim i trzeba by dużego szpadla, żeby go stamtąd wydłubać. Mówię ci, wcale nie podobało mi się jego spojrzenie. To łasica, a już widywałem takich jak on.

Max taktownie nie zapytał, gdzie miało to miejsce. Zamiast tego przez chwilę szarpał swoją brodę, a potem zabębnił palcami o oparcie krzesła.

– Sądziś, że to Krieger mógł go przysłać? Myślisz, że próbuje nas zwieść podsuwając fałszywy trop?

– Nie wiem. Może udało mu się sprawić, by talizman pracował dla niego i chce nas zwabić w pułapkę.

– To tylko domysły, Felixie.

Felix uśmiechnął się ponuro.

– To kraina sama narzuca domysły tego rodzaju.

Max zgodził się kiwając głową.

Płomień latarni zamigotał i zgasł. Felix przeklinał powiew zimnego powietrza i nędzne wykonanie urządzenia. Wyglądało, jakby służyło do oświetlania drogi gościom od czasów Wielkiej Zarazy. Szedł ciemnymi korytarzami jedną dłonią dotykając ściany, by nie zgubić się w półmroku. Przesuwał palcami po kamieniach, aż natrafił na drzwi. Zimny dotyk gipsu na ścianie przypomniał mu proste, głupie zabawy z dzieciństwa. Uśmiechnął się nieznacznie.

Wiedział, że jego izba znajdowała się za trzecimi drzwiami po prawej stronie od szczytu schodów. Musiał się mocno zgarbić z powodu pochyłego dachu gospody. Przypominało mu to ciasnotę panującą na statku powietrznym, „Duchu Grungniego”, co z kolei przypomniało mu o Ulrice. To wspomnienie wywołało krótkie ukłucie bólu w sercu. Nagle wyczuł czyjąś obecność w mroku przed sobą i jego dłoń przesunęła się do rękojeści miecza.

– Spokojnie, *Herr Jaeger*. To tylko ja – odezwała się hrabina Gabriella. Felix pomyślał, że ta kobieta musiała mieć kocie oczy, skoro potrafiła rozpoznać go w ciemnościach. – Chciałabym zamienić z wami słówko na osobności, jeśli to możliwe.

– Oczywiście – odpowiedział Felix zastanawiając się, o co może jej chodzić. Miał pewne doświadczenia z damami, które prosiły o słówko na osobności w podobnej porze wieczora. Nic nie było pewne. Zimne, suche palce zacisnęły się na jego dłoni, odsuwając ją od rękojeści miecza. Poprowadziła go z zaskakującą siłą przez korytarze. Usłyszał klucz obracający się w zamku i dostrzegł jej sylwetkę w drzwiach zajmowanej przez nią komnaty. Zauważył ze spostrzegawczością pijanego człowieka, że była bardzo szczupła, choć miała naprawdę dobrą figurę. Weszła do środka i gestem wskazała, by poszedł za nią.

To była najlepsza komnata w gospodzie, ze smakiem umeblowana w dawnym stylu. Lekki zapach cynamonu walczył ze stęchlizną powietrza. Felix wątpił, by ta komnata była często używana. Hrabina zamknęła za nim drzwi i ponownie usłyszał klucz obracany w zamku. Nagle poczuł napływ paniki, jakby wpadł w pułapkę. Wskazała mu jeden z głębokich foteli i sama spoczęła na drugim.

Felix stał czując narastający niepokój. Nasłuchiwał wiatru świszczącego za oknami. Drgnął, gdy szczególnie silny powiew załomotał drewnianymi okiennicami.

– Proszę usiąść, *Herr Jaeger*! Zapewniam, że nie zamierzam uczynić panu krzywdy. – Hrabina wydawała się lekko rozbawiona. Felix podejrzewał, że ta drobna, delikatna kobieta potrafiłaby wyrządzić mu znaczną krzywdę, gdyby zechciała, ale opadł wreszcie na fotel i wyciągnął długie nogi w stronę ognia.

– O czym chcesz porozmawiać, pani?

– Wydajecie się rozsądnym człowiekiem, *Herr Jaeger* i zapewne przeżyliście sporo...

niezwykłych sytuacji.

Felix uśmiechnął się krzywo. Wątpił, czy rozsądne było włączenie się z Gotrekiem Gurnissonem, natomiast drugie stwierdzenie było z pewnością prawdziwe. Czasami dziwił się, że jeszcze nie osiwił od przerażających rzeczy, jakie oglądał.

– Możliwe.

– Przypuszczam także, że jesteście dyskretni.

– Czy to jest sytuacja wymagająca dyskrecji?

– Proszę, *Herr Jaeger*, to nie to, o czym myślicie. Zamierzam powierzyć wam sekret, który może nas oboje kosztować życie.

Felix uśmiechnął się szerzej. Atmosfera Szwajcarii inspirowała melodramatyzm w każdym wydarzeniu. Było to także coś przerażającego.

– Zapewniam was, że nie ma powodów do radości.

Felix nie mógł się powstrzymać. Roześmiał się. Przez chwilę hrabina wyglądała, jakby miała zamiar wstać i spoliczkować go, ale Felix powstrzymał ją gestem dłoni. Wyrzucił z siebie:

– Nie. Proszę wybaczyć. Chodzi tylko o to, że znalazłem się w gospodzie w Szwajcarii. Na zewnątrz wiatr szarpie oknami, świece migoczą, a piękna kobieta zamierza zdradzić mi straszliwą tajemnicę. Czuję się, jakbym odgrywał rolę w sztuce Detlefa Siercka. Gdyby jeszcze zawył wilk, byłoby idealnie.

– Macie bardzo dziwne poczucie humoru, *Herr Jaeger*.

– To dlatego, że czytałem zbyt wielu bzdurnych opowieści. Przepraszam. Proszę mów, pani.

– Najpierw chcę dostać wasze słowo, że nie zdradzicie niczego z tego, co powiem, o ile o to nie poproszę.

Felix zastanowił się nad tym.

– O ile nie wyrządzi to krzywdy mnie lub moim towarzyszom.

– Jesteście ostrożnym człowiekiem. To dobrze.

– Powiniennem także dodać, że zamierzam dotrzymać słowa, dopóki spełnione będą moje warunki.

W przeciwnym wypadku nie byłoby sensu go dawać.

– Prawda – powiedziała oschle. – Chociaż podobnie mógłby powiedzieć każdy dobry kłamca.

– To ty pani mnie tu zaprosiłaś. Ty chcesz powierzyć mi tajemnicę. Musisz już mieć jakieś pojęcie o tym, czy można mi zaufać.

– Macie zupełną rację – powiedziała. – Szczycę się dobrą oceną ludzi. Podczas swojego życia nie popełniłam wielu pomyłek w tym względzie.

– Wydajesz się pani dysponować niezwykłymi umiejętnościami trafnej oceny.

Felix mówił całkiem poważnie. Ta kobieta potrafiła wzbudzić respekt. Splótł palce i pochylił się naprzód w fotelu opierając łokcie na kolanach. Przyjrzał się jej dokładnie, usiłując dojrzeć twarz przez woalkę.

– Cóż takiego pragniesz mi powiedzieć, hrabino?

– Powiedzcie mi, czy wierzycie we wszystko, co mówi się o nieumarłych?

– W tym miejscu, o tej porze, trudno byłoby w to nie wierzyć – odpowiedział szczerze.

– Czy wierzycie, że wszyscy z nich są źli, podług waszego osądu?

– Źli podług mojego osądu?

– *Herr Jaeger*, to nie jest jedna z debat na uniwersytecie w Altdorffie. Nie jesteśmy tu, by dzielić włos na czworo, ani dyskutować, ile demonów zmieści się na łebku szpilki. Czas ucieka, a stawką jest wiele żywotów.

Nagle Felix doznał przeczucia, dokąd zmierza to wszystko i powstrzymał się przed



natychmiastowym sięgnięciem po miecz. Wątpił zresztą, by to przydałoby mu na coś, jeśli jego podejrzenia były prawdziwe.

– Zachowujecie świetną kontrolę nad sobą, *Herr Jaeger*, jak na śmiertelnika. Ale proszę być pewnym, że gdybym chciała wyrządzić wam krzywdę, zrobiłabym to wcześniej.

Felix spojrzał na nią z przerażeniem, jakby na fotelu naprzeciwko siedział ogromny pająk, a nie drobna i pozornie atrakcyjna kobieta. Czuł, że śmierć jest bardzo blisko. Nagle całkiem *wytrzeźwiał*.

– Szkoda – odetchnęła cicho. – Wracajmy do sprawy. Nie wszyscy z nieumarłych są potworami, za jakich ich uważacie.

– Trudno mi w to uwierzyć – powiedział Felix.

– Dlaczego – ponieważ piją krew ludzi, by przedłużyć swoje istnienie? To nie znaczy, że wszyscy są mordercami. Wierzcie mi, lub nie, wielu jest ludzi, którzy oddają swoją krew dobrowolnie. Bylibyście zaskoczeni, jak liczni są osobnicy w waszym Imperium, którzy tak uczynili.

– Wątpię, by jakakolwiek nikczemność dokonana w Imperium potrafiła mnie zaskoczyć.

– Proszę nie być tak małostkowym, *Herr Jaeger*! To, co dwoje ludzi robi ze sobą z własnej woli w odosobnieniu, jest tylko ich sprawą, o ile nie krzywdzą nikogo innego.

– To zależy od tego, jak wiele własnej woli zachowuje jedno z nich.

– Nie mam czasu, by dyskutować z wami o etyce. Potrzebuję waszej pomocy. Na wolności jest potwór, który musi zostać powstrzymany. Wy i wasi przyjaciele mogą dokonać tego z moją pomocą.

– Dlaczego miałbym ci zaufać, pani?

– Nie macie innego wyboru. Potrzebujecie mojej pomocy, jeśli chcecie znaleźć Adolphusa Kriegera i powstrzymać go, zanim stanie się potężniejszy od wszystkich poza Władcami Chaosu. Potrzebujecie mojej pomocy, jeśli zamierzacie uwolnić tę kobietę spod jego wpływu. Co, szczerze mówiąc, wydaje mi się już raczej niemożliwe.

Serce Felixa zatrzymało się na moment. Poczł suchość w ustach.

– Dlaczego tak mówisz?

– Ponieważ do tej pory jest albo pozbawionym krwi trupem, nieodwracalnie do niego przywiązany, albo stała się jego wybranką, a sędzę, że ta druga możliwość jest nader nieprawdopodobna, o ile nie jest naprawdę niezwykłą i Uderzającą kobietą.

– Jest.

Hrabina wzruszyła ramionami. To był ludzki gest, ale Felix miał wrażenie jakby zobaczył poruszenie pająka. Przyglądał się jej z fascynacją pełną przerażenia. Przypuszczał, że w ten sam sposób robak może patrzeć na ptaka, albo królik na lisa.

– Jesteś wampirzycą – powiedział Felix. Był dumny z siebie. Od kilku minut pragnął wypowiedzieć te słowa, ale wydawało to mu się zbyt niebezpieczne. Hrabina kpiąco zaklaskała.

– Bardzo dobrze, *Herr Jaeger*, nie można was oskarżyć o ociężałość umysłową.

Felix poczuł swoje palce zaciskające się na rękojeści miecza.

– Muszę cię pani ostrzec, że to zaklęta broń. Nie wiem, czy może zagrozić twojemu rodzajowi, ale jestem gotów spróbować, jeśli mnie sprowokujesz.

– Wiem, że to broń magiczna i groźna, choć daleko jej do tego przerażającego topora, jaki nosi wasz przyjaciel. To niektóre z powodów, dla których uważam, że macie szansę powstrzymać Kriegera, jeśli jesteście szybcy.

– Dlaczego jesteście gotowi pomóc nam przeciwko jednemu ze swojego rodzaju?

– Wierzcie mi lub nie, *Herr Jaeger*, różnimy się tak bardzo między sobą, jak ludzie. Jest nas tylko o wiele mniej. Większość z nas wolałaby żyć w pewnego rodzaju harmonii z waszym rodzajem. Jesteście znacznie liczniejsi i w ciągu ostatnich stuleci zyskaliście zbyt wiele potęgi, byśmy pragnęły

czegokolwiek innego. Większość z nas pragnie zostać pozostawiona w spokoju wraz z naszymi stadami.

– Stadami?

– Admiratorami, dobrowolnymi ofiarami, jakkolwiek ich nazwiecie, *Herr Jaeger*. Widzicie – jestem z wami szczerą.

– Świetnie. Większość z was, powiadasz pani.

– Są tacy, którzy marzą o powrocie dawnych dni. Chcieliby rządzić nocą. Są przekonani, że kiedyś tak było. Większość jest młoda i nie zdają sobie sprawy, że my nigdy nie rządziliśmy nocą w ten sposób. Sprawy nigdy nie były takie proste.

Umysł Felixa wirował od tych nowych wiadomości. Nigdy nie podejrzewał, że wampiry mogą obawiać się ludzi tak jak ludzie lękali się ich. Jej słowa miały sens. Ludzie byli liczni i potrafili działać w świetle dnia, gdy nieumarli byli najslabsi. Ludzie władali także potężną magią.

Hrabina przez chwilę przyglądała mu się badawczo, jakby oceniała efekt swoich rewelacji, a potem mówiła dalej: – Jak rzekłam, są tacy, którzy uważają, że powinniśmy odzyskać minioną chwałę, bez względu na to, jak często im mówiono, że nic takiego nigdy nie istniało. Adolphus Krieger to jeden z nich.

– Wierzę w to.

– Dobrze. Czynimy jakieś postępy.

– Powiedz mi pani – czy hrabia i pozostali szlachcice w Waldenschlosse wiedzą, kim jesteś?

– Tak. Istnieje pakt między Przebudzonymi, którzy pragną uniknąć powrotu dawnych wojen oraz obecnymi władcami Szwabii. Nie chcemy doczekać się powrotu pogromu, jaki nas kiedyś dotknął.

– A co z Rodrikiem?

– On i jego ludzie należą do mojego stada.

Felix przez chwilę przyswajał te informacje. Ledwo mógł to wszystko pojąć. Trudno mu było uwierzyć, że siedzi spokojnie na miejscu, dyskutując o takich rzeczach z hrabiną i nie atakuje jej ani nie próbuje uciec z komnaty. Uderzyła go pewna myśl.

– A zatem hrabia i jego przyjaciele ukrywali coś przed nami.

– Dlaczego miał wtajemniczać was we wszystkie swoje sekrety? W końcu jesteście obcy. Nie miał powodów, by wam zaufać.

– A ty masz, pani?

– Nie mam wyboru. Wiem, co robi Krieger.

– A cóż to takiego?

– Zamierza zjednoczyć wszystkich Przebudzonych pod swoimi rządami i wypełnić starożytną przepowiednię naszego rodzaju. Przepowiednie podaną przez szaleńca, która nigdy nie zostanie spełniona, ale to nie powstrzymało Adolphusa.

– Sądząc z tego, co mi powiedziałaś, nie wydaje się prawdopodobne, by udało mu się tego dokonać.

– *Herr Jaeger*, on posiada środki, by to zrobić. Wiedzieliście to, dotykaliście tego.

– Oko Khemri?

– Jeśli tak chcecie to nazywać. Lepiej pasuje określenie Oko Nagasha.

– Czy naprawdę jest tak potężne?

– Tak sądzę.

– Dlaczego?

– Zostało stworzone przez Nagasha, by zniewolić mój ród. Może wzywać nieumarłych na wielkie odległości i wymuszać posłuszeństwo, jeśli właściciel jest dość silny.

– Jeśli?

– Bez wątpienia słyszeliście opowieści o tym, jak Przebudzeni potrafią narzucać swoją wolę śmiertelnikom.

Felix skinął głową.

– Aby udało się przełamać czyjąś wolę, musi istnieć znaczna różnica między siłami umysłu wiążącego i wiązanego, a nawet wówczas, w większości przypadków, ten proces jest tylko tymczasowy. Szczerze mówiąc, właśnie dlatego nie usiłowałam związać was ani waszych towarzyszy. Wątpię, by można było tego dokonać bez waszej zgody, bez stworzenia więzi krwi. Mniej znanym faktem jest to, że Przebudzeni potrafią oddziaływać w ten sposób także na siebie. Wśród wielu swych darów, Oko pomnaża tę zdolność u istoty, do której jest dostrojony. Działa znacznie skuteczniej w rękach jednego z nas, niż w przypadku samego Wielkiego Nekromanty. Być może dzieje się tak ze względu na podobieństwa między nami. Ostatecznie, wszyscy jesteśmy zasadniczo jednej krwi. Jaki by nie był powód, używając talizmanu Krieger faktycznie może wezwać nas wszystkich i zmusić do uległości jego woli. Po prawdzie sędzę, że już rozpoczął ten proces. Odczuwam... przymus w głębi umysłu, nawet w tej chwili. Nie wątpię, że nabierze mocy z upływem kilku następnych nocy, gdy Krieger wzrośnie w siłę.

– Skąd wiesz o tym wszystkim?

– Czy ma to jakieś znaczenie?

– Tak. Chcę wiedzieć, z czym mamy do czynienia.

– *Herr Jaeger*, żyje od bardzo długiego czasu. Uzyskałam wiele dziwnej i tajemnej wiedzy oraz miałam wiele stuleci, by ją sobie przyswoić. Wierzcie mi, podobnie jak większość z mojego rodzaju, mam obsesję na punkcie Wielkiego Nekromanty i jego dzieł. Przeczytałam wszystkie księgi uznawane za zakazane – tłumaczenia van Hala Dziewięciu Ksiąg Nagasha, Księgę Umarłych, zakazane Grimuary Tal Akhad. Podróżowałam do starożytnych miejsc, by zdobyć wiedzę o nim. Wędrowałam po piaskach Krainy Umarłych i odwiedziłam piramidy Khemri. Nie mamy dość czasu, bym zdążyła opowiedzieć jak przesiewałam wszystkie kłamstwa, mity i zniekształcenia, aby wreszcie połączyć kawałki łamigłówek. Musicie mi zaufać, gdy zapewniam, że powiadam wam prawdę.

– Zdaje się, że niewielki mam wybór. Może powinienem poprosić Maxa, by do nas dołączył.

– Może później. W tej chwili wołałabym, by to pozostało między nami i daję ci czas na przygotowanie waszych towarzyszy. Dla nas wszystkich będzie lepiej, żeby nie uczynili niczego głupiego.

Na myśl o tym, co zrobiłby Gotrek, gdyby się dowiedział, że pośród nich znajduje się wampir, Felix musiał przyznać, że jest to najrozsądniejsze wyjście. Jeśli hrabina była potencjalną sojuszniczką, lepiej będzie, by jej głowa pozostała na ramionach. Stwierdził też, że skoro jest tak potężna, dobrze by było, gdyby Zabójca nie doczekał się swojej długo oczekiwanej zagłady zanim Ulrika nie zostanie uwolniona lub pomszczona. Widząc jak hrabina kiwa głową zrozumiał, że ona już uznała jego zgodę za fakt dokonany. Zastanawiał się, czy naprawdę tak dobrze potrafi rozpoznawać jego reakcje? Podejrzewał, że żyjąc przez całe stulecia mogła uzyskać dar rozumienia śmiertelników. Gestem wskazał, by mówiła dalej.

– Oko zostało stworzone przez Nagasha w prastarych czasach jako broń przeciwko mojemu rodzajowi, gdy Nagash przestraszył się, że możemy zagrozić jego dominacji nad starożytnym światem. Użył jej nawet, by zmusić do posłuszeństwa kilku z Przebudzonych. Wtedy właśnie dowiedzieliśmy się o mocy ukrytej w amulecie. Obawiając się, co może się zdarzyć, reszta Przebudzonych uciekła najdalej i najszybciej jak potrafili, po czym ukryli się za wszelkimi znanymi im zakłęciami.

Felix słuchał zauroczony jej opowieści o prastarych intrygach, o wojnie między Nagashem a skavenami oraz ostatecznym rozproszeniu skarbów Wielkiego Nekromanty. Mówiła o zniknięciu Oka, aż do jego pojawienia się w rękach Mannfreda von Carsteina i o tym, jak użył go, by stworzyć nieumarłą armię, która walczyła w Wojnie Wampirzych Książąt. Twierdziła, że to właśnie utrata Oka pod Bagien Hel zakończyła te wojny oraz rzeź hrabiów.

– Oczywiście – mówiła dalej – po fakcie łatwo jest stwierdzić, co się stało. Większość z Przebudzonych uważała, że Oko zostało zniszczone lub zaginęło na zawsze po Bagnie Hel i cieszyli się z tego. Po bitwie Oko musiał odnaleźć jeden ze śmiertelników, który zabrał je jako część łupów wojennych, pamiątkę po tym straszliwym konflikcie. Nie będąc magiem i nie mając pojęcia, co posiada, przekazywał je wraz z rodzinną spuścizną. Wreszcie, jeden z jego potomków, potrzebując pieniędzy, sprzedał kolekcję i w ten sposób Oko dostało się na rynek otwarty. Następnie przechodziło z rąk do rąk, aż znalazło się w zbiorach Andrieva.

– Jak ty pani i Krieger dowiedzieliście się o tym?

– Niestety, nie wszyscy Przebudzeni uwierzyli w zaginięcie Oka. Niektórzy łaknęli jego mocy. Adolphus Krieger był jednym z nich.

Felix spojrział na nią. Ciekaw był, czy ona także do nich należała. Czy chciała zdobyć tę rzecz dla siebie? Ponownie udało jej się przeczytać mu w myślach.

– Niektórzy z nas obawiali się powrotu Oka, *Herr Jaeger*. Lękaliśmy się powstania kolejnego von Carsteina. To byłby koniec dla wielu z nas, a już jesteśmy zbyt nieliczni. Nie możemy pozwolić sobie na jeszcze jedną Wojnę Wampirzych Książąt.

– Powiadasz pani, że ciebie samej nie interesuje Oko Khemri? – Felix nie do końca rozumiał, dlaczego drażni kobietę, która zapewne jest w stanie zabić go na miejscu, ale coś go do tego zmuszało. – Gdyby Oko dostało się w twoje ręce, nie wykorzystałabyś go?

– Zrobiłabym co w mojej mocy, aby to zniszczyć, a co najmniej zabrałabym to do miejsca, gdzie nie zostałoby odnalezione przez długi czas, jeśli w ogóle kiedykolwiek.

– Naprawdę?

– Nie musicie mi wierzyć, ale mam ważne powody, by nie chcieć używać tej rzeczy.

– A jakież to mogą być powody?

– Oko zostało stworzone przez Nagasha. Zawiera część jego mocy, albo jego ducha, jeśli tak wolisz. Z upływem czasu niszczy wszystkich, którzy go używają i sprowadza na nich nieszczęście. Nagash był zazdrosny o swoje dzieła. Tylko jemu mogły służyć naprawdę.

– Z pewnością Krieger wie o tym.

– Może nie wie, a nawet jeśli tak jest, być może nie wierzy w to. Albo uważa, że potrafi nad tym zapanować. Możliwe, że już znalazł się pod dyskretnym wpływem uroku tej rzeczy. Przebywał blisko von Carsteina i był wystawiony na działanie artefaktu setki lat temu.

– Może zatem powinniśmy po prostu siedzieć i czekać, aż Kriegera spotka jakieś nieszczęście?

Felix zastanawiał się, co winien uczynić. Wydawało mu się, że nie ma innego wyboru, niż podążać za sugestiami hrabiny. Dopóki nie wykryje w niej fałszu, pozostaje potencjalnym sojusznikiem, który znacznie lepiej rozumie ich przeciwnika niż on mógłby kiedykolwiek. A jednak zdał sobie sprawę, że niechętnie obdarza zaufaniem tego nieumarłego drapieżcę. Czuł się raczej jak jeleń próbujący negocjować z wilkiem. Może właśnie dlatego coś zmuszało go do przeciwstawiania się jej propozycjom.

– Można by pomyśleć, że twój rodzaj z radością uczyni wszystko, by wspomóc zwycięstwo Mrocznych Władców Chaosu. Czyż nie jesteście ich pomiotem?

– Nie jesteśmy stworzeniami demonicznych bogów w większym stopniu niż wy i oni nienawidzą

nas nie mniej od was. Pragną tylko dusz i niewolników. Niektórzy z Przebudzonych w przeszłości służyli im, ale podobnie czyniło wielu z waszych ludzi. Nauczyliśmy się dużo na błędach tych, którym wydawało się, że wykorzystają Władców Ciemności do własnych celów.

Felix przypuszczał, że jest w tym sporo prawdy, przynajmniej w kwestii dużej liczby ludzi, którzy zapredali swe dusze złowrogim siłom. Hrabina pochyliła się naprzód i przyjrzała mu się uważnie. Jej poruszenie było tak nagłe, że przestraszony Felix cofnął się gwałtownie.

– Spójrzcie, *Herr Jaeger*, to naprawdę bardzo proste. Albo mi uwierzycie, albo nie. Możecie mi zaufać lub nie. To ja podejmuję całe ryzyko. Istnieją osobnicy z mojego rodzaju, którzy pragnęliby zakończyć moją egzystencję, gdyby dowiedzieli się, co wam tu powiedziałam. Możesz opowiedzieć swoim towarzyszom kim jestem, a oni bez wątpienia pomogą ci mnie zniszczyć. Podejrzewam, że są do tego zdolni. *Herr Schreiber* to nader potężny czarodziej, a podczas całego swojego długiego istnienia nie widziałam chyba broni straszliwszej niż topór Gotreka Gurnissona.

– Mógłbym to uczynić, gdybyś mnie stąd wypuściła żywego.

– Możecie teraz odejść, jeśli taka jest wasza wola. Nie zatrzymam was.

Felix był gotów wstać, ale nie miał ochoty sprawdzać szczerości jej słów. Ostatecznie, dokładnie to mogłaby powiedzieć, gdyby chciała pozbawić go czujności. W chwili otwierania drzwi byłby najbardziej narażony na atak, gdy jego plecy będą częściowo odwrócone w jej stronę. Może mógłby zawołać po pomoc, ale jej apartament znajdował się z dala od pozostałych, a ściany były bardzo grube. Nikt mógłby go nie usłyszeć poprzez wiatr świszczący głośno za oknami.

Odezwał się ponownie, raczej po to, by zyskać trochę czasu do namysłu, niż w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Słuchając ciebie pani, wyczuwam osobistą niechęć w stosunku do Kriegera. Jaki jest prawdziwy powód, dla którego chcesz nas poszczuć przeciwko niemu?

Ku jego zaskoczeniu roześmiała się.

– Nie przypuszczałam, że tak łatwo mnie przeniknąć. Tak bardzo przywykłam do odczytywania zamysłów śmiertelników, że przestałam wierzyć, by oni mogli przejrzeć mnie.

Felix wątpił w to jednak. Zaczynał przekonywać się, że ta prastara nieśmiertelna istota nie robi niczego bez powodu. Wszystkie jej działania były wynikiem długiego namysłu i jeśli cokolwiek odkrywała, to tylko dlatego, że sama chciała, by to zobaczył. Stwierdził, że lepiej będzie zachować te myśli dla siebie. Zamiast tego powiedział:

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie, pani.

Milczenie było długie i w pierwszej chwili Felix pomyślał, że źle ocenił sytuację i ona nie zamierza mu odpowiedzieć.

– Ja stworzyłam Kriegera. To moje dziecko, jeśli tak wolisz. Uczyniłam z niego to, czym jest dzisiaj, ku mojej nieustannej rozpacz. W pewien sposób jestem za niego odpowiedzialna. Byłby martwy stulecia temu, gdybym nie wtrąciła się w jego życie i nie musiałabym martwić się o żadną z rzeczy, które on teraz wyrabia.

– Czego chcesz ode mnie?

– Chcę, byś pomógł mi zapewnić współpracę twoich towarzyszy. Nie chcę być zmuszona walczyć z nimi podczas zmagañ z Kriegerem.

Felix podniósł się z fotela i ruszył ku drzwiom. Nie wykonała żadnego ruchu, by go powstrzymać. Zobaczył, że klucz nadal tkwi w zamku.

– Pomyślę to tym, co mi powiedziałaś, pani – powiedział otwierając drzwi.

– Nie myślcie zbyt długo, *Herr Jaeger*. Pozostaje coraz mniej czasu.

Felix wracając do swojego pokoju był zarówno zatroskany, jak przerażony. Czuł się, jakby ledwo

udało mu się uniknąć śmierci. Nie wiedział także, co ma zrobić z informacjami, jakie wyjawiała mu hrabina i jak potraktować jej prośbę.

Z pewnością musiała być świadoma, że stawia go w niezwykle trudnym położeniu. Max Schreiber mógłby zaakceptować to, czym była i sprzymierzyć się z nią, ale Felix nie sądził, by to udało się z Gotrekiem i Snorrim Gryzonosem. Wyobrażał sobie reakcję Zabójców na wiadomość, że jest wśród nich krwio pijca. Zaatakowałby od razu, a pomyśleli dopiero później. Ivan Petrovich i jego ludzie nie zaakceptowaliby wampirzycy w większym stopniu niż krasnoludy. Pochodzili z kresów Kisleva, gdzie nie rodzili się ludzie, którzy sprzymierzali się z istotami mroku.

Kimkolwiek by nie była, hrabinie nie brakowało inteligencji. Musiała doskonale wiedzieć o tym wszystkim. Co zamierzała osiągnąć? Felix rozmyślał nad tym, ale nie mógł dopatrzeć się niczego. Nie domyślał się, jak hrabina może na tym skorzystać, ale to jeszcze nic nie znaczyło.

Dopiero myśląc o tych sprawach zdał sobie sprawę, że częściowo przyjął jej warunki. Nie zamierzał pobiec natychmiast do Zabójców, aby powiedzieć im o niej – przynajmniej, dopóki nie rozważy wszystkich efektów tej decyzji. A jednak czuł, że musi z kimś porozmawiać.

– Hrabina jest czym?! – wykrzyknął Max Schreiber.

– Ciszej – upomniał go Felix. – Nie chcę, by cała gospoda dowiedziała się o tym.

Wokół dłoni czarodzieja zamigotała aura ognia i Felix był pewien, że Max poważnie rozważa wtargnięcie do pokoju hrabiny. W tych okolicznościach, to była ostatnia rzecz, jakiej pragnął Felix. Konfrontacja między potężnym czarodziejem a wampirzycą mogła obrócić całą gospodę w ruiny. Zaczynał żałować, że powiedział czarodziejowi o wszystkim, co wyjawiała mu hrabina.

– Nie mogę uwierzyć, że stoisz tu spokojnie, Felixie. Jeden z tych potworów jest w budynku, a ty nic nie robisz.

– Rozmawiam z tobą, prawda?

– Uważam, że zebranie ludzi i włamanie się do jej komnaty byłoby bardziej odpowiednie.

– Jesteś ostatnią osobą, od której spodziewałem się usłyszeć coś takiego, Max. Czarodziej powinien okazywać trochę więcej zrozumienia. Ostatecznie, nie tak dawno temu ludzie czuli to samo wobec podobnych tobie.

– Myślę, że to mnie znieważa, Felixie. Nie widzę związku między śmiertelnymi czarodziejami a nieumarłymi masowymi mordercami.

Felix wzruszył ramionami. Powiedział mało dyplomatyczną rzecz, ale i tak uderzyła go odpowiedź Maxa. Czarodziej zwykle okazywał więcej kontroli nad sobą. Może napięcie kilku ostatnich tygodni było większe, niż mógł znieść. Felix miał ochotę ostro odpowiedzieć na słowa Maxa, ale ktoś musiał zachować spokój i wyglądało na to, że w obecnych okolicznościach, tym kimś musi być właśnie on.

– Przepraszam, że to powiedziałem, Max, ale pomyśl o tym. A jeśli ona mówi prawdę? Może być naszym najlepszym sprzymierzeńcem przeciwko Kriegerowi.

Nagle Felix poczuł przebiegający go zimny dreszcz. Max patrzył na niego ciężkim wzrokiem i wyglądał, jakby gotów był wybuchnąć. Felix z najwyższym trudem powstrzymywał się od sięgnięcia po miecz.

– Czy ona rzuciła na ciebie urok? – mruknął czarodziej. – Czy przywiązała cię do swej woli?

Felix uchylił się, gdy Max wykonał gest swoją dłonią. Smuga lśniącego ognia podążała za palcami czarodzieja, który rysował w powietrzu zawiły wzór. Lśniący znak zawisł nad podłogą. Felix zacisnął oczy, ale obraz runy nadal płonął na jego siatkówce. Miał ochotę uderzyć maga, ale chciał także poznać odpowiedź na pytanie czarodzieja. Nie czuł się, jakby pozostawał pod wpływem zaklęcia, ale skąd mógł to wiedzieć? Może urok uniemożliwiał zauważenie tego faktu.

Po kilku sekundach usłyszał cichy wydech Maxa. Otworzył oczy. Czarodziej wyglądał spokojniej. Miał zamyślane spojrzenie.

– Nie potrafię wykryć wokół ciebie żadnych trwałych zaklęć.

– Znasz się na tych rzeczach lepiej ode mnie – powiedział Felix.

Max podszedł do swojego łóżka i opadł na nie. Jego komnata była mniejsza i skromniejsza od apartamentu hrabiny. Felix usiadł na jedynym krześle.

– Co zamierzasz z nią zrobić?

– Jeśli poważnie zastanawiasz się nad przyjęciem jej pomocy, nie sądzę, by powiadomienie o tym Gotreka było dobrym pomysłem – odpowiedział Max.

– Ta myśl przeszła mi już przez głowę – rzekł Felix. – Nie jestem zachwycony tą sprawą, ale w tej chwili myślę, że naszym głównym celem powinno być uratowanie Ulriki. Musimy powstrzymać Kriegera, cokolwiek on knuje.

Max rozluźnił się jeszcze bardziej.

– Zgadza się. Pytanie brzmi, czy możemy zaufać hrabinie? A jeśli po prostu chce zagarnąć Oko dla siebie? Może gdy je zdobędzie, stanie się równie zła, jak opisuje Kriegera?

– Wiem. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zadbamy, by go nie dostała. Sądzę, że rozsądnie będzie nie ufać jej więcej niż to konieczne, a jeden z nas powinien stale mieć na nią baczenie.

– Najwyraźniej ostatnio robisz to trochę częściej.

– Jest fascynującą... kobietą.

– Lepiej, żebyś przestał tak o niej myśleć.

– Wierz mi, że już tak się stało. Samo przebywanie w jednej komnacie razem z nią wywoływało ciarki na mej skórze.

– Słyszałem, że niektórzy ludzie cenią sobie towarzystwo nieumarłych. Krążą plotki na przykład o Detlefie Siercku.

– Może to dotyczy niektórych ludzi, ale nie mnie. Nie podoba mi się, gdy ktoś spogląda na mnie, jakbym mógł stać się następnym posiłkiem.

– Cieszę się, że to słyszę. A co z rycerzami? Z naszym porywczym przyjacielem Rodrikiem i jego towarzyszami?

– Powinniśmy zakładać, że oni pozostają całkowicie pod jej urokiem.

– Zdaje się, że była bardzo szczerą wobec ciebie.

– Może się tak wydawać, ale przecież podróżuje z nami od kilku dni. Czy sądzisz, że kilku z naszych kompanów mogło zostać zauroczonych?

– To możliwe. Sprawdzę to rankiem.

– Dyskretnie.

– Owszem.

Rozmawiając przyciszonymi głosami spędzili kilka godzin dyskutując nad swoimi planami. W umysłach obu przeważała obawa przed zdradą.

## Księga Trzecia

### Leże Wampira

*I tak oto, drogi powiodły nas ku Zamku Drakenhof, do miejsca opiewanego w przerażających legendach. Niestety, mam wszelkie prawa potwierdzić, że stare opowieści nie były żadną miarą przesadzone, jeśli już, to raczej zbyt wiele skrywały. Nie jest mym zamiarem niepokojenie snów czytelników, ani też wywoływanie koszmarów, ale uczciwość, a także potrzeba spisania prawdziwych kronik wydarzeń kariery Zabójcy zmuszają mnie, bym wyłożył te rzeczy na papier. Czytelnicy o wrażliwym usposobieniu mogą zechcieć przerwać czytanie w tym miejscu. Ci, którzy czytać zechcą dalej, nie mogą rzec, iż nie zostali ostrzeżeni.*

Fragment z *Moich Podróży z Gotrekiem*,  
tom IV, spisanych przez Herr Felixa Jaegera  
(Wydawnictwo Altdorf, rok 2505)



## Rozdział 9

– Jesteś dzisiaj bardzo zamyślony, człeczyno – mruknął Gotrek.

Felix zaciął lejcami poganiając kuce, po czym odwrócił się i spojrzął na Zabójcę. Kislewczycy jak zawsze jechali przed nimi. Hrabina Gabriella i jej eskorta podążali z tyłu w swoim powozie. Felix słyszał Rodrika, który głośno rozprawiał, że ta część lasu wygląda na dobre miejsce na łowy na zwierzoludzi, gdy tylko nadejdzie wiosna. Felix pomyślał raczej, że to może być dobre miejsce, by zwierzoludzie urządzili zasadzkę na wędrowców.

– Mam sporo rzeczy do przemyślenia – odpowiedział. Zastanawiał się, czy mimo wszystko nie powinien powiedzieć Zabójcy o rewelacjach wyjawionych przez hrabinę poprzedniego wieczora. W końcu jeśli hrabina rzeczywiście okaże się zdradliwa, Gotrek zasługiwał na jakieś ostrzeżenie. Felix nie mógł mu odmówić chociaż tego. Towarzyszył krasnoludowi w wielu szalonych przygodach, a krasnolud ocalił jego życie więcej razy, niż potrafił zliczyć. Utrzymywanie przed nim sekretu nie było w porządku. Felix był świadomy, że hrabina mogła okazać się bardzo przekonującym kłamcą i poprowadzić ich wszystkich prosto w pułapkę.

– Nie ufam tym Sylvańczykom – odezwał się wreszcie Felix.

– Wydawało mi się, że nieźle dogadujesz się z hrabiną Gabriella – odrzekł Zabójca rozbawionym głosem.

– Ona jest częścią tego problemu.

Zabójca spojrzął na niego wyczekująco. Tego dnia był w niezwykle dobrym nastroju, mimo że poprzedniego wieczora pochłoniął znaczną ilość *ale*. Może rozweselała go wizja zmierzenia się z Kriegerem i spotkania długo oczekiwanej śmierci. Z krasnoludami nigdy nic nie było wiadomo.

– Mów dalej.

– Nie jestem pewien, czy mogę.

Zabójca wyszczerzył się jeszcze bardziej.

– Dlaczego nie?

– To kwestia zaufania. Dałem moje słowo.

Krasnolud spoważniał. Jego lud z wielką powagą traktował przyrzeczenia.

– A zatem nie będę naciskał – odpowiedział.

Felix był zawiedziony. Miał nadzieję, że krasnolud zacznie zadawać jakieś pytania. Wpatrywał się w ścieżkę badając drogę wiodącą przez pokrytą śniegiem krainę. Ścieżka wiła się przez las, który z każdym krokiem stawał się coraz ciemniejszy i bardziej ponury. Felixowi całkiem nie podobało się to miejsce.

– Jeśli cię to pocieszy, człeczyno, ja także mam pewne podejrzenia co do naszych przygodnych towarzyszy.

Felixa przeszedł dreszcz. Czy Zabójca na własną rękę odkrył tajemnicę hrabiny? Felix wiedział, że mimo nieokrzesanego wyglądu Gotrek nie był głupi.

– Co masz na myśli? – spytał.

– Nie wydaje mi się, żeby byli tym, za kogo się podają.

Felix nie był pewien, do czego zmierza Zabójca. Nie mógł znać całej prawdy, gdyż w takim wypadku już pędziłby do powozu hrabiny z wysoko uniesionym toporem. Felix postanowił działać.

– Czy potrafisz zaufać moim spostrzeżeniom? – spytał znienacka.

Zabójca przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Spoglądając w jego jedyne, szalone oko, Felix

przypomniawszy sobie, jak bardzo obca była rasa, do której należał Gotrek. Krasnoludy wyglądały dość podobnie do ludzi, ale nimi nie były. Stanowiły produkt innej kultury, odmiennego wychowania. Były dziećmi innych bogów.

– Tak – odpowiedział wreszcie Zabójca.

– Znam sekret dotyczący hrabiny, który jest bardzo niebezpieczny i który może sprawić, że stracisz do niej zaufanie. Czy przyrzekniesz mi, że nie zaatakujesz jej ani nie skrzywdzisz w żaden sposób, dopóki nie uwolnimy Ulriki lub nie zgładzimy Kriegera?

Felix dostrzegł, że pobudził ciekawość krasnoluda. Zabójca zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Felix nie był pewien, czy dobrze ocenił sytuację i czy Gotrek nie postanowi za chwilę wycisnąć z Gabrielli jej sekret. Może po prostu dokładnie przemyślał sprawę. Wiedział, że krasnoludy bardzo poważnie traktowały przyrzeczenia i przysięgi, nie lekceważąc ich sobie.

– Ciekawe postawiłeś warunki, człeczyno – odezwał się w końcu Gotrek. Felix sam to zauważył. Najwyraźniej, bez względu na to jak bardzo przekonujące były argumenty hrabiny, nie miał zamiaru ufać jej do końca.

– Przyrzekniesz?

– Tak, pod warunkiem, że nie spróbuje skrzywdzić żadnego z nas – odrzekł wreszcie Gotrek. Wypowiadał te słowa z niechęcią, jakby zmagając się z własnymi przekonaniem. Felix poczuł się dumny z faktu, że Zabójca gotów był zaufać mu tak bardzo. Dzięki temu znacznie łatwiej przyszło mu opowiedzieć całą historię.

Gdy opowiadał, wydawało mu się, że Gotrek zaraz eksploduje. Było jasne, że Zabójca nie jest uszczęśliwiony wiedząc, że w zasięgu jego ciosu znajduje się jedna z nieumarłych, a on nic nie może z tym zrobić. Felix szybko zaczął wyjaśniać powody, dla których powinni przyjąć pomoc hrabiny – przynajmniej, dopóki Ulrika nie będzie wolna. Gotrek spoglądał na niego gniewnym wzrokiem, jakby padł ofiarą oszustwa. Felix spodziewał się, że Zabójca zerwie się z sań z zapasami i popędzi do powozu, on jednak nie uczynił tego. Zadowolił się jedynie groźnym spojrzeniem. Felix widział wyraźnie kłykcie krasnoluda zaciśnięte na trzonku topora.

– To mi się wcale nie podoba, człeczyno – powiedział.

– Ale zostawisz ją w spokoju. Przynajmniej na razie.

– Przysięga to przysięga.

Słyszając słowa Zabójcy Felix poczuł krótkie szarpnięcie wyrzutów sumienia. Nie czuł się dobrze wyjawiając sekret hrabiny. Powtarzał sobie, by nie był nierozsądny. Niczego nie zawdzięczał wampirzycy. Była potworem żywiącym się krwią niewinnych mężczyzn i kobiet. Pomimo poczucia winy, miał wrażenie jakby zdjęto mu ciężar z ramion. Przynajmniej Zabójca wiedział, co się dzieje i dzięki temu zachowa ostrożność.

Jeśli hrabina planowała zdradę, znajdzie się po niewłaściwej stronie topora, tak jak tego się obawiała. To nie była bardzo uspokajająca myśl, ale w tej chwili musiała mu wystarczyć.

– Kto jeszcze o tym wie? – warknął Gotrek.

– Tylko Max.

– Zapewne lepiej będzie nie mówić tego Snorriemu Gryzonosowi – w głosie Zabójcy słychać było coś w rodzaju zakłopotania.

Felix nie mógł się z tym nie zgodzić.

Las stawał się coraz bardziej cichy i pusty. Drzewa były bardziej powykręcane i skarłałe. Max stale spoglądał za siebie, starając się nie spuszczać oka z powozu hrabiny. Zdecydowanie jej nie ufał, mniej nawet niż Felix. Max trzyma! w rękach Oko Khemri i poczuł jego moc. Wiedział, że było

cenne dla każdego wampira i bez względu na to, co twierdziła hrabina, nie mógł uwierzyć, by kierowały nią w pełni altruistyczne pobudki.

Wyczuwał zmianę w naturze lasu. To miejsce zostało spaczone w bardzo subtelny sposób. Czuł lekkie mdłości, jak to czasami działo się w obecności Chaosu. Zaczynał przekonywać się, że opowieści mówiące, iż ta kraina została skażona upadkiem spaczeniowej gwiazdy w roku 1111, nie mogły być zbyt dalekie od prawdy.

Jeszcze wyraźniej wyczuwał dziwną zmianę w wiatrach mrocznej magii w tym miejscu – zupełnie tak jak wtedy, gdy przywoływała je horda Chaosu, która zaatakowała Praag – chociaż nie były tak silne. W każdym razie, jeszcze nie były. Ciekawiło go, czy te wydarzenia były ze sobą powiązane. Najwyraźniej w obecnej chwili strumienie mrocznej magii ze zbyt wielką łatwością poddawały się woli złych magów. Może to Władcy Chaosu użyczyli swych mocy, by wspomóc wyznawców? Max zdrzął, bynajmniej nie z zimna.

Uwolnił swój magiczny zmysł, ale nie zobaczył niczego, co mogłoby otaczać powóz. Przynajmniej hrabina nie używała magii, którą mógłby wyczuć, a to znaczyło, że zapewne nie rzuciła żadnych zaklęć. Max był wystarczająco zdolnym czarodziejem, by to zauważyć. Nawet mistrz magii nie potrafiłby już ukryć przed nim śladów swojej pracy.

Przemyślał plan, który ułożyli wraz z Felixem poprzedniego wieczora. Wampirza hrabina mogła być tym, za kogo się podawała, ale lepiej było zadbać, by Oko Khemri nie wpadło w jej ręce. W miarę możliwości, powinien dostać je Felix. Max sam wolał tego nie ryzykować. Felix nie był magiem i artefakt nie wpłynie na niego tak bardzo, jak mógłby na Maxa. Gdyby nawet tak się stało, brak magicznych umiejętności Felixa gwarantował, że nie dozna on większego uszczerbku.

Max usiłował przypomnieć sobie całą wiedzę o Oku, jaką poznał podczas krótkiego kontaktu z jego ukrytym sercem. Z pewnością było możliwe, że zdumiewająco złożony splot zaklęć znajdujący się w jądrze przedmiotu mógł dokonać tego, o czym mówiła hrabina. Zawarto w nim zaklęcia wzmocnienia i przymusu, nader niezwykłego rodzaju. Nie wydawało się także, by ich celem było związanie woli człowieka.

Max wiedział, że błądzą w ciemności, podążając za nikłym światłem, być może będącym jedynie iluzją. Dopasowywali wskazówki, blade wspomnienia i podejrzenia, utworzywszy teorię dotyczącą ich wroga i celów jakie chciał osiągnąć, ale to w żaden sposób nie znaczyło, że te założenia były prawidłowe. Pozostawało im tylko brnąć dalej i żywić nadzieję, że gdy nadejdzie właściwa pora, będą gotowi do ataku na wampira.

Księżyc Chaosu płonął tak jasno, że Mannsleib wydawał się blednąć przy nim. Adolphus Krieger przechadzał się po lesie otaczającym jego nową twierdzę. Jak dotąd jego słudzy nie zdążyli oczyścić okolicy i przygotować należytej obrony, ale to miało się wkrótce zmienić. Uśmiechnął się, obnażając swoje kły.

Czuł się silny. Oko Khemri należało do niego. Zaklęcie wezwania poszło w świat. Ghule i inne stwory ciemności już zaczęły gromadzić się w odpowiedzi na jego zew. Wiedział, że wszystkie dzieci w promieniu stu mil poczuły w swych najgłębszych snach szarpnięcie jego woli. Wkrótce arystokracja nocy zbierze się u bram jego domu i zaplanuje ponowny podbój wszystkiego, co kiedyś do nich należało.

Tego wieczora miał inne plany. Nogi doprowadziły go na rozległe cmentarzysko, ukryte głęboko w lesie, niedaleko rozpadających się ruin miasta Drakenhof. To był spory obszar, pierwotnie poświęcony Morrowi, Władcy Śmierci. Ludzie pragnęli zaznać w tym miejscu spokoju przez całą wieczność – to było sanktuarium, miejsce spoczynku.

Adolphus zamierzał zmienić to wszystko. Tej nocy cmentarz stanie się punktem rekrutacyjnym najpotężniejszej armii w całej historii. Tej nocy wskrzesi pierwsze z licznych regimentów, które powoła spośród szeregów umarłych.

Dotknął talizmanu i poczuł jego moc. Miał wrażenie, że słyszy szept wyjawiający mu największe tajemnice nekromancji. Od kiedy dostroił się do Oka, jego czarnoksięskie zdolności znacznie się poprawiły, w niepojęty sposób.

Prastare inkantacje, które niegdyś wydawały mu się bezsensowne, teraz okazały się brzemienne w ukryte znaczenia. Potrafił dostrzec strumień mrocznej magii i kierować nim z zaskakującą łatwością. Zawsze był zaledwie przeciętnym studentem magicznych sztuk, ale teraz czuł, że mając dość czasu zdoła stać się jednym z największych mistrzów. Najwyraźniej nie było końca darom zsyłanym przez prastare dzieło Nagasha. Kto wie, może z czasem dorówna wiedzą starożytnemu mistrzowi i sam stworzy równie potężne artefakty.

Odsunął na bok tę myśl. Słodkie marzenia zostawiał sobie na przyszłość. W tej chwili miał ważniejszą pracę do wykonania. Musiał postawić kolejne kroki na ścieżce władzy. Trzeba było wypełnić proroctwa. Jego obowiązkiem było ogłoszenie nadejścia Wieku Krwi.

Z gracją wskoczył na szczyt żalonych szczątków prastarego mauzoleum. To miejsce zapewniało doskonały widok na całe cmentarzysko. Dostrzegał zwaliska kamieni nagrobnych, okaleczonych posągów oraz wizerunków dawno zapomnianych zmarłych, którzy wkrótce powrócą, by stać się jego żołnierzami.

Odrzucił do tyłu głowę, otworzył usta i zaczął wypowiadać słowa starożytnego rytuału.

– W imię Nagasha, Lorda Nieśmierci, wzywam was...

Oko u jego gardła płonęło, stając się latarnią, która promieniowała zimnym, czystym światłem. Wokół Kriegera zawirowały wiatry magii, pieszcząc go lekko, gdy wpływały do talizmanu.

– W imię Nagasha, Lorda Nieżycia, nadchodźcie...

W jego brzuchu wiły się i skręcały rozpalone węże ognia. Nareszcie nie musiał się wysilać, by zapanować nad nimi. Mógł zawładnąć całą tą energią. Mroczna magiczna moc przepływała przez niego i wsiąkała w skażoną glebę Sylanii.

Macki mocy rozpostarły się niczym zawiły system korzenny. Odbierał przez nie dziwne połączenie wzroku, dotyku i innych, nienazwanych wrażeń zmysłowych. Stał się świadom wielu setek ciał zakopanych w ziemi, zakonserwowanych przez stulecia śladową ilością spaczenia w gruncie. Dostrzegał nadęte, białe, ryjące w ziemi glisty i inne wypaczone stworzenia, którym nawet on przyglądał się ze wstrętem.

Tam, gdzie sieć mocy dotykała ciał, pojawiała się słabe echo życia, które niegdyś płonęło w nich tak silnie. Był tam dumny szlachcic, który wdeptywał swoich kmieci w ziemię. Oto rycerz, który za życia był dumnym obrońcą swojej wiary. Dotknął kobiety, która umarła w boleściach przy porodzie i mężczyzny, który zmarł podczas jednej z licznych, regularnie powracających wielkich fal głodu, jakie nękały Sylanę.

Krieger nie dbał o to, jak umarli. Nie dbał o to, kim byli za życia. Pragnął tylko, by służyli mu po śmierci. Jego zaklęcie otworzyło ścieżkę do innego miejsca, do świata równoległego z tym – wzburzonego morza dzikich, chaotycznych energii, w którym czaiły się złe byty. Najśłabsze z nich podryfowały w stronę duchów i wniknęły w gnijące trupy, stapiając się z nimi i użyczając animacji.

Okiem swego umysłu dostrzegał zielone błędne ogniki, które pojawiały się w pustych oczodołach. Widział poruszające się białe, kościane kończyny i zginające się palce szkieletów. Obgryzione przez robactwo kościotrupy unosiły się niczym pływacy wynurzający się z morza ziemi. Nie miało znaczenia, że pochowano ich twarzami w dół, by zmylić trupy na wypadek takiego właśnie,

mrocznego zmartwychwstania. Wyczuwali kierunek źródła mocy, która ich przyciągała i nadchodziła. Kręcąc, wijąc, obracając i skręcając przedzierali się pazurami na powierzchnię. Głos Kriegera stał się wysokim zawodzeniem, którym recytował starożytne, zakazane słowa. Ziemia pod nim drżała, gdy setki martwych budziły się ze swej długiej drzemki. Gdzieś w oddali wilk zawył z przerażenia. Ciszę nocy rozdarły dziwaczne zawołania łowieckie ghuli, które podświadomie wyczuwały uwolnioną energię.

Usta Kriegera wykrzywił grymas sukcesu. Otworzył oczy. W powietrzu migotały linie mocy. Jakby w odpowiedzi na mroczną magię, z niebios spadł deszcz lśniących gwiazd, które przemykały ognistymi smugami na tle wyszczerzonego oblicza księżyca Chaosu. Dziwaczne zielone smugi przeczesywały noc, przypominając pazury wielkiej drapieżnej bestii, która rozdrapywała pergamin sklepienia nieba.

Na powierzchni ziemi pojawiła się jasna biała plama. To mogła być głowa jednego z tych białych robali, jakie widział w głębiach grobów, ale to było coś innego. Koniec palca. Zaraz za nim pojawiły się cztery, niemal identyczne kawałki kości, a potem z ziemi wynurzyła się cała kościana dłoń, która mlóciła puste powietrze, jakby należała do pływaka tonącego w głębokiej wodzie.

Ręka wsparła się na płasko o ziemię i pojawiła się reszta szkieletu. Najpierw czaszka z płonącymi oczami i koszmarnym wyszczerzonym uśmiechem, potem klatka żebrowa i drugie ramię, za którymi podążył kręgosłup, miednica i dziwnie wydłużone nogi. Pierwszy żołnierz z nowo powołanej armii Adolphusa wychynął w noc i przeciągnął się radośnie, unosząc triumfalnie ramiona ku niebu. Szkielet klekotał. Jego wyszczerzone szczęki rozwarły się, a potem zatrzasnęły w obłędnej parodii człowieka wykonującego głęboki wdech.

Powietrze wypełnił odór zepsucia i świeżo obróconej ziemi, gdy coraz więcej ożywionych trupów wydostawało się na blade światło księżyca. Upadały nagrobki. Wychodzące szkielety przewracały stare kamienie płyty. Niektóre rozglądały się obracając głowami. Ich karki trzeszczały cicho. Inne tańczyły dziko wśród grobowców, jakby sprawdzały swoje możliwości ruchowe po stuleciach pobytu w grobie. Kilka poważnie kiwało głowami, jakby dawały znak, że rozumieją, co się dzieje i przyzwalają na to.

A potem, jeden po drugim, klekocząc z każdym ruchem, zbliżyły się do Kriegera i skłoniły, niczym czciciele jakiegoś przerażającego, prastarego bóstwa przed splamionym krwią ołtarzem.

Krieger pomyślał, że tej nocy rozpocznie się nowa era. Postawił pierwszy krok ku stworzeniu imperium, które przetrwa wieczność. Ta noc zostanie zapamiętana na tysiąc lat. On także będzie ją pamiętał.

Wypowiedział kolejne słowa, przyciągnął jeszcze więcej mocy i uwolnił zaklęcie wyrzucając mroczne, magiczne siły w stale rosnącej sferze, która pochłaniała mile za milami. Wszędzie, gdzie dotarła, martwi zaczęli poruszać się w swych grobach.

Talizman Nagasha zawieszony u jego gardła lśnił niczym oko złego boga. Czas Krwi nadszedł.

Max uniósł wzrok znad ogniska, wokół którego się zgromadzili. Widział, że wszyscy wyczuli poruszenie ogromnej mocy gdzieś w lesie. Nie trzeba było być czarodziejem, żeby to zauważyć. Impuls był tak silny, że nawet najbardziej pozbawiony wrażliwości kmiotek musiał to poczuć i zacząć się bać. Nawet najodważniejsi z Kislewczyków zadrżeli i wpatrywali się w otaczający ich mrok, wyczekując niewidocznego zagrożenia.

O ile nagłe uwolnienie tej mocy było wyczuwalne nawet dla osobników pozbawionych magicznego talentu, Max poczuł je jak uderzenie gromu. Całym jestestwem odbierał echo wysianej mocy. Wiedział, że gdzieś tam, w głębi nocy, tkane jest zaklęcie o niesamowitej sile. Dostrzegął jego

kierunek tak jasno, jakby widział latarnię płonąca w ciemnościach. Czuł ciśnienie przemierzającej krainę mocy tak pewnie, jak sternik krypy handlowej wyczuwa wiatr. Zastanawiał się, co knuje ten nieumarły szaleniec?

Gromada meteorów rozjaśniła noc, niczym przestroga przed nadchodzącym złem zesłana przez jakiś niebiański byt. Oceniając kolor ich ognistych smug Max domyślał się, że składały się ze spaczenia, skoncentrowanej esencji czystego zła. Ciekaw był, dlaczego ta ziemia tak bardzo przyciągała ten materiał? Dlaczego ta kraina była celem tak niezwykle skupiska owych przerażających spadających gwiazd? Czy to była kwestia geografii? Czy sprawiało to przyciąganie podobnych elementów? Przekleństwo bogów? A może pojawienie się deszczu gwiazd miało coś wspólnego z rzuconym zaklęciem, które właśnie wyczuł? Nie wiedział, czy kiedykolwiek dowie się tego.

Nagle wyczuł następne rozdarcie materii rzeczywistości. Było wystarczająco silne, by potrafił określić dokładny kierunek i odległość, a jednak na tyle odległe, że poczuł się tylko nieznacznie gorzej. Podejrzywał, że gdyby znajdował się bliżej, nie skończyłoby się na lekkich nudnościach i zawrotach głowy.

Z ociąganiem wstał od ognia i poszedł prosto w stronę małego pawilonu, w którym odpoczywała hrabina Gabriella. Ruch dłoni i wypowiedziane słowo wywołało kulę światła. Uniosła się nad jego ramieniem rozświetlając drogę. Wykonał kolejny gest wraz z inkantacją i otoczyła go sieć energii, niewidzialna dla oczu kogoś, kto nie był magiem. Cokolwiek lub ktokolwiek, dowolne zaklęcie lub próba rzucenia uroku, mogło wyzwolić liczne potężne zaklęcia obronne. Max nie podejmował zbędnego ryzyka.

Czuwający przed wejściem do namiotu kompani Rodrika powitali go obnażonymi ostrzami, ale samego Rodrika nigdzie nie było widać.

– Czego chcesz, czarodzieju? – spytał najmłodszy z nich. Mówił wysokim głosem, odrobinę zniewieściałym. W poświęcie błędnego ognika Max wyraźnie widział jego młodą twarz z niewielką gąsienicą wąsów pełznąca ponad górną wargą. Chłopak był chyba nieco przestraszony i desperacko usiłował dowieść swojego męstwa.

– Chcę rozmawiać z hrabiną Gabriella.

– W porządku, Quentin. Wpuśćcie go. – Głos hrabiny dobiegł z wnętrza namiotu. Młodzi wojownicy z ociąganiem odstepili na bok. Max uśmiechnął się do nich uprzejmie, chociaż czuł przechodzące go ciarki wiedząc, kim byli. Miał wrażenie, że jego obronna sieć nie ochroni go przed mieczem wbitym w plecy, gdy tylko odsunie zasłonę namiotu i wejdzie do środka.

Powietrze wewnątrz pachniało piżmem i cynamonem – silnymi perfumami, które miały zamaskować zapach czegoś innego. Być może nieumarłego ciała. Podłogę przykrywał arabski kobierzec. Z boku stały dwie ciężkie skrzynie. Poza jego własną świecącą sferą w namiocie nie było żadnych źródeł światła. Max domyślał się, że jego mieszkańcy nie potrzebowali tego.

Rodrik leżał rozciągnięty na podłodze. Wyglądał na wyczerpanego i pogrążonego w ekstazie. Miał rumieńce na twarzy. Jego usta były sine i nabrzmięte. Mętne oczy spoglądały w pustkę. Rodrik łapał powietrze gwałtownym haustami, niczym człowiek, który właśnie ukończył długi bieg. Obok leżała hrabina. Obejmowała jego ramiona. Głowę odrzuciła w tył. Woalka nadal znajdowała się na swoim miejscu. Max nie miał wątpliwości, że właśnie stracił okazję przyjrzenia się, jak wampirzyca posila się z żył swojego wielbiciela.

Z zimnym spokojem Max ostentacyjnie przejrzał wszystkie znane mu najszybsze i najbardziej niszczycielskie zaklęcia. Jednym gestem mógł zmienić lśniącą kulę w maszynę zniszczenia. Słowa i nieco bardziej skomplikowany ruch dłoni mogły wyrzucić setki strumieni ostrego jak brzytwa

światła, które rozciąłoby mrok. Kolejne słowo zamknęłoby go w kokonie sił obronnych. Oddychał głęboko i uśmiechał się spokojnie, cały czas gotowy zadawać błyskawiczną śmierć.

– Przemoc między nami nie jest potrzebna, *Herr Schreiber* – powiedziała hrabina. Zupełnie jakby odczytała jego myśli. Miała rozbawiony głos.

– Miejmy taką nadzieję – odrzekł Max, ani na chwilę nie opuszczając gardy.

– Nie śmieję grozić milady – odezwał się słabym głosem Rodrik, usiłując podnieść się na nogi. Mówił niewyraźnie, jak człowiek, który wypił zbyt wiele wina lub przedawkował wiedźmie ziele.

– Niemądrze jest mi grozić – powiedział Max przesuając wzrok z rycerza na kobietę, aby nie pozostawić wątpliwości, co do swoich zamiarów. – Zostaw nas, Rodrik. Chciałbym zamienić kilka słów z twoją panią – nie mógł się powstrzymać, by nie nadać ostatniemu słowu dwuznaczności, odpowiednio je akcentując.

Rodrik spojrzał na hrabinę mętnym wzrokiem. Ta z afektacją dotknęła jego policzka i pokiwała głową. Młody rycerz zebrał siły i podniósł się na nogi, a potem ruszył niepewnym krokiem do wyjścia.

– Gdybyś mnie potrzebowała, milady, będę na wezwanie.

– Jego oddanie jest naprawdę wruszające – powiedział z ironią Max, gdy Rodrik wykonał niezdarny ukłon i wyszedł.

– Jego oddanie jest całkiem szczere i dobrowolne, zapewniam, *Herr Schreiber*. I jestem pewna, że nie przyszliście tu po to tylko, by szydzić z moich admiratorów.

– Ładnie to określiłaś, pani – powiedział Max.

– Zakładam zatem, że *Herr Jaeger* opowiedział wszystko o mnie. Tak też myślałam, wnioskując po waszym zachowaniu podczas jazdy.

– Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz – zaczął Max. – Nie lubię was ani tego czym jesteście. W tej chwili zdarzyło się, że jesteśmy sojusznikami, ponieważ potrzebujemy siebie nawzajem. W innych okolicznościach bylibyśmy wrogami.

– Jesteście szczerym człowiekiem, *Herr Schreiber*. Bardzo dobrze, potrzebujemy siebie nawzajem, jak powiadacie, a zatem przebaczę wasze grubiańskie maniery oraz sposób, w jaki wkroczyliście tu okryci płaszczem mocy. Chcę dyskutować jak rozsądna osoba. Sugeruję wam to samo.

Max uśmiechnął się do niej zimno. Upomnienie zostało dobrze wyrażone, tonem rodzica strofującego niedobre dziecko. Już to wystarczyło, by zastraszyć wielu mężczyzn. Max nie był jednak z takich.

– Twój protegowany, Krieger, rozpoczął swoje dzieło. Musiałaś to wyczuć tak wyraźnie, jak ja.

– Jak myślicie, dlaczego podjęłam ryzyko prosząc Rodrika, by przyłączył się do mnie w moim namiocie? Wkrótce będę potrzebowała całej mocy, jaką mogę zgromadzić, podobnie jak wy. Lękam się, że moje dziecię istotnie stało się bardzo silne.

– Byłem przekonany, że to przeciętny czarnoksiężnik. Zakłęcie rzucone tego wieczora nie było robotą niezdarnego czeladnika.

– A zatem możemy założyć, że albo Krieger nauczył się wiele podczas kilku ostatnich lat, albo Oko Khemri wzmacnia jego umiejętności na tym polu.

– Jeśli tak jest, to mierzymy się z prawdziwie przerażającym przeciwnikiem.

– I to takim, który zwołuje armię, o ile się nie mylę, *Herr Schreiber*. Oboje wyczuliśmy działanie nekromancji najmroczniejszego i najpotężniejszego rodzaju. Wierście mi, mam dość doświadczenia, by rozpoznać coś takiego.

– A co wasze doświadczenie doradza nam robić?

– Pośpieszyć do fortecy Kriegera i zniszczyć go, jeśli zdołamy. Już teraz czuję coraz silniejsze przyciąganie Oka w moim umyśle. On przywołuje Przebudzonych, a jest to zew, któremu niewiele istot w promieniu setek mil będzie potrafiło się oprzeć.

– Mówisz, że on może obrócić was przeciwko reszcie wyprawy?

– Tak, *Herr Schreiber*, dokładnie to mówię. Widzicie, udzielam wam uczciwego ostrzeżenia przed wszelkimi zagrożeniami.

Max patrzył na nią rozważając jej słowa. Z chęcią powitałby okazję, by zniszczyć to stworzenie, ale po części miał także nadzieję, że do tego nie dojdzie, bowiem byłaby to naprawdę bardzo rozpaczliwa sytuacja. Potrząsnęła głową, jakby znowu przeczytała jego myśli.

– Sądzę, że uda mi się zwalczać urok Kriegera przez jakiś czas. Jestem znacznie starsza i bardziej doświadczona w tej sztuce.

– Myślę, że Oko Khemri może to zmienić.

– Powinniście to wiedzieć lepiej. Mieliście z tym bliższy kontakt niż ja.

– Powiedz mi, pani, wszystko, co wiesz na ten temat.

Max usiadł, by wysłuchać opowieści wampirzycy, szukając wszelkich niezgodności między tym, co mówiła jemu a tym, co powiedziała Felixowi. Podejrzewał jednak, że nie doszuka się niczego. Zwracając swoją uwagę na jej czysty, opanowany głos, zauważył, że jego myśli podążają ku Ulrice. Naprawdę przerażała go myśl, co mogło jej się stać.

Ulrika obudziła się pogrążona w ciemnościach. Czowała się słabo i dziwnie. Coś było nie w porządku z jej oczami. Widziała otoczenie całkiem wyraźnie, ale zupełnie pozbawione barw. Wszystko postrzegala w różnych odcieniach czerni i bieli.

Podparła się usiłując wstać. Od poruszenia zakręciło się jej w głowie. Bolało ją całe ciało. Głowa promieniowała bólem. Żołądek skręcał się. W ustach czuła kłujący ból. Rozejrzała się. Leżała na zimnym kamieniu w krypcie. Wyglądało na to, że została złożona w jakiejś komorze grzebalnej. Ogarnęła ją fala paniki. Czy została uwięziona w grobowcu, omyłkowo uznana za zmarłą, choć nadal była żywa?

Wiedziała jednak, że mogło być gorzej. Mogła zostać zamknięta w trumnie. Przynajmniej będzie na nogach i gotowa, gdy przyjdą ją pogrzebać. O ile przyjdą ją pogrzebać. Co się stało? Podejrzewała, że Krieger wypił tak dużo jej krwi, że wpadła w letarg podobny do śmierci. Nietrudno było popełnić taką pomyłkę.

Na wspomnienie o wampirze i ich ostatnim zbliżeniu przeszło ją ukłucie sprzecznych emocji: nienawiści, odrazy i skrywanej z poczucia winy rozkoszy. Przeciągnęła się i wstała, by zbadać pomieszczenie. Było małe, a ściany pokrywały wyryte wizerunki szkieletów, czaszek i innych symboli śmierci. Pociągnęła nosem. Jej zmysły były ostrzejsze niż niegdyś. Czowała zapach kurzu i słabą woń cyfamonowych perfum używanych przez Kriegera. Poza tym wyczuwała nikły ślad odoru rozkładu. Czowała pleśń w powietrzu i wyczuwała ciepły zapach żywych istot w oddali. Nasłuchiwała i wydawało jej się, że słyszy dalekie kroki.

Pałący głód narastał. W odpowiedzi na jakiś pierwotny instynkt ruszyła w stronę wyjścia. Dotarła do wieży z okrągłymi schodami, ale nie mogła do niej wejść. Drogę zamykała brama z pordzewiałych, ozdobnych krat. Zauważyła, że to było typowe u Sylvańczyków – nawet swoje mauzolea zamieniali w cele więzienne, jakby lękali się, że zmarli potrafią uciekać ze swoich grobowców. Potrząsnęła głową. To, co przydarzyło się jej samej dowodziło, że takie obawy były uzasadnione. Jej myśli pognały w niepokojącą stronę. Próbując zaprzętnąć swój umysł czymś innym, dotknęła krat i wyczuła pod palcami zimno metalu.



Kraty wydawały się stare i kruche. Rzeczywiście były zardzewiałe, o czym przekonała się ściskając je mocniej. Mimo osłabienia udało się jej wygiąć kraty na tyle, by zdołała się przecisnąć. Pobiegnęła po schodach w górę. Nie wiedziała, co powinna zrobić. Gdzie był Adolphus Krieger? Zresztą, czy to miało dla niej jakieś znaczenie?

Nareszcie była zdana tylko na siebie. Mogła spróbować uciec. To była najlepsza okazja do ucieczki, zanim on lub jego odpychający ludzcy słudzy przyjdą sprawdzić kryptę. Oceniała swoje możliwości. Palący głód narastał. Nie miała zimowego ubrania ani żadnej broni. Nie zajdzie daleko brnąc przez śnieg w tej nawiedzanej krainie. Bez względu na ryzyko, musiała znaleźć zapasy i broń oraz ciepły przyodziewek. To oznaczało konieczność przeszukania tego domostwa i modlitwę do wszystkich bogów, by nie spotkała wampira ani jego popleczników. Część jej osobowości buntowała się przeciwko samej myśli o ucieczce, część chciała ponownie doświadczyć uścisku wampira. I jeszcze raz – bez względu na cenę. Bezlitośnie odrzuciła te myśli. W niczym nie mogli pomóc.

Możliwie najciszej ruszyła naprzód. Znajdowała się w tej części zamczyska, której wcześniej nie widziała, co było mało zaskakujące, gdyż przez większość czasu przebywała zamknięta w swoich komnatach. Wyjątkiem były chwile, gdy Krieger wzywał ją do swojej sali tronowej. Do jej nozdrzy dotarł zapach gotowanej stawy, zwierzęcego tłuszczu i przypalanego mięsa. Pomimo głodu poczuła wstręt. Tym niemniej, zmusiła się do marszu w tamtą stronę.

Mijała kolejne drzwi. Wiedziała, że powinna zatrzymać się i sprawdzić, co jest za nimi, jeśli chce znaleźć potrzebne rzeczy. Okazało się jednak, że nie jest w stanie tego uczynić. Jakiś przymus, nie całkiem zrozumiały dla jej zbuntowanego umysłu, popychał ją tam, gdzie spodziewała się znaleźć ludzi.

Zauważyła jakieś poruszenie przed sobą. Pierwsza myśl kazała jej uskoczyć za drzwi i schować się, ale zamiast tego wydłużyła kroku, biegnąc w stronę tłustego kupca, Osrika. Stał jak wryty w miejscu z wyrazem zdumienia i strachu malującym się na twarzy. W dłoniach ścisnął udko kurczaka, a z jego pulchnych ust wypływała strużka tłuszczu. Uniósł ręce, jakby chciał ją odstraszyć. Wszystkie jego ruchy wydawały się Ulrice niesamowicie powolne, jakby tkwiła w jakimś dziwnym koszmarze sennym. Czowała zapach ciepła mężczyzny, słodczy krwi krążącej w jego ciele. Dostrzegła puls na szyi człowieka. Ten widok zahipnotyzował ją, przyciągnął całą uwagę. Głód był niemożliwy do przezwyciężenia. Czowała się jak pasażer w pędzącym powozie albo jeździec dosiadający dzikiego ogiera. Utraciła świadomą kontrolę nad własnym ciałem i nie chciała jej odzyskać.

Ból w ustach był coraz silniejszy. Poczuła, jak coś przedziera się przez tkankę jej dziąseł. Usta wypełnił smak starej, zakrzepłej czarnej krwi. Skoczyła naprzód na wrzeszczącego sługę, chwyciła rękami jego szyję i zamknęła go w uścisku. Mimo osłabienia Ulriki, jego rozpaczliwa szamotanina nie zdała się na nic. Wydawał się słabszy od małego dziecka.

Wszelkie świadome myśli wyparowały, gdy nachyliła się i poczuła własne kły, które wbiły się w jego gardło. Rozerwała arterię niczym dzika bestia i poszerzyła rozdarcie, aż krew spryskała wszystko wokół i uniosła się w czerwonej mgłę, oslepiając Ulrikę i przywierając do jej ciała. To nie miało znaczenia. Pozostało mnóstwo ciepłej, czerwonej substancji, którą mogła wypić.

Gdy krew zaczęła spływać w przełyk, wypełniło ją cudowne ciepło, przebłysk zadowolenia silniejszego niż jakakolwiek rozkosz, jakiej zaznała. Pocałunek wampira był tylko słabym echem tej ekstazy. Rozkosz zamazała wszystkie pozostałe doznania: całe przerażenie, poczucie winy i odrazę. Chłęptała krew chciwie, chcąc by ta chwila nie skończyła się nigdy. Nie chciała tego przerywać. Słyszała krzyki i wrzaski pozostałych sług, ale ignorowała je. Osrik szarpał się spazmatycznie w jej uścisku, ale konwulsje jego mięśni były dla niej niczym. Z łatwością trzymała go w miejscu, chociaż

był od niej znacznie cięższy.

Jej cały wszechświat zapadał się w sobie, aż pozostały tylko usta i gorący, cudowny strumień życiodajnego płynu. Jak przez mgłę zdawała sobie sprawę, że rytm bicia serca Osrika zwalnia, a potem ustaje, a strumień zaczyna zamierać, aż pozostało tylko kilka kropel. A jednak ciepło wypitej krwi przeniknęło cały organizm Ulriki. Od żołądka przesączało się do żył. Krew była słodka, prawie nie do zniesienia, a potem przekroczyła jakąś granicę, gdzie rozkosz stała się bólem, a przerażenie i strach napłynęły z powrotem do umysłu razem z powracającą świadomością.

Teraz była chora. Skręcały ją nudności i czuła się niewiarygodnie opita. Miała wrażenie, że zaraz eksploduje jak przepelniony bukłak, w którego wtłoczono za dużo ukradzonej krwi. Jeszcze gorsze było zrozumienie, co uczyniła i czym się stała.

Nudności stały się tak silne, że ledwo udawało się jej ustać na nogach. Wyczuła, że zbliżają się pozostali słudzy i nie potrafiła nic robić. Wiedziała, że powinna uciekać, ale nie mogła. Wiedziała, że zabiją ją, a ona z radością powita śmierć. Ciało zdradziło ją jednak, reagując instynktownie. Pomknęła korytarzem nękana straszliwymi mdłościami. Uderzyła głową w ścianę, opadła na kolana, a potem pełzała na oślep przed siebie, wymiotując po drodze krew, żółć i rozkładające się resztki jedzenia.

Szybko straciła siły i zatrzymała się z twarzą w kałuży plugawych wymiocin, przygwożdżona odrazą do samej siebie i istoty, jaką się stała, a także wobec tego, kto ją taką uczynił. Ciemność znowu odebrała jej wzrok i gdy zaczęła tracić przytomność, przyjęła to z ulgą.

– Interesująca pogawędka? – spytał Felix, gdy Max usiadł obok niego. Czarodziej wyglądał na zmęczonego i był bardzo ponury. Felix nie dziwił się temu w takich okolicznościach. Rozmowa z nieumarłym nie byłaby łatwa dla nikogo. Felix nagle poczuł zadowolenie, że podzielił się z Gotrekiem i czarodziejem swoją wiedzą o hrabinie. W tym przypadku lepiej było rozdzielić ciężkie brzemie na kilka barków.

Gotrek, siedzący po drugiej stronie ognia, uniósł wzrok. W jego ocalałym oku odbijały się płomienie, co nadawało Zabójcy dziwny wygląd nadnaturalnej istoty.

– Bardzo interesująca – odpowiedział ostrożnie Max. – Hrabina jest niezwykle elokwentną kobietą.

Zabrzmiało to tak, jakby Max miał problemy z wymówieniem ostatniego słowa. Felix miał wrażenie, że rozumie, co czuje Max. Jego też przebiegał dreszcz między łopatkami, za każdym razem, gdy myślał o niej, kryjącej się gdzieś w ciemnościach za nimi. To wrażenie nasiliło się od czasu, gdy nieco wcześniej tego wieczora poczuł ów dziwny przyływ niepokoju, a włosy na karku zjeżyły mu się, jak zawsze, gdy ktoś w pobliżu korzystał z magii.

– Dowiedziałeś się czegoś od niej? – wykaszał pytanie Felix. Czuł poruszenie flegmy w płucach, ale wydawało mu się, że czuje się odrobinę lepiej. Nie był już tak osłabiony.

– Dowiedziałem się, że powinniśmy strzec się zdrady.

Max potoczył wzrokiem wokół ogniska. Poza Gotrekiem i Snorrim Gryzonosem byli sami. Kislewczycy woleli towarzystwo swoich kompanów przy drugim ogniu. Ivan Petrovich trwał pogrążony w smutku i trzymał się z boku wpatrując się w noc. Snorri głośno chrapał. Gotrek spojrział na nich. Felix nie wątpił, że czułe uszy Zabójcy słyszały wszystko, co powiedział Max. – Ona uważa, że za pomocą Oka Khemri można zdobyć nad nią kontrolę i obrócić ją przeciwko nam.

– Cudownie – mruknął Felix. Te wieści wzmożyły jego niepokój.

– Uważa także, że powinniśmy zaatakować jak najszybciej, zanim ściągną tutaj inni z jej rodzaju. Kto wie, może już są w drodze?

- Jest coraz lepiej. Przypomnij mi jeszcze raz, dlaczego tuta) przybyłem...
- Z tego samego powodu, co ja: aby uwolnić Ulrikę.
- A jeśli nie zdołamy? A jeśli jest martwa? – naciskał Felix.
- Wówczas ją pomścimy.
- A co, jeśli ona... przeszła na drugą stronę?
- Wtedy ją zabijemy.

Felix spojrzał na Maxa i zaczął zastanawiać się, czy któryś z nich rzeczywiście jest zdolny to uczynić. Zauważył błysk w oku Gotreka. Jeśli nie zmuszą się, by zabić kobietę, zrobi to krasnolud. Felix modlił się do Sigmara, by do tego nie doszło.

W niesamowitym świetle księżyca trupy wygrzebywały się ze swoich grobów. Na ich ciałach nadal wisiły całuny. Dłonie zakończone były pazurami. Łaknęły ciał żywych, ale inna, potężniejsza żądza zdominowała głód mięsa. Gdzieś w nocy ktoś wzywał je z siłą, której nie mogli się oprzeć. Potykając się, szurając, idąc niczym chorzy ślepcy, zaczęły maszerować ku swojemu przeznaczeniu. W całej przeklętej Sylvania chłopi chowali się w swoich domach i modlili do Sigmara o ocalenie. Nadciągali nieumarli.

– A zatem już wiesz – rzekł Adolphus. Ulrika była zaskoczona. W jego głosie nie było słyhać triumfu – tylko troskę. Spoglądał na nią wzrokiem kochanka albo ojca, lub króla patrzącego na ulubionego wasalę. Być może wszystko po trochu. Rozejrzała się po otoczeniu. Leżała na wielkim łożu z baldachimem w swojej komnacie. Ktoś zadał sobie trud, by zmyć z niej wymiociny i krew oraz zmienić jej ubranie.

– Pozwól mi umrzeć – powiedziała. Czowała się żałośnie – fizycznie i mentalnie. Jej ciało było umęczone chorobą, a rozum nienawiścią do samej siebie i wyrzutami sumienia.

– Teraz już nie umrzesz, dopóki nie zabijesz się sama, albo ktoś nie zabije ciebie. Czujesz się okropnie, ponieważ wypilaś zbyt wiele krwi. To częsty błąd młodych Przebudzonych. W pewien sposób przypomina to, co dzieje się, gdy umierający z głodu zasiądzie do bankietu. Jego żołądek po prostu nie potrafi poradzić sobie z całym zjedzonym pokarmem. Podobnie dzieje się, gdy człowiek pozwoli sobie na zbyt wiele wina. Możesz to nazywać kacem.

– Nie chcę żyć. Zabiłam człowieka bez powodu.

– Zabiłaś człowieka, aby przedłużyć swoje życie. Ludzie robią tak każdego dnia. Rozmawialiśmy o tym. Och, teraz czujesz się winna, bo to jest sprzeczne z wieloma hipokryzjami, których cię nauczono od dziecka, ale wierz mi, to także przeminie.

– Nie chcę zmieniać tego, jak się czuję.

– Ale tak się stanie. Zaufaj mi. Tak się stanie.

– Nie wydaje mi się.

– Na początku wszyscy tak mówimy.

– Jesteś pewny siebie, jak zawsze, prawda? – zaszydziła Ulrika.

Adolphus Krieger wzruszył ramionami.

– Mam do tego prawo. Przeszedłem przez to, co ty teraz przechodzisz. I wiem, że pewnego dnia podziękujesz mi za wyświadczenie ci największej przysługi, jaką ktokolwiek dla ciebie uczynił.

– Zamianę mnie w potwora?

– Zamianę w nieśmiertelną.

Ulrika uniosła się na łokciach, by na niego spojrzeć.

Miała zamiar rzucić się na niego. Chciała paznokciami zedrzeć mu skórę z twarzy do kości, zatopić

kły w jego szyi. Cofnął się o krok.

– Byłoby z twojej strony niezwykle głupotą obrócenie się teraz przeciwko mnie – powiedział. – Znam rzeczy, które ty musisz dopiero poznać. Bez tej wiedzy staniesz się ofiarą dowolnego, przypadkowego wampira, który postanowi cię wykorzystać.

– Mam wrażenie, że ty już to uczyniłeś.

– Prawda, ale ja jestem twoim rodzicem. Jesteś moim potomstwem. Mam pewne zobowiązania wobec ciebie, podobnie jak ty masz pewne zobowiązania wobec mnie. W bardzo dosłownym sensie jesteś moim dzieckiem.

– Ja mam już ojca.

– Ty miałaś ojca. Jak myślisz, co on z tobą zrobi, gdy dowie się, kim teraz jesteś?

Ulrika zamilkła na chwilę. Wiedziała, co uczyniłby jej ojciec. Lud Kisleva nie pozwalał, by potwory żyły pomiędzy nimi. Ta myśl wywołała bolesne ukłucie w jej piersi – bez względu na to, jak bardzo kochał ją niegdyś własny ojciec, wypełni swój obowiązek. To może doprowadzić go do śmierci z bólu, ale zrobi to, co będzie musiał.

– Spójrz na to z innej strony – kontynuował bez litości Krieger. – Jak myślisz, co stałoby się z nim, gdybyś znalazła się w pobliżu, gdy opanuje cię głód?

Przez jej umysł przemknęła wizja, w której zobaczyła siebie wyrządzającą własnemu ojcu to, co uczyniła grubemu kupcowi. To było jednocześnie przerażające i dziwnie fascynujące. Wzdrygnęła się i usiłowała usunąć z myśli ten obraz. Bezskutecznie.

– Widzę, że rozumiesz. Najlepiej będzie, jeśli natychmiast zerwiesz wszelkie więzy ze światem śmiertelników. Jesteś jeszcze neofitą. Nie będziesz w stanie zapanować nad sobą, gdy ogarnie cię żądza zabijania.

– Czy pewnego dnia będę to potrafiła?

– Dobrze – zaczynasz przyzwyczajać się do swojego nowego stanu, zaczynasz to akceptować.

Ulrika zdała sobie sprawę, że istotnie tak jest. Przyjęła swój nowy stan ze zbyt wielką łatwością. Po części odpowiedzialny był za to zwykły kislevski pragmatyzm. Była tym, kim była i nic już nie mogło tego zmienić, ale musiało być w tym coś jeszcze.

– Robisz coś z moim umysłem – powiedziała. Pokiwał głową jak nauczyciel zadowolony ze szczególnie pojętej uczennicy.

– To dlatego, że jestem twoim rodzicem. Między nami istnieje bardzo silna więź. Tak dzieje się także dzięki temu – wskazał na talizman wiszący u jego gardła.

Utkwiła wzrok w artefakcie. Wyczuwała jego moc. To było niczym przyglądanie się wielkiemu pajakowi, który przywierał do jego szyi. Czy nie zauważał zła i siły tej rzeczy?

– Dobrze, że od razu rozumiesz swoją pozycję. Wiele cię muszę jeszcze nauczyć, a nic mamy dużo czasu. Wkrótce oboje będziemy bardzo zajęci.

– Czym?

– Wykuwaniem nowego królestwa, tu w Sylvanii, władaniem nocą i posyłaniem naszych sług, by rządząli dniem.

– Czy naprawdę myślisz, że zdołasz do tego doprowadzić? – Już to zacząłem. Słuchaj teraz! Musisz się wiele nauczyć. W jego słowach skryty był tak silny nakaz, że zamilkła i po prostu wpatrzyła się w niego, czekając aż podzieli się swoją piekielną wiedzą.

– Zauważysz, że zmieniło się wiele rzeczy. Nie musisz już jeść ani pić jak śmiertelnicy. Krew stanowi dla ciebie cały pokarm, jakiego potrzebujesz. Teraz to dla ciebie wszystko. To esencja całego twojego niezycia. To cię nasyci, uleczy i dostarczy mocy, o jakiej mogłaś tylko marzyć jako śmiertelniczka. Dzięki temu możesz podtrzymywać swoje istnienie na zawsze. Bez tego...

Przerwał na chwilę i wyjrzał przez okno, jakby zastanawiał się nad czymś.

– Nie umrzesz, tak jak rozumieją to inni. Stanie się coś gorszego.

– Gorszego?

– Po prostu uschniesz, tracąc siły, młodość i urodę. Twoje mięśnie zwiotczą. Umysł zaniknie.

Nie będziesz w stanie ruszać się, mówić, ani myśleć. Twoje ciało stanie się zmurszałą, zasuszoną skorupą, a jednak część twojego jestestwa będzie żyła uwięziona w nim, zachowując nikłą świadomość tego, co stało się z tobą i czym kiedyś byłaś. To będzie długa wieczność udręki i głodu, tortury pragnienia, którego nie można ugasić. To będzie przypominało piekło.

– Opowiesz, jakbyś tego doświadczył – powiedziała cicho.

– Początki tego, kiedyś, dawno temu. Zostałem ocalony, gdy ktoś inny przyniósł mi krew. To dało mi dość sił, bym znów mógł polować dla siebie. Ale dosyć tych wspominek z zamierzchłych czasów – mówiłem ci o tym, co musisz wiedzieć.

– A zatem mów dalej – odpowiedziała lekko nadąsana.

Wyciągnął dłoń i dotknął jej policzka. Poczła przebiegający ją dreszcz. Zetknięcie jego zimnej skóry z jej własną wzbudziło w niej dziwne podniecenie. Uśmiechnął się, jakby wiedział, co czuje.

– Mówiłem ci, że jest między nami więź. Płynie w tobie trochę mojej krwi, podobnie jak pewnego dnia trochę twojej krwi popłynie w twym potomku. Jesteśmy teraz związani przez krew i ciemność.

Ulrika zamyśliła się nad tym. Na głęboko instynktownym poziomie wiedziała, że jest to prawda. Między nią a Kriegerem istniała więź, jaka nigdy nic łączyła jej z żadną inną ludzką istotą. Z żadną ludzką istotą – poprawiła się z goryczą, wiedząc, że sama już nic zalicza się do nich.

– Tego wieczora przekażę ci podstawy tego, co musisz wiedzieć. Zasady są proste. Nie wychodź w dzień, jeśli możesz tego uniknąć. Znajdź sobie bezpieczne miejsce i trzymaj się z dala od światła.

– Dlaczego? Ty czasami to robisz.

– Znoszę światło. Niektórzy nie mogą. Światło słoneczne pali niektórych z naszego rodzaju, z gwałtownością oliwy do lamp. Niektórzy zaledwie stają się odrętwiali, jeśli nie przyjęli znacznej ilości krwi, a nawet wówczas ich umysły nie są dość bystre. Jedynym sposobem, by przekonać się, do którego rodzaju należysz, jest zaryzykowanie i sprawdzenie tego na własnej skórze, a jest to coś, czego nie powinnaś robić, jeśli nie zagraża ci największe niebezpieczeństwo. Nawet wtedy owiń się w najgrubszy płaszcz, jaki uda ci się znaleźć, odkrywając tak mało ciała, jak to możliwe.

– Czy nie mogłabym po prostu wystawić kawałka skóry, powiedzmy na grzbiecie dłoni, na bardzo krótko.

– Mogłabyś, jeśli chcesz zobaczyć jak topi się do kikuta, gdy należysz do tych, którzy są nieodporni. A czasami, w przypadku niektórych Przebudzonych, istnieje zwiększone ryzyko. Światło słoneczne nie pali ich od razu. Parzy skórę dopiero po dłuższym wystawieniu na jego promienie. Skóra pęka i łuszczy się zadając niesamowity ból. To jest jak oparzenie słoneczne dla śmiertelnika, tyle że tysiąc razy gorsze.

– Dlaczego tak się dzieje?

– Nie jestem filozofem natury. Nie wiem. Mogę tylko powiedzieć ci zasłyszane historie. Niektórzy mówią, że bóstwo słońca z dawno umarłego królestwa Nehekhary przekląło nasz rodzaj. Inni mówią, że dzieje się tak dlatego, ponieważ jesteśmy przesyleni mroczną magią, którą zaburza światło słońca. Jedno, co wiem na pewno, to fakt, że wszyscy z nas są niemal ślepi za dnia, w porównaniu z tym, jak doskonale widzimy w nocy. Coś w naszych oczach zmienia się, przystosowując je do ciemności i sprawia, że stają się zbyt wrażliwe na światło słoneczne. Najlepiej jest przespać dzień. – – Zresztą wtedy stajemy się naturalnie odrętwiali.

– Czy potrafię latać? Czy mogę zmienić się w nietoperza? – wiedziała, że to dziecinne pytanie, ale

umiejętność lotu jak ptak było jej marzeniem od dziecka i próbowała znaleźć coś dobrego w swoim położeniu.

– Można nauczyć się transformacji, ale opanowanie tego jest długim i trudnym procesem. Nauczę cię wszystkiego, co wiem na ten temat, gdy będę miał dość czasu. W tej chwili powinnaś zadowolić się tym, co masz. Choroby śmiertelników już cię nie dotkną. Teraz jesteś wielokrotnie silniejsza, bardziej wytrzymała i szybsza od jakiegokolwiek śmiertelnego człowieka, a ponadto stałaś się odporna na wiele z używanych przez nich broni.

– Dlaczego?

– Większość twoich narządów wewnętrznych jest ci już niepotrzebna. Z biegiem czasu znikną. Miecz wbity w brzuch nie wyrządzi ci prawdziwej krzywdy. Większość ran wyleczy się bardzo szybko, gdy wypijesz dość krwi.

– A kółek wbity w serce?

– Ach, ten stary problem. Tak. To cię zrani. Podobnie jak każdy cios zadany w to miejsce. Twoje serce nadal bije, chociaż tak wolno, że jest to niewykrywalne, dopóki nie napijesz się. Mimo to nadal pompuje krew przez twoje ciało. Jeśli zostanie rozerwane, wówczas zaleczenie zajmie dużo czasu. Będziesz żyła, ale wtedy wydarzy się to wszystko, o czym opowiadałem mówiąc o efektach niedoboru krwi. To będzie okres tortury, a gdy przeminie, możesz być zbyt słaba, by się pożywiać.

– Powinnaś także chronić swoją głowę. To siedlisko twojej duszy, albo przynajmniej umysłu. Jeśli twój mózg ulegnie uszkodzeniu, oszalejesz, stracisz wspomnienia albo staniesz się bezmyślną, bezduszną bestią. Oddzielenie głowy od ciała, wyjęcie mózgu i spalenie to najpewniejsze sposoby na prawdziwą śmierć. Lepiej tego unikaj.

– A co z mocami magicznymi? Często słyszałam, że wampiry zdobywają wiele czarodziejskich mocy poprzez pakt z Mrocznymi.

– Nasze moce nie pochodzą od Władców Chaosu, jednak oni są jak najbardziej realni. Istnieje wiele sposobów, by zmusić śmiertelników do wykonywania naszej woli, by zafascynować ich, oszołomić i wreszcie rozkazywać im. Ponownie jednak, opanowanie tego zajmuje wiele czasu i nauczę cię wszystkiego, gdy tylko zdołam.

– Najwyraźniej zamierzasz bardzo uzależnić mnie od siebie.

– Dlaczegożby nie? To tradycyjne role w naszej społeczności. Ja jestem mistrzem. Ty jesteś uczennicą. Ja będę cię uczył, a ty w zamian będziesz posłuszna.

– A jeśli nie zechcę? Co wtedy uczynisz?

Uśmiechnął się odkrywając wszystkie swoje zęby i wskazał na talizman u szyi.

– Wierz mi, nie masz wyboru. Rozkazuję ci być posłuszną w każdej sprawie, służyć mi i chronić mnie, dopóki nie zwolnię cię z tego nakazu.

Nie skończył jeszcze mówić, gdy Ulrika poczuła narastający w jej umyśle przymus, jak płonące kajdany rozgrzane w kuźni, w które zakuwano potępionego skazańca. Chciała krzyczeć i opierać się, ale nic nie mogła zrobić. Moc Oka Khemri i stojąca za nim wola były zbyt silne. Wiedziała, że straciła pełnię władzy nad sobą, podobnie jak wtedy, gdy opanowało ją czerwone pragnienie. Po części, rzeczywiście chciała być posłuszna. Zaklęcie było bardzo silne.

– To niezwykle wielki zaszczyt, Ulriko. Będziesz pierwszą z wielu powołanych, by mi służyć. Razem założymy nowe imperium i sprowadzimy na świat nową erę ciemności.

## Rozdział 10

– Jesteśmy już bardzo blisko – powiedział Max. Odezwał się głosem ponurym i zgorzkniałym, na wpół szalonym od strachu i frustracji, ale Felix nie wątpił, że czarodziej ma rację. W powietrzu unosiły się duszące opary zła. Miał wrażenie, jakby z każdego cienia przyglądały mu się oczy. Chciał odwrócić się i uciec przed czekającym na niego nieznanym. Tylko wysiłkiem woli powstrzymał się przed bezustannym spoglądaniem przez ramię.

To musiał sprawiać widok tych ruin. Przygnębiały go jeszcze bardziej niż normalne budynki w Sylvanii. Powtarzał sobie, że powinien się cieszyć ze znalezionej schronienia. Nawet ten stary, opuszczony dworek z jego rozbitymi ścianami i zawalonym dachem był lepszy niż nic, gdy nadchodziła burza. Przynajmniej ściany zapewniały pewną ochronę przed wiatrem. Felix chciałby tylko, żeby to nie przypominało mu tak bardzo opowieści, które czytał za młodu.

Las był głęboki i ciemny. Wrażenie wszechobecnego zepsucia było tu silniejsze. Śnieg zalegał grubą skorupą na spaczonych ziemi. Unosiły się z niej wyziewy zła. Czasami Felix miał kłopoty z oddychaniem. Nadeszło późne popołudnie i cienie wydłużały się coraz bardziej. Kuce parskały nerwowo. Felix szczelniej owinał płaszcz wokół siebie, a potem upewnił się, że jego miecz gładko wychodzi z pochwy.

Z przodu rozlegały się odgłosy brnących naprzód koni. Znowu zaczęło śnieżyć. Duże płatki śniegu opadały gwałtownie i swoją masą zasłaniały widok dalej niż na kilka stóp. Gdy zimne bryłki ocierały się o policzki Felixa, miał wrażenie, jakby dotykały go palce trupa. Przeklinał i zastanawiał się, czy wszyscy zginą w śnieżycy. To byłaby ironia losu po tym, co przeżyli, by tu się dostać.

Felix wytarł ciekący nos w skrawek płaszcza i spojrzał na Gotreka. W tym momencie usłyszał przed sobą ciche, zbliżające się kroki. Jego dłoń opadła do rękojeści miecza.

Zabójca niedbale trzymał swój topór w rękach. Wyglądał na nie mniej opanowanego niż zwykle.

– To tylko zwiadowcy wracają, człeczyno.

Kilka chwil później Felix przekonał się, że to była prawda. Wróciło dwóch Kislevczyków, Marek i drugi mężczyzna. Na ich twarzach widoczne było zarówno podekscytowanie, jak i przestraszanie. Podjechali do Ivana Petrovicha i Marek bez zwłoki przemówił głośno, by wszyscy go usłyszeli:

– Zamek Drakenhof jest jakieś dwie godziny szybkiej jazdy przed nami. To przerażające, złowieszcze miejsce, na wpół w ruinach, ale przynajmniej w części zamieszkałe. Widzieliśmy wielu ludzi maszerujących przez śnieg w jego kierunku. W każdym razie wyglądali jak ludzie – ale poruszali się powoli, jakby pod wpływem jakiegoś złego zaklęcia.

Ivan Petrovich przekrzywił głowę.

– Ilu?

– Wielu. Przybywają ze wszystkich kierunków i schodzą się do zamku. Widzieliśmy także inne rzeczy. Właściwie – ich ślady, zanim zaczął padać śnieg. I . . .

Felix poczuł przebiegający go dreszcz trwogi.

– To znaczy? – spytał Ivan Petrovich.

– Widzieliśmy ślady na śniegu wokół zamku. Całe mnóstwo. Przypominały ludzkie...

– Przypominały?

– To były ślady bosych stóp, żadnych butów ani ciżem.

– A małe wgłębienia na czubkach paluchów wyglądały jak... no, jak odciski pazurów.

Felix wrócił myślami do tego, co zobaczyli na przedmieściach Waldenhofu. Wszystko

wskazywało, że były to ślady ghuli. Z dalszej relacji zwiadowców wynikało, że pomyśleli o tym samym.

– Możemy rozbić się tutaj na noc – powiedział Marek. – Nie ma sensu pchać się w tę burzę.

Ivan Petrovich wysłuchał do końca raportu zwiadowców, a potem obrócił konia w miejscu i podjechał do Felixa i jego towarzysza. Max już podszedł do ich sań. Był z nim Rodrik.

– Zdaje się, że znaleźliśmy to, czego szukaliśmy – powiedział Max. – Myślę, że wysledziliśmy potwora i jego leże.

– *Aye*, ale dzisiaj w żaden sposób tam nie dotrzemy. Nie przy tej pogodzie.

– Co zrobimy?

– Powinniśmy tu obozować – rzekł Ivan Petrovich. – Ludzie będą zmęczeni i głodni. Powiadam, poczekajmy do jutrzejszego ranka i dopiero wtedy ruszymy naprzód.

Max skinął głową z aprobatą, podobnie Rodrik. Gotrek wodził dokoła wzrokiem, jakby zamierzał sprzeciwić się, ale ku zaskoczeniu Felixa zerknął w stronę powozu hrabiny i nie otworzył ust. Felixowi wydawało się, że czyta w jego myślach. Zabójca nie ufał hrabinie i nie chciał zostawiać tych ludzi zdanych na jej łaskę. Poza tym, gdyby ich zaatakowała, przestałaby wiązać go przysięga i mógłby z nią walczyć. Felix nie wątpił, że dla Gotreka każdy wampir był równie dobry jak inny.

– Tej nocy będziemy czuwać bardzo sumiennie – powiedział Max.

– Podwoję warty i zadbam, by dzisiaj czuwali parami. Dzięki temu nie posną – zapewnił Ivan Petrovich.

– Sam będę miał na wszystko oko – odezwał się Gotrek. Potarł swoją opaskę gestem tak ostentacyjnym, że Felix nie był pewien, czy nie był to żart.

– Już tam są – powiedział Adolphus Krieger, rozpierając się na Tronie Krwi.

Ghul, który przyniósł wieści, leżał rozciągnięty na popękanej mozaice podłogi, z ramionami wyciągniętymi w geście absolutnego poddaństwa. Adolphus nie zwracał na niego większej uwagi niż na meble. Spojrzał na Ulrikę, Roche'a i swoich pozostałych wyznawców. Rozglądali się z niepokojem. Powyżej, w cieniach, coś wielkiego łopotało błoniastymi skrzydłami.

– Kto tam jest? – spytała Ulrika. Miała problemy ze zrozumieniem bełkotu ghula. Krieger uśmiechnął się do niej czule. Najwyraźniej dobrze przystosowywała się do swojej nowej roli. Była pojętna i posłuszna. Wolał udawać, że nie dostrzega przerażenia ukrytego w głębi jej oczu.

– To nasi wrogowie. Wojownicy, głównie obcy. Zdaje się, że to cudzoziemcy, którzy schronili się w ruinach dawnego domu Rattenberga. Ghul nie wie więcej niż nam opowiedział.

– Co zamierzasz zrobić? – Podeszła i stanęła przed podwyższeniem tronu, spoglądając na niego śmiało. Zastanawiał się, co czuła. To wszystko było dla niej nowe. Pamiętał swoje własne przerażenie i zdumienie dziwnym stanem, w jakim znalazł się zaraz po Przebudzeniu. Poczul przyływ czułości, jakiej od bardzo dawna nie doświadczył wobec żadnej innej istoty. Ciekaw był, czy to właśnie w ludziach budziły ich dzieci. Czy to właśnie czuła hrabina myśląc o nim? Czy naprawdę nie był w stanie wykrzesać z siebie choćby ułamka tamtego uczucia? Czy Ulrika czuła to samo wobec niego? Odsunął od siebie te myśli jako nie mające znaczenia, a potem podjął decyzję.

– Pójdę rzucić na nich okiem. Możliwe, że pokażę im, jaką głupotą było wtargnięcie na moje terytorium.

– Może ja powinienem pójść, panie? – zasugerował Roche.

– Tej nocy śmiertelnicy nie powinni opuszczać swoich schronień, stary przyjacielu – powiedział Krieger. Strach przemknął po obliczach pozostałych członków sabatu. Nie chcieli zostawać sami w tym przeklętym miejscu, wśród dopiero co przebudzonej Ulriki i gromadzącej się armii nieumarłych.



Wszyscy wiedzieli, co przydarzyło się Osrikowi. Krieger nie krył złośliwego rozbawienia.

– Nie martwcie się. Wrócę.

Śnieżyca ustąpiła zostawiając za sobą las okryty płaszczem głębokiego, świeżego śniegu. Adolphus Krieger szedł po nim z gracją lamparta i pewnością siebie króla. Wiedział, że żadne śmiertelne oczy nie mogą go dostrzec, jeśli sam na to nie pozwoli. Noc była jego domem. Okrywała go i chroniła, jak długo tego chciał.

Zastanawiał się, kim są tamci głupcy, gdy między drzewami zobaczył migotanie ognisk. Wędrowali przez Sylanę w środku zimy i nie trzymali się ubitej drogi. Ciekawiło go, czy wiedzą, jak blisko znaleźli się przeklętej twierdzy Drakenhof. Czy byli to poszukiwacze przygód pragnący dowieść swej odwagi i złupić starodawny zamek z jego mitycznych skarbów? Jeśli tak, czekała ich niemiła niespodzianka.

Nie był pewien, czy nie powinien okazać łaski. Może zabije po cichu i niezauważeniu kilku strażników, zostawiając przy nich ostrzeżenie, które powinno przerazić pozostałych. A może wezwie przywołane ghule i szkielety, które zmasakrują wszystkich przybyszów, oszczędzając tylko jednego, by przekazał straszliwe wieści na ziemię ludzi. To był chyba lepszy pomysł. Dzięki temu drogę dla jego armii utorują strach i przerażenie, a to zawsze byli najlepsi sprzymierzeńcy Przebudzonych, gdy ruszali na wojnę.

Szedł szybko naprzód, przemykając od jednej plamy cienia do drugiej. Chociaż taki plan działania był kuszący, być może nie był najmądrzejszy. Krieger nie był jeszcze gotów do rozpoczęcia swojej kampanii. To prawda – przyłączyło się do niego kilka setek ożywionych trupów i szkieletów, ale należało odwiedzić jeszcze inne ukryte tereny grzebalne. Każdej nocy przybywało do niego coraz więcej ghuli. Wkrótce pojawią się pierwsi z Przebudzonych. Dopiero, gdy to się stanie, będzie pewien swojej potęgi. Głupotą byłby przedwczesny atak, który mógł ostrzec jego wrogów. Może pierwszy pomysł był jednak lepszy? A może powinien wezwać wilki i kazać im, by zajęły się intruzami?

Poczuł drżenie Oka zawieszzonego u gardła. Wyczuł coś niedobrego w głębi nocy. Stare ruiny otaczał strumień mocy, którego nie powinno tu być. W pełni rozwinął swój magiczny zmysł i zbadał otoczenie. W pobliżu ognia wyczuwał delikatny splot mocy, jakieś zaklęcie, bez wątpienia mające chronić lub ostrzegać przed zagrożeniem. To była doskonała robota, niemal niezauważalna. Krieger domyślał się, że gdyby nie nosił Oka, nawet by tego nie dostrzegł. W obozowisku był obecny czarodziej. Rzeczywiście, trzeba było zachować ostrożność.

Poruszając się ze wzmożoną uwagą, szedł przez śnieg jak najlżej stawiając kroki, by odgłos śniegu skrzypiącego pod stopami był jak najcichszy. Między zawałonymi ścianami rozbito duże obozowisko. Widział powóz, kilka sań i sporo koni przywiązanych we wnętrzu tego, co pozostało po dawnej stajni. Niektóre ze zwierząt parskały nerwowo, jakby wychwyciły jego zapach. Było tam wielu wojowników, zapewne zbyt wielu, by wilki poradziły sobie z nimi, o ile nie wspomogą ich jego pozostali słudzy. Być może nawet tego było za mało, gdyby czarodziej okazał się wystarczająco silny.

Zastanawiał się, kim byli ci ludzie: może to jakiś szlachcic ze swoją świtą? Tylko szlachetnie urodzeni byli dość bogaci, by wynająć czarodzieja na wspólną podróż. A może powóz należał właśnie do niego, a pozostali stanowili jego ochronę? Wiadomo było o czarnoksiężnikach wplątanych we wszelkiego rodzaju podejrzane praktyki, którzy szukali schronienia w dziczy Sylanii, aby kontynuować swoje nikczemne działania z dala od władz i łowców czarownic. Może trafił właśnie na jednego z nich? A może ten człowiek przybył zaciekawiony zaklęciem rzuconym przez

Kriegera? Przeprowadzenie Wielkiego Rytuału nie mogło pozostać niezauważone przez odpowiednio wyczulonych obserwatorów znajdujących się w promieniu tuzina mil.

Ktoś zawołał. Krieger zamarł w bezruchu. Czy został wykryty? Nasłuchiwał. Nie. To tylko jakiś podenerwowany człowiek upewniał się, że jego towarzysz jest na miejscu. Być może niepokój zwierząt udzielił się wartownikom. Musiał zachować ostrożność. W normalnych okolicznościach użyłby Swych mocy, by zaciemnić ich umysły, ale tamten czarodziej mógł to wyczuć.

Krieger powtarzał sobie, by nie był głupi. Teraz on był w mocy. Posiadał Oko Khemri. Ci śmiertelnicy nie mogli skrzywdzić go w żaden sposób. A jednak nie przetrwałby tak długo, gdyby nie zachowywał należytej rozwagi. Teraz musiał być ostrożny bardziej niż zwykle, ponieważ jego przeznaczenie było już tak bliskie ostatecznemu wypełnieniu.

W głosach, które do niego dochodziły, brzmiało coś niepokojąco znajomego. Mówili z akcentem Kislevczyków! Ci ludzie bardzo oddalili się od swego domu. Może to byli tylko podróżni najemnicy, a może cała grupa uciekała przed nadchodzącą armią Chaosu? A może w jakiś sposób byli związani z ostatnimi wydarzeniami podczas jego pobytu w Praag? Musiał dowiedzieć się tego.

Gdy zbliżył się jeszcze bardziej, zauważył, że większość nieznanomych nosiła barwy kislevskich konnych wojowników. To byli niscy, krępi ludzie o nogach wykrzywionych od ciągłego przebywania w siodle. Jeden z nich był bardzo wysoki. Krieger zauważył błysk jasnych włosów mężczyzny, który odszedł na bok, by sobie ulżyć.

Wciągnął powietrze i wylapał ślad znajomych zapachów. Krasnolud. W pobliżu jednego z ognisk zauważył przysadziłą postać o wznoszącym się wysoko grzebieniu włosów, która trzymała w jednej garści ogromny topór. Najwyraźniej Gotrek Gurnisson poważnie potraktował swoją przysięgę i dotarł za nim aż tutaj! Krieger ciekaw był, jak krasnoludowi udało się podążać jego tropem przez setki mil zimowego lasu. Może pomógł mu w tym czarodziej?

Krieger okrążył obóz trzymając się z daleka od światła. Zauważył, że obecnych było kilku Sylvańczyków. Ich konie były większe od smukłych koni Kislevczyków – to były rumaki zdolne nosić ludzi w pełnej zbroi. Na okryciach jeźdźców dostrzegł herb Waldenhofu. Wszyscy zgromadzeni byli wokół namiotu i dużego powozu na płozach.

To była naprawdę dziwna zbieranina. Co krasnoludy, kislevscy łucznicy, lokalne paniątko i czarodziej robili razem tak blisko jego domu? Zatrzymał się na chwilę, by to przemyśleć. Najwyraźniej Zabójcy przybyli wypełnić swoje przyrzeczenie. Może wynajęli czarodzieja, a może było to ów Max Schreiber, o którym opowiadała Ulrika? Im więcej o tym myślał, tym bardziej wydawało się to prawdopodobne. Wysoki blondyn, którego zauważył, mógł być Felixem Jaegerem. Kislevczycy mogli być najemnikami, albo zostali wysłani przez władze Praag, by doprowadzić go przed oblicze sprawiedliwości. Tubylcy służyli pewnie za przewodników. Bez wątplenia zechcieliby pomóc każdemu, kto wyruszyłby przeciwko wampirowi. Oczywiście, nie mógł być tego pewny, ale to było najlepsze wyjaśnienie jakie znajdował.

Pytanie brzmiało – co z nimi zrobić? Wątpił, by w tym miejscu sam zdołał pokonać tak licznych przeciwników. Szczególnie w obecności czarodzieja i równie przerażająco uzbrojonych wojowników, jak Gotrek Gurnisson i Felix Jaeger. Zdołałby zabić wielu, ale z pewnością w końcu pokonaliby go dzięki przewadze liczebnej. Widząc ten topór, nie chciał ryzykować swoim życiem.

Mógł wezwać wilki, ghule oraz szkielety i zaatakować obóz. Ale przygotowanie takiego oddziału zabrałoby większość nocy, a czarodziej mógł wyczuć czar przywołania. Jeśli walka nie zakończyłaby się przed nadejściem ranka, Krieger zostałby z dala od schronienia, otoczony wrogami, gdy wszędzie słońce, a tego losu wolał uniknąć za wszelką cenę.

Jeśli to on był ich celem, najlepszym rozwiązaniem było przyjęcie walki na jego własnym terenie,

w miejscu, które znał – na polu bitwy, które sam wybierze. W Drakenhof, gdyby przyszło do najgorszego, mógł wyssać z krwi kilka swoich ludzkich sług i walczyć w świetle dnia. Lepiej jednak będzie wysłać wilki, aby nękały ich i spowalniały, oraz wykorzystać ghule, by urządziły zasadzki i pułapki. Wszystko po to, by intruzi dotarli do jego domu najpóźniej jak się da. Jeszcze lepiej będzie zwabić ich w ruiny i eliminować jednego po drugim.

Poza tym w zamku miał silnego sprzymierzeńca. Ulrika z pewnością okaże się przydatna. Była silna i zabójcza, a co ważniejsze, ze względu na związek z Felixem Jaegerem, śmiertelnicy będą powstrzymywali się z atakiem na nią, dopóki nie zyskają absolutnej pewności, że jest sojusznikiem ich wroga. Może nawet uda mu się wykorzystać ją jako przynętę w pułapce.

Zdecydował, że to najlepszy plan. Dopracuje go w drodze powrotnej. Gdy jego prześladowcy wyruszą z nadejściem ranka, spotka ich kilka nieprzyjemnych niespodzianek.

– W nocy coś tu było – powiedział zwiadowca Marek marszcząc brwi. – Przyjrzyjcie się tylko uważnie. To odciski butów, jeszcze nie zasypane śniegiem.

– Są bardzo blisko obozu – zauważył Felix. – Czy wartownicy posnęli?

– Żaden z moich ludzi nie spał tej nocy, Felixie Jaegerze – powiedział zmęczonym głosem Ivan Petrovich Straghov. Wyglądał na niesamowicie postarzałego. – Przemierzyłem z tymi ludźmi Kresy Chaosu i mogę za nich przysiąc. To weterani i ludzie honoru.

– Nic nie zakłóciło moich zaklęć ochronnych – odezwał się Max. – Obudziłbym się, gdyby tak się stało. Tej nocy nic i nikt nie wtargnęło do naszego obozu ani go nie opuściło.

Wnioskując ze sposobu, w jaki Max zaakcentował, że ktoś mógł wychodzić z obozu, Felix był pewien, że myślą o tym samym. Wydawało się jednak, że nikt nie wyszedł zaalarmować Kriegera.

– Snorri myśli, że to nic wielkiego, gdyby jeden człek przyszedł na przeszpiegi – powiedział Snorri.

– To ma znaczenie, jeśli był nim Krieger – odrzekł Felix. – To coś więcej niż człowiek.

– Albo mniej – powiedział Max.

– Ślady oddalają się w stronę, w którą zmierzamy – stwierdził tropiciel.

– A zatem, proponuję, żebyśmy przygotowali się na zasadzkę – powiedział Felix. – Jeśli to Krieger, może mieć przyjaciół w okolicy.

– Może hrabina i jej ludzie powinni wyruszyć okreśną drogą? – spytał Ivan Petrovich Straghov. Był na swój sposób rycerski i nie chciał, by kobieta znalazła się w niebezpieczeństwie. – Może zdecyduje się nadłożyć drogi?

– Zasugeruję jej to – zapewnił Felix oddalając się w stronę powozu.

– Nie sugeruj jej zbyt długo, człeczyno. Wyruszamy natychmiast – rzucił Gotrek.

\* \* \*

– A zatem, uważasz pani, że to był on? – pytał Felix. Trzymał się mocno, by chybotanie sunącego na płozach powozu nie przysunęło go bliżej hrabiny. Odsunął się od niej tak daleko, jak było to możliwe w zamkniętym pojeździe.

Wampirzyca poprawiła swoją woalkę i zasłoniła usta ziewając. Felix nie był pewien, czy w ten sposób pokazywała mu, że ją znudził, czy też odczuwała efekty dziennego światła. Powtarzał sobie, że nic go to nie obchodzi.

– Któż inny mógłby to być? Kto zdołałby zbliżyć się tak bardzo do obozu, niezauważony przez wartowników i nie naruszając zabezpieczeń waszego przyjaciela, czarodzieja?

– Czy wobec tego myślisz, że mógł przez nie przeniknąć?

– Nie. Przebadałam je i wątpię, by sam Wielki Nekromanta potrafiłby przeniknąć ten splot nie naruszając go. Max Schreiber jest bardzo dobrym magiem.

– Jestem pewien, że doceni pokładane w nim zaufanie.

– Wasza wola, co mu powiecie. Zadbajcie tylko, by pozostał czujny. Drakenhof to miejsce mocy, poświęcone Przebudzonym. Chronią go silne bariery. Nawet kamienie w murach przesyczone są krwawą magią, a potężne sploty iluzji wiele ukrywają przed oczami tych, którzy nie są Przebudzonymi lub nie są z nimi związani przez krew. Krieger nie pozwoli nam podejść do siebie i uciąć mu głowy. Myślę, że w tej chwili szykuje dla nas raczej chłodne przyjęcie.

– To mało pokrzepiające słowa.

– To nie jest towarzyska przejażdżka, *Herr Jaeger*. Kierujemy się prosto w leże bardzo niebezpiecznej bestii.

– Zachowam to w pamięci.

Nagle na zewnątrz rozległo się rżenie przerażonych koni i krzyki wojowników, przemieszane z mrozącym krew w żyłach wyciem.

Felix gwałtownie otworzył drzwiczki powozu i wyskoczył na śnieg, wyciągając z pochwy miecz, gdy tylko wylądował. Przed nim rozgrywała się walka. Z cieni pod drzewami wyskoczyły długie sylwetki, które rzuciły się na konie. Potężne wilki o czerwonych ślepiach wychynęły z ukrycia, by gryźć ścięgna wierzchowców i rozrywać gardła jeźdźcom, którzy wypadli z siodeł.

Felix biegł naprzód. Wilk przed nim usiłował zagryźć kislevskiego konnego wojownika. Mężczyzna wepchnął ramię pomiędzy szczęki stwora, ale bestia o białym futrze była ciężka i silna. Nie pozwalała człowiekowi znaleźć oparcia i dobyć noża, a jej towarzysz coraz ciasniej krążył wokół ofiary. Felix kopnął w łeb wilka. Zwierz przekoziółkował kilka razy do tyłu. Natychmiast poderwał się na nogi i wznowił atak z szaleństwem w ślepiach. Felix był pewien, że stała za tym zła magia, która wzbudzała w zwierzętach dziką furję.

Uchwycił oburącz rękojeść miecza i zatoczył nim wielki tuk, tnąc przez pierś skaczącego wilka. Uderzenie masywnego cielska prawie zbito go z nóg. Odzyskał równowagę i uderzył ponownie, niemal odrąbując wilczy łeb. Rozejrzał się, by sprawdzić, co stało się z drugim wilkiem i zobaczył żołnierza, który zmagał się z bestią. Przetaczali się po śniegu. Wojownik jedną ręką trzymał wilka za gardziel, a drugą dźgał go sztyletem.

W oddali rozległ się odgłos eksplozji, zaraz po czym dał się wyczuć smród spalonego ciała. Felix domyślił się, że to Max używa swojej magii. Nie pozwalając, by to go rozproszyło, dokładnie wycelował w drugiego wilka i pchnął mieczem. Ostrze przebiło żebra zwierzęcia. Z jego pyska buchnęła krew. Stwór kona! charcząc. Wojownik podniósł się na nogi i otrzepał ze śniegu. To był Marek.

– Zręczne uderzenie – powiedział Marek. – Dzięki za to!

Felix skinął głową i przyjrzał się scenerii bitwy. Tuziny wilków/biegły skokami przez śnieg. Tu i tam kilka z nich leżało przeszyte strzałami. Czaszki innych zostały zmiażdżone kopytami koni. Wiele wilczych zwłok spoczywało w kałużach czerwonej krwi, dowodząc zabójczego kunsztu, z jakim ludzie Kisleva władali swoimi szablami. W oddali bil w niebo dym i błyskało złote światło. Max Schreiber nadal żył i przyzywał swoje przerażające moce.

Gotrek i Snorri stali na szczycie sań z zapasami, wykrzykując zawołania bitewne i prowokując wilki do ataku. Oba kuce były martwe. Mały pagórek ciał o białych futrach pokazywał, że dwaj Zabójcy nie próżnowali. Rodrik i jego kompani uformowali szyk wokół powozu Gabrielli, zdecydowani chronić ją przed zagrożeniem, ale nie brali udziału w bitwie. Żaden z wilków nie

zbliżył się do nich. Felix ciekaw był, dlaczego tak się działo.

Poległ co najmniej tuzin ludzi i koni. A sądząc po krzykach, miało być ich więcej. Felix zbliżył się do obu Zabójców, a tuż za nim poszedł Kislevczyk.

– To nie jest normalne. Wilki same z siebie nie atakują dużych grup uzbrojonych ludzi! – krzyknął Felix.

– Zdumiewa mnie twoja spostrzegawczość, człeczyno – zakpił Gotrek zeskakując z sań. – Myślę, że możemy zakładać, że to robota naszego spragnionego krwi przyjaciela.

Snorri wskoczył w śnieg za Gotrekiem.

– Snorri myśli, że to nie w porządku wysyłać do walki biedne wilki. Powinien sam tu przyjść.  
– Nie zapomnij mu tego wytknąć, gdy na niego wpadniesz – odpowiedział spokojnie Felix. – Teraz jednak lepiej będzie, jak pomożemy Ivanowi Petrovichowi i jego chłopakom.

Gotrek znacząco spojrział na czterech rycerzy otaczających powóz i nie mających zamiaru ruszyć na pomoc Kislevczykom.

– Zdaje się, że tamci nie zgadzają się z tobą.

– Zajmiemy się nimi później. Wszystko po kolei. Zabijmy parę wilków.

– Dobrze powiedziane, człeczyno.

– Snorriemu nadal to się nie podoba. Biedne zwierzęta.

– Wybrałeś sobie złą porę na skrupuły przed zabijaniem żywych stworzeń, Snorri – powiedział Felix.

– Snorri nie powiedział, że ich nie pozabija. Snorri powiedział tylko, że to mu się nie podoba – odrzekł Snorri Gryzonos, rzucając się w wir walki.

– Jak wielu ludzi straciliśmy? – spytał Felix.

Ivan Pettovich spojrział na niego zmęczonym wzrokiem. Z trudem łapał oddech. Rękawem koszuli otarł krew i pot z łysiejącego czoła.

– Nie jest tak źle, jak na to wygląda. Max wykonał dobrą robotę lecząc kogo trzeba. Mamy trzech zabitych i kolejnych pięciu rannych. Dwóch z nich nadal może walczyć, gdy tylko opatrzy się ich rany. Pozostali trzej przez pewien czas na nic się nie przydadzą.

– Co zamierzacie zrobić? – Felix wiedział, co należało zaproponować, ale Ivan był dowódcą konnych i to musiała być jego decyzja. Ivan wydał policzek i zamyślił się przez chwilę.

– W normalnych okolicznościach zostawiłbym tych dwóch, którzy nadal są w stanie walczyć, aby strzegli tych, którzy tego nie mogą. Dałbym im sanie, do których zabrakło kuców, ale w tej chwili wolałbym tego nie czynić. Wilki mogą powrócić, albo jakieś inne stwory, a nie życzyłbym tego najgorszemu wrogowi, nie mówiąc o tych chłopakach.

Felix właśnie tego się obawiał. Jedyńm celem ataku było ich spowolnienie, co było nieuniknione z powodu rannych. Wilki w podejrzanym sposobie postanowiły uciec, gdy padła połowa z nich. Atakowały, jakby konały z głodu, ale odeszły nie zdobywszy żadnego pożywienia. To nie było naturalne. Felix spojrział na Maxa. Po twarzy maga spływał pot, a jego klatka piersiowa nadal wznosiła się i opadała jak miech.

– Jak się czujesz, Max?

– Bywało gorzej.

– Potrafisz jeszcze rzucać zaklęcia?

– Tak.

– Podejrzewam, że ten atak miał nas zmęczyć.

– Chciałbym się z tobą nie zgodzić, Felixie, ale nie mogę.

- Powinniśmy spodziewać się następnych ataków, zanim dotrzemy do Drakenhofu.
- To także nas spowolni. Musimy poruszać się ostrożnie.
- Miejmy nadzieję, że uda nam się tam dojść przed zapadnięciem ciemności – powiedział Felix. Wątpił jednak, by to było możliwe.

Cienie wydłużały się. Wiał coraz zimniejszy wiatr. Felix owinał się szczelniej płaszczem i brnął dalej przez śnieg. Nadal ciekło mu z nosa. Miał lekką gorączkę. Za sobą słyszał pomruki Snorriego Gryzonosa i Gotreka, którzy ciągnęli sanie. Ten pokaz siły nie przestawał go zdumiewać. Dwa krasnoludy ciągnęły ciężki ładunek przez większość dnia, nie okazując żadnych oznak zmęczenia. Nie licząc osobliwego gderania i przeklinania, bawiły się dobrze. Felix pomyślał, że nigdy nie zrozumie krasnoludów – im gorzej miały się sprawy, tym były szczęśliwsze.

– Gdybym wiedział, że wy dwaj jesteście w tym tak dobrzy, to już wcześniej ciągnęlibyście te sanie. Kuce pojechałyby ze mną.

– Snorri myśli, że wtedy moglibyśmy je zjeść – mruknął Snorri.

– W kopalniach krasnoludy same noszą swój urobek i same wyciągają wózki z rudą – powiedział Gotrek. W jego głosie słychać było nutę nostalgii.

– Snorri raz ciągał wózek w szybach Czarnej Jamy, przez trzy dni bez przerwy. Na koniec pobił jeszcze całe plemię gobasów. Bydlaki chciały ukraść Snorriemu wózek.

– A na to nie mogłeś im pozwolić, prawda? – powiedział kpiąco Felix. Spojrzał w tył przez ramię. Na powozie hrabiny jarzyła się niewielka latarenka i Felix dostrzegał jadących obok pojazdu: Quentina i jego dwóch towarzyszy. Rodrik zapewne był w środku, dostarczając wampirzycy pożywienia. Cóż, tej nocy z pewnością będą potrzebowali jej siły – o ile ich nie zdradzi.

Młodzi Sylvańczycy wyglądali na dość ponurych, co było zresztą usprawiedliwione po połajankach, jakimi Gotrek i Snorri uraczyli ich wcześniej za to, że nie przyłączyli się do walki. Hrabina musiała użyć wszelkich mocy, by powstrzymać rycerzy przed atakiem na dwa krasnoludy. Oczywiście Gotrek rzucił im kilka dobrze dobranych słów na temat ich obecnego pokazu odwagi, gdy wielkie złe wilki już sobie poszły. To nie poprawiło sytuacji. A jednak Felix rozumiał gniew krasnoludów oraz pogardę, jaką Kislewczycy odczuwali wobec rycerzy. Nie było dobrze mieć towarzyszy, którzy nie biorą udziału we wspólnej walce. Mimo że Felix znał powody takiego zachowania, sam nimi gardził.

Oczywiście, teraz rycerze desperacko pragnęli dowieść swojego męstwa i zmazać plamę na honorze. Spoglądali wojowniczo na wszystkich, którzy im się przyglądali. Felix zauważył Quentina, który w odpowiedzi na jego wzrok posłał mu gniewne spojrzenie. Felix potrząsnął głową. Uznał młodego za idiotę. Przynajmniej Ivan Petrovich przestał nalegać na posłanie hrabiny inną drogą. Nie mógł tego zrobić, gdy w okolicy czaiły się wilki, a w zasadzce mogły czekać jeszcze gorsze rzeczy.

Na drugich saniach przed nimi leżeli ranni, którymi opiekował się Max. Ivan Petrovich jechał obok sań, dzieląc się słowem pokrzepienia ze swoimi rannymi żołnierzami. Biorąc wszystko pod uwagę, stary bojar kresowy trzymał się nieźle, zwłaszcza w jego wieku i ze wszystkimi zmartwieniami. Felix robił sobie wyrzuty sumienia, że nie zdecydował się powierzyć mu sekretu hrabiny. Z drugiej jednak strony, zważywszy na fakt, że jego córka znajdowała się rękach „syna” wampirzycy, któż mógł przewidzieć, jak zareagowałby Ivan? Felix uznał, że lepiej nie podejmować ryzyka.

Zastanawiał się, co się stanie, gdy znajdą Ulrikę. Podejrzewał, że to będzie zależało od jej stanu. Jeśli okaże się więźniarką, wówczas ją uwolnią, ale jeśli została zmieniona w jedną z nieumarłych, cóż wtedy?

Felix nie był pewien swoich uczuć wobec tej kobiety. Kiedyś wydawało mu się, że jest zakochany,

ale gdy minęło początkowe zauroczenie, ten związek okazał się trudny i kłopotliwy. Nie była najłatwiejszą osobą we współżyciu, a Felix podejrzewał, że sam też jest podobny. A jednak coś tam było, jakiś emocjonalny związek między nimi, przynajmniej z jego strony. Nie wiedział, czy będzie potrafił zmusić się, by spróbować ją zabić. Nie – to nie była prawda. Pewien był, że nie potrafi tego zrobić, ani nie potrafi odstąpić i pozwolić, by dokonał tego Gotrek. Był przekonany, że Max myśli dokładnie tak samo.

Ale czy ona dzieliła to uczucie wobec nich? To było prawdziwe pytanie. Rozmawiał o tym z hrabiną, która usiłowała uśmierzyć jego wątpliwości nazywając je przesądnymi lękami. Wychował się wierząc, że wampiry opanowane są przez potworne, podłe duchy, które obracają je przeciwko własnemu ciału i krwi w celu zaspokojenia straszliwego pragnienia.

Hrabina powiedziała mu, że tak nie jest. Wampiry były skazane na picie krwi, ale zachowywały wszystkie swoje stare wspomnienia i afektacje. Problem polegał na tym, że dla nowo przebudzonego wampira pragnienie było niemal niemożliwe do opanowania. Atakowali każdego, kto znalazł się w pobliżu. Zbyt często okazywało się, że są to ich najbliżsi, o ile zabrakło im przewodnictwa starszego, mądrzejszego wampira. Felix nie był pewien, czy wyjaśnienia hrabiny go uspokoiły. Na swój sposób to było równie przerażające, jak teoria o opętaniu przez demony.

Bardziej do rzeczy – powiedziała mu, że jeśli Ulrika jest teraz jedną z Przebudzonych, prawie na pewno znalazła się pod przemożnym wpływem Kriegera. Hrabina twierdziła, że żaden nowo przebudzony wampir nie byłby w stanie przeciwstawić się mocy Oka Khemri. Nalegała, by dał z siebie wszystko, próbując powstrzymać Ulrikę lub ją zabić. W głosie hrabiny pojawiła się dziwna nuta, gdy mówiła o dziewczynie. Zupełnie jakby była zazdrosna. Czy postrzegala Ulrikę jako potencjalną rywalkę o uczucia Kriegera? Jeśli tak, to jakie mogły być prawdziwe pobudki jej działań?

W gęstniejącym mroku, w otoczeniu złowieszczonego lasu, zbyt łatwo było uwierzyć, że to wszystko jest tylko zawiłą intrygą, której celem było zwabienie ich w pułapkę. Czy hrabina rzeczywiście stanęła po stronie śmiertelników przeciwko przedstawicielowi własnego rodzaju? To nie było prawdopodobne. Felix nie potrafił wyobrazić sobie, by sam mógł kiedykolwiek sprzymierzyć z Przebudzonymi przeciw własnemu gatunkowi.

Potrząsnął głową i zaśmiał się gorzko. Był hipokrytą. Jeszcze kilka minut wcześniej przyjmował taką możliwość próbując podjąć decyzję, czy pozwoli Gotrekowi zabić Ulrikę. Najwyraźniej ta sytuacja istotnie była zawiłana. Usiłował oceniać pobudki wampira mierząc ludzkimi kategoriami.

Gdzieś w nocy rozległo się wycie wilka.

– Futrzaste bydlęta – mruknął Gotrek.

Gdy pokonali ostatnie wzniesienie i w polu widzenia pojawił się Drakenhof, Felix był zaskoczony. Wydawało się niemożliwe, że do tej pory nie zauważyli tak potężnej budowli. Chociaż logika podpowiadała, że przed wzrokiem ukrywały ją drzewa i zbocza pagórków, w nagłym pojawieniu się zamku było coś magicznego. Felix spodziewał się zobaczyć coś mniejszego, podobnego do ufortyfikowanych dworków, jakie należały do kislevskiej szlachty. To, co zobaczył, zostało wybudowane w zupełnie innej skali. Wyglądało tak, jakby całe wzgórze przerobiono na zamek. Budynek z pewnością dorównywał kiedyś rozmiarami cytadeli w Praag, a styl architektoniczny, w jakim go wzniesiono, także był niepokojący, chociaż w inny sposób.

Robota kamieniarzy nie była tak kunsztowna. Można było to dostrzec nawet w blednym świetle krwawoczerwonego słońca. Dominujący motyw stanowiły czaszki i kości. Okiennice przypominały trupie czerepy. Monstrualne główne wrota osadzono w rozwartej paszczęce kolejnej gigantycznej

głowy odartej z ciała. Do ścian budowli przywierały szkielety gargulców o nietoperzowych skrzydłach. Felix bat się, że za chwilę ożyją i spadną w ataku na nich. Śnieg osadza! się na kamieniach niczym skorupa, co potęgowało nawiedzony wygląd tego miejsca.

Było jasne, że zamczysko leżało w ruinach od stuleci i upadło podczas jakiegoś oblężenia. W murach widniały wielkie wyrwy po trafieniach machin oblężniczych. Oblicza licznych posągów były obtłuczone, jakby ktoś za pomocą młota usiłował zniszczyć wszelkie wizerunki. To najbardziej przyczyniało się do podtrzymania atmosfery minionej chwały tego miejsca i otaczającej je złowieszczej tajemnicy.

Moment przybycia do tak potężnej budowli ukrytej głęboko w lesie był szokujący. Felix przyzwyczał się myśleć o Sylvania jak o ubogiej krainie – miejscu, gdzie wszystko było mniejsze i skromniejsze niż w innych rejonach jego ojczyzny. Nie spodziewał się ujrzeć czegoś takiego. Zwrócił na to uwagę Maxa.

– To tylko pokazuje, czego można dokonać dzięki nieumarłej sile roboczej – odpowiedział czarodziej.

– Co masz na myśli?

– Bez wątpienia to miejsce zostało wzniesione za pomocą nekromancji, przez tych, kogo laicy zważywymi trupami i ożywionymi szkieletami. Oni nie wymagają jedzenia, snu, ani nie żądają zapłaty. Wszystko, czego potrzebuje budowniczy, to surowe materiały, a praca będzie trwała nieprzerwanie, aż do jej ukończenia. Gdybyśmy przeszukali okolicę, znalazłyby się kamieniołomy, z których pochodzi budulec. Zapewne drewno także pochodziło stąd, ale w ciągu dwóch stuleci drzewa zdążyły odrosnąć.

Felix wpatrywał się w czarodzieja.

– A te rzeźbione zdobienia? Wątpię, by mogły je wykonać bezmyślne sługi.

– Wampirzy Książęta zniewolili całą ludność Sylvania, Felixie. Związali ich strachem, przesądami i czarnoksięstwem. Niewątpliwie mieli na swoich usługach rzemieślników, którzy wykonywali tę robotę w zamian za zachowanie życia swojego i ich rodzin.

– Macie rację, Maxie Schreiberze – odezwała się hrabina. Felix zląkł się. W gęstniejącym mroku nieumarła szlachcianka zbliżyła się do nich tak cicho, że tego nie zauważył. Max jednak nie był zaskoczony. Albo czarodziej wyczuł, że ona nadchodzi, albo lepiej od Felixa maskował swoje uczucia. Zapewne jedno i drugie było prawdą.

– Pamiętam to miejsce, gdy było stolicą całej Sylvania, kiedy arystokracja nocy sączyła krew z kryształowych pucharów w świetle migoczących lichtarzy. Najpiękniejsi młodzieńcy i panny, cali odziani w biel, czekali, aż popłynie ich krew, marząc, że zostaną wybrani, by do nas dołączyć.

– Ta nostalgia w głosie jest zbyt uczuć – powiedział Max.

– To były piękne i straszne czasy – odezwała się Gabriella. W jej głosie brzmiał niespokojny smutek. – Od czasu upadku Lamii, Przebudzeni nie władali śmiertelnikami w sposób tak otwarty, ani nie pożywiali się tak obficie. Niewielu z tych, którzy wśród nich, chciałoby o tym zapomnieć. Niektórzy nigdy nie przestali pragnąć powrotu tamtych czasów.

– Oczywiście, nie jesteście jedną z nich.

– Mam ambiwalentne odczucia, Maxie Schreiberze. Myślałam, że spośród wszystkich ludzi właśnie wy okażecie odrobinę zrozumienia. Czarodzieje także byli wyrzutkami, unikany przez tych, którzy lękali się ich i czuli odrazę do posiadanej przez nich mocy. Czyż nie potrafisz wyobrazić sobie, co to znaczy nie musieć ukrywać kim się jest, lecz móc obnosić się z tym w pełnej chwale?

– Czarodzieje nigdy nie usiłowali stworzyć własnego królestwa i nigdy nie próbowali nękać tych, którzy nie posiadali ich mocy.



Śmiech Gabrielli był dźwięczny, srebrny i przenikliwy.

– Udajecie naiwnych, *Herr* Schreiber. Historia pełna jest przykładów czarodziejów, którzy pragnęli stworzyć swoje własne dominia. Kimże był Nagash, jeśli nie czarodziejem, a przecież podbił największe imperium starożytności? Mój lud ma powody, by to pamiętać. Wielu innym magom udało się zdobyć własne ziemie, choćby tylko na pewien czas. Wierz mi, jestem wystarczająco stara, by pamiętać niektórych z nich.

– Możliwe, ale jako rasa, czy też grupa lub gatunek, nigdy nie pragnęliśmy wywyższać się nad innymi.

– Być może jeszcze nie, ale myślę, że jest tylko kwestią czasu, zanim ktoś tego spróbuje. Śmiertelnicy niestrudzenie eksperymentują z formami swoich rządów. Wcześniej czy później, ktoś pomyśli: Czemu by nie stworzyć krainy, w której będą rządzić ci, którzy władają magią? Czyż nie są zazwyczaj mądrzejsi i bardziej uczeni od zwykłych ludzi, a do tego potężni?

– Sprzeciwiłbym się takim czarodziejom – zapewnił Max. Felix czuł narastające w powietrzu napięcie. Czarodziej i wampirzyca gardzili sobą nawzajem, być może dlatego, że w pewien sposób tak bardzo siebie przypominali.

– Może moglibyśmy zostawić tę dyskusję na jutro – powiedział. – Będzie dość czasu na podobne debaty. W tej chwili marnujemy czas, a legowisko naszego wspólnego wroga czeka przed nami.

Oboje przyglądali mu się przez chwilę, jakby mieli ochotę przemówić mu do rozumu. Wytrzymał, ich spojrzenia najspokojniej jak potrafił i powoli napięcie zelżało.

– Wasze słowa mają sens, *Herr* Jaeger – powiedziała hrabina.

Max skinął głową na zgodę. Felix zobaczył, że reszta ich gromady już zaczęła znikać między drzewami na zboczu wzgórza.

– Dołączmy do pozostałych, zanim za bardzo nas wyprzedzą i będziemy musieli sami przedzierać się przez ten przekłety las.

Zbliżali się do potężnej twierdzy. Felix miał coraz mocniejsze wrażenie, że kroczą w cieniu jakiegoś przerażającego olbrzyma, który w każdej chwili może powrócić do życia i zmiażdżyć ich.

Rozmiary ruin były przytłaczające. Nawet prastare drzewa wokół nich wydawały się zaledwie chwastami. W obliczu starożytnej potęgi, Felix czuł się jak jętka. Zastanawiał się, kto mógłby chcieć tu zamieszkać? A może odczuwał tylko moc zaklęć ochronnych, przed którymi ostrzegęła hrabina?

Wojownicy ostrożnie szli w stronę ziejących otworem wrót zamczyska. Ich wcześniejsza odwaga gdzieś wyparowała. Nikt nie odzywał się słowem. Jedyne dźwiękami, jakie przerywały ciszę, były jęki rannych rozlegające się od czasu do czasu, gdy sanie podskakiwały na koleinach.

Zimny wiatr szarpał płaszczem Felixa. Płatki śniegu uderzały go w twarz. W innych okolicznościach z niecierpliwością pragnąłby znaleźć się w środku, schronić przed wiatrem i chłodem. Teraz włókł swoje stopy, które opornie prowadziły go do ostatecznego miejsca przeznaczenia.

Zrobiło się jeszcze ciemniej. Nagle usłyszał okrzyk przed sobą. Rozejrzał się i dostrzegł przyczynę nagłego poruszenia. W jednej z najwyższych wież pojawił się osobliwy, zielony błędny ognik. Migotał przez chwilę, a potem zgasł. Najwyraźniej to miejsce było zamieszkane, chociaż Felix wolał nie myśleć, jakie stworzenie korzystało z tych diabelskich świateł.

– Wygląda na to, że jesteśmy oczekiwani – powiedział Felix. Gotrek spojrział na niego.

– A to niespodzianka, człeczyno!

– Co myślisz o tym miejscu?

– Kamieniarka wykonana topornie, nawet jak na człeczce standardy.

– Nie o to mi chodziło.

– Myślę, że zobaczymy to, co mamy zobaczyć, jak wejdziemy do środka. Do tego czasu nie ma sensu zgadywać.

Felix potrząsnął głową zdumiony, jak krasnoludowi udaje się zachować spokój w obliczu przerażającego niebezpieczeństwa. Nie – to nie była prawda. Znał Zabójcę na tyle dobrze, by rozpoznać nutę niecierpliwego wyczekiwania w jego głosie. W jedynym oku krasnoluda pojawiło się obłąkane światło. Na zewnątrz mógł sprawiać wrażenie ponurego i niedbałego jak zazwyczaj, ale Felix wiedział, że Gotrek był równie spięty jak on sam.

I miał ku temu powody – tego Felix był pewien.

– To miejsce jest oplecione zaklęciami – powiedział Max. Stał przez chwilę opierając się na swojej lasce i zdawał się rozważać własne słowa. – Nie. To niezupełnie prawda. Ściany podtrzymują wszystkie obronne bariery jakich można spodziewać się w zamku tej wielkości, ale zaklęcia wydają się wypaczone.

– Co to znaczy? – spytał Felix.

– Nie jestem pewien, czy potrafię wytłumaczyć to komuś, kto nie jest magikiem.

– Spróbuj! – rzucił Gotrek.

Mag znowu zaczął iść, z łatwością dotrzymując im kroku. Felixowi wydawało się, że zauważa wokół niego delikatne drżenie ciepłego powietrza. Ciekaw był, czy Max używa magii, by się ogrzać. To z pewnością wiele by tłumaczyło.

– Działa tu coś jeszcze. Cała twierdza przesycona jest mroczną magią. Jest w pewien sposób spaczona, jakby część kamieni budulca zawierała spacznię, albo gdzieś głęboko poniżej znajdowała się żyła tej substancji. Cokolwiek to jest, myślę, że wpłynęło na zaklęcia obronne modyfikując je albo mutując, jeśli wolicie.

– I? – naciskał Felix.

– I nie wiem, jaki jest efekt ostateczny. Podejrzewam, że może być paskudny, podobnie jak spodziewam się, że będzie zakłócał rzucanie zaklęć we wnętrzu twierdzy.

– Cudownie – ironizował Felix. – Powiadasz, że twoja magia będzie bezużyteczna?

– Niekoniecznie. Mówię tylko, że jej rezultaty mogą być stłumione lub nieprzewidywalne.

– Czy sądzisz, że to efekt obecności talizmanu?

– Nie. Nawet kamienie tworzące mury są skąpane w złej magii. Musiały minąć stulecia, żeby tak się stało. Sądzę, że to miejsce stanowi węzeł mrocznej mocy. Nie mam pojęcia, dlaczego tak jest.

– Chciałbyś udzielić nam jeszcze jakiś mętnych ostrzeżeń? – parsknął Gotrek. – Może powinniśmy zapytać Snorriego Gryzonosa i przekonać się, co o tym myśli. Zapewne udzieli nam jaśniejszego wytłumaczenia.

– Wszyscy jesteśmy lekko spięci, Gotreku – powiedział Max, zdumiewając Felixa mistrzowskim zastosowaniem eufemizmu. – Nie musisz sobie pokpiwać.

Gotrek mruknął, a potem splunął na ziemię. Przed nimi majaczyło potężne wejście do twierdzy. Felix zauważył, że kiedyś używano opuszczonej kraty, ale żelazo przywarło do kołowrotu na skutek rdzy. Metalowe bolce, które niegdyś wznaczały odrzwia, leżały w kawałkach na ziemi. Miejsce wyglądało na opuszczone, ale pozory mogły mylić. Kislevczycy na przedzie zatrzymali się, by zapalić pochodnie i wlać oliwę do swoich kilku latarni. Konie rżały nerwowo. Max wykonał gest dłonią i tuż ponad jego wyciągniętymi palcami pojawiła się kula złotego światła. Kolejny gest sprawił, że pomknęła naprzód zataczając kręgi.

Felix żałował, że nie potrafi powtórzyć tej sztuczki. Wyobrażał sobie, że gdy znajdzie się we

wnętrzu twierdzy, umiejętność przywoływania światła może okazać się niezwykle przydatna.

\* \* \*

– To jest wielki przedsiónek – powiedziała hrabina Gabriella. Potrafiła przemawiać cichym, spokojnym głosem, który jakimś cudem docierał do najdalszych osób w grupie.

– Coś takiego! – odpowiedział Gotrek.

– Nawet Snorri by się tego domyślił – powiedział Snorri, a potem zarechotał rozbawiony własnymi słowami.

Wnętrze było ogromne. Sklepienie nad nimi umykało przed wzrokiem. Wokół komnaty biegły szerokie galerie. Słupki w poręczach wycięto na kształt nagich ludzkich szkieletów. Posadzka pod ich stopami pokryta była zniszczoną mozaiką. Felix domyślał się, że kiedyś przedstawiała heraldyczne symbole właściciela twierdzy.

Powietrze zionęło zgnilizną i chłodem. Potężne schody na drugim końcu sali wznosiły się do galerii. Ruch dłoni Maxa wysłał sferę światła w stronę sufitu. Światło zatrzymało się w pobliżu resztek ciężkiego kryształowego świecznika, a jego promienie odbijały się dziwacznie w całej komnacie.

Gotrek obchodził krawędzie ogromnego pomieszczenia. Felix szedł za nim. Dawno temu nauczył się, że największą szansę przeżycia zapewnia sobie trzymając się blisko krasnoluda i jego wielkiego topora. Liczne drzwi prowadziły do mniejszych przejść i komnat. Tu i tam widoczne były zdemolowane obrazy. Fragmenty ścian pokrywały wielkie plamy czarnej pleśni. Olbrzymie karaluchy czmychały przed światłem.

– To złe miejsce – stwierdził Felix.

Ku jego zaskoczeniu, krasnolud roześmiał się. To był odgłos zimny jak ścierające się bloki lodu.

– Zdaje się, że nie tylko nasz czarodziej obdarzony jest zdolnością postrzegania rzeczy oczywistych.

Zawrócili w stronę zebranego oddziału. Obecni byli wszyscy wojownicy, wraz z ich wierzchowcami, a sanie przeciągnięto przez szeroką bramę twierdzy. Hrabina i jej rycerscy towarzysze omawiali coś z Maxem i Ivanem Petrovichem. Felix zbliżył się i usłyszał, o czym rozmawiano.

– Powiadam, rozbijmy tu obóz na wieczór, rozpalmy jasne ogniska i przygotujmy się na atak – powiedział Ivan Petrovich. – Nie wątpię, że nadejdzie.

– Ta pozycja nie jest zbyt korzystna do obrony, jeżeli wróg pojawi się w dużej liczbie – zauważył Max. – To zbyt otwarta przestrzeń i jest tu zbyt wiele wejść. Powinniśmy znaleźć mniejszą komnatę.

– I dać się uwięzić, jak króliki w norze, gdy nadchodzi łasica? – spytał Ivan Petrovich. Zastosowanie tej analogii przekonało Felixa, jak bardzo podenerwowany był Kislevczyk, mimo zachowania pozorów opanowania.

– Zapominacie, kto i co zbudowało to miejsce – powiedziała hrabina. – Cały dwór pełen jest tajnych przejść. Jeśli rozbijemy tu obóz, przynajmniej będziemy widzieli zbliżających się napastników.

– I będziemy mieli otwarte pole do walki – dodał Rodrik. – Nie zamierzam chować się przed wrogiem.

– Nie tak, jak wtedy, gdy biliśmy się z wilkami, co? – zawołał Gotrek. Gdyby wzrok mógł zabijać, spojrzenie rycerza wbiłoby go w ziemię. Krasnolud spojrzał wyzywająco na hrabinę. – Tajne przejścia, co? Jestem krasnoludem, a nie zostało wybudowane tajne przejście, którego krasnolud nie

potrafiłby znaleźć.

– Sugerujesz, że powinniśmy ukryć się jak przestraszone dzieci? – spytał Quentin. Jego piskliwy głos był jeszcze bliższy załamania niż zwykle.

Gotrek łypnął na niego złośliwie.

– Z pewnością właśnie je mi przypominasz.

Felix westchnął bezgłośnie. Krasnolud po raz kolejny odezwał się bardzo dyplomatycznie. Pomieszczenie było pełne uzbrojonych ludzi, przestraszonych i gotowych do walki, a co on robił? Usiłował podłożyć ogień pod stóg wyschniętego siana.

– Nikt nie sugeruje, żebyśmy się chowali – powiedział pospiesznie Felix, zanim sytuacja zdążyła pogorszyć się jeszcze bardziej. – Dyskutujemy nad najlepszym planem dalszego działania i zniszczenia potwora, który tutaj mieszka. To wszystko.

Ku jego zaskoczeniu pozostali skinęli głowami, jakby właśnie powiedział coś przekonującego – nawet Gotrek zdołał zatrzymać swój język za zębami. Felix postanowił wykorzystać tę chwilę.

– Musimy znaleźć miejsce, w którym nasi ranni będą bezpieczni, a zapasy dobrze strzeżone. Będą nam potrzebne, gdy stąd wyjedziemy, chyba że ktoś z was odkryje sposób pożywiania się samym śniegiem.

Rozejrzał się.

– Ten mrok to zapewne nienajlepszy czas na poszukiwanie schronienia w przyległych komnatach. Kto wie, co możemy tam znaleźć, a nie chcemy się rozdzielać.

Zobaczył, że jeszcze raz zaczęli tracić opanowanie. Nie potrzebowali zrównoważonej oceny sytuacji. Większość z nich była przestraszona i oczekiwała stanowczego przywództwa. Tym razem postanowił im dać to, czego potrzebowali.

– Rozpalimy ogniska tutaj, rozdzielimy między sobą warty i przeczekamy noc. Rankiem, gdy będzie więcej światła, poszukamy naszego wroga.

Skinęli zgodnie głowami. Ludzie już zaczęli szykować ogniska pośrodku komnaty. Niektórzy z nich przywiązywali konie do płóz powozu i sań. Wojownicy sprawdzali swoje luki i ustawiali latarnie, by jak najlepiej oświetlić teren. Max wysłał lotem spiralnym pod sufit jeszcze kilka kul światła. Chygotały i niepokojąco migotały, ale przynajmniej nadal zapewniały jakąś iluminację.

W oddali rozległ się skrzekliwy bełkot ghula. Echo uniemożliwiło dokładne określenie kierunku, z którego docierał odgłos. Odpowiedź nadeszła gdzieś z przeciwnej strony.

Felix nagle poczuł ulgę, że nie zdecydowali się na sprawdzenie przyległych pomieszczeń. Dostrzegwał, że pozostali też tak pomyśleli.

Adolphus Krieger spoglądał na zebranych śmiertelników z balkonu nad wielkim przedsionkiem. Swoim magicznym zmysłem dostrzegwał błyszczącą sieć magicznych barier tkanych przez czarodzieja. Migotały, gdy własne zabezpieczenia twierdzy próbowały je zakłócić, ale mimo to zachowywały swoją spójność.

Ze znacznej wysokości ludzie wyglądali jak mrówki, ale pozory myliły. Krieger nie zamierzał lekceważyć swoich przeciwników. To był kardynalny błąd, który popełniało tak wielu jemu podobnych, gdy stykali się ze śmiertelnymi. Rozważał, czy rzucić przeciwko intruzom przytłaczający liczebnie oddział złożony z chodzących trupów i ożywionych szkieletów, który uderzy w jednym wielkim natarciu. Odrzucił jednak ten pomysł. Będzie miał na to dość czasu. Był na swoim terenie. Ghule i jego śmiertelni wielbiciele znali wszystkie przejścia lepiej od tych ludzi na dole, a stare zabezpieczenia zamczyska nie przeszkodzą im w poruszaniu się. Na początek, powinien wyłuskać kilku z natrętów, jednego po drugim, a gdy osłabi przybyszów i podkopie ich morale, wówczas

zniszczy pozostałych.

Przyglądał się im, odczuwając zadowolenie z siebie, do chwili, gdy zauważył znajomą postać przesuwaną się między zebranymi śmiertelnikami. Hrabina! Co ona tu robiła? Nie spodziewał się zobaczyć jej tak wcześnie. Zdumiewało go, jak silnie na niego wpływała, nawet po tylu latach. Czuł się jak uczeń, którego czeka rozmowa z surową matką. Powtarzał sobie, by nie był śmieszny, miał przecież Oko Nagasha, a ona nic nie mogła mu już zrobić. Powtarzał to sobie, ale wcale nie zmniejszało to szoku, ani nie osłabiało nawrotu dawnych emocji, które rozpały się w jego umyśle.

Z pewnością spiskowała wraz z jego wrogami, ale dlaczego? W jaki sposób towarzyszenie tym głupim śmiertelnikom mogło pomóc w realizacji jej planów? Wzruszył ramionami. To akurat łatwo było zrozumieć. Widocznie miała nadzieję, że go *zabiją* i pozwolą jej przejąć Oko Khemri. Jak zawsze, wolała wykorzystać innych do swoich celów. Dziwne było jednak, że przebyła całą tę drogę i wystawiła na niebezpieczeństwo swoją cenną osobę. Uśmiechnął się obnażając zęby, gdy przepłynęła przez niego złość.

Skradał się wzdłuż balkonu dotykając palcami talizmanu. Z drugiej strony, hrabina nigdy nie była tchórzem, a zapewne do działania pchała ją desperacja. Było mało prawdopodobne, by akurat ci śmiertelnicy, tam na dole, łatwo dali namówić się na oddanie jej Oka. A teraz, gdy rozpoczęło się przywoływanie, wkrótce pojawią się tutaj inni Przebudzeni. Hrabina nie mogła ryzykować, że tamci dostaną artefakt. Najwyraźniej, ostateczne pobudki jej działań były jednak proste i zrozumiałe.

Ciekaw był, czy jej śmiertelni pachołkowie wiedzą, w co się wpakowali. Znaleźli się między nim a hrabiną i nie mieli szans wyjść z tego z życiem. W pewien sposób uczyni im łaskę zabijając hrabinę, zanim ta zdąży narzucić im swoją wolę.

Oczywiście, i tak będą musieli mu służyć, jako żołnierze w jego wskrzeszonych legionach.

– Mam wrażenie, że coś się nam przygląda – powiedział Felix. Spojrzał w górę czując mrowienie skóry i domyślając się czyjeś obecności na balkonie powyżej. Coś spoglądało na nich wzrokiem jastrzębia wypatrującego polnej myszy.

– Mógłbyś się o to założyć, człeczyno – odparł Gotrek. – Może pójdziemy rzucić tam okiem?

Felix miał ochotę spytać krasnoluda, czy nie postradał zmysłów, ale nie zrobił tego. Znał już odpowiedź. Zabójca nie rozumował tak jak większość ludzi. Felix powiedział: – Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

Jednak Zabójca kroczył już w stronę wielkich schodów. Felix przez chwilę miał ochotę puścić go samego, ale potem ruszył za nim. Po części dlatego, że złożył przysięgę, by podążać za Zabójcą i opisać jego śmierć, a po części dlatego, że spodziewał się, iż w tym miejscu najbezpieczniej było trzymać się blisko Zabójcy i jego topora. A potem zorientował się, że nie *ma* światła i popędził z powrotem do stłoczonych ludzi i chwycił latarnię.

– Ot! Gdzie idziesz? – krzyknął Snorri Gryzonos. Felix zobaczył, że przyglądają mu się pozostali siedzący wokół ognia.

– Zamierzamy pójść na krótkie zwiady – odpowiedział Felix.

– Nie pójdziecie bez Snorriego. Jeśli będzie jakaś bijatyka, Snorri chce wziąć w tym udział.

– Proszę cię bardzo – odparł Felix, gdy drugi Zabójca pospieszył przyłączyć się do nich. Widząc niespokojne spojrzenia ludzi przy ognisku, Felix nie był zaskoczony, że nie zgłosili się inni ochotnicy.

Krieger patrzył w dół, z niedowierzaniem. Dwa krasnoludy i człowiek naprawdę wyruszyli go szukać. Albo byli szaleni, albo nadzwyczaj pewni siebie. Tak, czy inaczej, nie dbał o to. To była doskonała okazja. Jego wrogowie rozdzielili swoje siły, a zatem zmniejszyli efektywność grupy.

Zamierzał w pełni to wykorzystać. W tej chwili pozostawało mu tylko czekać.

– Przydałoby się tu małe sprzątanie – powiedział Felix, gdy wspinali się po schodach. Między słupkami balustrad zwieszały się pajęczyny. Bardzo duże pająki uciekały przed światłem. Pod butami dziwnie skrzypiały stopnie schodów. Nie po raz pierwszy Felix żałował, że nie potrafi widzieć w ciemnościach, tak jak krasnoludy. Latarnia sprawiała, że stanowił łatwy cel dla czegokolwiek, co czaiło się w ciemnościach. Żadne z napotkanych dotychczas stworzeń nie miało najmniejszych problemów z dawaniem sobie rady bez światła.

– Zachowaj swoje narzekania dla służby – odrzekł Gotrek zatrzymując się na szczycie schodów, by przez chwilę przyjrzeć się otoczeniu.

– Trudno teraz o dobrą pomoc domową, jak sędzę – rzekł Felix, spoglądając przez ramię krasnoluda. – Mój ojciec zawsze tak mawiał.

Schody kończyły się na poziomie galerii biegnących w lewo i w prawo wokół ścian wielkiej sali. Kolejne drzwi prowadziły do następnych komnat. Tu i tam ściany przykrywały wielkie malowidła. Mniej więcej w połowie wysokości sali, po obu jej stronach, w górę wspinały się inne schody. Było bardzo cicho. Felix słyszał głosy ludzi na dole oraz ciche, nerwowe parskanie koni. Przesunął palcami po oparciu balustrady. Gdy je cofnął, były pokryte grubą warstwą kurzu. Nie zauważył żadnych śladów wroga, ale nadal przechodziły go dreszcze. Spojrzał na sklepienie, spodziewając się, że zobaczy ogromnego *pajaka*, który opada mu na głowę. Nie dostrzegł jednak niczego, za wyjątkiem barwionego i poplamionego tynku na suficie, który stanowił także podłogę galerii powyżej.

Felix wszedł na galerię. Podłoga skrzypiała pod jego stopami. Zastanawiał się, na ile bezpieczne jest to miejsce. Nie było przecież konserwowane od dwóch stuleci. Szedł ostrożnie spodziewając się, że w każdej chwili podłoga pod nim może ustąpić.

Podszedł do najbliższego obrazu i zbliżył latarnię, by mógł go obejrzeć. W zdobionych złotem ramach tkwił portret wysokiej, bladej kobiety o klasycznej urodzie i czarnych włosach upiętych wysoko w kunsztownej koafiurze. Stała przy oknie. Wielki rogal księżycy zajmował większą część nieba za nią. W jednej dłoni trzymała kryształową szklanicę. Felix miał nadzieję, że wypełniała ją czerwone wino. Druga spoczywała na głowie klęczącego mężczyzny. Rysy jego twarzy były niepokojąco zwierzęce.

Malarz zadbał, by uchwycić kobietę w pozie sugerującej, że głaszcze klęczącego, zupełnie jak szlachetna dama z Imperium mogłaby pieszczotliwie drapać oswojonego lamparta. Wrażenie to pogłębiał zerwany srebrny łańcuch zwisający z szyi mężczyzny.

– Snorri myśli, że to zła kobieta była – odezwał się Snorri Gryzonos stojący tuż za Felixem. Oblicze kobiety przekonywało o jej wielkiej władzy i wysublimowanym okrucieństwie. Być może sprawiały to lekko rozchylone nozdrza i odrobinę skrzywione, smutne, czerwone usta.

– Bez wątpienia to jedna z wampirzych hrabin – powiedział Felix. – Słyszałem, że kiedyś wszyscy zbierali się w tym miejscu.

Skradali się po skrzypiącej galerii do następnego portretu. Tym razem przedstawiał bladego mężczyznę, brodatego i wyglądającego na arystokratę. Miał bogaty strój ciemnej barwy. On także dzierżył w dłoni puchar czerwonego wina. Na jego szyi wisiał ciężki, złożony róg łowiecki. Obuta stopa spoczywała na klatce piersiowej martwego człowieka, nadając stojącemu pozę myśliwego triumfującego nad upolowanym jeleniem. Tu także w tle trwała noc. Ten mężczyzna uśmiechał się z pewnością siebie, obnażając dwa wystające kły. Emanował władzą i mocą, pewien swojej przewagi i prawa dominowania nad innymi. Podobnie jak pozostałe, obraz wyszedł spod ręki geniusza.

Niemalże wydawało się, że portretowany ma zamiar za chwilę zejść z obrazu. Felix wzdrygnął się. Wolał nie dopuszczać do siebie takiej myśli.

Minęli kolejne obrazy, na przemian portrety mężczyzn i kobiet, wszystkie równie pięknie wykonane i równie niepokojące, jak dwa pierwsze. W tle wszystkich widniała nocna sceneria. Jeden z obrazów przedstawiał kobietę ubraną jak bogini, w koronie liści laurowych na głowie i z łukiem w dłoni. Był tam także potężnie zbudowany mężczyzna, obnażony do bioder i wyglądający na silnego jak byk. Miał ogoloną głowę i nosił wielkie wąsy morsa. Częstował oglądających pucharem czerwonego płynu, uśmiechając się do dziecka, które przytulało się do jego nogi. Oczy dziecięcia lśniły złowieszczą czerwienią.

Felix zatrzymał się przed piątym obrazem, ponieważ wydawało mu się, że rozpoznaje zarysy twarzy hrabiny. Z pewnością proporcje zgadzały się, a twarz wyglądała jak tamta, skryta za woalką. Oczywiście, nie mógł być pewny, ale było możliwe, że hrabina pozowała dla artysty te długie wieki temu.

Pośpiesznie minął ten obraz. Gotrek ani Snorri nie spędzali tak wiele czasu w towarzystwie hrabiny, zatem wątpił, by któryś z nich ją rozpoznał. Nie chciał ryzykować, by, Snorri zauważył to w tej chwili. Mógłby popędzić prosto na dół i wszcząć walkę, chociaż to mogło być nienajgorszym pomysłem. Felix spojrzał w tył przez ramię. Gotrek i Snorri sprawdzali drzwi, badając wnętrza komnat za nimi. Postanowił przyjrzeć się następnemu malowidłu i poczekać na nich.

Natychmiast rozpoznał sportretowanego mężczyznę. To był bez cienia wątpliwości Adolphus Krieger, odziany w ciężkie, czarne szaty. Pod lewym ramieniem ścisnął książkę, w prawej dłoni trzymał kielich czerwonej cieczy. Otaczały go dwie zachwycone kobiety klęczące u jego stóp – nagie, nie licząc przejrzystych okryć. Na ich twarzach rysowało się coś, co można było określić tylko jako całkowite uwielbienie.

Felix zatrzymał się, by przyjrzeć się obrazowi. Krieger wyglądał na arystokratę w każdym calu: był arogancki, zuchwały, nieulekły. Na jego ustach błąkał się tajemniczy uśmiezek.

– To bardzo dobra podobizna, nieprawdaż? – odezwał się głos w pobliżu. Felix odwrócił się gwałtownie, wrywając swój miecz z pochwy. Spojrzał w stronę, z której dobiegły go słowa. Miał wrażenie, jakby wizerunek z obrazu ożył i stanął przed nim. Krieger wyglądał tak samo jak na portrecie.

– Belardo był na swój sposób geniuszem. Zawsze uważałem go za jednego z największych tileańskich malarzy. Oczywiście, pospólstwo nigdy nie wybaczyło mu, że pracował dla nas. Słyszałem, że po Bagnie Hel został spalony na szczycie stosu swoich dzieł na rynku w Talabheimie. Ktoś wydał go, gdy usiłował w tajemnicy wymknąć się z miasta.

Nie odrywając oczu od wampira, Felix postawił lampę na podłodze.

Krieger wyglądał na równie odprężonego, jak na obrazie, ale instynkt ostrzegał Felixa, że zaatakowanie go byłoby wielce nierozważne. Zamiast tego zaczął powoli przesuwać się naprzód, z wysuniętym przed siebie ostrzem i napiętymi nerwami. Wątpił, by kiedykolwiek w swoim życiu był bardziej spięty. Nie opuszczając wzroku zawołał:

– Gotrek! Snorri! Spójrzcie, co wypełzło z nory!

– Proszę, proszę, *Herr Jaeger*, to było niezbyt uprzejme. Przyszedłem uciąć sobie z tobą miłą pogawędkę, a ty zaczynasz rzucać obelgami.

– Wolałbym raczej rzucić tobą z balkonu. Co zrobiłeś Ulrice?

Wampir uśmiechnął się pokazując swoje kły. Tupot stóp upewnił Felixa, że Zabójcy już do niego biegli.

– Nie, wyrządziłem jej żadnej krzywdy, zapewniam cię. Jestem pewien, że ucieszy się na twój

widok.

Felix był coraz bliżej. W pełni zdawał sobie sprawę, jak wysoko znajdowali się nad wielką salą poniżej. Nie wątpił, że wampir był wystarczająco szybki i silny, by bez trudu przetrzucić go nad balkonem, jeśli tylko da mu ku temu najmniejszą okazję. Felix nie zamierzał na to pozwolić, dopóki mógł cokolwiek zrobić.

– Gdzie ona jest?

– Jeśli chcesz ją odnaleźć, musisz to zrobić sam. Jest gdzieś w zamku.

Felix zbliżył się do Kriegera prawie na wyciągnięcie miecza. W obawie przed pułapką zbadął podłogę przed sobą, delikatnie naciskając na nią stopą, a potem przeniósł ciężar ciała. Nie podobało mu się zbyt pewne siebie spojrzenie wampira. Do tej pory nie dobył swojej broni. Na jego gardle połyskiwało hipnotycznie Oko Khemri.

– A teraz giń, krwiopijco! – ryknął Gotrek.

Krieger uśmiechnął się szerzej. Uniósł rozstawione szeroko ramiona. Wokół jego stóp pojawiła się spieniona mgła, która zakryła całą postać. Krieger zaczął znikać, zupełnie jakby jego ciało rozpuszczało się w wirujących oparach. Słaby powiew rozkładu uderzył w nozdrza Felixa. Skoczył naprzód i ciął mieczem w miejscu, w którym chwilę wcześniej dostrzegł zarysy wampira.

Ostrze nie natrafiło na żaden opór. Zamiast tego odczuł okropne przyspieszenie, gdy jego stopa przebiła się przez przegniłe deski podłogi. Cały świat zawirował wokół niego. Upuścił swój miecz, desperacko usiłując złapać się czegoś, by zapobiec upadkowi na twardą podłogę wielkiej sali, tak bardzo odległej.

– Gotrek! Snorri! To pułapka! – krzyknął. Okrutny, dobiegający z oddali śmiech dzwonił *mu* w uszach. Podłoga pod nim poddała się i zaczęła spadać. Felix chwycił za krawędź otworu. Drewniane drzazgi wbiły się w jego dłonie. Ból przeszył zakończenia nerwów. Felix zmusił się do utrzymania uchwytu, wiedząc, że jeśli puści, nic nie uchroni go przed śmiertelnym upadkiem. Stare, przegniłe deski zaczynały się rozpadać. Rozpaczliwie młócił na wszystkie strony prawą ręką, usiłując znaleźć lepsze oparcie. Poruszenie okręciło jego ciałem i poczuł, że palce tracą uchwyt. Daleko pod jego butami czekała na niego śmierć.

Jęcząc próbował złapać się czegokolwiek, ale na próżno. Ustąpiło ostatnie oparcie dla palców. Poczul ścisnięcie w żołądku, gdy porwała go grawitacja i rzuciła w objęcia nieuniknionej śmierci.



## Rozdział 11

Silne palce zacisnęły się na nadgarstku Felixa. Miał wrażenie, że nagle szarpnięcie wyrwie mu rękę ze stawów. Uniósł wzrok i zobaczył wytatuowane ramię Zabójcy. Gotrek trzymał go jedną ręką. Snorri stał z szeroko rozstawionymi nogami z dłonią zaciśniętą na pasie Zabójcy, trzymając go na wypadek, gdyby podłoga ustąpiła pod jego ciężarem. Chwilę później Felix został wyciągnięty z otworu.

Z trudem chwycił oddech. Otarł pot z czoła i próbował uspokoić łomoczące serce. Żaden z krasnoludów nie okazywał śladów zmęczenia. Snorri podszedł spokojnie do upuszczonego miecza Felixa, podniósł go i oddał.

– Snorri myśli, że to niedobra chwila, żeby wyrzucać swoją broń, młody Felixie – powiedział.

– Jestem skłonny zgodzić się z tobą – odparł Felix, kuśtykając do miejsca, w którym zostawił latarnię. Skrzywił się zacisnąwszy palce na rękojeści broni. Drzazgi z popękanej podłogi wbiły się głęboko w jego skórę. Przez chwilę przyglądał się swojej dłoni, a potem powyciągał drzazgi za pomocą sztyletu.

– O co poszło, człeczyno? – zahuczał Gotrek.

Felix spojrzał na krasnoluda.

– On ma Ulrikę. Jest gdzieś tutaj. Przynajmniej tak powiedział.

– Może chce tylko żebyśmy pobiegli jej szukać?

Felix skinął głową. To było prawdopodobne, zważywszy na to, co się właśnie stało. Ostatecznie to było terytorium wampira. Znał je doskonale. Mógł wodzić ich za nos, aż wpadną w następną pułapkę. A jednak Felix nie widział innego wyjścia.

Nagle zobaczył Kriegera, który ponownie pojawił się znacznie dalej na balkonie. Pomachał szyderczo, jakby ich wyzywał, prowokując, by do niego przybiegli. Snorri Gryzonos popędził naprzód, a jego śladem ruszył Gotrek.

– Czekać! – krzyknął Felix. – A jeśli on prowadzi nas w pułapkę?

– W takim razie chyba go nie zawiedziemy, człeczyno? Prawda?

– Chyba nie – mruknął Felix szybko następując na pięty krasnoludom.

Max Schreiber spojrzał w stronę sufitu. Przez chwilę widział stopę Felixa zwisającą przez dziurę w podłodze, a potem Felix znowu zniknął na górze.

– Co się tam dzieje? – spytał Ivan Petrovich.

– Zadaję sobie dokładnie to samo pytanie, mój przyjacielu – odparł Max.

– Powinniśmy tam pójść i pomóc im.

– Nie słyszałem żadnego wołania o pomoc – powiedział Max. – I nie wydaje mi się, by ktokolwiek lepiej potrafił zadbać o siebie niż ta trójka.

– Myślę, że masz rację.

– Nie obawiaj się. Niedługo wrócą.

Podszedł jeden z łuczników.

– Wydawało mi się, że zauważyłem na galerii jeszcze jednego człowieka.

Max wiedział, że łucznik stał w miejscu zapewniającym lepszy ogląd sytuacji.

– Opisz go.

– Nie widziałem zbyt dobrze w półmroku. Ale był wysoki, blady i miał czarne włosy. Zupełnie jak

ten, którego ścigamy.

Konny wojownik wyglądał na przestraszonego, ale Max nie mógł go za to winić.

– Powinniśmy tam pójść – odezwał się Ivan. Max potrząsnął głową. Skoncentrował się i rozpoczął inkantację. Poczł nagły zawrót głowy, gdy pokonywał dziwny opór, jakie stawiało to otoczenie, a potem spojrzł z wysokości sfery światła unoszącej się nad jego ramieniem. Przez chwilę odzyskiwał orientację, aż jego mózg przyzwyczał się do faktu, że ogląda z góry samego siebie. Siłą woli uniósł sferę i przyglądał się uciekającemu pod nim obozowi. Następnie wysłał sferę po łuku w stronę dziury w podłodze galerii. Poczł lekkie mdłości na dnie żołądka. Nigdy nie lubił korzystać z tego zaklęcia. Gdy przesuwiał swój ruchomy punkt widzenia na znaczne wysokości, zaczynało kręcić mu się w głowie.

Zajrzał przez otwór, ale niczego nie zobaczył. Szybko posłał światło wokół całej galerii, wiedząc, że musi działać pośpiesznie. Zamiana sfery w magiczne oko wymagała stworzenia złożonego splotu mocy, który trudno było tu utrzymać. Niedługo rozplacze się, mimo najwyższej koncentracji czarodzieja. Max przeklinał pod nosem zapory z mrocznej magii, jakie nałożono na to miejsce.

Oko przemknęło wzdłuż galerii portretów. Nie zauważył nikogo, żadnych śladów walki, żadnych ciał ani krwi. Jego towarzysze znikli. Najbardziej logicznym wyjaśnieniem było założenie, że po prostu opuścili galerię przez jedne z wielu drzwi. Ale dokąd i dlaczego? Było tam zbyt wiele wyjść, by zdążył je zbadać, zanim zaklęcie zniknie. Na razie marnował tylko moc. Otworzył swoje własne oczy i zaklęcie rozsypało się. Złote oko nad jego głową rozsypało się w fontannie iskier.

– Nie ma ich – powiedział Ivanowi Petrovichowi.

– Zginęli? – Stary bojar wyglądał na przybitego.

Max potrząsnął głową.

– Nie było ich tylko w zasięgu mojego magicznego wzroku. Nie ma potrzeby zakładać najgorszego.

Żałował, że nie czuje takiej pewności siebie, jaką udało mu się utrzymać w głosie i przeklinał Zabójców za to, że wzięli udział w tak szalonej gonitwie.

– Zbiorę kilku z ludzi i poszukamy ich.

– To nie byłoby mądre, Ivane Petrovichu. Nasze siły są już zdecydowanie bardziej rozproszone niż nakazywałyby rozsądek. Po co ryzykować stratę następnych?

Max był przekonany, że w tym miejscu, o tej porze, potrzebowali wszystkich zasobów, jakie mogła zapewnić połączona grupa. Zauważył, że hrabina i jej słudzy spoglądają na niego badawczo. Max miał szczerą nadzieję, że nie sprowadzili ze sobą wewnętrznego wroga. Sądząc po tych spojrzeniach nie postawiłby na nich złamanego grosza.

Felix biegnąc truchtem przez korytarz pomyślał, że jedno w krasnoludach jest dobre. Łatwo było za nimi nadażyć. Z powodu krótkich kroków, każda pogoń z udziałem krasnoludów była z natury rzeczy bardzo wolna. Wampir mógł zostawić ich w tyle, gdyby tylko zechciał, co oznaczało, że ma swoje powody, by wciągać ich coraz głębiej w starożytną warownię.

Felix całkiem stracił poczucie czasu i odległości od chwili, gdy opuścili wielką salę. Nie miał pojęcia, gdzie byli i jak uda się im wrócić. Całe to miejsce było labiryntem. W pościgu mijali niekończące się pasażę kolejnych pokojów pełnych podupadających resztek dawnej chwały, gnijących mebli i rozsypującego się w pył piękna. Pamiętał zauważane w biegu strzępy łuszczących się tapet i ściany pokryte czarnymi plamami pleśni, malowane sufity, na których podobne bogom wampiry przedstawione na blaknących freskach spoglądały w dół na sceny piekielnego okrucieństwa. Jego nozdrza wypełniał smród pleśni, rozkładającej się skóry i zastalej wody.

Kolejne dziesięć minut gonitwy niszczącymi komnatami przekonało go o czymś jeszcze. Jedną ze

złych rzeczy w krasnoludach było to, że według ludzkich standardów były praktycznie niestrudzone. Po długiej chorobie Felix nie był w najlepszej kondycji fizycznej. Z jego czoła spływał pot. Z trudnością łapał oddech. Czuł, że brakuje mu powietrza i coś kłuło go w boku. Daleko przed nimi majaczyła szyderczo sylwetka Kriegera. Felix stwierdził, że nie pójdzie już dalej.

– Poczekajcie! – wystękał, zginając się w pół i opierając dłonie na udach. – Czekaście! Tylko się zgubimy.

Zabójcy niechętnie zatrzymali się i odwrócili w jego stronę.

– Krasnoludy nie gubią się – powiedział Gotrek.

– To nie całkiem prawda – odparł Felix. – Przypominam sobie kilka takich przypadków. Na przykład, kiedy wracaliśmy z Księstw Granicznych...

– Powiem to inaczej, człeczyno. Krasnoludy nie gubią się pod ziemią, w kopalniach, ani w głębokich jamach.

– Może się czepiam, ale nie jesteśmy w kopalni.

– Jesteśmy w budynku. Zasady są te same. Pamiętam każdy zakręt i załom każdego przejścia jakie minęliśmy. Podobnie jak Snorri.

– Zgadza się – powiedział Snorri. – Snorri potrafi znaleźć drogę z powrotem z zamkniętymi oczami.

– Nie sądzę, by to było konieczne – rzekł Felix. Spojrzał w głąb korytarza. Nigdzie nie było widać Kriegera. – Zdaje się, że nasz ulubiony krwio pijca martwi się teraz, że nie bierzemy udziału w jego małej gierce.

– Być może nie do końca, człeczyno.

– Co masz na myśli?

– Zdaje się, że sprowadził ze sobą kilku kolegów.

Felix spojrzał na Zabójcę. Nie miał pojęcia, o co chodziło Gotrekowi.

– Słuchaj! – rzucił Zabójca. – Nie słyszysz ich?

Felix potrząsnął głową. Słyszał tylko swój własny nierówny oddech i łomotanie serca w piersi. Gotrek i Snorri szczyrzyli się do siebie w oczekiwaniu na coś niewidocznego. To był zły znak. Serce Felixa zamarło.

Kilka chwil później usłyszał, o czym mówili – to było odległe, ciche szuranie wielu stóp, dziwne piskliwe głosy, w których brzmiało jednak coś ludzkiego.

– Ghule – powiedział grobowym głosem i przeciął kilka razy powietrze swoim mieczem, usiłując rozluźnić mięśnie przed walką.

– Całe mnóstwo – ucieszył się Snorri.

– Z tyłu też nadchodzą – dodał prawie radośnie Gotrek.

– Pułapka – powiedział Felix.

– Przekonamy się, dla kogo – rzekł Gotrek uśmiechając się paskudnie. Przesunął kciuk wzdłuż ostrza swojego topora.

Pojawiła się jasna kropla krwi. Felix, porzuciwszy wszelką nadzieję, łypał na lewo i na prawo. W obu kierunkach dostrzegał słabe punkty czerwonego światła – odbicie jego latarni w ślepiach potworów.

Krieger uśmiechał się z zadowoleniem. Sprawy rozwijały się po jego myśli. Udało mu się z niezwykłą łatwością wywabić głupie krasnoludy z dala od kompanów. Teraz zatrzyma ich jego armia ghuli. Być może to była dobra chwila na zmianę początkowych planów i zaatakowanie Kislevczyków w wielkim przedsięwzięciu. Pomknął korytarzem pieszczotliwie gładząc Oko Khemri i posłał przez

ciemność swój cichy zew. Usłyszeli go jego nieumarli słudzy w całym ogromnym gmachu.

Max otworzył oczy, gdy poczuł dotyk wampira na sieci utkanych wokół siebie zaklęć ostrzegawczych. Natychmiast rozbudził się, z ulgą zostawiając za sobą koszmary i spojrzał na hrabinę.

– Na waszym miejscu nie podchodziłbym bliżej – powiedział zaniepokojony. Lekiem napawała go myśl o tym stworze, który zbliżył się do niego podczas snu. – Może uruchomić się parę wyjątkowo paskudnych zaklęć.

Hrabina poprawiła woalkę.

– Zauważyłam. Właśnie dlatego nie próbowałam was dotykać.

A zatem dostrzegała jego sieć zaklęć na tyle dobrze, by wiedzieć, co może je wyzwolić. Warto było o tym pamiętać. Max doceniał wagę takiej wiedzy. Hrabina zadrżała.

– Przyszłam powiedzieć wam, że Krieger coś szykuje. Wysła przywołanie do wszystkiego w tym miejscu co mroczne i co może odpowiedzieć na jego zew. Tutaj może być mnóstwo takich rzeczy.

– Wierzę – odrzekł Max. Był bardziej niż lekko zaniepokojony. Jego własne zaklęcia powinny obudzić go natychmiast, gdy to się stało. Najwyraźniej mroczna magia przenikająca to miejsce w większym stopniu tłumiła jego moce, niż zdawał sobie sprawę. Jeszcze raz przeklinał tego, kto stworzył te bariery, a potem odsunął od siebie tę myśl jako zbyt dziecinne narzekania. Przekleństwa nie mogły pomóc jemu ani Ulrice.

– Myślę, że powinniśmy przygotować się na atak – powiedziała Gabriella. – Wysłałam już Rodrika, aby obudził pozostałych.

Wszędzie wokół niego Kislevczycy ścierali resztki snu z oczu i sięgali po swoją broń. Konie szarpały się niespokojnie, jakby wiedziały, że wydarzy się coś strasznego. Max żałował, że Gotrek i Felix nie zostali z nimi. Ich broń zapewniała znaczną przewagę w każdej bitwie. Nie było jednak sensu życzyć sobie tego, co niemożliwe. Co się stało, to się nie odstanie. Musiał zadowolić się tym, co miał.

– Potrafisz, pani, wyczuwać obecność innych w tym miejscu? – zagadnął, zdając sobie nagle sprawę, o co pyta.

– Tylko jeśli znajdą się bardzo blisko. Iskra mrocznej magii animuje większość nieumarłych konstruktów. Powinniście być w stanie je wykryć, podobnie jak ja. Domyślam się tylko, że Krieger wysłał przyzwanie spodziewając się, że ktoś na nie odpowie.

– To byłoby logiczne.

Gabriella skinęła głową.

– *Herr Schreiber*, wkrótce będziemy walczyli o własne przetrwanie, a karą za porażkę może być coś znacznie gorszego niż śmierć. Chciałabym, abyśmy dobrze zrozumieli kilka spraw, zanim rozpocznie się walka.

– Na przykład?

– Na przykład to, że oboje stoimy po tej samej stronie. Nie życzę sobie, by cokolwiek przydarzyło się mnie lub moim ludziom w zamieszaniu bitewnym. Wystarczająco trudna będzie walka z jednym wrogiem i nie powinniśmy bać się, że za naszymi plecami pojawi się drugi nieprzyjaciel.

– Sam myślałem o tym samym.

– A zatem, podtrzymujemy rozejm?

– Tak było od czasu opuszczenia „Pod Zielonym Człkiem”. Nie zamierzam jako pierwszy zerwać układu.

– Ani ja.

– Mam szczerą nadzieję.

Wampirzyca odwróciła się, by odejść.

– Hrabino! – Spojrzała na niego przez ramię.

– Jeśli złamiesz nasze przymierze, wasza egzystencja dobiegnie końca. Możesz być tego pewna.

Przez chwilę w jej oczach zabłyśły piekielne ognie. Płonął w nich nagi, nieskrywany gniew.

Obnażyła groźnie swoje kły.

– Nie lubię pogróżek, *Herr Schreiber*.

Max wzruszył ramionami.

– To nie była pogrożka. To była obietnica.

Roche wyrwał przez drzwi, splótł palce i z trudem powstrzymał się od trzaśnięcia kłykciami. Nie mogło mu pomieścić się w głowie, że tak nieliczna grupa ośmieliła się wejść do tej twierdzy z zamiarem zmielenia się z jego panem. Cóż, tak zwanych członków sabatu było prawie tyle, co intruzów. Gdy doda się do tego liczbę magicznych konstruktów, które ożywił jego mistrz, nie można było mieć wątpliwości, że obcy zostaną zmiecieni jak zamek z piasku zmyty falą przyboju.

Oczywiście, oni nie wiedzieli, co na nich czeka. Gdyby tak było, nigdy by nie przyszli. Pozostaliby chowając się w swoich żalonych twierdzach i czekali, aż jego pan przyjdzie i wycisnie z nich soki. Roche dobył swojego krótkiego sztyletu i rozejrzał się.

Daleko w głębi korytarza poruszały się szkielety. Kości cicho klekotały, gdy monstra zajmowały swoje pozycje w odpowiedzi na bezgłośny rozkaz ich pana. Roche uśmiechnął się widząc, jak członkowie sabatu kulą się tchórzliwie na ten widok. Być może w swoich ojczyznach byli majętnymi i potężnymi ludźmi, ale znajdowali się daleko od domu. Roche był ciekaw, co zrobią, gdy wreszcie zrozumieją, że mistrz nie miał zamiaru nagradzać ich nieśmiertelnością. Zapewne tylko zaczną jęczeć, złorzeczyć i nic poza tym. Ci, którzy wykażą odrobinę hartu ducha, szybko przekonają się jaką głupotą jest sprzeciwianie się woli pana. A potem skończą służąc mu jako ożywione szkielety, tak samo jak ci głupi Kislewczycy. Umiejętności nekromanckie mistrza wzrosły zdumiewająco w ciągu kilku ostatnich dni. To był kolejny dowód, że jego wielki plan działał.

Nowa wybranka mistrza zostanie jedyną śmiertelniczką podniesioną w tym miejscu do niemal boskiej potęgi. Roche musiał przyznać sam przed sobą, że był odrobinę zazdrosny. W głębi jego umysłu zawsze tliła się nadzieja, że może to on zasłuży na tę najwyższą nagrodę. Pomyślał jednak, że to nadal może się zdarzyć.

Roche zauważył, że Kislewczycy zaczęli się zbierać. Czy to oznaczało, że zdali sobie sprawę z bliskości własnej zagłady? Roche nie dbał o to. Cieszył się, że będą przebudzeni i świadomi tego, co się z nimi dzieje. Zawsze podobało mu się, gdy ofiary trochę się szamotały.

Felix ciął w kolejnego ghula. Miecz przebił się przez jego czaszkę. Ohydny stwór padł pozbawiony czubka głowy. Felix uderzył w następnego i jeszcze jednego po nim. Całe jego ciało okrywała zakrzepnięta czarna krew, a także dziwny zielony śluz, który tryskał z przebijanych wnętrzności ghuli. Czuł mdłości od smrodu i trupów.

Potwory były silne i przerażająco szybko wymachiwały swoimi pazurami ostrymi jak noże. Felix krwawił z tuzina drobnych ran i otarć. Oślepił go pot. Bolały mięśnie. Wykonał już swoją robotę uczestnicząc w rzezi ghuli. Jego metoda walki była prosta. Stał pomiędzy Gotrekiem i Snorrim Gryzonosem, pozwalając Zabójcom zająć się lwią częścią morderczej roboty. W wąskim korytarzu tylko kilka potworów mogło zaatakować jednocześnie i krasnoludy czyniły straszliwe spustoszenie. Ghule były przerażające, ale Zabójcy zmienili się w maszyny zniszczenia. Felix wiedział, że niewiele

istot na świecie mogło równać się z Gotrekiem, gdy ogarnie go żądza zabijania, a Snorriemu nie dorównywał najsilniejszy ghul.

Na początku walki Felix musiał tylko stać w swoim miejscu i dźgać każdego potwora, który przecisnął się między krasnoludami. W miarę przedłużania się bitwy, gdy krasnoludy zaczęły wbijać się w tłum, coraz większej liczbie stworów udawało się ominąć ich i zaatakować Felixa, który musiał wydawać się znacznie łatwiejszym celem. W pewnym momencie Gotrek walczył na jednym końcu korytarza, Snorri na drugim, a Felix znalazł się sam na sam z trio ghuli. Sytuacja wyglądała dramatycznie, aż Zabójcom udało się przebić do niego i ponownie utworzyć ciasniejszą formację.

Felix powalił kolejnego ghula i nagle, ku jego zaskoczeniu, było po wszystkim. Zapadła cisza. Poruszały się tylko dwa krasnoludy. W korytarzu zalegały tuziny martwych i pozbawionych głów zwłok ghuli. Gotrek splunął na najbliższego.

– Mam nadzieję, że cholerny wampir będzie walczył lepiej – narzekał Gotrek wycierając wytatuowanym ramieniem krew ghuli ze swojego czoła.

– Snorri myśli, że Felix sam poradziłby sobie z nimi – odezwał się Snorri Gryzonos.

Felix próbował się uśmiechnąć. Snorri Gryzonos był zapewne wystarczającym idiotą, by wierzyć w coś podobnego, ale nie Felix. Nie miał złudzeń co do szans swojego przeżycia, gdyby nie było Zabójców.

– Następnym razem zostawimy je tobie, człeczyno. Snorri Gryzonos może stanąć sobie z boku i udzielać ci kilku wskazówek dla poprawienia stylu walki.

– Dzięki – odparł Felix. – Czekam na to z niecierpliwością. Ale co teraz? Nigdzie nie widać Kriegera. Czy nie powinniśmy wrócić do reszty? Zastanawiają się, co się z nami stało.

Gotrek rozejrzył się i skinął głową.

– Dobra. Kto wie – może będą potrzebowali naszej pomocy?

Ulrika usłyszała odgłosy walki w oddali i była ciekawa, co się dzieje. Adolphus kazał jej czekać w komnacie i trzymać się jak najdalej od intruzów. Mogła wyjść tylko w razie zagrożenia dla jej istnienia, albo gdy przyjdzie po nią. Najwyraźniej obawiał się, że będąc dopiero co przebudzoną może stać się zbyt łatwym celem ataku, ale wyczuwała także coś więcej. Zastanawiała się, czy czegoś przed nią nie ukrywa.

Żałowała, że przymus posłuszeństwa był tak silny. W jej umyśle narastało pragnienie i bez względu na to, jak bardzo ją to przerażało, paląca potrzeba zaspokojenia tej żądzy była coraz silniejsza.

Siadła na łożu i zaczęła rozmyślać nad swoją niedolą. Moc Oka nie pozwalała sprzeciwić się wyraźnemu rozkazowi. A może jednak? Ruszyła ku drzwiom. Nawet do nich nie dotarła, gdy same stopy zaniósły ją z powrotem, skąd wyruszyła. Warknęła jak zwierzę przyparte do muru.

Istniała pewna możliwość. Skoro słyszała odgłosy walki, które właśnie zamarły, to może walczący mogliby usłyszeć jej wołanie? Warto było spróbować. Otworzyła usta i wydała z siebie przeciągły, okropny wrzask.

Max Schreiber skupiał się na zachowaniu spokoju. To nie było łatwe. Spanikowane konie cwałowały wokół wielkiej sali, desperacko próbując znaleźć drogę ucieczki. Wiedział, że jeśli zaraz coś się z nimi nie zrobi, mogą stratać kogoś na śmierć. Ivan najwyraźniej doszedł do tego samego wniosku.

Stary bojar skinął na dwóch ze swoich ludzi.

– Otworzyć główne wrota! Wypuścić zwierzęta!

Dwaj Kislewczycy nie wyglądali na szczęśliwych. Max domyślał się, że tamci wyobrażają sobie, co może się stać, gdy utkną tu bez wierzchowców.

– Wykonać! – ryknął Ivan – Już!

Żołnierze pośpieszyli posłusznie, rzucając nerwowe spojrzenia w stronę wielkich schodów. Jak wszyscy pozostali, domyślili się, że tam czai się coś, co zdenerwowało ich rumaki. Max znał sposób, by przekonać się, co to takiego.

Jeszcze raz stworzył latające oko. Dotyk jego woli posłał je we właściwą stronę. Pomknęło szybciej niż biegnący człowiek. Z tego punktu widzenia Max dostrzegł istoty poruszające się pod jednym z łuków. Wysłał oko, by to zbadało.

Nagle zobaczył, co się tam kryło i ogarnęło go przerażenie. Cały korytarz wypełniały maszerujące szkielety zaciskające w kościanych palcach pordzewiałą, wyszczerbioną broń. Ożywione trupy, których gnijąca skóra odpadała płatami z ropiejącego ciała, odziane w nędzne resztki grobowej odzieży, wolno sunęły naprzód. W ich rozkładających się ślepiach płonął piekielny blask. Tu i tam stali w wyczekiwaniu uzbrojeni ludzie w pancerzach. Większość z nich wyglądała paskudnie, dokładnie tak, jak czuł się Max. Ich przywódcą był olbrzymi mężczyzna o ogolonej głowie i ponurym, ascetycznym obliczu fanatyka.

Wszyscy śmiertelnicy unieśli wzrok zauważywszy lśniącą sferę. Jeden z nich podbiegł do niej i ciał mieczem. Max zerwał połączenie zanim cios trafił celu.

– Szykujcie się do walki – ponaglił Kislewczyków. – Zbliżają się umarli. Szykujcie się!

W jego stronę obróciły się blade, nerwowe twarze. Widział, że niektórzy z młodszych najchętniej by uciekli, ale za nic nie chcieli okryć się hańbą.

Ci ludzie wychowali się na kresach Kisleva; widzieli więcej potworności niż zwykli śmiertelnicy. I dobrze się składało. Ich szansa przeżycia w tym miejscu, w otoczeniu zaufanych towarzyszy, była wyższa niż w przypadku ucieczki przez pogrążoną w ciemności zimę na zewnątrz.

Rodrik i jego kompani zgromadzili się wokół hrabiny, gotowi bronić jej, z całą zaciętością bretońskich rycerzy walczących za honor damy ich serc. Ten widok wywoływał u Maxa podziw na równi z odrazą. Wziął głęboki wdech i rozpoczął wykonywanie ćwiczeń mentalnych, które miały uspokoić jego umysł. Wysiłkiem woli odprężył się i otworzył na przepływ wiatrów magii.

Prądy mocy były wzburzone. Przewalały się jak woda wartkiego strumienia nad kamieniami. Dziwne, spaczone bariery w ścianach i zła moc pogrzebana głęboko pod twierdzą wywoływały szalone wiry i turbulencje. Max musiał użyć wszystkich swoich umiejętności i pełnej koncentracji, aby zapanować nad potężną magią.

Przycisnął do siebie otwarte dłonie, splótł palce i rozprostował je, czując częściowo ustępujące napięcie ramion. Oczekiwanie dobiegło końca. Czekala go walka. Przeznaczenie leżało w jego własnych rękach. Przetrwa dzięki swym zdolnościom i mocy.

A przynajmniej, wyśle do piekła tylu wrogów, ile się da – zanim sam polegnie.

Adolphus Krieger jeszcze raz patrzył na dół z wysokości galerii, przyglądając się Kislewczykom i ich czarodziejowi, którzy szykowali się na spotkanie jego oddziałów. Musiał przyznać, że byli odważni. Niewielu ludzi odważyłoby się zmierzyć z armią nieumarłych, w środku nocy w murach tej twierdzy. Oczywiście, jeszcze nie wiedzieli, z czym naprawdę przyjdzie im walczyć. Poza tym, możliwe było, że zaczarowała ich hrabina. Nie trzeba było odwagi, by ruszyć do walki, jeśli ktoś stracił wolną wolę.

Korciło go, by wypróbować zabezpieczenia, jakie czarodziej rozsnuł wokół obozu, ale powstrzymał się przed tym. Nie był jeszcze wystarczająco pewny własnych umiejętności

czarnoksiężskich, by ryzykować bezpośrednio starcie z potężnym magiem. Wolał poczekać na sprzyjający moment i dopiero wtedy zaatakować. Postanowił obserwować przebieg bitwy aż do nadejścia właściwej chwili.

– Co to było? – spytał Snorri, gdy przebrzmiało echo wrzasku.

– Przypominało głos Ulriki – powiedział Felix, zastanawiając się, czy nie jest to kolejna pułapka. Nawet jeśli tak było, musiał to sprawdzić. Przebyli tak długą drogę, by ją odnaleźć, że nie mogli pozwolić sobie na zignorowanie żadnego ewentualnego śladu.

– To z tej strony – powiedział Gotrek ruszając korytarzem w kierunku, skąd dobiegł okrzyk. Felix nie wątpił, że decyzja została podjęta. Przeniknął go strach i przeczucie, co tam znajdują.

Z przerażającym klekotaniem kości szkielety wkroczyły do wielkiej sali i ustawiły się w okrutnej parodii ludzkiego regimentu. Max pomyślał, że żaden oddział ludzi nigdy nie maszerował z taką precyzją. Cały tłum poruszał się jednocześnie w odpowiedzi na pojedynczy akt woli.

Kolejny oddział szkieletów wszedł do komnaty, a po nim jeszcze jeden. Za nimi szły ożywione trupy, a potem nadeszli ludzie, których widział wcześniej – odziani w swoje czarne opończe na pancerzach i spodnie noszące znak czaszki między lustrzanymi odbiciami półksiężyców. Max próbował policzyć przeciwników. Domyślał się, że przeważali liczebnie co najmniej jak dziesięć do jednego. Minęła sekunda zanim zorientował się, że powiedział to głośno.

– Nienajgorsze proporcje – usłyszał mruknięcie Ivana Petrovicha. Stary bojar zachichotał. Jego ludzie spojrzeli na niego z podziwem. Max także. Straghov niewątpliwie wiedział, jak uspokoić swoich żołnierzy w trudnych sytuacjach.

– Może połowa chłopaków powinna stanąć z boku, by dać równe szanse tym miłośnikom ghuli? – zaproponował Max. To był kiepski dowcip, ale większość mężczyzn roześmiała się, jakby Max powiedział coś niesamowicie zabawnego. – Może wszyscy powinniście odsunąć się i pozwolić mi, żebym sam się nimi zajął?

Przepełnione grozą spojrzenia niektórych z nich przekonywały go, że brali to na poważnie. Klekotanie kości nabierało na sile w miarę zbliżania się przeciwnika. Brak okrzyków bitewnych i przechwałek ze strony nacierających był równie przerażający, jak ich wygląd. Żadna ludzka armia nie prowadziłaby natarcia w tak przeszywającej ciszy.

– Pozwólcie, że zademonstruję – powiedział Max rozkładając szeroko ramiona i otwierając swój umysł, aby przyciągnąć do siebie wiatry magii. Nimb światła pojawił się wokół jego głowy i obu dłoni, wypowiedział słowo mocy, skupił umysł na wyuczonych wzorach. Fale mocy opierały się przed nim. Gdy z wysiłkiem układał na swoim miejscu jedną część wzoru, inna gdzieś uciekała. Opanowanie siłą woli wiatrów magii wymagało najwyższej koncentracji.

W powietrzu nad jego głową, pomiędzy wyciągniętymi ramionami, pojawiła się zawiła sieć światła. Migoczące wzory mocy przeplatały się ze sobą przypominając kosz pełen wijących się węży. Max usiłował utrzymać na miejscu magiczną strukturę, cały czas przyciągając do siebie tyle mocy, ile się dało. Wysiłek był ogromny. Miał wrażenie, że ciśnienie rozsądzi mu głowę. Ból przeszywał jego umysł. Wydawało mu się, że jego czoło jest ściśnięte wielkim imadłem. Jego ramiona drżały jakby usiłował utrzymać nad głową ciężar całego świata.

Moc przyciągała jeszcze więcej mocy. Podobieństwa zbliżały się do siebie. Coraz więcej magicznej energii zapadało się w stworzonym przez niego wirze. Macki sił dotykały świata rzeczywistego; widmowe palce szarpały odzieniem maga niczym powiewy wiatru. Czuł mrowienie skóry. Miał wrażenie, że końcami palców dotyka rozżarzonego do czerwieni żelaza.



O ile na początku zmagał się z przyciągnięciem mocy do splotu, teraz trudno mu było ją uwolnić. Moc napierała na niego z każdej strony, próbując zapaść się w magiczny wir. Max wziął głęboki oddech, zawołał ostatnimi sylabami inkantacji i skupił każdy fragment swej woli, wyteżył każdy magiczny mięsień, by wyrzucić w stronę przeciwników stworzoną przez siebie sferę zniszczenia.

Poczuł, że coś pękło, ale nie był pewien, czy wewnątrz jego ciała, czy to tylko ustąpiło połączenie z zaklęciem. Spadł z niego ogromny ciężar, a rozbłysk światła na chwilę go oślepił.

Adolphus Krieger przyglądał się zdumiony czarodziejowi, który usiłował rzucić zaklęcie. Nie sądził, by jakikolwiek śmiertelnik zdołał przyciągnąć tak wiele mocy w pobliżu zapór tej twierdzy, ale mag nie tylko tego dokonał – on zapanował nad najpotężniejszym strumieniem energii, jaki Krieger kiedykolwiek oglądał.

Węże światła migotały z każdego rogu pomieszczenia przedzierając się przez powietrze jakby wciągała je sfera nad czarodziejem. Były tak jasne, że czułe oczy Kriegera z trudem wytrzymywały ten widok i musiał zmuszać się do pozostania na miejscu.

Wiatr znikąd pojawił się nagle i przemknął przez komnatę. Krieger zastanawiał się, jak to możliwe, by człowiek mógł pomieścić tak wiele mocy. Wydawało się nieprawdopodobne, by ludzka istota była w stanie wytrzymać to dłużej niż przez kilka krótkich chwil. Każdy cal skóry czarodzieja lśnił. Jego gałki oczne stały się sferami stopionego złota.

I wtedy czarodziej uwolnił swoje zaklęcie. Tuziny węży złotego światła pomknęły przez powietrze w stronę nieumarłej hordy. Pokonały dystans w ułamku chwili. Gdy każdy z nich zderzył się z celem, trafiony szkielet rozpadał się ze stukotem w stos kości. Światła w czaszkach bladły i zamierały. Gdy każdy z migotliwych węży dotykał zombiego, chodzące zwłoki zamieniały się w wyschłe skorupy i zapadały w sobie, po czym rozpadały się w chmurze pyłu. Tam, gdzie światło dotykało ludzi, nieszczęśnicy wrzeszczeli i stawali w płomieniach. Krieger nagle poczuł wielką ulgę, że sam nie zdecydował się przewodzić atakowi.

Kislevczycy wiwatowali, gdy mniej więcej połowa ich przeciwników padła rażona zaklęciem Maxa. Wojownicy posłali chmurę strzał w kierunku napastników. Niektóre z pocisków zatopiły się w ciałach chodzących trupów i drgały wbite, wyraźnie nie wyrządziwszy żadnej szkody. Inne ze stukotem przelatywały między odsłoniętymi żebrami ożywionych szkieletów. Kilka strzał dosięgło ludzi. Efekt nie był zbyt zadowalający, ale Maxa to nie dziwiło. Ożywione martwiaki były trudnym przeciwnikiem.

Max poczuł szarpnięcie magicznej energii przyciąganej do kogoś innego. Magicznym wzrokiem zobaczył falę mrocznej magii, którą przywoływała hrabina. Wokół niej pojawiła się sieć ciemności, a potem z kłębowiska wyskoczyły macki, które pomknęły w stronę nieumarłych. Dotknięte przez nie żywe trupy po prostu zatrzymywały się w miejscu.

Max ocenił, że w obecnych okolicznościach to była dobra, magiczna robota, chociaż nie tak silna ani niszczycielska, jak jego własna. Padło zaledwie pół tuzina przeciwników. Reszta pokonała odległość między walczącymi w kilku następnych krokach. Max chwycił swoją laskę i szykował się do obrony.

Wokół niego szczęknęły uderzane o siebie ostrza w rękach ludzi i nieumarłych potworów. Zrobił wszystko, co mógł. Miał tylko nadzieję, że to wystarczy.

– Wolałbym, żeby przestała tak wrzeszczeć – powiedział Felix. Był zły, ale domyślał się, że jego gniew stanowił tylko przykrywkę dla głęboko zakorzenionej w nim obawy. W tym głosie brzmiało

coś niesamowicie niepokojącego, jakaś nieludzka nuta, która sugerowała, że umysł krzyczącej znajduje się na krawędzi szaleństwa. Albo tuż za nią.

– Nie zapomnij jej o tym powiedzieć, jak ją zobaczymy – odparł Gotrek. Szedł ostrożnie trzymając w prawej dłoni potężny topór. Pokrywająca go krew ghuli nadawała mu równie przerażający wygląd, jak wszystko, z czym mogli się tu spotkać.

Przeszli przez ogromną salę, której podłogę wyłożono szachownicą płytek w kolorach kościanej bieli i krwawej czerwieni. Na ścianach wisiały stare, zakurzone gobeliny przedstawiające konnych mężczyzn i kobiety polujących wśród drzew na nagich ludzi.

– Ktokolwiek ozdabiał to miejsce, nie był przy zdrowych zmysłach – mruknął Felix. Spodziewał się usłyszeć jakąś odpowiedź, ale nie doczekał się tego. Minęli długie, rozpadające się schody z marmuru i zatrzymali się przed drzwiami, zza których dobiegał wrzask. Gdy znaleźli się na miejscu, krzyk zamarł. Zanim Felix zdążył wyciągnąć rękę do drzwi, topór Gotreka rozbił drewno na szczapy. Runy na ostrzu lśniły. Zabójca szybkimi cięciami poszerzył wejście do pomieszczenia.

Wewnątrz czekała Ulrika. Była bardzo blada i wychudzona, ale poza tym nie było widać, by stała się jej jakaś krzywda. Komnata była bogato umeblowana i czystsza niż większość innych w tym plugawym miejscu, chociaż z zakamarków sufitu nadal zwieszały się ciężkie pajęczyny, a w powietrzu utrzymywał się słaby zapach zgnilizny.

Felix chciał podbiec do niej, chwycić w ramiona i uspokoić ją, ale powstrzymał go przed tym instynkt. Dziewczyna spojrzała na niego i uśmiechnęła się – z jej dziąseł wysunęły się długie kły. W jej oczach pojawił się czerwony blask. Widząc takie zmiany zachodzące w dobrze znanej twarzy, coś zarówno złego, jak dziwnie znajomego, Felix poczuł jak jego własna świadomość zapada się w otchłań.

– Przykro mi, człeczyno – powiedział Gotrek wchodząc do komnaty z toporem gotowym do ciosu, – Snorriemu też jest przykro, Felixie – powiedział Snorri Gryzonos i poszedł za nim.

Felix stał w wejściu nie potrafiąc zdecydować się, co robić. Z ust przyglądającej się Ulriki wydobyło się ohydne syczenie.

Roche zamierzył się do ciosu, mierząc w Kislevczyka przed sobą. Potężnym ramieniem pchnął miecz, który przebił skórzany pancerz mężczyzny i zatonął głęboko w jego wnętrzościach. Nieszczęśnik wrzeszczał umierając. Roche wyciągając swój miecz z radością policzył kolejnego sługę dla jego pana. Ciepłe, lekkie wnętrzości rozlały się po jego dłoni. Rozejrzał się, by sprawdzić, jak rozwija się bitwa.

Wyglądało to nieco inaczej, niż się tego spodziewał. Dobrze ponad trzy czwarte oddziałów mistrza zostało zgładzonych. Czarodziej stał oparty plecami o powóz i odwrócony w stronę zbliżających się do niego dwóch zombich. Mag uderzył jednego z napastników w głowę swoją laską, *odsunął się o krok* od drugiego i wypowiedział jedno słowo. Coś wydobyło się z jego ust i przez chwilę błyszcząc zawisło w powietrzu. To był oślepiający wzór światła, które wyciskało Izy z oczu i wywoływało ból odczuwalny w umyśle. W następnym ułamku sekundy głowa zombiego eksplodowała pryskając w powietrze mózgiem i odłamkami kości. Na wszystkich w pobliżu spadł deszcz krwawej galarety i ostrych kawałków. Roche oblizwał usta. Smak był interesujący. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie spróbować bezpośrednio szarży na czarodzieja, by zasypać go gradem ciosów. Pomyślał, że to może się udać. Czarodziej wykonał gest dłonią i promień złotego światła rozerwał kręgosłup jednego ze szkieletów. Trafiony padł *na* podłogę w dwóch kawałkach. Blask życia zgasł w jego ślepiach. Roche stwierdził, że być może jego pomysł nie był jednak najlepszy.

Z lewej strony nastąpił jeszcze jeden, nieoczekiwany zwrot bitwy. Niewysoka, krucha kobieta

wskoczyła pomiędzy członków sabatu. Jednym zamachem ramienia urwała głowę Gausowi. Nie ulegało wątpliwości, że była silna. Roche potrafił zmiażdżyć kark człowieka gołymi rękami, ale w żaden sposób nie byłby w stanie zerwać głowy z ramion, nawet używając obu rąk. Jaka kobieta mogła tego dokonać? Natychmiast w jego umyśle pojawiła się odpowiedź: nieznajoma musiała być podobna do jego mistrza. To nie było dobre. Dlaczego mistrz go nie ostrzegł? Roche stłumił wątpliwości. Jego pan z pewnością miał swoje powody.

Intruzom także nie szło całkiem po ich myśli. Wielu z Kislevczyków poległo, większość sylvańskich rycerzy była martwa. Według rachunku Roche'a pozostali tylko czarodziej, gruby stary człowiek, hrabina i jeden z rycerzy. Szybki rzut okiem potwierdził, że ponad tuzin zombich nadal atakowało. Wspierało ich kilku ludzi z sabatu. To powinno wystarczyć. Nie mogło być inaczej.

Popędził w stronę starego mężczyzny, chcąc napaść go z zaskoczenia, aby potem dostać się do czarodzieja. Nagle przestał biec zatrzymany w miejscu wiotkim ramieniem. Dostrzegł długie paznokcie ociekające czerwoną krwią. Zauważył rubin błyszczący na jednym z palców. Automatycznie oszacował jego wartość, gdy w uszach rozległ się niski, zaskakująco łagodny szept kobiety.

– Teraz, sługo, pójdziesz do grobu.

Nastąpił przebłysk bólu, poczuł straszliwy nacisk na kark, a potem ból i nacisk ustąpiły. Patrzył, jak wiruje sufit i stwierdził, że spogląda na potężne, bezgłowe ciało chwiejące się nad nim. Wstrząśnięty zrozumiał, że ciało należało do niego. Najwyraźniej mózg był w stanie przeżyć kilka chwil po oddzieleniu od korpusu. Jego usta ułożyły się do modlitwy o pomoc do pana, ale zabrakło płuc, które mogłyby wtłoczyć do nich powietrze.

Max przyciągnął moc i wykonał gest dłonią. Promień złotego światła przedarł się przez pierś ożywionego trupa, rozdzierając go na pół jak od ciosu wielkim tasakiem. Ciało pacnęło o podłogę i dłuższą chwilę drgało w okropnych konwulsjach. Jego górna połowa próbowała pełznąć w stronę maga, gdy dolna część ciała bębniła stopami o kamienie posadzki. Max wołał nie ryzykować. Kolejny gest i drugie uderzenie mocy podpaliło stwora.

Tu i tam wojownicy w kilku skupiskach nadal prowadzili walkę. Ivan Petrovich powalił parę ożywionych szkieletów jednym cięciem swojej szabli. Starego człowieka pokrywały cięte rany. Krwawił obficie z dużego rozcięcia na ramieniu. Rodrik walczył obok hrabiny strzegąc jej tyłów. Zresztą hrabina nie potrzebowała specjalnie jego pomocy. Wampirzyca poruszała się z fenomenalną szybkością, rozdzierając na strzępy wszystko, co stało na jej drodze. Ku swojemu przerażeniu Max zauważył, że są jedynymi członkami ich wyprawy, którzy utrzymywali się na własnych nogach. Wszyscy pozostali Kislevczycy leżeli powaleni. Wielu krzyczało z bólu. Max zobaczył szkielet przegryzający gardło jednego z rannych.

Nadal zmagając się z dziwną, wypaczoną mocą otoczenia, Max z wysiłkiem ponownie przyciągnął do siebie magiczne siły. Błysk energii zapalił kruche kości animowanej istoty. Stopiona masa kostna ochlapała otaczające ją ciała.

Nagle wszędzie zapadła cisza, nie licząc zimnego szeptu powiewu wrzucającego płatki śniegu przez otwarte wejście. Ludzie rozglądali się wokół siebie i zrozumieli, że jest po wszystkim. W sali, na własnych nogach, pozostali tylko Max, Ivan, hrabina i Rodrik. Po przerażającym hałasie bitwy, cisza była niemal równie nie do zniesienia.

Max spojrzął na swoich towarzyszy i uśmiechnął się bez cienia wesołości ani triumfu. To był blady uśmiech człowieka, który pozostał przy życiu, podczas gdy większość jego kompanów poległa. Pozostali dwaj mężczyźni odpowiedzieli podobnym uśmiechem. Hrabina nie uśmiechnęła się wcale. Zamiast tego stanęła z przechyloną głową, jakby czegoś nasłuchiwała, chociaż Max nie miał pojęcia,

co próbuje usłyszeć.

Max zauważył, że Ivan Petrovich spogląda na hrabinę, jakby miał zamiar wbić jej nóż w plecy. Stary bojar musiał zauważyć rzeź, jakiej dokonywała wokół siebie hrabina i niewątpliwie zadawał sobie teraz pytanie, co takiego zawędrowało wraz z nim do tego miejsca. Może podobnie jak Max, przeszukiwał zakamarki swojej pamięci, próbując przypomnieć sobie, czy ktokolwiek spośród kislevskich ofiar mógł polec z jej ręki.

Max nie przypominał sobie takiego przypadku, ale mógł tego nie zauważyć w zamęcie walki. Żałował swojego wcześniejszego zuchwalstwa i pogroźek. Manipulowanie silami magii drogo go kosztowało. Przewyciężenie magicznego oporu, jaki stawiało to miejsce, zużyło równie wiele jego sił, jak kształtowanie samych zaklęć. Czuł się tak zmęczony, jakby maszerował od kilku dni, bez chwili snu. Wziął głęboki wdech i uspokoił swój umysł. Nie miał zamiaru okazywać po sobie żadnych śladów wycieńczenia.

Podszedł do Ivana Petrovicha.

– Pozwól, że obejrzę twoje ramię – powiedział łagodnie.

Nieobecny myślami bojar wyciągnął rękę, ale nie spuścił wzroku z hrabiny Gabrielli.

– Widziałeś, co ona zrobiła? – spytał.

Max skinął głową. Wyraz twarzy kislevskiego szlachcica łączył zdumienie i przerażenie, w równej proporcji.

– Co za diabelstwo tu sprowadziliście? – pytał.

Max przesunął palce nad raną i skoncentrował się. Delikatny złoty blask spłynął z końców jego palców na ramię bojara. Krew przestała płynąć. Ciało zamykało się pod jego dotykiem. Bojar skrzywił się z bólu, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Hrabina obróciła się w ich stronę. Max widział, że spogląda na krew w zamykającej się ranie jak zahipnotyzowana. Oblizwała wargi. Ten gest przypomniał czarodziejowi wyrzucony język węża.

– Jest blisko – odezwała się po chwili milczenia. – Podobnie, jak jego talizman. Czuję jego obecność na dnie swego umysłu.

– Gdzie jest? – spytał Max.

– Gdzieś nad nami.

Max miał zamiar po raz trzeci tego dnia przywołać swoje złote oko, ale hrabina potrząsnęła głową.

– Oddała się od nas.

– Zobaczył, czego tutaj dokonaliśmy i ucieka w panice – powiedział z przekonaniem Rodrik.

– A zatem ruszajmy za nim! – rzucił Ivan Petrovich.

– Najpierw spalimy te ciała – rzekł Max. – Wolalbym, żeby nie powołał ich znowu do życia. Nie chciałbym musieć walczyć z trupami ludzi, którzy tak dzielnie bili się obok nas.

– Jak zdołamy spalić tak wielu? – spytał Rodrik.

– Oblejcie ich oliwą z latarni – powiedział Max. – Ja zajmę się resztą.

Z tyłu dochodził obrzydliwy, słodkawy zapach płonących ciał, zmieszany z aromatem oliwy do lamp. Max szedł obok Ivana Petrovicha. Przed nimi kroczyła hrabina i Rodrik. Max był przekonany, że obracając się do nich plecami hrabina celowo okazuje swoją pewność siebie. Udowadnia, że ufa im odstawiając się, chociaż oni nie ufają jej. Max nie był jednak pewien, czy po prostu hrabina nie uznaje ich za realne zagrożenie. Czuł się tak osłabiony, że to mogło mieć sens. Modlił się, by rannym nic się nie stało, zanim nie wrócą. Uzdrawiłby więcej z nich, ale wiedział, że musi zachować resztki swojej mocy.

– Bądźcie bardzo ostrożni – odezwała się hrabina swoim zwodniczo łagodnym głosem. – Tutaj

nadał mogły zostać ghule albo coś gorszego. Poza tym całkiem sporo członków jego sabatu uciekło z pola bitwy, zanim dobiegła końca. Adolphus Krieger nie jest jedynym wrogiem, z którym możemy się zmierzyć, chociaż niewątpliwie jest najgorszym.

Max rozejrzył się. To nie było przyjemne otoczenie, a teraz, gdy zabrakło żołnierzy i za jedyne towarzystwo miał Ivana Petrovicha, wampirzycę i jej służkę, było jeszcze gorzej. W każdym cieniu zdawało się chować jakieś zagrożenie. Każde otwarte drzwi stanowiły ziejącą paszczę, która mogła wypluć hordy nieumarłych potworów.

Co teraz? Jak mieli przeszukać całe to koszmarnie miejsce, by znaleźć Kriegera? A może on sam do nich przyjdzie? Jakże jeszcze paskudne niespodzianki ukrywał ten zamek?

– Nie! – krzyknął Felix. – Nie róbcie tego!

Na chwilę wszyscy w komnacie zamarli. Ulrika stała z ugiętymi nogami, gotowa do skoku. Dwaj Zabójcy znajdowali się już w połowie drogi do niej.

– Na pewno możemy znaleźć jakieś rozsądne rozwiązanie. – Felix nie był pewien, na czym ma ono polegać, ale udało mu się porozumieć z hrabiną – z pewnością uda się to także w przypadku Ulriki. Nie mogła zmienić się aż tak bardzo.

Stanął między krasnoludami i kobietą, po czym odwrócił się z szeroko rozpostartymi ramionami próbując powstrzymać Gotreka i Snorriego Gryzonosa.

– Nikt nie musi tutaj umierać.

– To nieprawda, Felixie – usłyszał głos Ulriki szepczący do jego ucha, gdy bardzo silne ramię zacisnęło się wokół jego szyi. Szarpnął się, ale był jak mysz złapana w szczęki kota. Zdumiewała go jej siła. Jego stopy oderwały się od podłogi. Stał się tarczą, którą zasłaniała się przed krasnoludami.

– A zatem masz zamiar mnie zabić? – powiedział rozluźniając się całkowicie. Poddał się swojemu losowi. Skoro miał tutaj umrzeć, niech tak się stanie. Na ironię zakrawał fakt, że zginie z ręki kobiety, dla której przebył tak daleką drogę próbując ją ocalić.

Snorri i Gotrek rozstąpili się na boki, stając po obu stronach Ulriki. Któryś z nich mógł trafić w nią albo w Felixa, jeśli Ulrika zasłoni się nim przed ciosem.

Nagle świat przechylił się i Felix poleciał w powietrze w kierunku Gotreka. Kątem oka dostrzegł rozmazaną w ruchu postać, która skoczyła między dwoma Zabójcami ku drzwiom. Gotrek uskoczył przed nim. Felix zderzył się z kamiennymi płytami posadzki i zaczął się toczyć. Ból uderzenia szarpnął jego ciałem. Przetaczał się mając nadzieję, że w ten sposób zaabsorbuje pęd upadku, a potem zderzył się ze ścianą. Przed oczami zatańczyły mu gwiazdy.

Podniósł się na nogi i rozejrzył się. Zobaczył obu Zabójców, którzy gapili się żałośnie na drzwi.

– Była za szybka dla nas – powiedział Gotrek. – Uciekła, przynajmniej na razie.

Jego twarz wykrzywił grymas dzikiego szaleństwa. Gniewnie potrząsnął głową i splunął na ziemię. Felix spojrział na Zabójcę. Przez chwilę był pewien, że Gotreka nie smuci fakt ucieczki Ulriki. To była dobra okazja, by potwierdzić to spostrzeżenie.

– Co teraz? – spytał wreszcie Felix.

Snorri wzruszył ramionami. Gotrek wbił w niego wzrok.

– Następnym razem, gdy ją spotkamy, nie gadaj, człeczyno, atakuj!

– Felix pamiętał, jak czuł się w uścisku Ulriki. Nie miał wątpliwości, że śmierć była bardzo blisko. Wiedział, że Zabójca ma rację. Następnym razem nie będzie prób negocjacji i żadnej litości.

Ulrika uciekała przez wielki labirynt twierdzy. Trzęsa się z emocji. Opanowywało ją pragnienie. Nie była pewna, jak udało się jej powstrzymać przed zatopieniem kłów w szyi Felixa, by wyssać go do cna.

Przyspieszyła i popędziła po schodach w górę. Ogryziony przez émy czerwony dywan tłumił jej kroki. Być może Felixa ocalił jakiś cień uczucia, które kiedyś w niej wywoływał. Chciałaby tak myśleć, ale nie była tego pewna. Równie prawdopodobne było przypuszczenie, że zadziałał głęboko ukryty instykt przetrwania. Gdyby wtedy poddała się pragnieniu, stałaby się łatwym celem dla Zabójców. Wielu śmiertelników uciekłoby z przerażeniem na widok jednego z Przebudzonych w szale głodu, ale wiedziała, że ani Gotrek, ani Snorri Gryzonos nie mogli się do nich zaliczać. Była pewna, że gdyby pozwoliła Zabójcy na jedno czyste cięcie tym toporem, to byłby jej koniec. Chociaż przerażał ją jej nowy stan, nie była jeszcze gotowa na ostateczną śmierć. Zamierzała odplącić Adolphusowi Kriegerowi za to, co jej zrobił – choćby miało to zająć całą wieczność.

Być może teraz była uwiązana do niego z potrzeby zdobycia wiedzy i mocą talizmanu, ale znajdzie sposób, by go zgładzić. Wiedziała, że to musi być możliwe. Ostatecznie, o ile pozostanie ostrożna, dysponowała całym czasem na świecie, a w ciągu stuleci z pewnością wszystko mogło stać się w końcu możliwe.

Pytanie brzmiało, co powinna zrobić w tej sytuacji? Musiała unikać pogoni i odnaleźć Kriegera. Jeśli to się jej nie uda, zamierzała wyrwać się stamtąd, a potem zobaczyć, co się stanie. To nie był najlepszy z możliwych planów, ale nie potrafiła wymyślić innego. Z wielu sprzecznych powodów nie zamierzała zatrzymać się, aby walczyć z Felixem i Zabójcami.

Dlaczego Krieger nie powiedział jej, że oni są tutaj? Dlaczego utrzymywał to przed nią w tajemnicy i jakie jeszcze sekrety zachował? To były kolejne sprawy, które musiała wyjaśnić, gdy nadejdzie odpowiednia pora.

Jakiś instykt kazał jej skierować się w prawo, przez długi korytarz do ogromnej jadalni. Dlaczego? Czy nadal wzywał ją talizman? Czy ten zew doprowadzi ją do Kriegera? To było możliwe. Postanowiła zaufać temu uczuciu i poddać się instyktom. Cóż innego mogła zrobić? Popędziła drogą prowadzącą prosto do sali tronowej.

\* \* \*

– Poszedł tędy – stwierdziła hrabina. Zatrzymała się na skrzyżowaniu dwóch korytarzy i wskazała drogę prowadzącą w lewo.

– Skąd możesz to wiedzieć? – spytał Max. Pościg osłabił go jeszcze bardziej. Zameczysko wypełnione było zaklęciami i zaporami, które miały dezorientować wszystkich, poza nieumarłymi i ich sługami. Pokonywał je za pomocą swojego magicznego wzroku, co sprawiło, że czuł teraz zawroty głowy.

– Używa talizmanu, by ściągnąć tu podobnych sobie. Może nie pomyślał, by przerwać zaklęcie przywołujące? Może to przeoczył?

Max był pewien, że Krieger zwabia ich w kolejną pułapkę.

Krieger nie był zadowolony z rozwoju sytuacji. Awangarda jego niezwyciężonej armii przepadła, pokonana przez wrogów, którzy nadal swobodnie pętali się po zamku. Wszystkie ostrożne przygotowania poszły na marne.

Z drugiej strony, mogło być jeszcze gorzej. Ulrika była wolna – wyczuwał to dzięki więzi między nimi. I na miejscu była hrabina. To zakrawało na prawdziwą głupotę z jej strony, skoro zdecydowała

się znaleźć w zasięgu jego mocy. To oznaczało, że w zamku przebywały dwie bardzo potężne kobiety, które staną się jego sprzymierzeńcami.

Pozostało mu tylko zadbać, by wszystko przebiegło po jego myśli i wybrać miejsce, w którym pozbędzie się swoich przeciwników. Czy można było pomyśleć o czymś lepszym niż jego sala tronowa? Zbierze to, co pozostało z oddziałów w zamczysku i doprowadzi sprawy do ich nieuniknionego końca.

– Ach, Ulrika! Tak się cieszę, że możesz przyłączyć się do mnie – powiedział Adolphus Krieger.

Ulrika weszła do sali tronowej. To było ohydne miejsce, w którym dominował potężny, hebanowy tron zdobiony motywami czaszek. W oczodołach każdego z czerepów tkwiły rubiny. Ściany pokrywały gobeliny przedstawiające wielkie triumfy w wojnach Wampirzych Książąt. Podłoga wyłożona była czarnymi i białymi płytkami, nie licząc pleśniejącego dywanu, który okrywał podstawę podwyższenia tronu. Na tronie zasiadał Adolphus Krieger. Tak jak się tego spodziewała, przyciągnął ją do siebie mocą tego paskudnego talizmanu, który lśnił pod jego gardłem.

– Nie miałam wielkiego wyboru – powiedziała z goryczą.

– Prawda, ale to w żaden sposób nie umniejsza mojej radości z twojego widoku.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że Felix tu przyjechał?

– A czy to zmieniłoby cokolwiek? I tak musiałabyś wypełniać moją wolę.

– Mimo to wolałabym, żebyś mi powiedział.

– Dlaczego? Mówisz, jakbyś go żałowała. Czy zabiłaś go?

– Nie.

– Szkoda.

– Ale on i Gotrek prawie nie zabili mnie.

– To dopiero byłaby szkoda. A zatem, Zabójca i jego banda nadal żyją?

– Jak najbardziej. Tak było, gdy ostatnio ich widziałam.

– Wobec tego sądzę, że nimi też trzeba będzie się zająć.

– Też?

– Twój czarodziejski przyjaciel także przybył tu z kilkoma Kislevczykami wraz z moją dawną znajomą. Sądzę, że poszukują tego, co należy teraz do mnie.

– Kislevczycy?

– Twoi rodacy, moja droga. Dowodzi nimi gruby starszy mężczyzna.

Umysł Ulriki przeniknął spazm strachu i poczucia winy. To mógł być tylko jej ojciec. Oczywiście, skoro Maxowi i Felixowi udało się ją tu znaleźć, on musiał przybyć z nimi. Przejechałby bramy piekła, aby ją ocalić. W pewnym sensie to właśnie uczynił.

– Czy oni są martwi?

– Kto?

– Czarodziej i dowódca Kislevczyków.

– Niestety, obaj byli żywi, gdy ich zostawiłem, ale nie martw się, to się wkrótce zmieni. Znałaś tego starego?

Ulrika zastanowiła się przez chwilę. Nie wydawało się, by mogła cokolwiek zyskać ukrywając prawdę. A być może, gdyby miało dojść do najgorszego, życie jej ojca zostałoby oszczędzone.

– To mój ojciec.

– Ach... To by wyjaśniało, dlaczego przebył całą drogę tutaj, żeby cię odnaleźć. Powinienem się tego domyśleć.

– Nie zabijesz go, prawda?

– Istotnie, taki właśnie miałem zamiar, moja droga. Dlaczego pytasz? Sugerujesz coś innego?

– Oszczędź go!

– Cóż za sentymenty, Ulriko! On już nie jest twoim ojcem. Ja nim jestem. Wątpię, by cię oszczędził, gdyby cię znalazł.

Ulrika musiała przyznać, że było w tym sporo prawdy. Wychowa; nie, jakie Ivan Petrovich odebrał na kresach Kisleva, nie pozostawiało mu zbyt wiele swobody przy podejmowaniu decyzji związanych z potęgami ciemności, do których teraz sama niewątpliwie należała. Pokonał całą tę drogę, by upewnić się, że jego córka jest naprawdę martwa, jeśli nie uda się jej uratować. To była jedyna honorowa rzecz, jaką mógł uczynić, a Ivan Petrovich był człowiekiem honoru. Mimo to, nawet gdyby gotów był ją zabić, nie chciała by to on zginął.

– Tym niemniej proszę cię, byś go oszczędził.

Adolphus Krieger pochylił się na swoim tronie i potarł policzek palcami lewej dłoni.

– Przybył tu, by spróbować mnie zabić. Nie zamierzam okazywać litości.

Powyżej w cieniu sklepienia poruszyło się coś wielkiego.

Max uderzył w ostatnie z ożywionych zwłok. Rozleciały się, jakby siedziały na szczycie eksplodującej beczki prochu. Powietrze wypełnił smród spalonego ciała. Max był już do tego tak przyzwyczajony, że nie poczuł nudności. Potoczył dokoła wzrokiem i stwierdził, że wśród jego towarzyszy nie było ofiar.

– Jest ich mniej – powiedział Ivan Petrovich uśmiechając się blado. – I nie wydają się tak dobrze zorganizowani.

– Myślę, że to tylko pozostałości głównych sił błakające się bez celu po twierdzy – odezwała się hrabina. – Nie sądzę, by zostali wysłani przeciwko nam.

Max zgadzał się z tym. Zombich było za mało, nie stanowili poważnego zagrożenia. Hrabina sama zdołałaby rozerwać je na strzępy. Max postanowił, że gdy następnym razem dojdzie do podobnej sytuacji, stanie z boku i pozwoli jej to właśnie zrobić.

– Jak daleko jeszcze? – spytał.

– Jesteśmy już blisko – zapewniła hrabina. W jej oczach pojawił się dziwny błysk.

– Poszła tędy – powiedział Gotrek.

– Jesteś pewien? – spytał Felix. Szarpał nerwowo swój płaszcz. Wrażenie przytłaczającej obecności zła nasiliło się. Naprawdę wołałby znajdować się gdzieś indziej. W odpowiedzi na jego pytanie Zabójca potrząsnął niepewnie głową.

– Nie jestem takim tropicielem, jak Marek, ale w tej pleśni zostały jej ślady.

– Może te światła przed nami też są jakąś wskazówką? – dodał Snorri Gryzonos. Felix i Gotrek spojrzeli we wskazywaną przez niego stronę. Felixowi wydawało się, że dostrzegł Ulrikę, która przemknęła pod niskim łukiem przejścia. Był pewien, że kilka chwil wcześniej ani łuk, ani światła nie były widoczne. Z pewnością zauważyłby je on lub Gotrek.

– To bardzo oczywista wskazówka – stwierdził Gotrek.

– Prawda? – odparł Felix. Bez dalszej dyskusji ruszyli w stronę światła.

– *Herr Jaeger! Herr Gurnisson!* To wielka przyjemność spotkać się z wami ponownie.

Sala tronowa była wielka, cicha i pozostawała w dobrym stanie. Na ciężkim hebanowym tronie rozpierał się Adolphus Krieger. Ulrika przykucnęła u jego boku. Jego lewa dłoń głaskała popielate włosy dziewczyny, jakby drapał po głowie ulubionego psa. Prawa dłoń bawiła się znajomo



wyglądającym talizmanem na jego szyi.

– Snorri Gryzonos też tutaj jest, ty wyszczekany bękarcie! – zawołał Snorri.

– Proszę o wybaczenie. Nie byłem pewien, czy mówić na was *Herr* Gryzonos – powiedział wampir z rozbawieniem. Jego twarz była wyraźnie widoczna w świetle ogromnego świecznika.

Felix ciekaw był, w jaki sposób go zapalono. I dlaczego? Wokół ścian stały niezliczone komplety starych pancerzy, broje wypełniające wszystkie nisze. Każda z nich trzymała miecz, pikę lub jakąś inną broń starego typu, ale o niezaprzeczalnej użyteczności. Felixowi wydawało się, że zauważył poruszenie nad głową. Szybkim rzutem oka dostrzegł tylko głębokie cienie ruszające się w czerni nad światłami.

– To nie ma znaczenia – odezwał się Gotrek ruszając w stronę tronu. – Jesteś martwy.

Wampir uniósł ręce.

– Chwileczkę – powiedział Krieger. – Zaraz przybędą moi pozostali goście.

Max wszedł do olbrzymiej sali tronowej zaraz za hrabiną. Omiótł wzrokiem potężny tron i jego spojrzenie zatrzymało się na Ulrice. Była tak bardzo blada. W jej ustach widoczne były kły. Zamarło mu serce, gdy zrozumiał, że stała się wampirzycą.

Max sam sobie zadawał pytanie, co powinien zrobić. Przebył daleką drogę, by ją uratować, a wyglądało na to, że nic już nie mogło jej ocalić. Czy naprawdę potrafił ją zabić? Czy mógł stanąć z boku i przyglądać się, gdy próbuje tego dokonać Gotrek?

Prawie odetchnął z ulgą, gdy nagły, potężny przyływ magicznej mocy przyciągnął jego spojrzenie do tronu.

Felix zobaczył Maxa Schreibera, Ivana Petrovicha, hrabinę i jej pieska salonowego, Rodrika, którzy weszli przez wejście po drugiej stronie komnaty. Wyglądali na równie zaskoczonych jego widokiem. Widział wyraz przerażenia i rozpacz, który odmalował się na twarzy Maxa. Rozumiał doskonale te uczucia.

Co takiego planował Krieger? Dlaczego sprowadził ich tutaj? Z pewnością musiał chować jakiegoś asa w rękawie, inaczej nie wyglądałby na tak pewnego siebie. Chyba, że był całkiem szalony. Albo absolutnie przekonany o swojej przewadze.

– Hrabina Gabriella. Minęło bardzo dużo czasu. Tak się cieszę, że jako pierwsza odpowiedziałaś na moje wezwanie. Bądź pewna, że nie będziesz ostatnia – uśmiechnął się Krieger.

– Powinam cię porzucić, gdy tylko cię stworzyłam – odpowiedziała hrabina lodowatym głosem pełnym nienawiści. Felix przestał mieć jakiegokolwiek wątpliwości co do wrogości między tymi dwoma. Hrabina szczerze życzyła śmierci Kriegerowi. Felix pomyślał, że wobec tego ma z nią coś wspólnego. Gotrek przyglądał się z zainteresowaniem konfrontacji między wampirami i zaczął przesuwać się w stronę tronu, trzymając topór w gotowości.

– Niemniej, hrabino, czas na takie żale dawno przeminął. Teraz ja jestem panem. Będziesz mi służyła tak wiernie, jak obecna tu młoda Ulrika.

Felixowi wydawało się coś fruwać między krokwiami sali. Był pewien, że coś usłyszał. Ponownie spoglądając w górę upewnił się, że dostrzega ogromne strzępy poruszającego się czarnego cienia. Przypominał sobie, że w tym miejscu nic nie było tym, na co wyglądało. Musiał być bardzo ostrożny. Postawił swoją latarnię na podłodze i powoli sięgnął po miecz.

– Zobaczymy – odparła hrabina. Felix był pewien, że usłyszał nutę zwątpienia w jej głosie.

– Istotnie, zobaczymy. Zapanowałem już nad Okiem. Pozwól, że zademonstruję.

Talizman u gardła Kriegera płonął oślepiająco. Na sam jego widok Felixowi zakręciło się w

głowie. Gotrek zatrzymał się na chwilę, osłaniając swoje oko ramieniem. Hrabina wydała okrzyk i opadła na kolana. Rodrik podbiegł do niej zaniepokojony. Max przyglądał się wszystkiemu bardzo uważnie, jakby śledził swoim magicznym wzrokiem niewidzialny strumień mocy. Snorri Gryzonos wyglądał na zdumionego, a Felix był właśnie zdumiony.

Ulrika spoglądała z żalem na swojego ojca. Ten patrzył na nią z niedowierzaniem. Felix żałował, że spojrzął na ich twarze – wyrażały tak głębokie przerażenie i ból. Szybko odwrócił wzrok w stronę Kriegera. Wampir był jeszcze bardziej rozbawiony tym wszystkim.

Hrabina uniosła głowę. W jej oczach pojawił się dziwny blask. Zmienił się cały jej wygląd. Stała na nogi ruszając się niezgrabnie i mechanicznie, jakby jej umysł walczył z czymś o zachowanie kontroli nad ciałem. Przez jej twarz przemknęły strach, nienawiść i bezsilna wściekłość. Rodrik podszedł do jej boku i wyciągnął ręce z tkliwością zatroskanego kochanka.

Gotrek szykował się do szarży. Felix był gotów ruszyć za nim.

Max przyglądał się niewiarygodnie złożonym strumieniom energii wypływającej z wampira na tronie. Dzięki temu przez chwilę odwrócił swoją uwagę od przerażenia i myśli o tym, co stało się z Ulriką. Splot magii był niesamowicie skomplikowany, gwałtowny i subtelny. Przypominał mu zaklęcia obronne, które zobaczył, gdy sam badał Oko Khemri.

Trudno było nadążyć za tak szybkim i zawiłym zaklęciem, ale Max dawał z siebie wszystko. Znajdował tam elementy czarów przymusu, wzmocnione silnymi włóknami mrocznej magii. Moc kreacji była niewiarygodna. Max wątpił, by celem takiego zaklęcia mógł być śmiertelnik – było zbyt dokładnie dostrojone do przesyconej mroczną magią fizjologii wampira.

Wąskie macki mrocznej energii magicznej emanującej z tronu okręciły się wokół kamieni budulca zamku. Wielkie korzenie magicznych sił przebiły się przez kamienną podłogę. Krieger sprzął się z zamkiem, dzięki czemu nie musiał zmagać się z magicznymi zaporami, tak jak Max.

Przyglądając się dokładniej zauważył, że macki były połączone przez tron z samym Okiem Khemri. W tym momencie Krieger czerpał moc prosto z zamczyska w celu, którego Max jeszcze się nie domyślał, chociaż dostrzegał, jak energia mrocznej magii zaczęła migotać wokół sylwetki wampira. Moc była tak wielka, że Max był zdziwiony, że nikt poza nim tego nie zauważa.

Hrabina twierdziła, że Krieger był przeciętnym magiem. Z pewnością wiele się zmieniło. Wampir z niezwykłą łatwością podtrzymywał dwa bardzo silne zaklęcia. Max wątpił, by sam zdołał dokonać tego z taką skutecznością.

Gotów był założyć się, że Krieger nie zawsze rzucał zaklęcia tak jak teraz. Obecnie był dostrojony do talizmanu, który wpływał na jego magiczną sygnaturę, zmieniając go na podobieństwo twórcy przedmiotu. Możliwe było, że nie tylko to uległo zmianie. Niewątpliwie umysł wampira również został niepostrzeżenie wypaczony. Max zadrżał zdając sobie sprawę, jak bliski był rzucenia się do ucieczki. Kto mógł wiedzieć, czym zakończy się taki proces?

Hrabina ruszyła w jego stronę. Max przygotował się do obrony.

Gdy tylko Ulrika zobaczyła kobietę nazywaną hrabiną, wiedziała, że nieznajoma także jest wampirzycą. Być może sprawiało to przyciąganie się podobieństw. Nie rozumiała tego. Od razu stwierdziła, że ta kobieta jest niepomiernie silniejsza i starsza od niej. Przyglądała się z rozpaczą, jak nieznajoma usiłuje oprzeć się zaklęciu związania rzuconemu przez Kriegera i przegrywa tę walkę. Widziała jej niesamowity wysiłek. Wydawało się jej, że odbiera echo tych zmagających się w jej własnym umyśle i w tej chwili poczuła lekkie poluzowanie trzymających ją więzów.

Czy było możliwe, że gdy Adolphus użył swej mocy, by zawładnąć hrabiną, jego władza nad

Ulriką w jakiś sposób osłabła? Jeśli tak, czy pełna kontrola powróci, gdy sama przestanie się jej opierać? Ulrika wiedziała, że nie może podejmować ryzyka. Rozpaczliwie usiłowała zerwać krępujące ją więzy mentalne, by dostać się do Kriegera i móc go zaatakować.

Felix zobaczył, że Ulrika zaczyna się ruszać, a Gotrek reaguje na to jak na zagrożenie. Zabójca uniósł topór szykując się do zadania ciosu, chociaż od podwyższenia dzieliło go co najmniej dwadzieścia kroków. Zauważywszy to, Krieger zaśmiał się i skinął prawą dłonią.

Coś masywnego i ciemnego runęło w dół spod sufitu. Ogromne skrzydła rozpostarły się zatrzymując upadek. Potężne szczęki, pełne ostrych jak brzytwy kłów i lśniącej śliny, rozwarły się, by szarpać i rozdzierać. To był olbrzymi nietoperz. Jego ciało przekraczało rozmiary człowieka. Haczykowate szpony na końcach skrzydeł były niesamowicie ostre. Stwór rzucił się na Gotreka. Zabójca okręcił się i przykucnął tnąc puste powietrze. Nie trafił w przelatującego potwora.

Jedynym ostrzeżeniem dla Felixa było poruszenie powietrza za nim. Rzucił się na płask w chwili, gdy na posadzkę przed nim padł skrzydlaty cień. Ból rozrywanego ciała wgrzył się w jego ramię jak kwas. Rzutem oka w górę dostrzegł jeszcze jednego wielkiego nietoperza, który odlatywał w kierunku kamiennego sklepienia sali. W uszach Felixa zabrzmiał dziwaczny pisk.

Szczęk metalu zapowiedział kolejne zagrożenie. Jedna z pełnych zbroi zesła z swojego piedestału i zaczęła kroczyć w ich kierunku. Zgrzyt, który rozległ się zaraz potem oznajmiał, że pozostałe komplety pancerzy także zaczęły okazywać koszarne pozory życia.

– Uważaj! – krzyknął, gdy kilka z opancerzonych kształtów ruszyło w stronę Zabójcy.

Adolphus Krieger czuł, jak jego obie branki zmagają się z łańcuchami, którymi skrupował ich umysły. Wiedział, że to było bezcelowe. W żaden sposób nie mogły mu się oprzeć. Władał mocą Oka Khemri – nawet dwie kobiety o tak silnej woli, jak te, nie były w stanie go przemóc. Słudzy Tronu zajmą się pozostałymi intruzami.

Jego uwagę przyciągnął łoskot metalu uderzającego o metal. Spojrzał w dół i zobaczył jak przeklęty Zabójca przedziera się między opancerzonymi sylwetkami strażników. Ogromny topór przebił się przez metalowe napierśniki. Odpadające płyty metalu odsłaniały kości ożywionych konstruktów szkieletów wewnątrz pancerzy. Krieger zobaczył czaszkę, która wypadła z hełmu, a czerwona poświata w jej oczach zbladła i wygasła.

Z góry spadli na nich potworni Słudzy. Felix Jaeger uniknął trafienia potężnym, błoniastym skrzydłem i ciał je swoim mieczem rozrywając mięśnie i ścięgna. Poszarpane skrzydło zakłóciło lot Sługi, który runął na kamienną podłogę. Drugi Sługa pochwycił Snorriego Gryzonosa w swoje pazury i uniósł go w powietrze. Zabójca szarpał się jak mysz w szponach sowy wznosząc się coraz wyżej w stronę sufitu. Dzika szamotanina uwolniła go wreszcie z okrwawionych pazurów stwora. Snorri spadał jak kamień i obracał się w powietrzu wymachując rękami i nogami. Krieger wyszczerzył zęby. Takiego upadku nie sposób było przeżyć.

Felix widział jak Snorri spada w objęcia śmierci. Ogarnęło go przemożne uczucie bezradności. Nie mógł zrobić nic, by uratować krasnoluda. Wtedy Snorri machnął swoim toporem zahaczając go o ciężki świecznik. Zawisł tam, gdy potworny Sługa zawrócił, by dobić swoją ofiarę. Świecznik kołysał się jak wahadło. Kolejne dwa wielkie stwory o nietoperzowych skrzydłach spadły na Felixa. Musiał wyteńczyć całą uwagę, by pozostać przy życiu. Będzie miał jeszcze dość czasu, by przejmować się Snorrim Gryzonosem. Skulił się pod ciosem ostrego jak brzytwa pazura, przetoczył pod dwoma szponami, które próbowały go chwycić i dźgnął w zwieszające się nad nim brzuszysko rannego

potwora. Oślepiła go czarna posoka, która bluznęła z rany.

Max obserwował wampirycę, która obróciła się w jego stronę. Ich spojrzenia spotkały się wywołując niemal fizyczny wstrząs. Max słyszał wiele o hipnotycznym wzroku wampirów, ale doświadczenie tego na sobie było czymś zupełnie niewyobrażalnym. Czuł się, jakby tracił całą swoją wolę; mógł tylko stać w miejscu, jak mały ptak zafascynowany spojrzeniem węża.

Kręciło mu się w głowie od wcześniejszych wysiłków zachowania koncentracji mimo barier magicznych zamku. W tej chwili chciał się tylko poddać. Normalnie, byłby w stanie oprzeć się jej z łatwością, ale to nie były normalne okoliczności. Stracił siły po długiej bitwie, a jego umysł nie odzyskał pełnej jasności na skutek ochronnych zaklęć twierdzy. Próbował tylko nie poddać się jej woli bez oporu.

Stał sparaliżowany, gdy w jego stronę ruszył z obnażonym mieczem wierny sługa hrabiny, Rodrik.

Ivan Petrovich patrzył na swoją ukochaną córkę, wiedząc, że już ją stracił. Dusza nieszczęsnej przepadła. Demon zawładnął jej ciałem. Pozostawało mu tylko ją zabić. Miał nadzieję, że gdy tego dokona, uwolni jej duszę, by zaznała wiecznego spoczynku. Tak zapewniały stare opowieści.

A jednak nie mógł zdobyć się na wykonanie swojego obowiązku. Pamiętał jak wyglądała będąc małym, bezbronnym dziecięciem, jak uśmiechała się szczęśliwa w dniu, w którym dostała swojego pierwszego kuca i jak cierpiała po śmierci jej matki.

Jak mógł zapomnieć chwile, gdy trzymał w ramionach swoje dziecko i wszystkie wspomnienia wspólnego życia? Jak mógł ją teraz zabić?

Powtarzał sobie, że ona już odeszła. Nic po niej nie zostało, tylko demon, który przyoblekł się w jej formę. Musi wypełnić swój obowiązek, choćby to było najcięższe zadanie, jakie kiedykolwiek podjął. Cokolwiek innego byłoby zdradą wobec tych dobrych żołnierzy, którzy zginęli w drodze do tego miejsca, a także wobec samej Ulriki. Później przyjdzie czas na żałobę. Musi to zrobić, choć cierpiał katusze.

Nie spuszczał z niej wzroku biegnąc z bronią w rękę w stronę podwyższenia. Dopiero w ostatniej chwili usłyszał świst skrzydeł w powietrzu i poczuł ostre jak brzytwa pazury, które wbiły się w jego kark.

Adolphus Krieger spoglądał w dół z wysokości swojego tronu i widział, że sprawy miały się dobrze. Gruby stary człowiek był martwy. Głupszy z dwóch Zabójców miał zaraz zginąć. Hrabina i jej towarzysze zajmą się czarodziejem. Felix Jaeger klęczał oślepiiony krwią, gdy para Sług unosiła się nad nim, krążąc jak jastrzębie szykujące się, by spaść na ofiarę. Pozostawał Gotrek Gurnisson i jego topór. Tym zajmie się osobiście.

Zabójca przebił się przez ostatniego z opancerzonych strażników i stanął u podstawy podwyższenia wymachując swoją potężną bronią. Jego broda była najeżona, a w jedynym, szalonym oku błyskała opętańcza furia. Wyglądał jak jakiś bóg bitwy. Przez chwilę Krieger poczuł coś w rodzaju strachu, ale tylko przez chwilę.

Uznał, że nadszedł czas, by zakończyć tę farsę. Wyrzucił szeroko ręce i zaczerpnął całej mocy Oka. Jego kości wygięły się i wydłużyły, a skóra rozciągnęła. Sylwetka przybrała nowe zarysy. Długie pazury przedarły się przez końce jego palców. Poczuł napływ niesamowitej siły i wiedział, że może dokonać wszystkiego.

Rozpaczliwie, bojąc się, że w każdej chwili może usłyszeć syk powietrza i świst uderzających

szponów, Felix wycierał ramieniem czarną posokę z oczu i macał w poszukiwaniu swojego miecza. Chwilę potem, kątem oka, zobaczył koniec transformacji Adolphusa Kriegera.

Skóra wampira pękła i otworzyła się. Czerwone ciało wychynęło przez bladą, rozerwaną powłokę, płynąc jak roztopiony wosk świecy, który formował się w nowy kształt. Jego twarz wydłużyła się, uszy powiększyły, a włosy jakby cofnęły w głąb głowy. Pojawiły się białe kości, coraz dłuższe i cieńsze; wokół nich oklejały się przezroczyste fałdy ciała, stając się potwornymi nietoperzowymi skrzydłami, na których końcach tkwiły osobliwe dłonie przypominające ludzkie. Wielkie, podobne do kos pazury wyskoczyły z zakończeń palców. Oczy stały się większe i ciemniejsze, a głowa bardziej trójkątna. Wysunęły się z niej ogromne uszy, a nos spłaszczył się.

Całe ciało Kriegera wydłużało się i rosło, zmuszając go do przygarbienia się jak jakieś zwierzę. W ciągu kilku sekund nad Zabójcą wyrosła rzucająca przerażający cień ohydna hybryda nietoperza i człowieka. W tym czasie kolejni strażnicy w zbrojach rzucili się do ataku na Gotreka. Potworne nietoperze napastujące Felixa wycofały się, by przyłączyć do natarcia. Gotrek zatoczył wielki łuk swoim toporem, usiłując odstraszyć je pokazem swojej furii.

Wtedy właśnie istota będąca Kriegerem skoczyła przed siebie z oszałamiającą prędkością, tak szybko, że Gotrek nie zdążył uderzyć. W jednej chwili niesamowicie ostre pazury wbijały się w jego gardło. Krople krwi perlily się na skórze krasnoluda. W tym przerażającym momencie Felix zadawał sobie pytanie, czy saga Zabójcy dobiegła właśnie końca. Wiedział, że jeśli tak miało się stać, jego własna historia skończy się niedługo później.

Ulrika widziała upadek swojego ojca i przerażenie wraz z rozpaczą uderzyło w nią spiętrzoną falą. Przez chwilę bała się, że stary człowiek zamierza ją zabić i przeżyła krótkie ukłucie wyrzutów sumienia, gdy odczuła ulgę widząc jego śmierć. Wiedziała, że to była jedyna osoba na świecie, przed którą nie mogłaby się bronić. To poczucie winy wzmocniło jej gniew i rozpacz. Rozsadzająca ją wściekłość znalazła cel w postaci potwornie zmutowanego Adolphusa Kriegera. On odpowiadał za to wszystko. On ją tutaj sprowadził. On ją odmienił. To przez niego Ivan Petrovich przybył tu w poszukiwaniu swojej córki i zamiast niej znalazł własną śmierć.

Wyteżyła całą wolę przeciwko krępującym ją więzom. Okowy były silne, ale poczuła, że zadrżały. Natychmiast potem wyczuła, że nie jest osamotniona w tej walce. Inna wola umysłu przyłączyła się do niej, opierając się nikczemnemu zaklęciu Kriegera. To była wola istoty znacznie starszej, silniejszej i bardziej zdyscyplinowanej w opanowaniu mrocznego czarnoksięstwa. Razem z nią zaczęła zrywać wiążące je łańcuchy.

Max zauważył opadające ostrze Rodrika. Potrafił zmusić się tylko do tego, by uskoczyć na bok. Miecz trafił w jego ramię. Pocięła krew. Widział wampirzycę, która łakomie oblizywała usta. Skoczyła naprzód, by go przygwoździć i odepchnęła swojego sługę. Białe kły błysnęły tuż przy szyi maga. Oczy wampirzycy rozszerzyły się w wielkie jamy, które zawładnęły jego świadomością i zaczęły ją pochłaniać.

Nagle zatrzymała się i w jej oczach zamigotało piekielne światło. Max wyczuł, że przytłaczająca go wola osłabła, jakby coś ją rozproszyło. Może rzeczywiście tak się stało. Dostrzegął, że więzy zaklęcia Kriegera zaczęły słabnąć. Nieprawdopodobnie silne dłonie poluzowały uścisk na jego gardle. Osunął się na podłogę i zobaczył jak potworny nietoperzowy stwór, który był Kriegerem, przewraca Gotreka. Zawisł nad Zabójcą niczym cień jego zagłady.

Adolphus Krieger czuł opanowujące go uczucie triumfu. Okazało się, że krasnolud nie może

równać się z jego odmienioną formą. Chciało mu się śmiać patrząc na jego żalosne wysiłki, by podnieść się na nogi.

Krieger obnażył swoje kły. Nadszedł czas, by to zakończyć. Jednocześnie poczuł, że Ulrika i hrabina bliskie są wyrwania się spod jego wpływu. Uderzenie ich połączonej woli sparaliżowało go na chwilę. Wyteżył całą siłę umysłu do walki i zaczerpnął głęboko potęgi Oka. Ich rozpacz była dla niego słodkim nektarem. Wiedział, że jest niezwyciężony. Dokładnie w tym momencie usłyszał jakieś poruszenie nad sobą. Spojrzał w górę i we wstrząsającej sekundzie zobaczył spadający na niego ogromny, kryształowy świecznik. Metalowy kolec na jego spodzie błyszczał jak klinga miecza.

Głośny okrzyk wojenny dobiegający z góry przyciągnął uwagę Maxa. Zobaczył, że Snorriemu Gryzonosowi udało się wdrapać na świecznik i przeciąć podtrzymujący go łańcuch. Świecznik runął na dół, prosto na potężną hybrydę Kriegera. W ostatniej sekundzie potwór przeczuł zagrożenie i spojrzał w górę. W jego ślepiach mignął osobliwie ludzki wyraz rozpacz, gdy kolczaste zakończenie podstawy wielkiej struktury przebiło się przez jego pierś rozpędzone całą masą Snorriego Gryzonosa i impetem długiego upadku.

Krieger poderwał się na nogi, desperacko zrzucając z siebie szczątki świecznika. Nienaturalne kształty zaczęły już ponownie przybierać ludzką formę. Na jego twarzy wyrzył się ból agonii. Max zebrał resztki swojej mocy i poraził przekształcone oczy wampira promieniem oślepiającego światła. Krieger wydał z siebie nieludzki wrzask szau i bólu. Okrzyk dobywał się z jego zmutowanego gardła i nabierał wysokości, aż stał się niesłyszalny dla ludzkich uszu.

Gotrek poderwał się na nogi i z potworną siłą rąbnął wampira w kark. Ostrze trafiło w Oko Khemri i przebiło się przez nie, zagłębiając w piersi Kriegera. W chwili, gdy zaklęty topór rozrąbał starożytny talizman, wszyscy ożywieni strażnicy znieruchomieli i rozpadli się. Wielkie nietoperze, nie kierowane już jedną wolą, wzleciały wysoko uciekając z pola bitwy. Przez chwilę wszyscy zamarli na miejscu. Aura nienaturalnej energii iskrzyła wokół postaci Kriegera, gdy talizman rozładowywał pozostałości swojej mocy, a potem nastąpiła potężna eksplozja gwałtownie uwolnionej magicznej mocy, która rozerwała wampira na strzępy.

Siła wybuchu zwała z nóg osłabionego Maxa. Ogarnęła go ciemność.

Nie odrywając oczu od hrabiny, Felix schylił się i podniósł swój miecz. Cały był obolały, ale dziękował Sigmarowi za ocalenie. Jego ubranie było przypalone, włosy osmalone, a twarz piekła od oparzeń. Mimo wszystko, mogło być gorzej. Jego radość szybko znikła, gdy spojrzał na hrabinę. Wpatrywała się w niego łakomie.

– Chodź tu i umrzyj – warknął Gotrek, gdzieś za plecami Felixa. Felix przygotował się na pewny atak. Ten jednak nie nastąpił. Hrabina po prostu spojrzała najpierw na niego, potem na Zabójcę, po czym potrząsnęła głową, jakby obudziła się ze złego snu.

– Nie musimy walczyć – odezwała się. – Dokonałiśmy tego, po co tutaj przyszliśmy.

– Jesteś pewna? – spytał Felix.

– Groźba Oka znikła na zawsze.

Felix zerknął w miejsce, w którym powinny znajdować się zwłoki Kriegera. Pozostały tylko gnijące ochłapy mięsa i kilka fragmentów rozbitego Oka. Felix zobaczył, jak odłamki rozpadły się w pył.

Hrabina spoglądała na Ulrikę. Wyciągnęła do niej rękę.

– Chodź ze mną dziecko. Twój rodzic zginął, a musisz się jeszcze wiele nauczyć.

Ulrika nachylała się nad leżącym ojcem. Wyglądała, jakby miała się rozplakać, ale nie bardzo pamiętała, jak to zrobić.

– Najpierw muszę go pochować.

Hrabina skinęła głową. Ulrika schyliła się i podniosła ciało starca, jakby nic nie ważył. Felix spojrzął na Gotreka. Zastanawiał się, czy Zabójca postanowi ją zaatakować. W tej chwili krasnolud wyglądał tak, jakby nie był w stanie wyrządzić krzywdy małej psinie, nie mówiąc o wampirzycy. Eksplozja pokryła go brudem. Jego brwi i grzebień włosów były przypalone i osmalone. Krwawił z tuzina ran. Wydawało się, że ledwo stoi i nie jest zdolny do walki. Snorri Gryzonos leżał rozciągnięty pośród szczątków świecznika. Felix nie spodziewał się zatem wsparcia z jego strony.

– To co zrobiła, uczyniła pod wpływem czegoś, czemu nie mogła się oprzeć – powiedziała hrabina. – Nie żywi wrogości wobec was.

Ulrika wyglądała jakby dostrzegła ich po raz pierwszy.

– To prawda – powiedziała. W jej głosie nie było jednak słyhać żadnej skruchy. Jej głos był zimny, odległy i obcy. Felix próbował odnaleźć w nim choćby cząstkę kobiety, którą kiedyś znał.

– Jest ofiarą Kriegera, tak jak wszyscy pozostali. Nie zasługuje na karę za coś, co stało się bez jej woli. Zabiorę ją i będę uczyła, oraz zadbam, by nie wyrządziła nikomu żadnej krzywdy – rzekła hrabina. Zabójca drgnął, jakby zastanawiał się, czy zaatakować. Felix był zaskoczony widząc, że krasnolud zdołał się powstrzymać. Gotrek spojrzął na Ulrikę wzrokiem będącym osobliwym połączeniem emocji, które odbijały się na jego grubiańskim obliczu.

– Dopilnuj tego – odezwał się wreszcie. – Albo przyjdę po was obie.

Hrabina uklękła obok Maxa i delikatnie dotknęła jego czoła.

– Będzie żył – stwierdziła po chwili. – Wyleczy was, gdy odzyska siły.

Hrabina i Ulrika razem opuściły komnatę. Rodrik ruszył za nimi jak wierny pies. Gotrek potoczył ponurym wzrokiem po zrujnowanej sali tronowej, a potem zapatrzył się w drzwi, jakby zastanawiając się, czy nie powinien podążyć za odchodzącymi wampirzycami. Ostatecznie potrząsnął głową i usiadł ciężko na podłodze. Felix nagle zdał sobie sprawę, ile wysiłku kosztowało Zabójcę utrzymanie się na nogach.

– Spędzam zbyt wiele czasu z ludźmi – powiedział cicho Gotrek. – Robię się słabowity.

– Nie wydaje mi się – odparł Felix. – Co teraz?

– Nadciągają siły Chaosu. Czeka nas sporo walki, człeczyno, i potwory, które trzeba zabić. Jestem pewien, że znajdziemy coś do roboty.

Snorri Gryzonos z jękiem wygramolił się ze szczątków świecznika.

– Dobrze, że coś zatrzymało upadek Snorriego – odezwał się. – No i gdzie jest ten cholerny wampir?

– Zabiłeś go – odpowiedział Felix.

Snorri Gryzonos wyglądał na zadowolonego.